

Wyd. T. 7786. Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYZ

Nr 7/45-8/46

1951



• «La Culture» • Revue mensuelle •

Józef WITTLIN — Apologia Gombrowicza *
R. PALESTER — Konflikt Marsjasza * Cz. MIŁOSZ — Ketman
* J. FERRATER MORA — Wittgenstein — geniusz niszczycielski
♦ *SPRAWA MIŁOSZA*: Z. Zaremba, J. Mieroszewski, Cz. Mi-
łosz ♦ *ANTOLOGIA POEZJI BIAŁORUSKIEJ* — w przekła-
dzie J. ŁOBODOWSKIEGO ♦ St. GRYZIEWICZ — Sens
przemian gospodarczych w Polsce ♦ *NAJNOWSZA HISTORIA
POLSKI*: F. SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI — Opowieści admi-
nistracyjne czyli Pamiętnik Niebohaterski ♦ *ARCHIWUM
POLITYCZNE* ♦ *SPRAWY KRAJOWE* ♦ *KRONIKA
KULTURALNA* ♦ *KRONIKA EMIGRACYJNA* ♦ *KSIĄŻKI*

SPIS RZECZY:

Roman Palester:	<i>Konflikt Marsjasza</i>	3
Milada Souczkova:	<i>Kryzys literatury czeskiej</i>	17
Czesław Miłosz:	<i>Ketman</i>	24
José Ferrater Mora:	<i>Wittgenstein — geniusz niszczy-</i> <i>cielski</i>	44
✗ Józef Wittlin:	<i>Apologia Gombrowicza</i>	52
Zygmunt Haupt:	<i>Szpica</i>	61
Aleksander Hertz:	<i>Teatr w Ameryce</i>	66
J. Łobodowski (przekł):	<i>Antologia poezji białoruskiej</i> ..	75
Zygmunt Zaremba:	<i>Wobec nowego uchodźcy</i>	89
Juliusz Mieroszewski:	<i>List z Wyspy</i>	95
Czesław Miłosz:	<i>Odpowiedź</i>	103
Stanisław Gryziewicz:	<i>Sens przemian gospodarczych w</i> <i>Polsce</i>	106
Włodzimierz Bączkowski	<i>Współczesny świat arabski</i>	125
Wiktor Ostrowski:	<i>Genealogia Polonii argentyńskiej</i>	135
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	145
Jerzy Lerski:	<i>Kronika amerykańska</i>	147
E. Żagiell:	<i>Kronika australijska</i>	150
J. B.:	<i>Kronika niemiecka</i>	152
Kazimierz Krzepisz:	<i>Bilans Skarbu Narodowego</i>	155
Witold Kostrzyński:	<i>Rozmowa z „pozytywistą” kra-</i> <i>jąowym</i>	158
F. Sławoj-Składkowski:	<i>Opowieści administracyjne</i>	172
AV.:	<i>Wystawa mozaik z Rawenny</i> ..	196
E. S.:	<i>Dwie wystawy Corota</i>	200
Jan Tokarski:	<i>Kościół walczący</i>	202
KAJ:	<i>Botteghe Oscure</i>	208
J. Torosiewicz:	<i>Dialektologia i lingwistyka</i>	209
Z.:	<i>Czarne gabinety</i>	213
W.A.Z.:	<i>Wspomnienia tłumacza</i>	216
Z.:	<i>Nieciekawa spowiedź</i>	218
✗ W.A.Z.:	<i>Francuski Gombrowicz?</i>	220
Zb.:	<i>Komunizm autochtonów</i>	223
Zb.:	<i>„Le Potache”</i>	225
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	226
M. Sokolnicki, Stan. Pstrokoński, T. Wasil- lewski, A. Poniński, Wł. Pobóg-Malinow- ski, J. Poniatowski, W. Gombrowicz:	<i>Listy do Redakcji</i>	228
—	<i>Résumé en langue française</i>	235

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Juillet — Août

1951

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Roman PALESTER (ur. w r. 1907) studiował na uniwersytecie warszawskim i w konserwatorium w Warszawie, które ukończył w r. 1931. Brał żywy udział w polskim życiu muzycznym. Lata wojenne spędził w Warszawie, po wojnie wykładał jakiś czas kompozycję w Akademii Muzycznej w Krakowie. Od czterech lat mieszka w Paryżu, zajmując się wyłącznie kompozycją i biorąc udział w pracach Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej (jest członkiem jury festiwalu w Amsterdamie, Frankfurcie, Luksemburgu oraz członkiem prezydium tego Towarzystwa w latach 1949/50).

Obfita twórczość Palestra obejmuje wszystkie działy muzyki. Między innymi jest on autorem czterech Symfonii, koncertów skrzypcowych, fortepianowych, trzech kwartetów smyczkowych, opery "Żywe Kamienie" (w/g Berenta), baletu "Pieśń o Ziemi", i licznych ilustracji teatralnych i filmowych. W okresie powojennym napisał "Requium" na głos i orkiestrę oraz szereg utworów wokalnych do tekstów Rilkego, T. S. Eliota i Kochanowskiego. Na festiwalu w Brukseli w roku zeszłym wykonano jego ostatnią kantatę "Wisła" (do tekstu Zeromskiego). W Polsce muzyka Palestra, jednego z paru najwybitniejszych współczesnych muzyków polskich, znajduje się obecnie na indeksie i wykonywanie jego utworów jest zabronione.

Aleksander HERTZ, ur. 1895, socjolog i publicysta, był profesorem Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie, autor "Zagadnień socjologii teatru" i kilku innych książek oraz wielu artykułów i rozpraw. Od roku 1940 przebywa w Stanach Zjednoczonych.

Zygmunt ZAREMBA, publicysta, poseł na Sejmy Rzeczypospolitej, ur. w Piotrkowie Trybunalskim w 1895 roku. Członek centralnych władz Polskiej Partii Socjalistycznej. Redaktor "Dziennika Ludowego" i szeregu innych czasopism. Organizator Batalionów Robotniczych w obrocie Warszawy w 1939 r. Członek prezydium Rady Jedności Narodowej w okresie okupacji hitlerowskiej. Wyszedł z kraju na początku 1946 roku. Na emigracji przewodniczący Delegacji Zagranicznej PPS, członek Rady Politycznej, redaktor "Światła". Autor kilku książek i wielu rozpraw gospodarczych i politycznych.

Stanisław GRZYBIEWICZ, ur. w r. 1904, wyższe studia ukończył w Warszawie w r. 1928. W r. 1933 dyrektor Biura Ekonomicznego Centralnego Związku Zrzeszeń i Izb Rolniczych, wydaje dwutygodnik "Rolnik i Ekonomista" oraz bierze udział w szeregu prac badawczych z zakresu polityki rolnej. W latach 1939 — 1945 zajmuje się pracami badawczo ekonomicznymi dla Polskiego Rządu w Londynie. Od roku 1946 do 1950 wykładał w Polskim Uniwersytecie w Londynie. Autor prac: "Problem surowcowy Polski" (Warszawa, 1934), "Rynek Węglowy w Polsce" (Katowice, 1939); "Na marginesie rozwoju gospodarczego Polski" (Londyn, 1944), "Sowieckie eksperymenty gospodarcze w Polsce" (Newton, 1946), "Środki Polityki Gospodarczej" (Paryż, 1949), oraz szeregu artykułów ekonomicznych o polskiej, francuskiej, rosyjskiej i niemieckiej polityce przemysłowej i rolniczej.

Jan TOKARSKI, ur. 1909. Przed wojną redaktor paru pism i członek zespołu poznańskiej "Kultury". Na emigracji redagował pismo religijne 2 Korpusu we Włoszech. Do niedawna redaktor londyńskiego tygodnika "Życie".

IMPRIME EN FRANCE

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant, Paris (20)

Konflikt Marsjasza

Kiedy młody frygijszczyk Marsjasz — który ze wszystkich śmiertelnych posiadał jakoby w najwyższym stopniu trudną sztukę gry na fletni — postanowił wyzwać w zawody samego Apollina, zazdrosny bóg pokarał go w sposób dotkliwy i urągający wszelkiej "sprawiedliwości". Marsjasz został "przywiązany do pnia i odarty żywcem ze skóry", po czym "lekkim krokiem przeszedł poza czas i przestrzeń". Porażony straszną karą i konającą w męczarniach był nieważnym, obojętnym "przedmiotem", na którym wyładowała się owa tragiczna, fatalistyczna siła, rządząca nie tylko kondycją śmiertelnych, ale i mieszkańcami Olimpu. Rzecz bowiem była wiadoma i postanowiona z góry i nie mogła być przedmiotem dowolnego rozwiązania. Całe zdarzenie ukazuje w dalekim tle świat jako zespół i splot tragicznych konieczności, między którymi nie ma wyboru.

Jeśli przyjmiemy, że umiejętność Marsjasza miała w sobie całe piękno i poezję, jaką człowiek zdolny jest tchnąć w dzieło sztuki — a wątpić w to byłoby równoznaczne z odebraniem temu mitowi wszelkiej wartości — to nie możemy też nie przyjąć, że konflikt jego z Apollinem był aktem pełnej świadomości. Wiedział, że musi wyzwać Apollina, nie mógł też nie zdawać sobie sprawy z nieubłaganej konieczności poniesienia wszystkich dalszych konsekwencji. Gdyby tego nie wiedział, ton jego fletni byłby niechybnie fałszywy i martwy. Używając terminologii dzisiejszej, była to po prostu sprawa jego "uczciwości artystycznej".

Od owych, mgłą legendy i poezji zasnutych czasów po dzień dzisiejszy, tysiące tych, którzy dziwnym a nieobliczalnym zarządzeniem rodzą się poetami lub artystami, przeżywają — każdy w swój osobisty sposób — konflikty, które są echem owych arcydumnych — a tragicznych, posągowych — a nie pozbawionych żdźbła słabości, marsjaszowych perypetii. Cechuje ich tak potocznie zwane "powołanie", czyli dziwna zdolność wyrażania pewną bardzo materialną, skończoną i — zdawałoby się — stworzoną do "precyzyjnego" mówienia, techniką rzeczy niematerialnych, nieskończonych, a których nie można ująć w ramy żadnej dyscypliny. Przynoszą ze sobą swój własny "splot konieczności" i "wystawiają swe własne świadectwo czasem i ludziom". Niektórzy z nich wybierają nawet czasem zawód "artystyczny", tj. zawód literata, malarza czy kompozytora i

P. 9786 Chm. Arch.

wtedy mieszają się z mnóstwem innych "literatów", "malarzy" i "kompozytorów"; z tymi mianowicie, którzy władają — czasem nawet doskonale — techniką, tą "materialną, skończoną i precyzyjną", ale którzy nie wiedzą, że służy ona do mówienia rzeczy znacznie mniej precyzyjnych i nie przeczuwają nawet istnienia tragicznego, marsjaszowego konfliktu, kryjącego się poza fasadą rzemiosła.

Literatem, malarzem czy kompozytorem można zostać "hasając na niwie sztuki" — jakby powiedział Żeromski — i nie narażając się wcale na konflikt Marsjasza. Ale kto jest naznaczony piętnem poety, nie uniknie tego konfliktu choćby w życiu swoim nie napisał ani jednego wiersza. Bo jego siłą, a równocześnie piętą achillesową, będzie zawsze fatalna "własna wizja świata" i karygodna zdolność myślenia i wątpienia w najbardziej niesamowitych kategoriach. Piaci za to podobnie jak Marsjasz i jedynym jego melancholijnym triumfem bywa ów "lekki krok", którym odchodzą ci, którzy mieli odwagę rzucić wyzwanie Apollinowi.

W złudnym i przypadkowym zbiorze niedokonanych zamierzeń i niezamierzonych dokonań, który nazywamy historią, wraz ze zmieniającymi się czasami i ludźmi, zmieniają się sfery działalności i zainteresowania twórcze poetów i artystów. Inny kształt przybiera to, co nazwiemy krótko "konfliktem Marsjasza" u poetów tragedii greckiej, inny w okresie hellenistycznym; jeszcze inny u Boecjusza, wołającego do ciemnej celi więziennej jeszcze ciemniejszej epoki o "szczęściu tego, któremu dane jest zbliżyć się do jasnego źródła dobra" i prawdy; u Dantego polega on na próbie oparcia definitywnej syntezy świata na wątpliwym fundamencie przelotnych zdarzeń i zagadnień chwili. U tych, których działalność przebiega pozornie bez wstrząsów uzewnętrznia się czasem w walce o "czystość" i doskonałość wypowiedzenia się. Jakichże wątpliwości dowodem jest ten krzyk "Iesu iuva!" który tak często znajdujemy na pożółkłych kartach rękopisów Bacha? A ów dynamiczny konflikt zamierzenia i realizacji, pasjonująca a tragiczna konieczność dostosowania "siebie samego" do ram, zakreślonych kruchością i niedoskonałością materiału, konflikt, który przypadł w udziale tyłu twórcom od Michała Anioła do Joyce'a — czymże on jest innym, jeśli nie dążnością do najpełniejszego wyrażenia "swojej" wizji świata, jeśli nie targnięciem się na to, co nieosiągalne? A to namiętne a tak subtelne potępienie teatru przez Pascal'a — którego przecież nie podobna pomówić o brak "własnej" wizji świata — czy nie jest rezultatem nadludzkich, nieosiągalnych wymagań, stawianych sztuce? Znacznie później odbijają się te słowa niesamowitym echem w liście Słowackiego, kiedy zapyta: "Widziałeś ty, aby kto nazajutrz po rozczuleniu wielkim, przez Chopina muzykę sprawionym, stał się lepszym, piękniejszym, litośniejszym, wyrósł na bohatera?... Jedną mi osobę za-

cytuj, a wyznam, że nie miał racji potępienia". Istotnie, konflikt Chopina odbywał się na całkiem innej planecie...

Jednym słowem, przykładów jest mnóstwo i nie tu miejsce na ich szersze rozważanie. Ale historia twórczości artystycznej widziana pod kątem "konfliktu Marsjasza" nie została jeszcze napisana. Ponieważ jednak żyjemy w czasach, w których zaufaniem cieszą się jedynie metody "naukowe" i "rzeczowe", byłoby może lepiej nazwać takie dzieło po prostu "Historią uczciwości artystycznej". W ten sposób rzecz byłaby jasna, zrozumiała, a sam termin jest przecież modny i aktualny.

Gdyby postawić sprawę w sposób pryncypialny i teoretyczny, to należało by wymagać od czytelnika literatury, słuchacza muzyki czy amatora sztuk plastycznych co najmniej tego samego wysiłku, tej samej "wizji" i tej samej zdolności twórczej, dzięki której artysta stworzył swe dzieło. Ponieważ jednak na szczęście nie żyjemy w świecie doskonałym, (czyż w świecie skończonym i doskonałym mogłaby istnieć sztuka?) stosunki między autorem a konsumentem układają się na podstawie mądrego i subtelnego kompromisu estetycznego, który polega na braniu z dzieła sztuki przez każdą poszczególną jednostkę tylko tego, co jej jest potrzebne. Natomiast od strony artysty odbiorca przedstawiał się zawsze jako niewiadoma, bezimienna masa ciężaru, którą przyrównać można do ciśnienia atmosferycznego: nie moglibyśmy żyć bez niego, ale istnienie jego uważamy za coś tak normalnego i zrośniętego z nami, że nie myślimy o nim nieomal nigdy.

Nauka estetyki stara się pośredniczyć między tą bezimienną masą odbiorców a artystą, tworząc pewien katalog konwencji, który usiłuje zaspokoić możliwie największą ilość najróżniejszych gustów i potrzeb. Wydaje się jasne, że dzieło sztuki w samym założeniu swoim nie jest przeznaczone w równym stopniu dla wszystkich. Ludzie rozdili się zawsze muzykami i nie-muzykami. Choć przymiotniki te nie posiadają odpowiedników w dziedzinie poezji lub plastyki, tym niemniej zachodzi tam ten sam objaw. W zamieszaniu doby dzisiejszej kwestia "dla kogo się pisze" stała się — po uprzedniej inwazji terenu przez pojęcia zaczerpnięte z dziedziny socjologii — sprawą zgoła pierwszoplanową i nieomal alfą i omegą współczesnej twórczości artystycznej. Terror socjologii jest tak wielki, że mało kto zdaje sobie już dziś sprawę z przesadnej symplifikacji, do jakiej prowadzi podobne stawianie problemu. Dla jakich odbiorców Dawid pisał psalmy? Czy ta twórczość nie była po prostu jego "marsjaszową fletnią"? I czy nie jest zbyt łatwym uproszczeniem twierdzić, że anonimowa rzesza architektów, murarzy, rzeźbiarzy i płatnerzy średniowiecznych stworzyła swe dzieła wyłącznie na skutek "zamówienia społecznego" tamtych czasów? A może to właśnie uniwersalizm średniowieczny dał tę cudowną zgodność "wizji świata", która była wspólnym dobrem całej gromady i w ramach której celem artystów było chwalić

Boga środkami, których żarliwość i potęga wyrazu nie przestanie nas nigdy wzruszać i zachwycać?

Romantycy przejęli ze słownika politycznego swojej epoki pojęcie "wolności" i przenieśli je w dziedzinę czystej sztuki. Paul Valéry analizuje szerzej — a karty te należą niewątpliwie do najwspanialszych, jakie napisał — to fatalne nieporozumienie. W sensie prawnym pojęcie "wolności" obejmuje pewną ilość postulatów elementarnych, które, zrealizowane, są cenną zdobyczą zarówno dla jednostki jak i społeczeństwa.

Natomiast to samo pojęcie przeniesione w dziedzinę sztuki staje się "pustym dźwiękiem". Marsjasz nie miał żadnego wyboru. Przebieg jego historii był ustalony w najdrobniejszych szczegółach zanim wydcbył pierwszy ton ze swej fletni. Działalność artystyczna odbywa się po prostu w całkiem innych kategoriach i na zgoła innej platformie. Skrępowany w dziedzinie realizacji swego dzieła możliwościami danego mu do ręki materiału, podlegający wewnątrznie owemu, wspomnianemu wyżej, ciśnieniu masy swoich współczesnych, w ogromnej części swych osiągnięć zależny od tego, co zrealizowali jego poprzednicy, twórczy artysta w niezliczonych wypadkach chętnie akceptował jeszcze cały szereg innych, dodatkowych ograniczeń, dotyczących tematyki, formy, środków itd. Sztuka byłaby całkowicie wolna tylko wtedy, gdyby nie wyrażała nic, a i wtedy jeszcze musiałaby to czynić środkami "nieograniczonymi i nieskończonymi". A to byłoby zaprzeczeniem sztuki.

Stąd też postulat "wolności" przeniesiony w XIX wieku w tę dziedzinę, stworzył pomieszanie pojęć, zburzył dawniejszą równowagę i spowodował wciąż pogłębiający się kryzys w stosunkach artysty z "resztą świata". Artyści użyli całej zniewalającej siły swych talentów na wykrzykiwanie na rozmaite tony hymnów o wolności tam, gdzie należało raczej mówić konkretnie (a nie "śpiewać") o wolności publikowania, wolności osobistej lub zasadzie samostanowienia narodów. Jest oczywiście godne pochwały i szacunku, że poeta przejmuje się losem narodów walczących o wolność polityczną, ale w rezultacie ta problematyka wciągnęła artystów znacznie dalej niż jedynie na teren platonicznych wolnościowych zachwytów. Nieznacznie wciągnęła ich do polityki tout court. Konflikt Marsjasza przenosi się — świadomie lub bezwiednie — na teren polemiki politycznej lub socjologicznej a artyści przyczyniają się wydatnie do wytworzenia owego typu homo politicus, tak charakterystycznego dla okresu zdobywczej demokracji.

Odbywa się to z widoczną szkodą dla poziomu czysto artystycznego ich twórczości. Droga rozwojowa Wagnera może posłużyć w tym wypadku za efektowny przykład. Ten wielki artysta, który stworzył jeden z najpiękniejszych hymnów na cześć miłości, montuje na stare lata olbrzymią maszynę propagandową, (jakbyśmy dziś powiedzieli) na której rozhuśta falę obłędnego nacjonalizmu. Te perypetie ideologiczne uczynią z niego nie-

omal przywódcę narodu. — i to w okresie największych sukcesów tego narodu — ale tym bardziej krzyczące będzie jego sprzeniewierzenie się istotnej uczciwości artystycznej. Czego zresztą Nietzsche nie omieszcza natychmiast wyłowić i potępić.

Jesteśmy dziś karmieni do znudzenia efektownymi, a dość dowolnymi rozważaniami na temat sztuki i literatury, opartymi na owej specyficznej dialektyce, z taką wirtuozerią puszczonej w obieg przez Hegla, rozważaniami, którym towarzyszy równoczesna analiza procesów ekonomicznych. Nawiasem mówiąc, metoda ta nie waha się operować mnóstwem pojęć takich, jak "prawda", "celowość", które, jak się wydaje, nie mają pokrycia na terenie socjologii. Ten system "naukowego wątpienia" zniszczył wszystkie dotychczasowe podstawy moralne życia ludzkiego. Zaczęto rozbudowywać nowe doktryny ekonomiczne i socjologiczne do rozmiarów prawdziwych "filozofii uniwersalistycznych", których ambicją jest zająć miejsce dawnych systemów spirytualistycznych i stać się terapia magna wszystkich kłopotów cierpiącej ludzkości.

W obecnej fazie tego światowego kryzysu tendencje do "naukowego", materialistycznego urządzania świata sięgnęły po panowanie we wszystkich dziedzinach. Rzucono hasło zburzenia starej i stworzenia nowej cywilizacji, której okres jakoby nieuchronnie nadchodzi. Atak jest generalny, we wszystkich dziedzinach a podstawą jego są owe "niewzruszone" fundamenty "naukowości". Jeśli się przyjmie zasadę materialistyczną, to smutne perypetie Marsjasza tracą wszelki sens i artyści, którzy — w poszczególnych wypadkach osobistych — "opiewają" słuszność tego założenia zdają się zaprzeczać najistotniejszej treści swego powołania. Wydaje się, że sztuka wyrosła na spirytualistycznej i humanistycznej koncepcji świata a zaakceptowanie dzisiejszej formy "naukowej interpretacji zjawisk" musi — prędzej czy później — doprowadzić do zakwestionowania samego celu istnienia wszelkiej twórczości artystycznej.

Rezultatem tych walk i sporów, rezultatem podważenia i zakwestionowania całej dotychczasowej hierarchii wartości jest stan powszechnego zmęczenia intelektualnego. Powstaje przemierzająca tendencja do przyjmowania wszelkiego rozwiązania, podanego w możliwie łatwej i gotowej formie oraz przesadna skłonność do schematyzowania i upraszczania skomplikowanego obrazu pola bitwy. Stąd, pod każdą szerokością geograficzną pewna ilość ludzi akceptuje propozycje "naukowego" — a opromienionego aureolą nowości i "rewolucji" — rozwiązania kryzysu za pomocą aplikacji nowych doktryn, stąd też — z drugiej strony — ogromna ilość ludzi dzieli mechanicznie świat według pewnych, mniej lub więcej arbitralnie narysowanych, linii granic politycznych. Mówi się — niestety nie tylko potocznie — o "żelaznej kurtynie", jako o jakiejś magicznej linii dzielącej dwa światy i dzieli się ludzi automatycznie na zwolenników jed-

nej lub drugiej strony — w zależności od ich miejsca zamieszkania. Przywódcy i "ideolodzy" okraszają to wszystko hojnie wniośnymi frazesami, dotyczącymi "wolności", "pokoju", "sprawiedliwości", zapominając, jak bardzo przyczynili się sami do zdyskredytowania wartości tych pojęć.

Kryzys moralny przebiega podobnie po obu stronach "żelaznej kurtyny", walka toczy się wszędzie i przypuszczenie, że o uratowanie najistotniejszych wartości naszej cywilizacji walczy się w tej chwili jedynie "po tej" stronie żelaznej kurtyny, a nie walczy wśród milionów ludzi, którzy wbrew swej woli zostali oddani w niewolę wrogiego im systemu, jest taką samą tragiczną symplifikacją i mechanicznym uproszczeniem, jakim byłoby twierdzenie, że po zachodniej stronie tej kurtyny kryzys naszej kultury nie istnieje.

Różnice, które dzielą dwa systemy ekonomiczne, nie wydają się w tym wypadku czynnikiem decydującym. Zresztą, przy całym szacunku dla najnowszych angielskich reform socjalnych, nie podobna nie zauważyć, że ich podstawy nie są odległe od teorii, które na naszych oczach doprowadziły mnóstwo ludzi do stanu upadku a cały świat do stanu największego kryzysu. Nie to jest ważne czy własność prywatna będzie dalej istnieć w swojej tradycyjnej formie, czy też nie. Ważne jest to, że te przemiany ekonomiczne pociągają za sobą automatycznie reakcję łańcuchową; wystawiają człowiekowi do zapłacenia rachunek maksymalny. Ważne jest to, że za samą obietnicę podniesienia stopy życiowej i usunięcia w przyszłości okresowych kryzysów ekonomicznych, trzeba zapłacić najkompletniejszym przewartościowaniem wszystkiego i zburzeniem własnymi rękami aż do podstaw tego, co było dla nas dotychczas cenne i konieczne do życia. Nie da się w tym wypadku oddzielić szczegółów od całości obrazu. Wyławianie w reformach sowieckich szczegółów dodatnich wydaje się kardynalnym niezrozumieniem tego, co się dzieje. Jakże można cieszyć się z rozwoju lecznictwa społecznego, jeśli u podstaw systemu leży kompletna pogarda dla kondycji jednostki? Jakże cieszyć się z wielkiej ilości młodzieży chłopskiej i robotniczej na uniwersytetach, jeśli celem tych uniwersytetów jest uformowanie umysłów całkowicie bezkrytycznych i posługujących się wyłącznie obiegowymi sloganami obowiązującej teorii? A wyrażanie radości z przeprowadzenia reformy rolnej jest chyba nie zdawaniem sobie sprawy z tragicznego losu, jaki ta "reforma" gotuje milionom ludzi.

Program jest maksymalny i niszczy zarówno samego człowieka, jak i te wszystkie wartości, które dotychczas nadawały życiu ludzkiemu pewien obiektywny sens. I dlatego jest on najgroźniejszy właśnie na płaszczyźnie moralnej. Jak straszliwe musi być zmęczenie i rozterka tych setek tysięcy ludzi, którzy tu, na Zachodzie, widzą jedyny ratunek w rewolucji, która narzuci siłą tę "nową kulturę"? Zważywszy, że na takie rozwiązanie godzi się po tej stronie żelaznej kurtyny dość duża i aktywna część młodego pokolenia, to czy nie należało by pa-

miętać, że kryzys nie tylko istnieje wszędzie, ale że jest on, być może, w stadium groźniejszym na Zachodzie, niż w krajach, w których prawdziwa treść "reform" sowieckich została już ukazana w całej swej brutalności? ◆

Hasło budowania "nowej, socjalistycznej kultury" rzucono po ostatniej wojnie — z ogromnym nakładem środków propagandowych — również w krajach nowoopanowanych. Według ambitnych zapowiedzi miano zbudować w ciągu lat kilku lub kilkunastu (!), na fundamentie społeczeństwa bezklasowego, oryginalny i nowy gmach życia zbiorowego i wypełnić nową treścią skromny odcinek, przewidziany w przyszłości na osobiste życie jednostki. Rzecz sama wydawała się tak absurdalna, że mało kto brał ją poważnie i w końcu szereg wybitnych komunistów "przewróciło się", traktując ten pomysł niezupełnie serio. Dziś sytuacja jest groźniejsza i ostrze oporu stępione. Pierwszym stadium tej pracy miało być możliwie doszczętne zburzenie tego, co istniało przedtem, co oczywiście było szczególnie ważne w krajach, które nie miały szczęścia przejść krwawej rewolucji "od dołu".

Podobnie jak w innych dziedzinach, tak i na terenie kulturalno-artystycznym należało zacząć od stworzenia tabula rasa. Zabrano się do burzenia z całą siłą i dotychczas nie wysunięto się poza fazę niszczenia i "równania w dół". Wszelkie twierdzenia o jakimś "budowaniu" w dziedzinie kultury i sztuki są wyłącznie bluffem propagandowym i nie mają nic wspólnego z prawdą. Spróbuję zademonstrować to na przykładzie, który jest mi bliski i na terenie, na którym poruszam się z względną swobodą.

Warunki życia w okupowanej przez Niemców Warszawie wytworzyły bliskie współzycie i mocne poczucie solidarności wśród sporego grona kompozytorów i muzyków, którzy dawniej, w okresie przedwojennym, raczej chadzali własnymi drogami. Jeśli chodzi o twórczość, to okres okupacji był wyjątkowo sprzyjający, jako że byliśmy uwolnieni od ubocznych, organizacyjnych zajęć muzycznych i Karol Irzykowski nie bez racji powiedział, że był to czas "darowany przez Boga". Równocześnie staraliśmy się opracować i przygotować plan odbudowy i rozbudowy naszego życia muzycznego po wojnie. Jasne jest, że zainteresowania społeczne, zdobycie nowych warstw słuchaczy, sprawy upowszechnienia muzyki, zajmowały — zgodnie z tradycją polską — poczesne miejsce w tych projektach.

Po strasliwym wstrząsie Jałty, powstania warszawskiego i "liberacji", artyści zabrali się do odbudowy życia kulturalnego w taki sam sposób, jak i wszyscy inni Polacy, tj. zdając sobie jasno sprawę z tego, że idzie okres ciężkiej niewoli i dalszej walki. Ale ponieważ Polacy mieli dość okazji do nauczania się, jak toczyć z zaborcą walkę w codzienny, nieustępliwy i najbardziej wyrafinowany sposób, więc w podziwiiu godnej harmonii rzucono się natychmiast do roboty, wiedząc podobnie jak i inni

— podkreślam to raz jeszcze — że trzeba wykorzystać chwilowy brak organizacji, niemożność kontroli rządowej i zupełny brak zwolenników reżime'u, aby przez ten czas zrobić tyle dobrego, ile się tylko da. Można by na ten temat napisać tom, pełen anegdot, czasem nawet wesołych: rzeczy, które nie mogłyby "przejsć" pod okiem władz centralnych w Warszawie, robiono na prowincji, wykorzystywano zgrabnie animozje między tuzami partyjnymi, oszukiwano, gdzie się tylko dało. Ze zrozumiałych powodów nie mogę tu podawać rozmaitych poszczególnych spraw, które zasługiwałyby ze wszech miar na wspomnienie. Działo się to wszystko bez euforii, jako, że bardzo prędko poczuliśmy, że nawet, jeżeli minister, czy inny dygnitarz myśli podobnie jak my — a w pierwszym okresie zdarzało się to częściej, niżby się mogło wydawać — to bez decyzji swego ukrytego kierownika sumienia nie może sam załatwić nawet najblahszej sprawy. Równie prędko zrozumieliśmy, że ten ukryty sowiecki opiekun jest głównie po to, aby nie dopuścić do zrobienia czegoś pozytywnego i dobrego. O dobrowolnym wybieraniu drogi emigracji i wygnania nie było wtedy mowy i opinia krajowa była jednolita w tym, że należy zostać w kraju, aby walczyć z destrukcyjną rolą okupanta.

Oczywiście władze zdawały sobie doskonale sprawę z walki, jaka się toczy i, kiedy to tylko stało się możliwe — to jest po dostatecznej rozbudowie i okrzepnięciu aparatu rządowego — zaczęły się zabierać coraz ostrzej do rzeczy. Mniej więcej od 1948 roku stosuje się do artystów — z grubsza biorąc — zasadę głaskania i bicia na przemian, nie zapominając też oczywiście o potężnych środkach korupcji których użycie daje również w wielu wypadkach pożądane wyniki. Dzięki temu rozbito dość szybko ową serdeczną, koleżeńską współpracę, powstała w okresie okupacji. Do związków muzyków i kompozytorów (a nie potrzeba przypominać do jakiej elephantiasis doprowadzono zakres działania wszelakiego rodzaju związków) wprowadzono swoich ludzi pomimo tego, że w wielu wypadkach nie byli oni ani kompozytorami ani muzykami. Kompozytorów odsunięto od udziału w organizacji życia muzycznego, obsadzając czołowe stanowiska ludźmi najzupełniej nieodpowiednimi, ale za to partyjnie pewnymi. Równocześnie zapewniono artystom warunki życia — w stosunku do reszty ludności — wspinała i dano im mnóstwo pieniędzy. Wielu przyjęło to naiwnie z uczuciem zachwytu, ale trzeba przyznać, że są i tacy którym ta pozycja uprzywilejowanych kibiców régime'u staje kością w gardle. Nie mówiąc już o tym, że w ten sposób udało się zgrabnie wytworzyć niechęć ogółu do tej nowej arystokracji. Spotykany czasem pogląd, że artyści wzamian za tę uprzywilejowaną pozycję materialną poszli, łatwiej niż reszta ludności, na lep obietnic régime'owych, nie jest pozbawiona cienia prawdy. Trudno jednak wymagać od wszystkich postawy heroicznej na co dzień, tym bardziej, że wszystkie zmiany w życiu kraju "satelickiego" odbywają się nieznacznie i w ukryciu, poza zewnętrzną fasadą

"niewzruszoności" zasad. Od żadnego artysty nie żąda się natychmiastowego "opowiedzenia się", presja trwa latami i przypuszczenia, że w pewnym momencie "nakazuje się" artyście konkretnie iść po takiej, a nie innej linii, jest grubym uproszczeniem. Nacisk odbywa się wszelkimi możliwymi drogami pośrednimi a definitywna utrata wolności artystycznej nie jest sprawą, którą można by wiązać z jakąś datą czy zdarzeniem. Trwa to latami i dlatego jest mniej uchwytne, tym bardziej, że artysta jest świadkiem ciągle zmieniających się haseł urzędowych i w łonie samej partii czy rządu obserwuje zajadłą walkę najrozmaitszych klik, najróżniejszych tendencji, a niebawem niski poziom, na którym się to wszystko odbywa, pozwala mu czasem rokować nadzieję, że może jednak uda mu się zachować pewną wewnętrzną niezależność.

Aby odebrać artystom tę niedopuszczalną możliwość niezależnego wystawiania się w sztuce, uderzono w nich taranem "formalizmu" i "socjalistycznego realizmu". Sprawa ta jest obecnie tak szeroko dyskutowana, że ograniczę się tutaj do przedstawienia jedynie jej dotychczas niedostatecznie podkreślonych aspektów.

Jak wiadomo, w pojęciu ideologów marksistowskich (a nie od rzeczy będzie przypomnieć tu, że estetyka marksistowska właściwie nie istnieje, a w każdym razie jest najslabiej przeprowadzoną dyscypliną nowej "religii") sztuką formalistyczną jest wszelka sztuka, która nie odzwierciedla w dostateczny sposób tendencji swojej epoki. Przy czym owe tendencje epoki sprecyzowane są dokładnie przez egezetów partyjnych. Natomiast sztuka socjalistycznego realizmu "wystawia właściwe świadectwo prawdzie swojej epoki" i z odpowiednim patosem wyraża "postępowe dążności mas ludowych" w języku dostępnym dla tych "mas". Abstrahując od kwestii "mas ludowych", które doczepiono ze względów wyłącznie demagogiczno-propagandowych, to cała reszta problemu sprowadza się do, starej jak świat, sprawy owej uczciwości artystycznej, koniecznej dla stworzenia dzieła sztuki istotnie zdolnego do życia. I znów wracamy do sprawy Marsjasza. Zawsze wszelka sztuka wyrażała tendencje swojej epoki, a dzieła, które dawały nieprawdziwy lub nieistotny obraz swoich czasów były w najlepszym razie dziełami "literatów", "malarzy" czy "kompozytorów", ale nie istotnych twórców. Pragmatyczne pojmowanie roli artysty wrosło w naszą psychikę już dość dawno i nie potrzeba w tej sprawie sięgać aż do determinizmu marksistowskiego; wystarczy nam stary Hippolit Taine lub jeszcze starszy Goethe. Innymi słowy: jeśli istnieje dzieło Kafki czy Joyce'a, to widocznie wyraża ono myśli i tendencje pewnej ilości ludzi ich pokolenia. Ale diagnoza ideologów komunistycznych co do "tendencji epoki" jest rezultatem ich wishful thinking i zwyczajnym chwytem propagandowym. Wiedzą oni równie dobrze jak i my wszyscy, że gdyby brać sprawę na serio, to trzeba by za dzieło sztuki, odpowiadające wa-

runkom stawianym przez socjalistyczny realizm, uważać up. "Krzyże i miecze" Wierzyńskiego; znam na tyle "tendencje" opinii krajowej, aby wiedzieć, że wiersze tego tomu wyrażają rzeczywistość myśli i dążenia przygniatającej większości Polaków! Jeden tylko szczegół! Jest w tym wszystkim logiczny i konsekwentny. Oto, pod pretekstem konieczności tworzenia sztuki "łatwo dostępnej", zmusza się artystów do produkowania jakichś homunculus'ów artystycznych w formie piosenek, okraszonych zazwyczaj grafomańskim tekstem propagandowym. To usiłowanie cofnięcia sztuki na poziom jaskiniowy zbiega się rzeczywiście idealnie z ogólną "drogą rozwojową" régime'u.

Jest bowiem rzeczą jasną, że każdy artysta podejmuje chętnie wszystko, co rozszerza krąg jego odbiorców i muzyki polscy, pomni na tradycję "Śpiewników Domowych" Moniuszki, od lat prowadzili szeroko zakrojoną akcję najrozmaitszych koncertów popularnych, młodzieżowych etc. Właśnie odbudowaniu tej akcji władze najbardziej przeszkadzały po wojnie. Jeśli nawet przypuścić, że akcja ta była poprzednio prowadzona wadliwie, to przecież zebranie jakiejś najelementarniejszej statystyki na temat gatunków i rodzajów muzyki, której chcą słuchać robotnicy, chłopcy czy nieprzygotowana muzycznie młodzież, pozwoliłoby traktować poważnie przynajmniej sprawę muzykalnienia szerszych warstw ludności. Ale nie takiego nie nastąpiło! Samowolne, arbitralne narzucanie wszystkim odbiorcom — bez względu na stan ich rozwoju intelektualnego — rzeczy jak najgorszych dowodzi raz jeszcze, że chodzi tu po prostu o sprowadzenie stanu kultury do możliwie najniższego poziomu i że cel całej akcji jest z gruntu negatywny: ma wprowadzić w umysły ludzkie jak największe zamieszanie i zmęczenie, jako, że może wtedy posiew "nowej kultury" łatwiej da się zaszcześcić. Walka oczywiście trwa, ale na razie jeden cel reformatorów został chwilowo osiągnięty: artysta polski pozbawiony został całkowicie możliwości bezpośredniego kontaktu ze swym odbiorcą. Żaden kompozytor nie może w Polsce opublikować lub wykonać na koncercie nowonapisanego utworu bez uprzedniej "audycji próbnej", na której sprytnie dobrana grupa możliwie największych ignorantów — od ministra poczynawszy a na najrozmaitszych "delegacjach" robotników, chłopów i przodowników pracy skończywszy — strzepi sobie języki na tematy zgoła nieuchwytnie. Audycje te służą do wyłowienia i odrzucenia wszystkiego, co ma jakąś obiektywną wartość i przedstawia dzieło talentu. Protokoły z tych audycji drukuje się pilnie w fachowej prasie muzycznej, gdzie mogą służyć za dowód zdecydowanej złej woli "czołowych osobistości", obłądu i aberracji marksistowskich intelektualistów, nadużywania dobrej woli robotników i chłopów i ciągłego jeszcze — choć, niestety, zmniejszającego się — oporu ze strony artystów.

Litość bierze kiedy się w tych protokołach czyta, a propos pewnego preludium symfonicznego, któremu kompozytor nadał tytuł "Epitafium na cześć poległych bohaterów", dosłownie, co

następuje: ... "jak się później okazało, Prelud symfoniczny, czy też "Epitafium" było de facto uwerturą do oratorium o Przemienieniu Pańskim. Abstrahując od tego, że autor wprowadził tym słuchaczy w błąd, zarzuty stawiane utworowi dopiero w tym świetle wydają się całkowicie uzasadnione". Istotnie, lodo-waty chłód tej notatki nie wróży nic dobrego... (i co najsmutniejsze: denuncjatorem musiał być przecież w tym wypadku, ktoś, będący w bardzo bliskiej zażyłości z kompozytorem...). Jeżeli utwór zostaje ostro skrytykowany, to każda odpowiedź autora zaczyna się od stereotypowego stwierdzenia, że "pisał utwór dawno, bo przed rokiem (!) i jemu samemu utwór dziś już zupełnie się nie podoba"!

Protokoły te zawierają zawsze na końcu punkt pod tytułem "wyniki ankiety" i tam, pod rubryką "ocena muzyki", figurują jakieś dziwne cyfry — nigdy całe, zawsze w towarzystwie ułamków dziesiętnych! Niestety, brak objaśnienia jakiegoś to "klucza" są one wynikiem, ale dla informacji podam, że ów Prelud symfoniczny, który okazał się fatalną uwerturą do oratorium, otrzymał w końcu stopień 3,5 (słownie trzy całe pięć dziesiętnych). Nie potrafię powiedzieć czy to dobry czy zły stopień, ale dla zainteresowanych artystów posiada on niewątpliwie wymowę, niepozobawioną dalszych konsekwencji.

Z takich i wielu podobnych szczegółów łatwo odtworzyć sobie obraz tej prostracji, przygnębienia i załamania wewnętrznego, jakie z konieczności musi panować wśród artystów w kraju.

W trzeszczących zębach tego strasliwego kieratu łamią się charaktery, gną się karki... Jak żądać od tych ludzi, aby "sta-nęli w zawody" z Apollinem? Gdzież jest bunt przeciw kondycji jednostki, jakże żądać od artystów, aby w tych najcięższych warunkach zachowali się, która pozwoliłaby im ukryć — na dłuższą metę — ich prawdziwy cel i istotną dążność? Ale, przypu-ściwszy nawet, że artyście uda się w czterech ścianach pracow-ni stworzyć dzieło szczerze, z którego publikacją czekać będzie innych, lepszych czasów — to jakiej wielkości i jakiego skupie-nia potrzeba by było, aby wypowiedzieć, wyrwać z trzewi cały ból, całe sponiewieranie i ten kłęb nieszczęścia, zwątpienia, tragizmu i nienawiści, jakiego pełna jest dzisiejsza "dola czło-wieka"?

W niedawnym, spokojnym, zrezygnowanym, ale pełnym żalu i smutku, liście, przyjacieli-artysta, znękany ponad wszelki wy-raz stałym przebywaniem w kraju — konkretyzuje swoje wąp-liwości: "gdzież lepiej służyć Polsce? tu u nas, w kraju, czy też na emigracji?"

Cóż można Ci odpowiedzieć, Drogi Przyjacieliu, jeśli samemu uniknęło się cierpienia, które przypada w codziennym udziale setkom tysięcy najniewinniejszych — którzy "zostali", i wobec których nie jest się całkowicie w porządku. Odczuwa się pewien wstyd i zaczyna rozumieć to, co oni, w kraju, choćby najnie-przejednańsi, nazywają "zdrada", a co jest przecież wybraniem

wygnania — niewesołego zaiste — z powodów „osobistych”. Niewątpliwie każdy artysta polski jest w normalny, ludzki sposób przywiązany do swego kraju, jego krajobrazu, ludzi i całego klimatu duchowego, w którym dźwięczała jego marsjaszowa fletnia. Dlatego w tej chwili „ostatecznej” każdy musi w sposób najzupełniej osobisty i na swoją odpowiedzialność zdecydować o swej dalszej drodze. Są w tej chwili w Polsce artyści, którzy poszli całkowicie na lep urzędowej propagandy i za pieniądze robią, co im się każe; tacy istnieli zawsze i nie ma powodu zatrzymywać się nad tym dłużej; jest tłum grafomanów, dla których w tym okresie równania w dół stworzyły się olśniewające możliwości; są tacy, którzy pojedynczymi koncesjami i zelatorstwem politycznym oplacają prawo do zachowania pewnej elementarnej swobody. Ale znajdzie się też kilku takich, którzy nie zrobili żadnej koncesji, zachowali dotychczas pełną uczciwość artystyczną i wybrali — milczenie. Każdy wypadek jest szczególnie, odrębny i władze stosują do każdego w gruncie rzeczy inną miarę. Czego innego wymaga się od jednych, czego innego od drugich. Jednych niszczy się wcześniej, innych później. Są artyści, którym pozwala się uprawiać sztukę bardziej „formalistyczną”, niż innym (jest zresztą faktem notorycznie znanym, że duch kliki, stosunki, przyjaźni i luzosostwo decydują tam o wielu rzeczach w stopniu bez porównania wyższym, niż to ma miejsce w osławionych krajach kapitalistycznych; a to niemało przyczynia się do ogólnej demoralizacji). Zdarza się, że ten i ów zawdzięcza przyjaźni z ministrem czy dygnitarzem partyjnym prawo do większej swobody, niż inni.

Ale każdy, zły czy dobry, twórca czy grafoman musi stale kłamać — kłamać, aby „utrzymać się na powierzchni”, kłamać na krytycznej audycji, kiedy najmniej do tego powołani wygłaszają druzgocące krytyki o jego dziele, kłamać, podkreślając na każdym kroku że robi z największym zadowoleniem artystycznym to, czego w istocie nienawidzi, kłamać w końcu w stałych obietnicach, że się „podciągnie”, „nauczy”, „zrozumie nieubłagany bieg historii” itd. Na zjazdach artystów, poświęconych ważnym politycznym problemom sztuki, można słuchać przez kilka dni z kolei kilkudziesięciu ludzi — między którymi przecież jest na pewno kilku wybitnych — kłamiących we wszystkim co mówią, przy czym kłamię i przewodniczący obradom minister i przedstawiciel „mas ludowych” i po kolei wszyscy obecni artyści. Na zakończenie dygnitarz partyjny „reasumuje”, „przypomina” i „tłumaczy” konieczność walki z muzyką formalistyczną jako tą, którą Truman usiłuje zatruć i rozbroić narody „postępowej ludzkości”, po czym każdy z obecnych stara się pogratulować dygnitarzowi tego, tak subtelного ujęcia problemu...

Jakże długo można bez poczucia najgłębszego poniżenia słuchać tego potoku kłamstw, któremu towarzyszą najszczerze w świecie spojrzeń — choć wszyscy wiedzą nawzajem o sobie, że kłamią? Nie wszyscy przecież są obdarzeni w równej mierze wytrzymałością i odpornością. I dlatego każdy wypadek jest

odrębny i wybieranie takiej czy innej drogi jest sprawą ściśle indywidualną.

A zatem, cóż Ci odpowiedzieć, Przyjacielu, który jesteś u kresu sił? Wiem, że najważniejsze dla Ciebie jest nie sprzeniewierzyć się temu, co uważamy za pierwszy obowiązek nas wszystkich — to jest naszej uczciwości artystycznej. Nie to jest ważne gdzie ten obowiązek wykonamy łatwiej, ale gdzie go wykonamy lepiej. Dotychczas wydawało się, że obowiązkiem naszym było zostać w kraju i taki jest w dalszym ciągu pogląd ogromnej większości Polaków w kraju. Jest to sprawa odporności lub — jeśli wolisz — heroizmu, którego dowody daje tych kilku, którzy — przebywając w kraju — woleli zamilknąć i zrezygnować z kariery, powodzenia i popularności jaką zdobywa się lojalną pracą dla régime'u. Ci nie będą mieli w nagrodę nawet cichego „uznania rodaków”, jako że się o nich powoli zapomni. Pozostanie im tylko ta satysfakcja, jaką daje świadomość, że ton fletni był do końca czysty. I dlatego wiem, że ewentualne wybranie przez Ciebie drogi wygnania nie będzie w żadnym wypadku — podobnie jak u nas wszystkich — „wybraniem wolności”. Bo zdajesz sobie w pełni sprawę, że takie rozwiązanie byłoby raczej objawem pewnej słabości...

Z ludzkiego, humanitarnego punktu widzenia jest oczywiście zupełnie zrozumiałe i usprawiedliwione, że człowiek decyduje się na ucieczkę i najgorsze nawet warunki życia na wygnaniu, dla zapewnienia sobie elementarnej wolności prawnej, spokojnego snu w nocy i bezpieczeństwa przed bezprawiem. Ale to właśnie dotyczy artystów w znacznie mniejszym stopniu, niż wszystkich innych, jako, że artyści są tą arystokracją régime'u, która nie potrzebuje bać się „bezpieki” i może sobie pozwolić na znacznie spokojniejszy sen, niż reszta ludności. Nie o „prawo do spokojnego snu” chodzi w naszym wypadku. Decydujące jest to, że nie można à la longue zachować całej „świeżości” oporu, nie można żyć w stanie stałej mobilizacji intelektualnej, która by pozwoliła niechybnie i niezawodnie reagować na każde najmniejsze kłamstwo i przeciwstawiać się wewnętrznemu wszystkiemu, co cię spotyka od rana do wieczora. Pewnego dnia z przerażeniem zauważasz, że twoja zdolność krytyczna zaczyna się stępiać, ale ponieważ zdajesz sobie sprawę, że to ona właśnie pozwalała ci zachować dotychczas resztki równowagi — zatem ziemia zaczyna ci parzyć stopy. Dłuższy czas walczysz, męczysz się — po czym konstatujesz pogorszenie twego stanu. Wtedy decydujesz się na ratowanie in extremis tego, co — słusznie czy niesłusznie — uważasz za najcenniejsze.

Równocześnie powinieneś jednak zdawać sobie sprawę, że, wybrawszy drogę wygnania, znajdziesz się — artystycznie — nieomal w sytuacji, w której byłeś dwadzieścia lat temu, tj u początku twej kariery. Zostaniesz w tragicznym położeniu, bez utworów, bez twojej muzyki, którą rząd warszawski nakaże wycofać z bibliotek i księgarni, bez owej „situation”, która — jak wiesz — jest tu tak ważną rzeczą, a — co najważniejsze —

bez kontaktu z tą "twoją" publicznością koncertową, która cie najlepiej rozumiała. Praca twoja nie będzie tutaj nikomu potrzebna. Przy całej serdeczności, jaką ci rodacy i cudzoziemcy okażą, będziesz dla nich zawsze obiektem, choć godnym współczucia, ale natury raczej politycznej.

Dlatego musisz sam ze sobą uporządkować te sprawy, których przecież niepodobna rozwiązać definitywnie i w sposób, który by dał nam choć cień spokoju i nie pozostawił goryczy.

Drećzysz się, Drogą Przyjacielu, wątpliwościami, dotyczącymi dalszego przebiegu tej straszliwej sprawy, której przyszło nam być aktorami i świadkami. Nie ma to dla naszej pracy żadnego znaczenia, czy ciemne siły i nowe barbarzyństwo wygryają w końcu, czy też nie wygryają. Nie pragniemy ująć przed losem Marsjasza, a chodzi nam tylko o to, aby "ton był czysty".

Marksowska analiza historii wytłumaczy ci przecież i tak "bezbłędnie" przyszłość i wskaże na niewątpliwy a bezwarunkowy koniec tego wszystkiego co kochamy i dlaczego chcieliśmy żyć. Mądrze porówna koniec imperium rzymskiego z nadchodzącym końcem naszej cywilizacji i wskaże na podobieństwo obecnych postępów komunizmu z rozwojem wczesnego chrześcijaństwa. Bo treścią ich analizy jest porównywanie "zdarzeń", i nie wytłumaczysz im nigdy, że powstanie naszej cywilizacji nie było "zdarzeniem".

Zresztą ani dla Ciebie, ani dla mnie właśnie "zdarzenia" nie mają przekonywującej wartości. Złupienie Rzymu przez Odokara i nieco później przez Alaryka było "zdarzeniem", które wydawało się końcem świata i nie mieściło się w wyobraźni współczesnych. Opinia uważała to podobno za zemstę zdradzonych bogów, a wówczas święty Augustyn, wśród wstrząsów ginącego świata, poświęcił w skupieniu piętnaście lat na napisanie owej "Civitas Dei", która miała na celu "uspokojenie wzbudzonych umysłów". A kiedy hordy Genzeryka zalały Numidię, śmiertelnie chory Augustyn doznał od Boga tej wielkiej łaski, że zmarł, zanim jego stolica biskupia została zdobyta i w ten sposób widok jej pożaru i złupienia został mu oszczędzony.

Zapomnieliśmy dawno sprawy Wizygotów, Wandalów i Genzeryka, ale jakże to się dzieje, że głos biskupa Hipponu wiecznie świeży i młody nie przestaje nieść światła miłości i prawdy wszystkim cierpiącym i spragnionym?

A właśnie to nie mieści się w ramach marksistowskiej analizy historycznej.

Roman PALESTER

Kryzys literatury czeskiej

OD REDAKCJI:

Zamieszczone tu studium jest fragmentem książki o literaturze czeskiej w latach 1945 — 1950, analizującej na bogatym materiale technikę i skutki stopniowej sowietyzacji literatury w Czechosłowacji. Książka ta ukaże się w niedługiej przyszłości po angielsku w Stanach Zjednoczonych. Autorka książki, p. Milada Souczkova, obecnie emigrantka w Ameryce, jest jednym z czołowych współczesnych pisarzy czeskich. Debiutowała w r. 1934 tomem eksperymentalnej prozy pt. «Pierwsze alfabety». W r. 1937 ogłosiła pt. «Amor i Psyche» powieść o okresie dojrzewania, przeplatana analizą powieści, w latach 1940-41 — dwutomowy cykl o mieszczaństwie czeskim przed pierwszą wojną światową, «Dziedzictwo» i «Założyciele». W r. 1943 wydała pt. «Szkota noweli» tom nowel, każda w innym stylu i rozwiązująca inne zagadnienia formalne. W r. 1944 wyszła jej powieść «Bel canto», mająca za temat życie międzynarodowego śpiewaka, a w r. 1946 powieść poświęcona zagadnieniu twórczości pisarskiej «Głowa artysty». Jest też ona autorką trzech tomów poezji.

◆
Przed wkroczeniem w świat literatury za Żelazną Kurtyną należy się wyzbyć wszelkich tradycyjnych poglądów na historię literatury, która zawsze obracała się dookoła chronologicznej listy wybitnych autorów i ich dzieł. Fasada pozostała ta sama, struktura jest zgoła odmienna.

W ciągu ostatnich dwóch wieków literatura światowa rozwijała się pod znakiem indywidualizmu. Może z tego powodu historycy literatury nadal myślą kategoriami indywidualności w epoce gdy era indywidualizmu, przynajmniej na znacznej przestrzeni globu jak np. w Rosji się skończyła. Za Żelazną Kurtyną stoimy w obliczu literatury, w której poszczególni twórcy mają znaczenie drugorzędne, a ważny jest tylko kolektywny rozwój piśmiennictwa.

Na tych wschodnich przestrzeniach produkcja literacka jest całkowicie organizowana, subsydiowana i kontrolowana przez państwo. Celem jej nie jest sztuka, nawet nie sowiecka sztuka, lecz marksowsko-leninowsko-stalinowski "realizm socjalistyczny".

Proces ten odbywa się od lat i to nie tylko w krajach totalitarnych lecz również w demokratycznych. Lecz, być może właśnie z powodu tradycyjnych form krytyki literackiej nikt prawie nie zdawał sobie sprawy, że sama literatura, i to na całym świecie przeżywa głęboki kryzys.

Z chwilą, gdy stanowisko jednostki w społeczeństwie zostało zachwiane, powieść musiała się siłą rzeczy zająć wielkimi problemami zbiorowymi naszych czasów. Nie trzeba zresztą przypominać, że w ciągu ostatnich dwóch wieków powieściopisarze nieraz okazywali bądź potencjalne, bądź otwarte zainteresowanie socjalistycznymi problemami współczesnego społeczeństwa. Ten "socjalistyczny" temat pojawia się już w pierwszych arcydziełach powieści nowożytnej. I tak w "Lucien Leuven" Stendhal opisuje wystąpienie wojska przeciwko strajkującym robotnikom włókienniczym. Epizod ten jest dość wiernym obrazem zaburzeń i strajków w St. Etienne, Grenoble, Clermont, Marsylii i Lyonie w r. 1834.

W sto lat później i poezja i powieść stały się rzecznikami politycznych i społecznych ideologii nie tylko w Rosji ale również w demokratycznych Francji i Czechosłowacji i totalitarnych Niemczech. Dlaczego "sztuka dla sztuki" została zarzucona? Czy dlatego, że miała posmak dekadentyzmu, wyłączności? Nie, nie tylko z tego powodu, ale ponieważ tego rodzaju sztuka proklamowała swoją niezależność i supremację wartości indywidualnych i transcendentnych.

Warunki życia na całym świecie przestały sprzyjać powstawaniu nastrojów wśród których indywidualny autor mógł nadal przemawiać intymnie i przekonująco do indywidualnego czytelnika. I autor i czytelnik stali się ludźmi głęboko zaniepokojonymi, dla których naczelnym problemem stała się kwestia ocalenia siebie i gatunku.

Najbardziej reprezentatywny pisarz demokratycznej Czechosłowacji Karel Čapek był raczej pragmatycznym humanistą niż indywidualistą. Przy tym zastrzeżeniu, możemy w jego twórczości obserwować coraz większe liczenie się autora z interesami państwa.

Jego powieść "Hordubal", ogłoszona w tak tragicznym dla Europy roku 1933, poświęcona jest dziejom chłopca z Rusi Podkarpackiej. Według pogłosek, sam Tomasz Masaryk miał zasugerować autorowi i temat tej powieści i miejsce jej akcji — Ruś Podkarpacką. Nawet gdyby te pogłoski były fałszywe, to już sam fakt napisania takiej "wiejskiej" powieści przez prerafinowanego intelektualistę byłby bardzo znamienity. Znamienity i dla Czechosłowacji, i dla całej Europy. Niemieccy "Blut und Boden", francuscy ruraliści, europejska literatura en bloc — z wyjątkiem surrealistów — wszyscy przenieśli się od "sztuki dla sztuki" do twórczości, która natchnienia szukała w "rzeczywistości".

W 1937 r. Karel Čapek napisał pacyfistyczną, antyfaszystowską sztukę teatralną pod tytułem: "Bila Nemoc", a w 1938

r. sztukę patriotyczną i militarystyczną "Matka". W tej to sztuce mamy następujący ustęp:

Krzysztof: Nasza strona, my, naród. Gdyby to towarzystwo ze wszystkimi ich zwariowanymi pomysłami o pacyfizmie i równości, miało nami rządzić, to, mój chłopce, szybko byłoby po wszystkim. Ach! To co te draby chciałyby zrobić byłoby po prostu zdradą narodu. Chcą oni rozpuścić armię, przejąć administrację, wywłaszczyć fabryki — ni mniej ni więcej!

W sztuce Čapka, ten protagonista prawicy, znajdował dialektyczną przeciwwagę w postaci lewicowego bohatera. Čapek jeszcze korzystał z demokratycznego europejskiego przywileju niezależności i nie musiał publicznie opowiadać się po stronie czy to swego faszystowskiego czy lewicowego bohatera. Ale jednak istotną treścią tej jego ostatniej sztuki, napisanej i granej w roku jego śmierci, był apel do walki do upadłego w obronie kraju.

Już ten przykład wystarcza do zilustrowania tezy, że grunt dla rozwoju literatury ideologicznej był w Czechosłowacji należycie przygotowany. Słynne europejskie "wieże z kości słoniowej" miały być strącone w błoto, zbroczone krwią, starte czołgami i totalitarnymi metodami zniszczenia. W całej Europie ci którzy chcieli pozostać wierni swym przekonaniom musieli zmierzyć się z kryzysem, który ogarnął całą humanistyczną cywilizację.

W czasie dyskusji na uniwersytecie w Harvardzie o zagadnieniu wojny w literaturze, ktoś powiedział, że dla Greka, który siedział w koniu trojańskim perspektywa śmierci wyglądała akurat tak samo, jak dla współczesnego żołnierza. Jest prawdą, że dla każdej istoty ludzkiej śmierć ma zawsze to samo oblicze i że zakres cierpienia ludzkiego jest ograniczony przez samą naturę. Tym niemniej współczesna wojna, którą możemy nazwać zimną wojną, czy wojną ideologiczną i której początki sięgają 1914 r. wystawiła ludzkość na coś gorszego od cierpienia: na widok poniżenia ludzkich wartości. Dym unoszący się nad setkami tysięcy ciał spalonych w krematoriach wywoływał uczucia wszechogarniającego obrzydzenia a stałe ograniczanie wolności poczucie podświadomej wściekłości. Cóż mogliśmy przeciwstawić tym uczuciom obrzydzenia, wściekłości i strachu?

Wojownik starożytności zabity na równinach Azji, chłop średniowieczny storturowany w swej wiosce mieli świadomość, że pomimo tortur, które w danej chwili były ich udziałem istnieje porządek niezmienny i wiecznotrwały: że na wyspach na morzu Egejskim dym będzie dalej cicho się unosił nad dachami greckich domostw; że Bóg pokaże zbrodnię dokonaną na człowieku niewinnym. W 19-tym wieku człowiek nadal wierzył, jeżeli nie w Boga to w "postęp" cywilizacji.

Ale w co wierzył naprawdę Europejszyk w 1938 roku? Jakież wartości mógł przeciwstawić totalitarnym mitom lub socjalistycznemu mesjanizmowi? Europejska tradycja religijna i prawna została zerwana. Wartość życia jednostki została wprowadzona do takiej to a takiej zdolności wytwórczej. Z rozpaczą w sercu niektórzy próbowali walczyć z tym zalewem niewiary i sceptycyzmu. We Francji intelektualisci podziemia czytali Stendhala; w Czechach ciż intelektualisci czytali pomniki literatury narodowej. I jedni i drudzy próbowali wzmocnić swoją wiarę w przyszłość swych narodowych kultur. Ale pomimo całego przywiązania do wielkich tradycji zmiana klimatu kulturalnego Europy była tak olbrzymia, że wszelka ciągłość kulturalna została nazawsze przerwana.

Pierwsze symptomy tego stanu rzeczy były już widoczne przed drugą wojną światową i przybrały na sile w następnych latach.

W Czechosłowacji, pod okupacją niemiecką, literatura cierpiała na "eskapizm", a po wojnie na podporządkowanie marksizmowi. Nie zapominajmy jednak, że już przed tym wiełu czeskich intelektualistów jak i innych krajach Europy widziało w postępowym socjalizmie nieunikniony etap rozwoju współczesnej epoki. W latach 1945-1948 Czechosłowacja okazała się niezdolna oprzeć się zalewowi marksistowskiemu i intelektualnie i kulturalnie. Założenia czysto ludzkie i kulturalne, bez których żadna sztuka istnieć nie może, zostały strzaskane i zastąpione nowymi pojęciami. Toteż miary wartości poprzedniego okresu literackiego sprzed drugiej wojny światowej nie mogą być stosowane do okresu powojennego. Kryteria zmieniły się w wyniku zmian w tradycyjnym kulturalnym i literackim układzie.

Byłoby rzeczą trudną wyróżnić w powojennej literaturze czeskiej choćby jeden tomik poezji i prozy na podstawie przedwojennej estetyki. Wyjątki jak Blatny'ego "Wieczór" lub Weiss'a "Życie z Gwiazdami" należą raczej do przedwojennego okresu. Powojenna czeska literatura (tak samo zresztą jak i rosyjska) ma pewne cechy interesujące, ale w zupełnie innej dziedzinie.

"Najlepsze dzieła literatury sowieckiej są co najwyżej dobrą publicystyką; reszta jest na poziomie amerykańskiej literatury brukowej". Ten cytat jest wzięty z wypracowania o literaturze rosyjskiej złożonego w czasie egzaminów na uniwersytecie harwardzkim. W rzeczy samej ani sowiecka ani czeska literatura współczesna nie mogą być porównywane z amerykańskim dziennikarstwem czy z amerykańską literaturą brukową. I jedna i druga należą do rodzaju, który po prostu nie istnieje za Żelazną Kurtyną.

Dla laików lektura rosyjskiej czy czeskiej powieści może nadal przypominać powieść francuską czy amerykańską. Ale jeżeli się czyta tych powieści dużo to współczesna proza rosyjska czy czeska ma oddziaływać na czytelnika swym kolektyw-

nym charakterem. Zapewne trudno to ocenić tym czytelnikom, którzy zapoznali się z piśmiennictwem z za Żelaznej Kurtyny w warunkach zachodnich.

W komunistycznej literaturze panuje nużąca jednostajność: w praktyce indywidualne dzieło sztuki nie istnieje. Niektóre dzieła są lepiej napisane od innych, niektóre też mają odmienną tematykę. Ale właśnie poprzez te różnice w tematach i w kunszcie pisarskim można najlepiej zdać sobie sprawę z tej monstrualnej jednostajności i wyeliminowania wszelkich "artystycznych" momentów.

Tradycja literackiej prozy została ograniczona do elementarnej techniki powieści: opisów, dialogów, komentarzy. Indywidualne postacie istnieją tylko jako uosobienie aktywnego poświęcenia się i pracy dla komunizmu. Poza tym życie nie ma żadnego innego znaczenia. Wszystkie uczucia i myśli są ściśle podporządkowane temu nadrzędemu sensowi życia. Psychologia indywidualna — w tym zakresie w którym pisarzem marksistom wolno w ogóle jej używać — jest stosowana tylko jak trick mechaniczny, motywujący czyny bohaterskie w czasie wojny i pokoju.

Przyjemna jednostajność popularnej literatury stanowiła plagę i innych epok. Ale niezwykle przygody feudalnych rycerzy wywołały satyrę Cervantesa. Balzac pisał i "romans noirs" i arcydzieła. Obok amerykańskiej literatury brukowej mamy również Dos Passos'a i Faulkner'a. Żelazna Kurtyna nie pozwala na nic podobnego.

Na razie, póki panuje tam komunizm, w Czechosłowacji, podobnie jak w Rosji, może istnieć tylko jedna, straszliwie jednostajna literatura. Panuje tam też wyłącznie tylko jedna teoria literacka.

Komunistyczna "ars poetica" jest zbudowana na czysto materialistyczno-racjonalistycznej podstawie. Jako "obiektywna nauka" literacka, szkoła ta eliminuje wszystkie subiektywne oceny oraz wszelkie transcendentalne pojęcia "piękna". Te dwa postulaty, wypływające z 19-towiecznego pozytywizmu są wspólne i zachodniej nauce i marksizmowi.

Materialistyczna teoria literacka wychodzi z założenia, że warunki ekonomiczne przesądzają o klimacie kulturalnym i o ogólnym charakterze literatury i poezji. Konsekwentny marksizm poszedł dalej: na podobieństwo planowej ekonomii wprowadził pojęcie racjonalnego planowania w dziedzinie sztuki.*)

Konsekwentni marksisci oceniają całą literaturę pod kątem widzenia socjalizmu i negują autonomię literatury; odrzucają formalizm nie dlatego by im wyrafinowane pisarstwo nie odpowiadało, ale jako równoznaczne z pojęciem autonomii i transcendentalności sztuki.

*) Ladislav Štoll: *Tricet let boju za ceskou socialistickou poesil.* Praha, 1950, str. 138.

Korzenie realizmu marksistowskiego tkwią w 19-towiecznym pozytywnie materialistycznym. Ten literacki realizm podchodził do filozoficznego problemu rzeczywistości w sposób jak najbardziej prostacki. Mówiąc po prostu, przez rzeczywistość rozumiano życie, takie jakie widzą wszyscy szarzy ludzie. W myśl tego realizmu do pisania potrzebne były tylko dobre okulary, należało po prostu rejestrować wrażenia dostępne zmysłom, bez przeprowadzania ich przez alembik bądź abstrakcji bądź wyobraźni. Ta ostatnia, jako wysoce subiektywna, nie cieszyła się zaufaniem. Lenin używał wyrażenia "fotografia" w swojej definicji rzeczywistości. Obecny stan sowieckiej sztuki dowodzi, że nauki Lenina dobrze rozumiano: malarstwo ery Stalina i Mołotowa jest po prostu kolorową fotografią. Soczewka fotograficzna jest mechanizmem, ale oko ludzkie jest też mechanizmem. Pozytywistyczny realizm lubował się w tego rodzaju porównaniach.

W znacznym stopniu literacki realizm polegał na wyborze tematu. Realizm i naturalizm celowały w opisach nędzy spowodowanej przez panujący system gospodarczy — kapitalizm. Z chwilą gdy teoria marksistowska stała się rzeczywistością stary realizm opisowy został zastąpiony socjalistycznym realizmem. Powieść nie powinna już opisywać ciemnych stron życia, bo takich w socjalistycznym ustroju nie ma. Rzeczywistość w społeczeństwie socjalistycznym jest optymistyczna. Stąd literatura tego okresu może być realistyczna tylko gdy staje się optymistyczna. "Negatyw" (pesymizm) może być użyty tylko jako tło dla "pozytywu" (optymizmu).

W praktyce ten argument był tylko powtórzeniem "metody fotograficznej". Albumy rodzinne dotąd zawierają liczne fotografie na których zaciśni obywatele w niedzielnych szatach figurują na tle ozdobnego ogrodu lub wytwornego salonu z palmą w doniczce w głębi. Te same upiększające procedery są wykorzystywane przez realizm socjalistyczny. Przywraca on "szczęśliwy" obraz życia, który został zdeformowany przez obiektywizm 19-towiecznego realizmu, a potem w ogóle zniknął pod ciosami "pesymistycznej" i "egzystencjalistycznej" powieści 20-go wieku. Szczęście luksusowych landszaftów było sztuczne i sentymentalne. Komunistyczne szczęście jest przymusowe i brutalne.

Za dwuletniego planu literackiego Czechosłowacja poczyniła ogromne postępy w upodobnieniu się do Rosji. Niedaleka jest chwila, gdy nastąpi zupełne zlanie się tych dwóch kultur. Na razie literatura czeska ma być całkowicie oczyszczona z a) tradycji własnej b) wszelkiej formy eskapizmu c) cech "opisowych". Podczas gdy celowość punktów a) i b) jest oczywista, punkt c) powinien mieć teoretyczne i praktyczne skutki, które spowodują całkowite załamanie się istniejących dotąd podstaw samodzielnej literatury.

Proces ten rozpoczął się z chwilą gdy czeska literatura została zmuszona do wzorowania się na realizmie socjalistycznym.

W chwili obecnej ma ona jeszcze pewne drobne możliwości zachowania pewnego lokalnego kolorytu, na przykład dla oddania czeskiego środowiska, charakteru, umysłowości. Z czasem nawet te drobne ustępstwa będą potępione przez Rosjan jako "odchylenia". Albowiem wszystko co w literaturze nie służy zbiorowemu wysiłkowi socjalistycznemu stanowi "zbrodnię literacką". Rosjanie sami oczyścili własną literaturę z elementów opisowych oraz z psychologii. Lokalne różnice muszą być zredukowane do minimum. Upodobnienie do rosyjskiego socjalistycznego realizmu powinno być całkowite. Różnice mogą być tolerowane tylko w języku oraz w nieistotnych szczegółach narracji. Można nawet wyobrazić sobie moment kiedy i bariera językowa zostanie usunięta. Nie jest to utopijne przypuszczenie. Jak i w polityce, tak i w literaturze Rosjanie będą dążyć do całkowitego podporządkowania sobie podbitych narodów, ich asymilacji i zrusyfikowania. Marks i Engels pisali w *Manifestie Komunistycznym*:

"Zamiast lokalnej i narodowej samowystarczalności mamy dzisiaj rozbudowę stosunków we wszystkich kierunkach: narody są wzajemnie zależne zarówno w produkcji materialnej jak i duchowej. Intelktualna twórczość wszystkich narodów staje się wspólną własnością. Narodowa jednostronność i wyłączność stają się coraz bardziej niemożliwe, i z licznych narodowych i lokalnych literatur powstaje literatura światowa"***)

Póki będą istniały komunistyczne państwa totalitarne, póty ich literatura będzie propagować tę formę państwową, łącznie z jej polityką wewnętrzną i zagraniczną. Propaganda ta będzie uprawiana z tą samą bezkompromisowością, z jaką marksizm i komunizm przeprowadziły na innych polach swoje zamiary. Chwilowe dostosowania się mogą mieć miejsce; element niespodzianki w polityce ogólnej i regionalnej może znaleźć jakieś odbicie w lokalnych literaturach i krytyce. Lecz jedna zasada przetrwa wszelkie zmiany: literatura na usługach państwa będzie otrzymywać instrukcje od Partii, i te instrukcje będą stanowić dominujący czynnik w dalszym rozwoju literatury.

Wielkie przewroty w politycznej i kulturalnej strukturze cywilizacji środkowo-europejskiej spowodowały całkowite zerwanie współczesnej tradycji literackiej. To zerwanie jest nie tylko skutkiem złośliwego skasowania "wolnej" artystycznej twórczości. Analityczna racjonalizacja sztuki w 19-tym i 20-tym wieku potencjalnie przygotowała drogę, na którą wkroczyli komuniści, wykorzystania sztuki racjonalnie i ideologicznie.

Kryzys literatury czeskiej już ma miejsce i nie da się go odwrócić; kryzys literatury światowej pozostaje wciąż tylko w stadium możliwości — przebieg jego będzie zależał od rozwoju wypadków na naszym globie.

Milada SOUCZKOWA

**) K. Marx i Engels: *Literatura i sztuka*, New York, 1947, str. 39.

Ketman

Rozumowanie intelektualisty poddanego ciśnieniu siły i Metody, jest pełne sprzeczności. Uchwycić dokładnie te sprzeczności nie jest łatwo, bo mamy do czynienia z zupełnie nowym zjawiskiem, które nie występuje w tym stopniu ani u Rosjan (narodu panującego), ani u zwolenników Nowej Wiary na Zachodzie (którym pomaga niewiedza). Nikt z obywateli krajów demokracji ludowej nie ma możliwości ani pisać ani mówić głośno o tych sprawach. Na zewnątrz tam one nie istnieją. A jednak istnieją i stanowią rzeczywiste życie tych aktorów jakimi są z konieczności wszyscy niemal ludzie w krajach zależnych od Centrum, a zwłaszcza przedstawiciele umysłowej elity. Trudno inaczej określić rodzaj panujących tam stosunków pomiędzy ludźmi, jak aktorstwo, z tą różnicą, że miejscem gdzie się gra jest nie scena teatralna, ale ulica, biuro, fabryka, sala zebrań, a nawet pokój, w którym się mieszka. Jest to wysoki kunszt, wymagający czujności umysłu. Nie tylko każde słowo, które się wymawia, powinno być szybko ocenione zanim wyjdzie z ust z punktu widzenia następstw jakie może spowodować. Uśmiech pojawiający się w niewłaściwej chwili, spojrzenie, które wyraża nie to co wyrażać powinno, mogą być przyczyną niebezpiecznych podejrzeń i zarzutów. Również sposób bycia, ton głosu, zamilowanie do takich a nie innych krawatów, są interpretowane jako oznaka skłonności politycznych.

Przyjazd na Zachód jest dla człowieka ze Wschodu dużym wstrząsem, gdyż w obcowaniu z innymi — począwszy od taksówkarza i szofera taksówki — nie napotyka na żaden opór — są oni zupełnie rozluźnieni, brak im tej wewnętrznej koncentracji, która wyraża się w opuszczeniu głowy, albo w latających niespokojnie oczach, gadają co im ślina na język przyniesie, śmieją się głośno: czyż to możliwe, aby stosunki pomiędzy ludźmi mogły być aż tak p r o s t e?

Aktorstwo dnia codziennego tym się różni od aktorstwa w teatrze, że wszyscy grają przed wszystkimi i wiedzą nawzajem o sobie, że grają. To, że ktoś gra, nie jest mu poczytywane za ujmę i nie dowodzi bynajmniej jego nieprawdopodobności. Chodzi o to tylko, żeby grał dobrze, bo umiejętność dobrego wejścia w swoją rolę stanowi dowód, że ta część jego osobowości, na któ-

rej buduje swoją rolę, jest w nim dostatecznie rozwinięta. Jeżeli ktoś wygłasza przemówienie pełne nienawiści do Zachodu i jeżeli czyni to z żarem, wykazuje przez to, że jest w nim co najmniej 10% nienawiści, o której tak głośno krzyczy. Jeżeli ktoś potępia kulturę zachodnią w sposób chłodny i wstrzemięzliwy znaczy to, że w rzeczywistości jest do niej przywiązany. Każde zresztą zachowanie się ludzkie ma w sobie — jak wiadomo — znaczną dozę aktorstwa. Człowiek reaguje na otoczenie i nawet w swoich gestach jest przez swoje otoczenie regulowany. Jego postawa psychiczna jest często narzucana przez postawy psychiczne tych co go otaczają. Niemniej w krajach demokracji ludowej zachodzi raczej wypadek świadomej, masowej gry, niż odruchowej adaptacji. Świadoma gra, jeżeli się ją uprawia dość długo, rozwija te cechy osobnika, którymi się on w swej aktorskiej pracy najchętniej posługuje. Tak biegacz, który został biegaczem, bo miał dobrze uformowane nogi, rozwija jeszcze bardziej nogi ćwicząc się w bieganiu. Po dłuższej zaprawie następuje tak ścisłe zrośnięcie się z rolą, że nie da się już odróżnić co jest własne a co przybrane, najbliżsi sobie ludzie rozmawiają sloganami wiecu. Zrośnięcie się z narzucaną rolą przynosi ulgę i pozwala na zmniejszenie napięcia czujności. Właściwe odruchy we właściwej chwili pojawiają się już automatycznie.

Występuje to również w literaturze. Poeta piszący utwór propagandowy nie ogranicza się bynajmniej do czysto racjonalistycznego ujęcia. Podobnie jak tłumacz "zaraża się" duchem oryginału, tak poeta tworzący z myślą, że ideałem wiersza jest wiersz, który może być recytowany chórem na wiecu wyładowuje się emocjonalnie nastroiwszy siebie w punkcie wyjścia na odpowiedni ton. W teatrze aktor, który gra Cyda jest Cydem na scenie. Oczywiście nie każdy aktor, nawet jeżeli jest młody i dobrze zbudowany, może grać Cyda; potrzebna jest przyrodzona zdolność do wyładowania się emocjonalnego w roli Cyda. Poezję, tak jak ją znamy dotychczas, można określić, jako wyraz indywidualnego temperamentu przełamującego się poprzez konwencję społeczną. Poezję Nowej Wiary można natomiast określić jako wyraz konwencji społecznej przełamującej się poprzez indywidualny temperament. Dlatego najbardziej przystosowani do nowej sytuacji są poeci obdarzeni talentem dramatycznym: poeta tworzy postać idealnego poety rewolucyjnego i pisze swój wiersz jako monolog tej postaci. Nie wypowiada siebie, ale idealnego obywatela. Wynik otrzymany przypomina pieśń do śpiewania w marszu, gdyż cel jest taki sam: chodzi o stworzenie więzi kolektywnej, łączącej posuwającą się naprzód kolumnę żołnierzy. Najlepszym przykładem takiej pieśni-sloganu są niektóre wiersze niemieckiego poety Bertolda Brechta, górujące nad utworami innych wschodnich poetów, gdyż u Brechta widać zupełną świadomość procesu.

Chociaż identyfikacja gry i prywatnej własności myślowej jest daleko posunięta, pozostaje obszerna reszta, która zmusza do czujności. Ciągłe maskowanie się, jakkolwiek stwarza aurę zbiorową trudną do zniesienia, dostarcza maskującym się pewnych i to nie najmniejszych satysfakcji. Mówić, że coś jest białe, a myśleć, że jest czarne; wewnętrznie uśmiechać się, a na zewnątrz okazywać uroczystą żarliwość; nienawidzić a objawiać oznaki miłości; wiedzieć, a udawać niewiedzę: tak wyprowadzając w pole przeciwnika (który również nas wyprowadza w pole), zaczyna się cenić ponad wszystko własną przebiegłość. Sukces w grze staje się źródłem zadowolenia. Równocześnie to, co w nas jest chronione przed oczami niepowołanych nabiera dla nas szczególnego waloru, gdyż nie jest nigdy wyraźnie formułowane, a co nie jest formułowane w słowach posiada irracjonalny urok czysto uczuciowej jakości. Człowiek chroni się w wewnętrzne sanktuarium, które jest tym piękniejsze, im większą cenę trzeba zapłacić, aby innym zabronić doń dostępu.

Aktorstwo praktykowane w skali masowej nie często zdarzało się w dotychczasowej historii ludzkiego gatunku. A jednak, próbując nieudolnie opisać tę nową odmianę obyczaju natykamy się na uderzającą analogię w cywilizacji Islamu na Bliskim Wschodzie. Nie tylko znano tam dobrze grę uprawianą w obronie własnych myśli i uczuć, ale przekształciła się tam ona w trwałą instytucję i została obdarzona nazwą: Ketman.

Czym jest Ketman? Opis jego znalazłem w książce Gobineau pt.: "Religions et Philosophies dans l'Asie Centrale". Gobineau spędził szereg lat w Persji (od 1855 r. do 1858 r. był sekretarzem Poselstwa Francuskiego, od 1861 do 1863 r. był posłem francuskim), a nie można mu odmawiać daru bystrej obserwacji, nawet jeżeli nie koniecznie należy zgadzać się z wnioskami tego, dość niebezpiecznego, pisarza. Zbieżności pomiędzy Ketmanem a obyczajem uprawianym w krajach Nowej Wiary są tak zastanawiające, że pozwolę sobie na dłuższe cytaty.

Zdaniem ludzi na muzułmańskim Wschodzie "posiadacz prawdy nie powinien wystawiać swojej osoby, swego majątku i swego poważania na zaślepienie, szaleństwo i złośliwość tych, których Bogu spodobało się wprowadzić w błąd i utrzymywać w błędzie". Należy więc milczeć o swoich prawdziwych przekonaniach jeżeli to możliwe.

"Jednakże — powiada Gobineau — są wypadki, kiedy milczenie nie wystarcza, kiedy może ono uchodzić za przyznanie się. Wtedy nie należy się wahać. Nie tylko trzeba wtedy wyrzec się publicznie swoich poglądów, ale zaleca się użyć wszelkich podstępów, byle by tylko zmylić przeciwnika. Będzie się wtedy wypowiadać wszelkie wyznania wiary, które mogą mu się podobać, będzie się odprawiać wszelkie obrządki, które uważa się za najbardziej niedorzeczne, sfalszuje się własne książki, wykorzysta się wszelkie środki wprowadzenia w błąd. W ten sposób zdobędzie się wielkie zadowolenie i zasługę, że uchroniło się i siebie i

swoich, że nie naraziło się cennej wiary na ohydny kontakt z niewiernym, i wreszcie, że oszukując tego ostatniego i utwierdzając go w jego błędzie, ściągnęło się na niego hańbę i nędzę duchową na którą zasłużył".

"Ketman napędza dumą tego, kto go praktykuje. Wierzący dzięki temu osiąga stan trwałej wyższości nad tym, którego oszukał, chociażby ten ostatni był ministrem czy potężnym królem; dla człowieka, który stosuje wobec niego Ketman, jest on przede wszystkim biednym ślepcem; został pozbawiony dostępu do jedynie prawdziwej drogi i nawet tego nie podejrzewa; natomiast ty, obdarty i przymierający głodem, z pozoru drżący u stóp zrcznie zmyłonej potęgi, masz oczy pełne światła; kroczysz w blasku przed twymi nieprzyjaciółmi. Szydzisz z nieinteligentnej istoty; rozbrazasz niebezpieczną bestię. Ileż uciech jednocześnie!"

Jak daleko może sięgać Ketman, dowodzi przykład twórcy jednej z sekt, Hadzi-Szeika-Ahmeda. "Chociaż pozostawił po sobie wiele dzieł teologicznych — powiada Gobineau — nigdy nie odkrył wyraźnie w swoich książkach, jak przyznają nawet najgorliwsi jego uczniowie nie, co by mogło naprowadzić na szlak idei, jakie dzisiaj mu się przypisuje. Ale powszechnie się zapewnia, że praktykował Ketman i że w ukryciu odznaczał się wielką śmiałością, wprowadzając z wielką precyzją porządki w doktryny dzisiaj noszące jego imię". Nie można więc się dziwić, jeżeli, jak przyznał w rozmowie z Gobineau pewien Pers, "w Persji nie ma ani jednego doskonałego Muzułmanina".

Nie wszyscy jednak byli tak ostrożni jak Hadzi-Szeik-Ahmed. Niektórym Ketman służył w ich okresie przygotowawczym, kiedy jednak poczuli się dostatecznie silni, otwarcie proklamowali herezję. Oto opis wypraw kaznodziejskich Sadry, który był awiceniścią:

"... On również bał się mułków. Nie można było uniknąć wzbudzenia ich podejrzliwości, ale dawać solidne podstawy, dostarczać dowodów ich oskarżeniom znaczyło by wystawić się na prześladowania bez końca i narazić na szwank przyszłość odrodzenia filozoficznego, które zamierzał. Zastosował się więc do wymagań czasu i uciekł się do tego wielkiego, wspaniałego środka jakim jest Ketman. Kiedy przybywał do jakiegoś miasta, dbał o to, aby przedstawić się pokornie wszystkim miejscowym mudźtehedom albo doktorom. Siadał w kącie ich salonu, ich talaru, przeważnie milczał, mówił skromnie, zgadzał się z każdym słowem, jakie padało z tych czcigodnych ust. Zapytywano go o jego wiedzę; wypowiadał jedynie idee zapożyczone z najbardziej prawowiernej teologii szyickiej i niczym nie zdradzał, że zajmuje się filozofią. Po upływie kilku dni mudźtehedowie, widząc, że jest tak łagodny, sami proponowali mu publiczne wykłady. Zabierał się do tego natychmiast, brał jako tekst doktrynę abluccji albo coś w tym rodzaju i rozwodził się nad przepisami i wątpliwościami sumienia najsubtelniejszych teo-

retyków. Takie postępowanie wprowadzało mułłów w zachwyt. Wynosili go pod niebiosy; zapominali go nadzorować. Sami żądali, aby prowadził ich wyobraźnię ku kwestiom mniej pospolicym. Nie odmawiał. Od doktryny ablucji przechodził do doktryny modlitwy, od modlitwy do objawienia, od objawienia do jedności bożej, i tam, dokonując cudów zręczności, używając prze-milczeń, wyznał wobec bardziej zaawansowanych uczniów, za-przeczeń samemu sobie, zdań o podwójnym znaczeniu, fałszywych sylogizmów, z których tylko wtajemniczeni mogli znaleźć wyjście, przeplatając wszystko obficie oświadczeniami o swojej nienagannej wierze, osiągał wreszcie cel i rozpowszechniał awicenizm w całej warstwie wykształconej, a kiedy wreszcie uznał, że może wystąpić otwarcie, usuwał zasłony, odrzucał Islam i ukazywał się jedynie jako logik, metafizyk i kim był naprawdę”.

Ketman Islamu i Ketman dwudziestego wieku w Europie tym się jedynie zdają różnić, że śmiałość do jakiej posuwał się Sadra musiałaby się dla niego w Europie natychmiast smutno skończyć. Niemniej Ketman w jego bardziej ścisłych i surowych formach jest powszechnie uprawiany w demokracjach ludowych. Podobnie jak w Islamie, poczucie wyższości nad tymi, co niegodni są dostąpić poznania prawdy stanowi jedną z głównych uciech w życiu tamtejszym na ogół nie obfitującym w uciechy. “Dewiacje”, tropienie których sprawia tyle kłopotu rządzącym, nie są urojeniem. Są to wypadki zdemaskowanego Ketmanu, przy czym najbardziej pomocni w odkrywaniu dewiacji są ludzie praktykujący Ketman podobnego gatunku: rozpoznając z łatwością u innych akrobatyczne chwytły stosowane przez nich samych, korzystają z pierwszej okazji, aby pogrążyć przeciwnika czy przyjaciela; zabezpieczają się przez to, a miarą zręczności jest uprzedzić o dzień przynajmniej podobne oskarżenie jakie mogłoby ich spotkać ze strony człowieka, którego gubią. Ponieważ ilość odmian Ketmanu jest niemal nieograniczona, nazwy dewiacji nie mogą nadać w porządkowaniu tego ogrodu pełnego niespodziewanych okazów. Każdy nowy komentarz do przepisów Nowej Wiary, ogłaszany z mocą powszechnie obowiązującą przez Moskwę, mnoży wewnętrzne zastrzeżenia u tych, którzy na zewnątrz są jak najbardziej wierni. Wyliczenie wszystkich Ketmanów, które można odnaleźć w krajach demokracji ludowej nie byłoby możliwe. Postaram się jednak zatrzymać nad ich głównymi grupami i rodzinami, postępując trochę jak przyrodnik, który przeprowadza ogólną klasyfikację.

K e t m a n n a r o d o w y. Jest on rozpowszechniony nie tylko wśród szerokich mas; nie jest wolna od niego również góra partyjna poszczególnych krajów. Ponieważ Tito postąpił jak Sadra opisywany przez Gobineau i obwieścił swoją herezję całemu światu, wielomilionowe rzesze, uprawiające ten Ketman

w krajach demokracji ludowej, muszą używać szczególnie przemyślnych środków maskowania. Pokazowe rozprawy ze zwolennikami “narodowej drogi do socjalizmu” w poszczególnych stolicach wschodnich nauczają publiczność jakie zwroty i jakie odruchy narażać mogą na zarzut pielęgnowania w sobie tych zgubnych tendencji. Najpewniejszym sposobem uchronienia się przed zarzutem jest głośne manifestowanie na każdym kroku swego podziwu dla osiągnięć Rosji w różnych dziedzinach, noszenie pod pachą pism i książek rosyjskich, nucenie rosyjskich piosenek, gorące okłaskiwanie rosyjskich muzyków i aktorów itd. Pisarz, który nie poświęcił ani jednego utworu wybitnym postaciom rosyjskim czy też życiu Rosjan, ograniczając się do tematów krajowych, nie może uważać, że umieścił się po stronie całkowicie bezpiecznej. Cechą ludzi uprawiających ten Ketman jest bezgraniczna pogarda dla Rosji, jako dla kraju barbarzyńskiego. U robotników i chłopów jest ona raczej tylko emocjonalna i opiera się na obserwacji albo żołnierzy armii “wyzwalającej”, albo — ponieważ wielu było w czasie wojny na terenach bezpośrednio przez Rosję administrowanych — Rosjan w ich życiu codziennym. Ponieważ istniała dotychczas duża różnica w stopie życiowej i poziomie cywilizacyjnym pomiędzy Rosją i krajami noszącymi dzisiaj nazwę demokracji ludowych, na korzyść tych ostatnich, Ketman narodowy znajduje obfity pokarm. Nie da się go określić po prostu jako nacjonalizm. Pomiedzy Słowianami Europy Środkowej i Niemcami trwała w ciągu wielu wieków nienawiść, jednakże była ona u Słowian zabarwiona respektem dla zewnętrznych znamion cywilizacji dostrzegalnych u Niemców. Natomiast spostrzegając, przez porównanie, większą ogładę swoich obyczajów, lepszą zdolność organizacji chociażby transportu czy obchodzenia się z maszynami, środkowy Europejczyk wyraziłby, gdyby mógł, swój stosunek do Rosjan lekceważącym machnięciem ręką, co zresztą nie przeszkadza, że czuje on strach przed liczbą mas wylewających się z głębi euro-azjatyckiego kontynentu.

Rzecz nie u wszystkich rozgrywa się jednak na planie czyścio emocjonalnym. U młodej inteligencji pochodzenia robotniczego zdaje się przeważać opinia, którą zamknąłby skrót: “socjalizm — tak, Rosja — nie” i tu zaczynają się subtelności doktrynalnych rozróżnień. Kraje Europy — rozwija się rozumowanie — są znacznie bardziej powołane do zrealizowania socjalizmu niż Rosja; ich ludność jest bardziej rozgarnięta, większość ziemi znajduje się pod uprawą, sieć komunikacyjna jest gęstsza, przemysł nie musi zaczynać od stanu zbliżonego do zera. Pewne metody oparte na bezwzględnym okrucieństwie nie są konieczne, a nawet są niepotrzebne, gdyż istnieje wyższy stopień społecznej dyscypliny. Jednakże “narodowa droga do socjalizmu” została potępiona i dowiedziono wiele, aby dowieść, że ktokolwiek sprzeciwia się całkowitemu zastosowaniu wzoru rosyjskiego w najdrobniejszych szczegółach i poddaniu się dyktaturze

Centrum jest zdracą i musi podzielić los Tito, to jest wystąpić przeciwko Centrum i osłabiać jego potencjał wojenny, będący jedynym środkiem przeprowadzenia rewolucji w skali światowej. Opowiedzenie się przeciwko temu twierdzeniu oznaczało by przekreślenie Nowej Wiary i wprowadzenie na jej miejsce wiary innej, np. nawiązującej bezpośrednio do Marksa i Engelsa. Sadra, który w istocie znajdował się poza Islamem, dbał o to, aby wobec mułłów tym się nie zdradzić, podobnie wielu pozornych wyznawców Nowej Wiary znajduje się w istocie poza nią. Inni jednak, widząc w sojuszu Tito z Zachodem przykład fatalizmu historycznego, a więc odrzucając myśl, że fatalizm ten mógł być po prostu spowodowany przez politykę wobec zależnych narodów, zamykają się w Ketmanie, który nie powinien przeszkadzać Centrum w jego zewnętrznych akcjach; wierny Muzułmanin, nawet głęboko przywiązany do swego Ketmanu, nie może stwarzać przeszkód tam gdzie Islam walczy z niewiernymi o swoje istnienie. Taki Ketman wyraża się więc tylko w praktycznych posunięciach, które nie szkodzą walce światowej, natomiast są obroną narodowych interesów, tam gdzie to jest jeszcze możliwe.

Ketman czystości rewolucyjnej. Jest to rzadka odmiana, bardziej pospolita w wielkich miastach Rosji, niż w demokracjach ludowych. Polega ona na wierze w "święty ogień" rewolucyjny epoki Lenina, ten ogień, którego symbolem jest np. poeta Majakowski. Samobójcza śmierć Majakowskiego w roku 1930 przypieczętowała koniec tej epoki zaznaczonej rozkwitem literatury, teatru i muzyki. "Święty ogień" został przytłumiony, kolektywizacja została przeprowadzona w sposób bezlitosny, w obozach pracy przymusowej zginęły miliony obywateli Związku, wobec narodów nierosyjskich zastosowano politykę bezwzględna. Literatura pod wpływem narzucanych teorii stała się płaska i bezbarwna, zniszczono malarstwo, teatr rosyjski, ongiś przodujący w świecie, pozbawiono swobody eksperymentu, naukę poddano dyrektywom przychodzącym z góry. Tak sądzi ten, który uprawia Ketman czystości rewolucyjnej. Nienawidzi on całym sercem Jego, czyniąc go odpowiedzialnym za straszliwy los narodu rosyjskiego i za nienawiść jaką naród rosyjski budzi u innych narodów. Nie jest jednak pewien czy On nie jest potrzebny. Być może w wyjątkowych okresach, jakim jest okres obecny, pojawienie się przebiegłego tyra na należy uważać za objaw pożądany. Masowe czystki, w których zginęło tylu dobrych komunistów, obniżenie stopy życiowej obywateli, sprowadzenie artystów i uczonych do roli potakujących służalców, eksterminacja całych grup narodowościowych — któż, kto nie byłby taki jak On, odważyłby się na podobne czyny? A jednak Rosja oparła się Hitlerowi. Dzieło rewolucji nie uległo sile uderzającej z zewnątrz. W tym świetle Jego czyny nabierają cech mądrej skuteczności i są usprawiedliwione, być

może, przez wyjątkową sytuację historyczną. Czy gdyby On nie zastosował wyjątkowego terroru w roku 1937, nie znalazło by się więcej ludzi chętnych pomagać Hitlerowi, niż się znalazło? Czy na przykład dzisiejsza linia w nauce i sztuce, jakkolwiek sprzeczna nieraz ze zdrowym rozsądkiem, nie podnosi skutecznie rosyjskiego morale w obliczu grożącej wojny? Jest On ohydną plamą na jasnej Nowej Wierze, ale plamą, którą dzisiaj jeszcze należy tolerować a nawet należy Go popierać. "Święty ogień" nie wygaś. Kiedy zostanie osiągnięte zwycięstwo ogniem ten znów buchnie z dawną siłą, kajdany, które On narzucił, zostaną skruszone a stosunki pomiędzy narodami ułożą się na nowych i lepszych zasadach. Ketman taki był bardzo częsty, jeżeli nie powszechny w Rosji w czasie drugiej wojny światowej i dzisiejsza jego forma jest odrodzeniem raz już zawiedzionej nadziei.

Ketman estetyczny. Człowiek o dobrym smaku nie może traktować zbyt poważnie rezultatów oficjalnego nacisku w dziedzinie kulturalnej jakkolwiek oklaskuje wiersze, pisze pochlebne recenzje z wystaw malarskich i udaje, że plany ponurej, ciężkiej architektury nowych budynków bardzo trafiają mu do przekonania. Zmienia się całkowicie w czterech ścianach swego domu. Można tam znaleźć (jeżeli ma się do czynienia z dobrze sytuowanym intelektualistą), reprodukcje dzieł sztuki, potępianej oficjalnie jako burżuazyjna, płyty z nowoczesną muzyką i bogaty zbiór książek w różnych językach dawnych autorów. Ten luksus prywatności jest mu wybaczone, jeżeli jego twórcza praca, którą wykonuje w podobnie urządzonej pracowni przynosi oczekiwane propagandowe efekty. Aby uchronić swoją pozycję i mieszkanie (które ma z łaski państwa), intelektualista jest gotów na wszelkie ofiary i wszelkie podstępny, bo wartość odosobnienia w społeczeństwie, gdzie poza tym nie ma możliwości odosobnienia, jest większa niż mogłoby to wyrazić zdanie "my home is my castle". Ekran telewizyjny w prywatnych mieszkaniach, podglądające jak zachowują się obywatele należą jeszcze do przyszłości, więc słuchając zagranicznych stacji radiowych i czytając dobre książki zyskuje się chwilę odprężenia, oczywiście jeżeli jest się samemu, bo ze zjawieniem się gości gra zaczyna się na nowo.

Nigdy bodaj nie badano bliżej na ile człowiekowi potrzebne są przeżycia, które niedokładnie nazywa się mianem przeżyć estetycznych. Tylko u nieznacznej liczby jednostek należących do pewnego społeczeństwa przeżycia te są związane z dziełami sztuki. Większość czerpie przelotną radość estetycznej natury z samego faktu przebywania w potoku życia. W miastach oko napotyka kolorowe wystawy sklepowe, różnorodność typów ludzkich, a co więcej, wyobraźnia odgaduje z twarzy przechodniów ich prywatne dzieje; praca wyobraźni

człowieka w tłumie jest typu erotycznego, a jego wzruszenia są na granicy wzruszeń fizjologicznych. Oko cieszy się strojami, blaskiem światła, a np. hale paryskie z ich stosami jarmazyn i kwiatów, ryb różnego kształtu i barwy, owoców, pości mięsa o różnych odcieniach jaskrawej czerwieni, dostarczają uciech po które niekiedy jest sięgać do obrazów impresjonistów czy Holendrów. Słuch łapie urywki arii, odgłos maszyn zmieszany ze świergotem ptaków, nawoływania się, śmiechy. Węch notuje zmieniające się strefy zapachów: kawa, benzyna, pomarańcze, ozon, prażone orzeszki, perfumy. Pięć wielkich miast poświęciło wiele stron swoich dzieł opisom tego radosnego zanurzania się w rezerwuar powszechnego życia. Pływak, który powierza się fali i ma poczucie bezmiarów otaczającego go żywiołu przeżywa podobne uczucia. Myślę o największych piekaczach wielkich miast, tj. o Balzacu, Baudelaire i Whitmanie. Zdaje się, że moc podniecająca i wzmacniająca tego udziału w zbiorowisku polega na poczuciu m o ż l i w o ś c i, ciągłej niespodzianki, tajemnicy za którą się goni.

Również życie chłopów, chociaż oddane otepiałej pracy rąk, dostarcza wyładowań estetycznych przez rytm obyczajów, obrzędy kościelne, święte obrazy, jarmarki, stroje, dekoracje z wystrzyganych z papieru kwiatów, ludową rzeźbę, muzykę i taniec.

W krajach Nowej Wiary miasta tracą swoje dawne oblicze. Zlikwidowanie drobnych prywatnych przedsiębiorstw nadaje ulicom wygląd sztywny i urzędowy. Chroniczny brak dóbr konsumpcyjnych sprawia, że tłum jest jednolicie szary i jednolicie ubogi. Nawet jeżeli pojawiają się towary konsumpcyjne, są one jednego i to podrzędnego gatunku. Strach paraliżuje indywidualności i każe im jak najbardziej upodabniać się w gestach, stroju, wyrazie twarzy do typu przeciętnego. Miasta wypełniają się typem rasowym, który jest dobrze widziany przez rządzących: niscy, kwadratowi mężczyźni i kobiety o krótkich nogach z szerokimi biodrami. Jest to typ proletariacki, przesadnie kultywowany dzięki obowiązującym wzorom estetycznym: te same pękate kobiety i kwadratowi mężczyźni mogliby całkowicie zmienić swój wygląd pod wpływem filmu, malarstwa i mody, jak to stało się w Ameryce, gdzie "zapatrzanie" tj. właściwie chęć upodobnienia się do wzorów przekazywanych przez środki masowego porozumienia wpłynęło w stopniu równym, jeżeli nie większym, niż sposób odżywiania. Ulice, fabryki, miejsca zebrań są pełne czerwonych płacht ze sloganami i sztandarów. Architektura nowych gmachów jest monumentalna i przygniatająca, lekkość i radość w architekturze są tępiące jako formalizm. W wypadku przyjazdu wycieczek cudzoziemców na międzynarodowe zjazdy propagandowe, rzuca się większą ilość towarów do sklepów, przyozdabia się monotonię ulic większą ilością sloganów i usiłuje się stworzyć pozory beztroskiego ruchu. Ilość jednak

przeżyć estetycznych, jakie otrzymuje mieszkaniec miast Nowej Wiary, jest niezwykle ograniczona. Jedynym miejscem czaru jest teatr, bo istnieje magia teatru, nawet jeżeli jest ona spętana przez nakazy socjalistycznego realizmu, który określa treść sztuk i rodzaj dekoracji (te ostatnie nie powinny dawać pola do popisu wyobraźni dekoratora). Stąd olbrzymie powodzenie jakim cieszą się u publiczności sztuki autorów dawnych np. Szekspira, gdyż ich fantastyczność zwycięża nawet w granicach naturalistycznej inscenizacji. Głód d z i w u jest w krajach Nowej Wiary tak wielki, że powinien on dawać do myślenia rządzącym, prawdopodobnie jednak nie daje, bo rozpatrują te pragnienia jako derelikt przeszłości.

Na wsi, gdzie cała dotychczasowa forma obyczaju ma być zniesiona, przez przekształcenie chłopów w robotników rolnych, trwają jeszcze pozostałości specyficznej kultury chłopskiej, nawarstwiającej się powoli w ciągu wieków. Jednak, powiedzmy to szczerze, ostoją tej kultury byli przeważnie średni albo bogatsi chłopci. Walka z nimi i ich maskowanie się muszą prowadzić do zaniku chłopskich strojów, zdobnictwa chat, pielęgnacji prywatnych sadów itp. Zachodzi pewna sprzeczność pomiędzy urzędową opieką nad folklorem (pieśń, taniec), którego rozwojowi poświęca się wiele uwagi i koniecznościami nowego układu gospodarczego, którego ostatecznym uwieńczeniem musi być barak czy też blok murowany, zamieszkały przez wiele rodzin. Z zamknięciem kościołów, przekreśleniem świąt katolickich i ustaniem jarmarków tracących swój ekonomiczny sens, wobec robotników wiejskich będzie można zastosować te same spostrzeżenia, które są ważne wobec ludności miast.

W tych warunkach Ketman estetyczny ma wszelkie szanse rozrostu. Wyraża się on w podświadomej tęsknocie do dziwu (którą usiłuje się skanalizować w kierunku rozrywek kontrolowanych, tj. teatru, filmu i widowisk folklorystycznych), a u pracowników literatury i sztuki w różnych odmianach eskapizmu. Pisarze grzebią się w starych tekstach, komentują i wydają dawnych autorów. Chętnie piszą dla dzieci, gdzie swoboda fantastyki jest nieco większa. Wielu z nich wybiera kariery uniwersyteckie, bo badania nad historią literatury dają bezpieczny pretekst do pograżenia się w przeszłości i do obcowania z dziełami o dużym walorze estetycznym. Mnoży się też ilość tłumaczy dawnej poezji i prozy. Malarze szukają ujścia dla swoich zainteresowań w ilustracjach do książek dla dzieci, gdzie dobór jaskrawych farb może być usprawiedliwiony przez odwołanie się do "naiwnej" wyobraźni dziecięcej. Reżyserowie teatralni, spłacając należny dług przez wystawianie złych współczesnych utworów, zabiegają o możliwość umieszczenia w repertuarze Lope de Vegi czy Szekspira. Niektórzy przedstawiciele sztuk plastycznych są tak odważni, że odkrywają niemal swój Ketman, głosząc potrzebę estetyki życia codzien-

nego, a więc utworzenia specjalnych instytutów, które by projektowały wzory tkanin, mebli, szkła i ceramiki dla przemysłu. Znajdują nawet poparcie inteligentniejszych dialektyków góry partyjnej i pieniądze na podobne przedsięwzięcia. Trzeba mieć ogromny szacunek dla podobnych wysiłków (zważmy, że np. Polska i Czechosłowacja przed drugą wojną światową były, obok Szwecji i Finlandii krajami przodującymi w dekoracji wnętrza). Niemniej nie widać powodu, aby to co uchodzi za formalizm w malarstwie i architekturze mogło być tolerowane na dłuższą metę w sztukach stosowanych. Na takich próbach najlepiej zresztą widać racjonalizację Ketmanu estetycznego: ponieważ wszystko jest planowane w gospodarce socjalistycznej, dlaczegożby nie przystąpić do planowego zapakowania ludzkich potrzeb estetycznych? Wkraczamy tutaj jednak w niebezpieczną dziedzinę demona Psychologii. Przyznać, że oko człowieka potrzebuje radosnych barw, harmonijnych kształtów, jasnej, słonecznej architektury znaczyłoby twierdzić, że gust Centrum jest zły. Jakkolwiek i tam widać postęp. Wznoszone są tam już drapacze chmur wzorowane na budowach wznoszonych w Chicago w okolicach roku 1900. Możliwe, że w roku 2000 wprowadzi się tam oficjalnie sztukę uchodzącą dzisiaj na Zachodzie za nowoczesną. Co jednak począć z myślą, że przeżycia estetyczne powstają na ogół dzięki temu co wyrasta organicznie i że połączenie barwy i harmonii ze Strachem jest równie trudne do wyobrażenia jak jaskrawe upierzenie ptaków żyjących w północnej tundrze?

K e t m a n p r a c y z a w o d o w e j. Ponieważ znalazłem się w warunkach na zmianę których nie mam żadnego wpływu, a mam tylko jedno życie i życie to upływa — rozumie człowiek — powinienem starać się zrobić z niego rzecz możliwie najlepszą. Jestem jak skorupiak przyczepiony do skały na dnie morza. Nade mną przewalają się burze, płyną wielkie okręty, ale mój wysiłek zmierza do trzymania się skały, bo zginę uniesiony przez wody i nie zostanie ze mnie żadnego śladu. Tak powstaje Ketman pracy zawodowej. Jeżeli jest się uczonym, bierze się udział w zjazdach na których wygłasza się przepisowe referaty ściśle według zaleceń linii partyjnej. Jednak w laboratorium posuwa się naprzód swoje badania operując metodami naukowymi i w tym widzi się cel życia. Jeżeli realizuje się skutecznie swoje dzieło, jest obojętne jak zostanie ono przedstawione i ku czyjej użyte chwale. Wyniki osiągnięte w imię bezinteresownego poszukiwania prawdy są trwałe, natomiast wrzask polityków przemija. Należy zrobić wszystko czego żądają, wolno im posługiwać się moim nazwiskiem, jeżeli dzięki temu mam dostęp do laboratorium i pieniądze na zakup instrumentów naukowych.

Jeżeli jest się pisarzem, liczy się na półce swoje wydane pozycje: oto rozprawa o Swifcie. Została ona napisana przy uży-

ciu analizy marksistowskiej. Ta analiza daje jednak bardzo dobrą i wnikliwą penetrację w zjawiska historyczne i nie jest równoznaczna z Metodą i Nową Wiarą. Marks był genialnym obserwatorem. Naśladując go, jest się zabezpieczonym przed atakami, bo zajmuje on miejsce proroka, natomiast że jest się wyznawcą Metody i Nowej Wiary można napisać we wstępie, spełniającym to zadanie, co dedykacje królom i cesarzom w epokach minionych. Oto przekład długiego poematu z XVI-go wieku: czyż wartość tego przekładu nie jest czymś trwałym? Oto moja powieść której temat jest wzięty z odległej przeszłości; starałem się przedstawić w niej możliwie wiernie wypadki. Oto moje przekłady z rosyjskiego; są one dobrze widziane i przyniosły mi dużo pieniędzy; a przecie Puszkina jest naprawdę wielkim poetą i wartość jego nie ulega zmianie dlatego, że dzisiaj służy Jemu za środek propagandy. Oczywiście, muszę zapłacić za prawo wykonywania zawodu pewną liczbą hołdowniczych artykułów i wierszy. Kształt jednak czyjegóż życia ludzkiego nie jest osądzany na podstawie doraźnych utworów panegirycznych, pisanych z konieczności. Nawet wielki poeta polski, Mickiewicz, nienawidząc Cara musiał mu dedykować swój poemat i w dedykacji nie szczędził pochwał; był bowiem w pułapce; kiedy, używszy podstęp, wyostał się z Rosji, pokazał kim był naprawdę i nie bierze mu się za złe jego chytrości.

Podane przykłady wskazują że Ketman pracy zawodowej nie jest całkowicie niewygodny dla rządzących. Stanowi on poważną siłę motoryczną i jest jedną z przyczyn ogromnego pędu ku kształceniu się tj. ku uzyskaniu wiedzy czy umiejętności w jakiejś dziedzinie specjalnej, w której można swoją energię wyładować i dzięki której można się uchronić przed losem funkcjonariusza zależnego tylko od fluktuacji politycznych. Syn robotnika zostając np. chemikiem zyskuje awans t r w a ł y. Syn robotnika zostając urzędnikiem policji bezpieczeństwa wypływa na powierzchnię, tam gdzie poruszają się wielkie okręty, ale powierzchnia morza jest zmienna i burzliwa. Co jest jednak najważniejsze, dokonywanie eksperymentów chemicznych, budowanie mostów, sztuka poetyckiego przekładu, leczenie chorób — są czymś zasadniczo wolnym od fałszu. Państwo natomiast korzysta z tego Ketmanu, bo chemicy, inżynierowie i lekarze są potrzebni. Od czasu do czasu padają co prawda z góry głuche pomruki nienawiści do obywateli uprawiających Ketman w zakresie nauk humanistycznych. Nadzorca literatury w Centrum, Fadiejew, w jednym ze swoich przemówień znęcał się nad uniwersytetem leningradzkim na którym doszło do objawów oburzających, bo jedna ze studentek napisała pracę magisterską o poecie angielskim Savage Landor. Komu potrzebny jest Landor? Kto o nim kiedy słyszał? — krzyczał Fadiejew. Również w krajach zależnych

od Centrum wskazane więc są ze strony uprawiających ten Ketman umiar i ostrożność.

K e t m a n f i l o z o f i c z n y. Jest on chętnie uprawiany w kręgach intelektualnych. Ludzkość — rozumuje się — nie umie ani sobie poradzić ze swoją wiedzą, ani rozwiązać trudności produkcji i rozdziału dóbr. Pierwsze próby naukowego opracowania problemów społecznych, zrobione w XIX-tym wieku, są interesujące, ale dość nieporadne. Trafiły one jednak w ręce Rosjan, którzy nie umieją rozumować inaczej niż dogmatycznie i którzy te pierwsze próby wydzwignęli do godności religijnego dogmatu. To, co się dzieje w Rosji i w krajach od niej zależnych jest rodzajem obłędu. Niewykluczone, a nawet prawdopodobne jest, że Rosja potrafi narzucić swój obłęd całemu światu i że przebudzenie nastąpi dopiero po dwustu czy trzystu latach. Znalazłszy się w samym środku historycznego cyklonu należy zachowywać się możliwie rozważnie, tzn. zewnątrznie ulegać całkowicie siłom, które z łatwością niszczą opornych. Nie przeszkadza to jednak czerpaniu przyjemności z obserwacji. Gdyż widowisko jest naprawdę niebywałe. Nigdy chyba dotychczas człowiek nie był poddany równemu ciśnieniu i nigdy chyba nie kurczył się tak i nie związał, próbując przystosować się i żyć w foremkach, skonstruowanych według książki, ale, jak się zdaje, nie na jego miarę. Wszystkie jego zdolności umysłowe i emocjonalne są wystawione na próbę. Kto patrzy na to codzienne widowisko wyrzecz się i poniżej wie więcej o człowieku, niż ktokolwiek z mieszkańców Zachodu, gdzie jedynym sposobem presji jest pieniądz. Ketman ten nie przeszkadza zewnętrznej działalności zgodnej z obowiązującą linią, a nawet, ponieważ opiera się na zupełnym braku wiary w racjonalność Metody, pomaga, pozwalając na całkowity cynizm, a więc elastyczność w dostosowaniu się do zmieniającej się taktyki.

K e t m a n m e t a f i z y c z n y. Występuje on zwłaszcza w krajach o przeszłości katolickiej. Najwięcej przykła-dów w Imperium może dostarczyć Polska. Z innych krajów Hiszpania znała dobrze katolików współpracujących z komunistami. Ketman ten polega na z a w i e s z o n y m przekonaniu o metafizycznej zasadzie świata, tzn. że człowiek hołdujący temu Ketmanowi uważa epokę w której żyje za anty-metafizyczną, a więc za taką, w której, dzięki szczególnym przyczynom, jakkolwiek wiara metafizyczna nie może się ujawnić. Ludzkość uczy się myśleć w kategoriach racjonalistycznych i materialnych, jest ona postawiona wobec zadań doraźnych i zaplątana w walkę klas. Natomiast religie zaświatowe ulegają rozpadowi, przeżywają okres upadku i, co więcej, służą jako środek obrony przestarzałego porządku społecznego. Nie znaczy to, że w przyszłości ludzkość nie powróci

do lepszej i oczyszczonej religii. Kto wie czy Nowa Wiara nie jest niezbędnym czyszcem i czy gesta Dei nie dokonują się per barbaros, a więc przez Centrum, które zmusza szerokie masy do obudzenia się z letargu. Pokarm duchowy jaki te masy otrzymują od Nowej Wiary jest podrzędnego gatunku, Centrum myli się sądząc, że pokarm jaki może zaofiarować tym masom wystarczy. Niemniej należy pozytywnie oceniać przeobrażenie gruntu przez Nową Wiarę i zburzenie przez nią fasad które tylko na zewnątrz były świetne, wewnątrz były doszczętnie spróchniałe i wydzierały zapach stęchlizny. Powinno się więc Nowej Wierze pomagać, nie zdradzając swojego przywiązania do Tajemnicy, tym bardziej, że na jej ujawnienie np. w literaturze nie istnieją dzisiaj żadne sposoby, zarówno język jak zasób pojęć współczesnego człowieka nie są do tego dojrzałe. Ketman ten ma z kolei liczne odmiany. Niektórzy wierzący katolicy służą nawet w policji bezpieczeństwa i z a w i e s z a j ą swój katolicyzm w tej na ogół nie pozbawionej okrucieństwa roboci. Inni starają się zachować wspólnotę chrześcijańską w łonie Nowej Wiary i występują publicznie jako katolicy. Zabiegają oni o utrzymanie instytucji katolickich i często się to im udaje, bo dialektycy chętnie widzą tak zwanych "katolików postępowych" i "katolików-patriotów", uległych w sprawach politycznych. Wzajemna gra jest dość dwuznaczna. Rządzący tolerują ten typ katolików jako przejściowe zło konieczne, bo nie nadszedł jeszcze etap, w którym religię można całkowicie wytepić, a lepiej mieć do czynienia z religiantami grzecznymi, niż z opornymi. "Katolicy postępowi" są natomiast świadomi niezbyt zaszczytnego miejsca, jakie wyznaczają im rządzący, to jest miejsca szamanów i czarowników dzikich plemion, których się toleruje do czasu gdy dzikich będzie można ubrać w spodnie i posłać do szkoły. Występują oni w różnych imprezach rządowych, a nawet są wysyłani zagranicę, jako egzemplarze okazowe, mające świadczyć wobec dzikich na Zachodzie o tolerancji Centrum wobec plemion niecywilizowanych. Ich funkcję można przyrównać do funkcji "dzikich-rezydentów", sprowadzanych przez państwa posiadające kolonie na uroczystości do metropolii. Ich obroną przed ostatecznym poniżeniem jest Ketman metafizyczny; oszukują diabła, który sądzi, że ich oszukał, jakkolwiek diabeł wie dobrze, że sądzą, iż go oszukują i jest zadowolony.

Nie tylko zresztą katolicy uznają ten Ketman. To co zostało powiedziane o katolikach da się zastosować do innych wyznań, jak również do osób stojących poza wyznaniem. Jednym z najmniejbezpiecznych zarzutów stawianych pisarzom, jest posiadanie ich wierszy, sztuk teatralnych czy powieści o "metafizyczne residuum". Ponieważ pisarz jest cywilizatorem, a nie może być czarownikiem czy szamanem, jakkolwiek oznaki skłonności metafizycznych są niewybaczalne. Literatura krajów nie poddanych do drugiej wojny światowej wpływem No-

runku, więc tropienie tej dewiacji ciągle jeszcze nie jest bezowocne. Na przykład sztuka teatralna, która wprowadza "dziwność", to jest w której widać zainteresowanie autora dla tragizmu życia, nie znajdzie szans pojawienia się w teatrze. Tragizm losów ludzkich prowadzi bowiem do myśli o tajemnicy ludzkiego przeznaczenia. Niektórym pisarzom dawnym, na przykład Szekspirowi, wybacza się te przypadłości, ale nie może być mowy o tym, żeby ulegał im pisarz współczesny. Z tego też powodu tragicy greccy nie są uważani za stosowny repertuar teatralny. Marks uwielbiał tragiców greckich, nie zapominajmy jednak, że związek Nowej Wiary z Marksem jest dość powierzchowny. Nowa Wiara jest tworem rosyjskim, a inteligencja rosyjska, która ją stworzyła, miała w najwyższym stopniu rozwiniętą pogardę dla wszelkiej sztuki nie służącej bezpośrednio celom społecznym (inne, niewątpliwie jak najbardziej społeczne, funkcje sztuki wymykały się stale jej rozumieniu). Co do poezji, to ponieważ jej źródła z trudnością dają się odróżnić od źródeł wszelkiej religii, jest ona szczególnie narażona na prześladowanie. Poezie wolno wprawdzie opisywać góry, drzewa, i kwiaty, ale wystarczy, żeby poczuł to nieokreślone uniesienie w obliczu przyrody, które ogarnęło Wordsworth'a na wycieczce do Tintern Abbey, aby został napiętnowany, a w razie uporu znikł z powierzchni życia literackiego. Jest to bardzo dobry środek na wytepienie legionów złych poetów, którzy lubią spowiadać się publicznie ze swoich panteistycznych wzlotów, ale jest to również środek na wytepienie poezji w ogóle i zastąpienie jej utworami o wartości reklam — piosenek, nadawanych w Ameryce przez radio. Marlarz z kolei może być równie łatwo oskarżony o użycie skrótów i syntetycznych kształtów (formalizm) jak o nadmierne lubowanie się w pięknie świata, czyli o postawę kontemplacyjną, która nasuwa podejrzenie, że z temperamentu jest metafizykiem. Muzyk powinien dbać o to, aby jego kompozycje były łatwe do przetłumaczenia na język potocznych czynności (entuzjazm pracy, zabawy ludowe, etc.) i aby nie pozostawała reszta, trudna do uchwycenia, a więc podejrzana. Jeżeli więc Ketman metafizyczny jest tolerowany u "dzikich", tj. u wyznawców religii chrześcijańskiej, to nie wybacza się go artystom, których uważa się za wychowawców społeczeństwa.

K e t m a n e t y c z n y. Etyka Nowej Wiary opiera się na zasadzie, że dobre jest wszystko co służy interesom rewolucji, złe wszystko co tym interesom szkodzi. Ponieważ poprawne zachowanie się obywateli w ich wzajemnych stosunkach pomaga sprawie socjalistycznego budownictwa i rewolucji — na moralność obywateli jest położony duży nacisk. Jest to centralny punkt Nowej Wiary: "wychowanie nowego człowieka". Wymagania stawiane członkom Partii w tym względzie są szcze-

gólnie surowe. Żąda się od nich niemal ascezy. Toteż wstąpienie do Partii nie jest zbyt różne od wstąpienia do zakonu, a akt ten jest traktowany przez literaturę Nowej Wiary z wagą równą tej, z jaką literatura katolicka traktowała śluby nowych zakonników. Im wyżej ktoś jest postawiony w hierarchii partyjnej, tym baczniej jego osobiste życie jest obserwowane. Takie objawy jak zamięłowanie do pieniędzy, pijaństwo, nieuporządkowana erotyka dyskwalifikują członka Partii i uniemożliwiają mu piastowanie ważniejszych stanowisk. W górze partyjnej zasiadają ludzie o wszelkich cechach ascetów oddanych jednej tylko sprawie, to jest sprawie rewolucji. Jeżeli chodzi o niektórych ludzi-narzędzia, pozbawionych rzeczywistego wpływu, ale wygodnych ze względu na ich nazwiska, to (nawet jeżeli należą do Partii) toleruje się, a nie raz popiera ich słabości, bo słabości te, na przykład zamięłowanie do luksusu czy pijaństwa stanowią gwarancję ich posłuszeństwa. Ideał etyczny Nowej Wiary jest jednak purytański. Gdyby można było umieścić wszystkich obywateli w celach i wypuszczać tylko na zebrania polityczne i pracę, byłoby to niewątpliwie najbardziej pożądane. Niestety, należy robić ustępstwa naturze ludzkiej. Przyrost ludności jest możliwy tylko dzięki stosunkom seksualnym mężczyzn i kobiet, z tą niedogodnością trzeba się liczyć. Niemniej dba się, aby stworzyć możliwie aseksualną atmosferę zbiorowego życia i o odkobieceenie kobiety, bo potrzebna jest ona jako robotnik, a zbytnia jej kobiecość uniemożliwiałaby użycie jej do najcięższych prac (np. górnictwo, metalurgia). Tutaj widać, że ideał estetyczny Centrum (niskie, krępe, brzydkie kobiety) może być bardzo pomocny w realizowaniu wielkiego celu rewolucji światowej.

"Nowy człowiek" jest tak wychowany, aby za normę swego postępowania uznawał wyłącznie dobro ogółu. Na każdym kroku jednak natyka się on na konflikty. Ma on na przykład serdecznego przyjaciela. Przyjaciel ten zwierzył mu się w rozmowie, że ma wątpliwości polityczne. Dobro ogółu wymaga, aby natychmiast doniósł odpowiednim władzom o opiniach swego przyjaciela. Czy powinien tak postąpić? Nowa Wiara odpowiada bez wahania: tak. Uogólniając tę sytuację, należy stwierdzić, że "nowy człowiek" powinien być gotów zabić własną matkę jeżeli istnienie matki może stać się przeszkodą dla rewolucji.

Gra w karty i pijaństwo są uważane za poważne występki, ponieważ dzięki nim człowiek może opuścić się i wyrządzić przez to szkodę ogółowi. Zamykanie się w swoim pokoju i oddawanie się marzeniom jest również wykroczeniem, ponieważ samotnictwo stanowi przeszkodę w pracy zespołowej, a tylko praca zespołowa prowadzi do pożytecznych dla ogółu wyników. To wej Wiary zdradzała szczególnie silne skłonności w tym kie-

samo dotyczy uporu w podtrzymywaniu własnego zdania, ironii, zarozumiałości i w ogóle wszelkich cech rozwiniętego indywidualizmu. Doskonały "nowy człowiek" myśli i reaguje tak jak inni, jest skromny, pracowity, zadawała się tym co ofiarowuje mu Państwo, prywatne życie ogranicza do nocy spędzanych w domu, poza tym przebywa zawsze wśród swoich kolegów — w pracy i w zabawie. Obserwuje starannie swoje otoczenie i donosi władzom o wszelkich myślach i uczynkach swoich współtowarzyszy.

Donosicielstwo było i jest znane w różnych cywilizacjach. Na ogół jednak nie było nigdy podnoszone do godności cnoty. W cywilizacji Nowej Wiary jest zalecane jako cnota podstawowa dobrego obywatela (jakkolwiek unika się starannie samej nazwy, używając omówień). Jest ono podstawą, na której opiera się strach wszystkich przed wszystkimi. Praca w biurze czy fabryce w krajach Nowej Wiary jest ciężka nie tylko przez sumę wydatkowanego wysiłku: bardziej wyczerpuje konieczna uwaga na oczy i uszy wszechobecne i czujne. Po zakończeniu pracy idzie się na polityczne zebranie czy na specjalne wykłady — i tak przedłuża się dzień bez chwili rozluźnienia uwagi. Szczerość rozmówców, jeżeli się zdarza, jest złym znakiem: pozorują oni rozluźnienie i bez troskę, współczucie i gniew, aby nastroić ciebie na odpowiedni ton i wydobyć zwierzenia, które posłużą im do napisania o tobie raportu; podniesie to ich wartość w oczach ich przełożonych.

Etyka oparta na kulcie ogółu daje więc w skutku coś, co z punktu widzenia dobra ogółu jest trucizną. Dialektycy robią ustępstwa oczywistym słabościom ludzkim w zakresie fizjologii. Nie chcą jednak uznać, że istota ludzka ma również inne słabości, na przykład, że czuje się dobrze kiedy może zmniejszyć napięcie uwagi, a źle kiedy jest w strachu. Ze jednak kłamstwo jej nie służy, bo towarzyszy mu wewnętrzna czujność. Te słabości połączone z innymi, jak chociażby skłonność do polepszania własnego losu kosztem bliźnich, zmieniają etykę, w założeniu opartą na współpracy i braterstwie, w etykę walki wszystkich ze wszystkimi, a największe dane do przetrwania w tej walce uzyskują jednostki najbardziej przebiegłe. Prawdopodobnie jest to inny gatunek niż ten, który miał największe szanse przetrwania w walce o pieniądź w początkach przemysłowego kapitalizmu. Psy podwórzowe można podzielić na ogół na dwa rodzaje: hałaśliwe i brutalne oraz skryte i kłające milczkiem. Ten drugi rodzaj jest, zdaje się, uprzywilejowany w krajach Nowej Wiary. Pięćdziesiąt czy sto lat wychowania według takich zasad może utrwalić gatunek ludzki, od którego nie będzie już powrotu wstecz. "Nowy człowiek" nie jest bynajmniej tylko postulatem. Staje się on rzeczywistością.

Ketman etyczny powstaje z poczucia, że etyka lojalności

wobec ogółu ma liczne słabe strony. Nie jest on rzadki wśród wysoko postawionych osobistości Partii. Ludzie nim dotknięci, jakkolwiek zdolni wymordować z zimną krwią milion ludzi w imię rewolucji, jeżeli zajdzie tego potrzeba, starają się niejako nadrobić swoją surowość i są w stosunkach osobistych uczciwi i lepsi niż ludzie hołdujący etyce jednostkowej. Ich zdolność do współczucia i niesienia pomocy jest niemal nieograniczona — ona to zresztą, ta zdolność do współczucia — popchnęła ich w młodości na drogę rewolucji; powtórzyli w ten sposób doświadczenie samego Marksa. Ketman ten spotyka się nieraz u starych komunistów. Kiedy natrafiają na konflikt pomiędzy więzami osobistej przyjaźni i interesem sprawy, której służą, odważają długo rzecz w swoim sumieniu i są bezlietni tylko wtedy, jeżeli są zupełnie pewni, że zasłaniając przyjaciela, albo powstrzymując się od oskarżenia go, wyrządzają szkodę temu, co jest dla nich najbardziej cenne. Są zwykle otoczeni dużym szacunkiem jako ludzie kryształowej prawości. Nie zwalnia ich to jednak od częstych posądzeń o "inteligencność". "Inteligencność" jest to pogardliwe określenie stosowane do tych, którzy są bez zarzutu jako teoretycy, ale którym zbyt wrażliwość na zagadnienia etyczne przeszkadza w akcji. Rewolucjonista powinien być bezwzględny i raczej ścinać ludzkie drzewa na oślep niż zastanawiać się czy któreś jest naprawdę spróchniałe.

Ketman etyczny jest oczywiście jednym z najmocniejszych w krajach demokracji ludowej, bo etyka Nowej Wiary jest tam wpajana zaledwie od kilku lat, a etyka zwalczana przez Nową Wiarę trwała tam od stuleci. Nigdy nie można przewidzieć kiedy i u kogo ten Ketman wystąpi. Prowadzi to do zdumiewających niespodzianek: Ci, którzy dają wszelkie powody do przypuszczeń, że nie zajmują się donosicielstwem, uprawiają donosicielstwo nałogowo; na odwrót ci, których należy jak najbardziej posądzać o lekceważenie "przesądów", okazują niewytłumaczalną lojalność wobec swoich przyjaciół, a nawet obcych. Ketman ten, jako utrudniający kontrolę nad umysłami obywateli, jest starannie tępiony, jednak ilość sytuacji, w których może być on zastosowany jest tak duża, że wymyka się on często środkiem nacisku.

Mieszkaniec krajów Zachodu nie zdaje sobie zupełnie sprawę z tego, że miliony jego bliźnich, na zewnątrz zdawałoby się mniej czy bardziej do niego podobnych, przebywają w świecie równie dla niego fantastycznym jak świat mieszkańców Marsa. W porównaniu z nimi jest naiwnym dzieckiem, gdyż nieznanne mu są perspektywy, jakie Ketman otwiera na naturę ludzką. Czyż można dziwić się, że dyplomaci sowieccy górują z pewnością nad swoimi zachodnimi kolegami? Życie w ciągłym wewnętrznym napięciu wykształca talenty, które w człowieku są uśpione. Nie podejrzewa on nawet na jakie wyżyny sprytu i przenikliwości psychologicznej potrafi się wznieść, kiedy jest

przyciśnięty do muru i kiedy musi być albo zręczny, albo zgiąć. Przetrawianie najbardziej przystosowanych do umysłowej akrobatyki stwarza typ ludzki mało dotychczas znany w Europie nowoczesnej. Konieczności, których wynikiem jest Ketman, rozwijają intelekt, nie ulega wątpliwości. Ktoś kto by za miarę życia umysłowego Europy Środkowej i Wschodniej uważał monotonne artykuły, pojawiające się w tamtejszej prasie i wygłaszane tam stereotypowe przemówienia, myliłby się bardzo. Jest to tylko zewnętrzna powłoka; przyjęto tam pewien specjalny styl, terminologię i rytuał językowy. Podobnie jak teologowie w okresach ścisłej ortodoksji wyrażali swoje poglądy przy pomocy rygorystycznego, zaleconego przez Kościół, języka, tak tam ważne jest nie to, co ktoś powiedział, ale co chciał powiedzieć, zatajając swoją myśl przez przesunięcie przecinka, wstawienie "i", taką a nie inną kolejność omawianych problemów. Nikt, kto nie przebywa tam, nie wie ile tytanicznych walk tam się toczy, jak padają bohaterowie Ketmanu i o co są prowadzone wojny. Oczywiście, ludzie zaangażowani w te wojny, przypominające niezwykle trudne partie filozoficznych szachów, odnoszą się z wyrozumiałością do swoich rodaków-emigrantów politycznych. Chirurg nie może uważać rzeźnika za równego mu w zręczności, tak samo wyćwiczony w precyzyjnych zabiegach Polak, Czech czy Węgier uśmiecha się, dowiadując się, że ktoś na emigracji nazwał go zdrajcą (czy świnią) właśnie w chwili, kiedy ów zdrajca (czy świnią) jest zaangażowany w rozgrywkę od wyniku której zależy los piętnastu laboratoriów czy dwudziestu pracowni artystycznych. Jak się płaci — tego zagranica nie wie. Nie wiedzą co się kupuje i za jaką cenę.

Ketman jako obyczaj społeczny nie jest pozbawiony zalet. Aby ocenić te zalety wystarczy przyjrzeć się życiu krajów Zachodu. Ludzie zachodni, a zwłaszcza intelektualisci tamtejsi, cierpią na szczególnie rodzaj *taedium vitae*; ich emocjonalne i umysłowe życie jest zbyt rozproszone; na próżno próbują ująć tę rzekę, rozlewającą się szeroko po żwirach i jałowiznach, w jedno obmurowane koryto. Albo, używając innego porównania, wszystko co myślą i czują ulatnia się jak para w niezmierny przestwór. Wolność jest dla nich ciężarem. Żadne wnioski, do których dochodzą, nie są o b o w i ą z u j ą c e: może być tak, ale może być też inaczej. Stąd stała *malaise*. Najszczęśliwsi z nich zdają się ci, którzy zostali komunistami: ustrój w którym żyją jest murem, o który się uderzają, wreszcie znalazł się opór i ten opór określa ich samych. Para ulatniająca się w powietrze została sprężona pod naciskiem. Jeszcze większe sprężenie uzyskują ci, którzy muszą ukrywać swoje komunistyczne przekonania, to jest uprawiać Ketman, obyczaj niezbyt zresztą pospolity w krajach Zachodu.

Ketman polega, jak to widać jasno, na realizowaniu siebie w b r e w czemuś. Uprawiający Ketman cierpi z powodu przeszkody na jaką natrafia, ale gdyby przeszkoda została nagle

usunęta, znalazłby się w pustce, kto wie czy nie o wiele bardziej przykrej. Wewnętrzny bunt jest nieraz potrzebny do zdrowia i bywa szczególną odmianą szczęścia. To, co może być powiedziane bywa o wiele mniej interesujące niż emocjonalna magia obrony własnego sanktuarium. Zdaje się, że dla większości ludzi konieczność życia w ciągłym napięciu i czujności jest torturą, ale wielu intelektualistom sprawia to równocześnie masochistyczną przyjemność.

Uprawiający Ketman kłamie. Czy jednak byłby mniej fałszywy gdyby mógł mówić prawdę? Malarz, który stara się przezmoczyć niedozwolone (metafizyczne) upojenie pięknem świata w swój obraz na temat życia w kołchozie byłby zagubiony, gdyby dano mu pełną swobodę, bo piękno świata wydaje mu się tym większe, im mniej mu wolno je przedstawiać. Poeta marzy o tym co mógłby napisać, gdyby nie był skrepowany przez swoje polityczne obowiązki, ale być może to, co jest tak piękne w marzeniu, rozwiłoby się całkowicie w chwili, w której zostałby zwolniony od tych obowiązków. Ketman jest dobrodziejstwem: pielęgnuje marzenie. Człowiek uczy się kochać wzniezione dokoła niego zagrody. Kto wie czy w braku wewnętrznego o s r o d k a w człowieku nie leży tajemnica powodzenia Nowej Wiary, jej wielki urok dla intelektualistów. Nowa Wiara, poddając człowieka ciśnieniu, stwarza ośrodek, a w każdym razie stwarza w nim poczucie że ten ośrodek istnieje. Strach przed wolnością nie jest niczym innym niż strachem przed pustką. "W człowieku nie ma n i c" — powiedział mi mój przyjaciel — dialektyk — "z siebie samego nic nie wydobędziesz, bo tam nic nie ma. Nie możesz odejść od ludzi i na pustyni pisać. Pamiętaj, że człowiek jest funkcją społecznych sił. Kto zechce być sam, zniszczeje". To jest pewnie słuszne. Ale wątpię czy może to być uznane za coś więcej niż prawo naszych czasów. Człowiek, który by czuł, że w nim nie ma n i c, nie mógłby napisać ksiąg Starego i Nowego Testamentu, "Boskiej Komedii", ani namalować jednej nawet martwej natury Chardina. Uznając, że nie ma w nim n i c, akceptuje dzisiaj cośkolwiek, choćby wiedział, że to cośkolwiek jest złe, byleby znaleźć się razem z innymi i nie być sam. I dopóki tak uważa, postępowaniu jego nie można wiele zarzucić. Lepiej jest hodować rozrośnięty Ketman i poddawać się ciśnieniu i dzięki temu ciśnieniu mieć chwilę poczucia, że się j e s t, niż ryzykować klęskę zaufawszy mądrości minionych wieków, które twierdziły, że człowiek jest istotą boską.

A gdyby spróbować żyć bez ciśnienia i bez Ketmanu, wyzwać los, powiedzieć: "Jeżeli przegram, nie będę siebie żałował?" Jeżeli da się żyć bez narzuconego oporu, jeżeli da się samemu stworzyć własny opór, to nieprawdą jest, że w człowieku nie ma nic. To byłby akt wiary.

Wittgenstein — geniusz niszczycielski

Jeżeli świat odzyska kiedyś spokój i równowagę i jeżeli również pogodzi się z myślą, iż format ludzi nie zależy wyłącznie od ilości poświęconych im artykułów, to wówczas odkryje, że jednym z geniuszów naszej epoki był Ludwik Wittgenstein, z urodzenia Wiedeńczyk, później profesor w Cambridge. Przyznaję, że nazwisko jego nie jest nieznane: figurowało w ciągu ostatnich 30 lat w odsyłaczach licznych rozpraw filozoficznych a zwłaszcza z zakresu logiki matematycznej. Ale nawet zakładając, że fakt ten wystarczy by kogoś dzisiaj uratować przed zapomnieniem, pozostaje prawdą, że Wittgenstein daleki jest od zajmowania w chaotycznej hierarchii współczesnej tego miejsca, które mu się w niej należy. Nawet filozofowie-analitycy, z których niejeden, jak np. John Wisdom, może być zaliczony do jego uczniów, jak gdyby nie zdają sobie sprawy, że to co dał Wittgenstein nauce logiki i analizie języka stanowi tylko część jego niepospolitego geniuszu. Ten wzgląd skłania mnie do naszkicowania w krótkim artykule sylwetki Ludwika Wittgensteina.

Wittgenstein nie mógłby oskarżać poważnie swych współczesnych, że zignorowali jego dzieło i to dla bardzo prostej przyczyny: nie zostawił on "dzieła" w potocznym znaczeniu tego słowa. Ten dziwny analityk nie tylko nie napisał powieści czy essayów, ale nawet studiów filozoficznych. Jak dotąd wydał on dotychczas tylko jedną książkę "Tractatus logico-philosophicus". Traktat ten po raz pierwszy ukazał się w 1921 r. w ostatnim numerze przeglądu Oswalda "Annalen der Naturphilosophie". Już w r. 1922 został przetłumaczony na język angielski i wydrukowany wraz z oryginałem. Fakt że tego dzieła ukazało się kilka wydań świadczy, że był na nie popyt i rynek. Lecz ta książka, nawet jeżeli wywarła, jak twierdzą, trwały wpływ na współczesną logikę i semantykę, była tylko pierwszą próbą; ale już ta pierwsza próba wystarczyła, by nam ujawnić cały geniusz autora, jego zdumiewającą zdolność oddania tragicznej wielkości naszej epoki. Z tego punktu widzenia zaryzykuję twierdzenie, że książka ta miała nie wielkie powodzenie. Widziano w niej zawsze tylko "rozprawę"; nikt się w niej nie dopatrywał tego czym by-

ła naprawdę — zwierciadła. Zapewne, "Tractatus" zmusił Bernarda Russella do porzucenia swej teorii o *types ramifiés*. Traktat ten był busolą, on wytyczył rozwój wiedeńskiej szkoły neopozytywistów znanych pod nazwą Wiener Kreis. Był on jednym ze sztandarów dookoła którego zgrupowało się Koło Analityków w Cambridge. Wszystkie te wpływy okazały się dla filozofii cenne, nieraz twórcze, prawie zawsze godne uwagi. Ale nie o to chodzi — "Tractatus" był, sędzę, pierwszą próbą wyszlifowania zwierciadła, w którym w końcu wszyscy ujrzelśmy nasze własne odbicie, powiększone i zdeformowane. W tym właśnie sensie "Tractatus" jest dziełem epokowym albowiem pozwolił on Wittgensteinowi dokonać karkołomnego skoku w przepaść. A ten skok, i tylko ten skok daje podstawy do twierdzenia, że Wittgenstein jest geniuszem i pozwala mi uważać, że Wittgenstein i destrukcja są terminami nieomal jednoznaczny.

Istnieją czy istniały geniusze miłości. Istnieją dotąd geniusze instynktu. Geniusz o którym mówię, jest geniuszem rozkładu, zniszczenia, zerwania ciągłości. Kilku filozofów, między innymi Heidegger, zaprezentowało nam świat wypełniony nicością, niebytem. Inni, jak Sartre, ukazują nam świat wstrętny i ohydny. Kafka i Camus ofiarują nam świat absurdalny. Lecz nasza epoka jest jeszcze bardziej potworna, i, by ją odzwierciadlić, trzeba było geniuszu bez mała przerażającego. Heidegger, Sartre, Camus, Kafka pozwalają nam jednak żyć w przekonaniu, że jakiś świat istnieje. Chociaż wizje ich są groźne nie stanowią całkowitego zerwania z naszymi dotychczasowymi pojęciami. Grunt pod naszymi nogami jeszcze istnieje. Trzęsienie ziemi zamienia nasze dawne domostwa w ruiny, ale ostatecznie można żyć i w ruinach i można odbudowywać. Wittgenstein ogałaca nas ze wszystkiego. Albowiem, jeżeli grunt znika wraz z ruinami, jeżeli drzewo wyrwane jest z korzeniami, nie zostaje nam nic na czym byśmy mogli się oprzeć: nie możemy oprzeć się na próżni, nie możemy z jasnym umysłem przeciwstawić się absurdowi, musimy zniknąć całkowicie i ostatecznie.

Wstręt Wittgensteina do wszelkiego rozgłosu, fakt, że zdecydował się on przekazać całą swą myśl w drodze wykładów uniwersyteckich, na których liczba słuchaczy jest ograniczona — przypisać należy kilku przyczynom. Jedną z nich jest ciągła chęć poprawiania: w miarę jak filozof zgłębia problemy, jego badania wydają się mu coraz bardziej niedojrzałe do ogłoszenia w formie książkowej. Innym powodem może być chęć naśladowania elity starożytnego świata, która pod koniec owej ery, też w epoce wielkich przełomów, wyznawała zasadę: "żyjmy w ukryciu". Może wreszcie gra rolę jego przywiązanie do własnej formułki: *Wovon man nicht sprechen kann darüber muss man schweigen* ("należy przemilczać to czego nie można poprawnie wyrażać"). Być może wszystkie te czynniki ukształtowały tę dziwną "Wille zum Geheimniss", to niezwykle umiłowanie tajemniczości. Lecz sędzę, że gra tu jeszcze jeden czynnik, z któ-

rego być może sam Wittgenstein nie zdaje sobie sprawy i który skłania go do nieutrwalania swych teorii na piśmie. W miarę jak Wittgenstein przekazuje swoją myśl, widzi się zmuszony do odrzucania jej. W miarę jak jego myśl przybiera pewną formę staje on przed koniecznością zniszczenia jej. A widzi się do tego zmuszonym nie przez przypadek i nie przez skrupuły. Powody tego są zgoła inne, znacznie bardziej zasadnicze, a mianowicie *ostateczną i nieuniknioną tendencją jego sposobu myślenia*. Myślenie jest wielkim źródłem zamętu, rzekłbym wielką uwodzielką. Sam fakt myślenia stanowi wielką winę, grzech zasadniczy człowieka. Najgłębszym przekonaniem Wittgensteina jest konieczność zniesienia wszelkich idei ogólnych. Twierdzi on, że nic z tego co się mówi nie może mieć w ogóle sensu, a zatem, że wszystko co się powie może być uważane za słuszne. Wynika więc z tego, że należy odnosić się do wszystkiego, a także do myśli o wszystkim, z najzupełniejszą obojętnością. Ostateczną konkluzją tego rozumowania, które samo siebie niweczy, byłoby pogrążenie się w najkompletniejszym milczeniu.

Lecz nie spieszymy się. Konkluzje Wittgensteina winny być przestudiowane po analizie jego metody: dopiero wówczas mogą być zrozumiałe. Parę słów należy się przeto jego metodzie.

Z góry muszę zastrzec, że nie jestem w stanie "wytłumaczyć" tej jego metody. Gdyby można było ją wytłumaczyć, to wówczas stałaby się tylko jedną z wielu metod filozoficznych. A metoda Wittgensteina nie należy do dziedziny filozofii. Należy ona do nauk leczniczych; jest to — ściśle mówiąc — terapeutyka. Nie jest to pozytywizm logiczny, tym mniej pozytywizm systematyczny. Jest to pozytywizm terapeutyczny, psychoanaliza intelektualna, analityka medyczna. Już z tego widać do jakiego stopnia taka metoda jest trudna do zdefiniowania.

Jej "wytłumaczenie" musiałoby się sprowadzić do jej zastosowania; jej treść byłaby, tak jak już była filozofia zawarta w "Tractatusie", działalnością, szeregiem czynności. Tłumaczyć Wittgensteina oznaczałoby iść za nim. Jego "filozofia" — raczej to co z niej dochodzi do naszej świadomości — nie jest teorią, lecz "apelem". Apelem do świadomości, stroskanej i wylęknionej. Ta świadomość jest rdzeniem istoty człowieczej. Została odkryta przez Sokratesa, gdy filozof ten stwierdził, że pierwszą cechą człowieka jest stawianie sobie samemu problemów, co więcej: Sokrates spostrzegł, że człowiek sam jest problemem. Od tego czasu mieć problemy, być samemu problemem przestało być czymś czego należy się wstydić, co należy ukrywać. Wręcz przeciwnie, stało się znakiem rozpoznawczym dusz wybranych. Lecz problemy, które stworzyły człowieka, zniszczyły go również. Człowiek został tak przesiąknięty problematyką, że w końcu przestał zajmować się rzeczywistością, lecz tylko problemami, które mu ta rzeczywistość stawia. Przestał nawet widzieć samego siebie, zajęty jedynie problemem własnej egzystencji. Jeszcze raz zagadnienie ocalenia zaczęło górować nad

zagadnieniem poznania. Lecz w przeciwieństwie do tego co miało miejsce ongiś ocalenie zdaje się dziś leżeć nie za — lecz przed granicą człowieczeństwa; poszukujący zdają się cofać zamiast iść naprzód.

W tym miejscu dochodzimy do zasadniczego punktu w postępowaniu, które nam proponuje Wittgenstein. Propozycja jego jest raczej aluzją ponieważ nie ma tu mowy o teorii lub nawet programie. Jest to aluzja osobiwa, nie wiążąca się z wnioskami, jakie postaramy się tu wyciągnąć. Przez lata centralnym punktem rozmyślań, raczej ćwiczeń Wittgensteina był temat języka. Czyż może być temat bardziej niewinny? Analiza języka, jego odchyłeń, jego logicznego sensu, trudności i pułapek językowych nie ma na pierwszy rzut oka nic wspólnego z najbardziej dotychczas radykalną próbą odczłowieczenia człowieka. Miejmy się jednak na baczności. Przy założeniach Wittgensteina język staje się tematem fundamentalnym, filozofia jest po prostu kwestią analizy języka. Ale analiza ta ukazuje mowę ludzką jako niewystarczającą i nieściłą. Już logicy, przynajmniej ci skrajni, zdawali sobie z tego sprawę. Z drugiej strony podkreślali to samo mistycy. Pierwsi powiadali, że czystość mowy nakazuje używać tylko tautologii, a zatem wyrażać beużytecznych. Drudzy podkreślali, że mowa ludzka nie jest zdolna wyrazić pewnych przeżyć, a zatem jest zbędna. Jak dotąd, te rozumowania nie są specjalnie alarmujące. Drogą tej analizy mowy ludzkiej doszliśmy do nowej logiki i nowej semantyki. Jednak ta nowa logika i nowa semantyka opierają się dalej na starych założeniach, a mianowicie, że nasze środki wyrażania się powinny być ulepszone. Jeżeli naprawdę pragniemy rozwiązać pytania wobec których stoimy. Logiczni pozytywiści, analitycy ekstremiści i inni specjaliści od nauk ścisłych mogą być niesłuchanie apodyktyczni, mogą się odcinać od wszystkich poprzedników, ale w gruncie rzeczy cele ich badań są te same, które przyświecały filozofii od jej początków — rewizja pojęć i terminów. Gdybyśmy, jak powiedziałby Carnap, mówili o sprawach "formalnych" terminologii "materialnej" oszukiwalibyśmy samych siebie. O każdej sprawie musimy mówić językiem właściwym. Poprzez te wszystkie analizy tradycyjna doktryna człowieka pozostaje niemal bez zmian. Być może człowiek stanie się twórcą rzeczywistości zamiast jak dotychczas tylko jej obserwatorem. Może to co było świadomością stanie się zachowaniem się. Zdobyta wiedza nie będzie w ten sposób jałowa. Wiedza ta przynajmniej przyda się w rozwiązaniu pytań. I nikt nie będzie wątpił, że człowiek stawia sobie pytania. Dziś, mniej niż dawniej, znaczna ilość dawnych pytań została zdyskwalifikowana jako "pozbawiona sensu". Uczniowie powiedzą, że człowieka zajmowały problemy, które powstały tylko z powodu niewłaściwie używanych słów. Oczyszczenie języka będzie więc miało skutki nie tylko intelektualne, ale także psychologiczne i socjalne. Lecz nawet w tych warunkach sam fakt, że się ma problemy, że człowiek sobie stawia pytania i starać się będzie

dalej je rozwiązywać, nie będzie robić wrażenia absolutnego nonsensu. Wystarczy, że pytania, które człowiek będzie próbował rozwiązywać, będą miały jakieś znaczenie. Pozostajemy więc wciąż na terenie "humanizmu". Chociaż zakres znaczenia człowieka został niezmiernie ograniczony, pozostała jeszcze jakaś dziedzina, którą możemy nazwać człowieczą. Człowiek dalej operuje przedmiotami, dalej tworzy systemy dedukcyjne, gra w szachy ze wszechświatem. To niewiele, ale przy dobrej woli możemy jeszcze i w tej formie człowieka dostrzec iskierkę tego, co Leibnitz nazywał *un petit Dieu*.

Postawa taka przypomina chwilami postawę Wittgensteina, który nie darmo uchodzi za jednego z ojców współczesnego pozytywizmu. Ale w tym wypadku "synowie" są mniej radykalni od rodziciela. I tak "synowie" wciąż jeszcze pozwalają sobie na niesłychany zbytek. Np. zbytek "idej ogólnych", zbytek uważania swego pozytywizmu za "logiczny" czy "systematyczny", albo też zbytek "rozwiązywania problemów" pod jednym tylko warunkiem, by te problemy miały jakiś sens. W gruncie rzeczy "synowie" mają bez końca trosk. Dlatego dyskutują. Dlatego udają, że ustanawiają ogólne zasady. Tymczasem nic nie jest bardziej pozbawione sensu jak rozwiązywanie problemów, odpowiadanie na pytania, albowiem — i tutaj dochodzimy do sedna stanowiska Wittgensteina — pytania nie powinny być rozwiązywane, powinny się roztopić, zniknąć. Pytanie sprowadza się do samego istnienia pytań. Wittgenstein zaprzecza jakoby istniała możliwość stawiania w ogóle pytań, możliwość ułożenia systemu słów czy słów umownych w ramach języka "idealnego", względnie — jeżeli mamy unikać metafizyki — w ramach jakiejś składni. Według Wittgensteina wszelkie takie próby byłyby mirażem. Byłyby resztką "humanizmu". Jeżeli ludzie w dalszym ciągu dyskutują, to dlatego, że w nich tkwi jakaś ukryta rana. Dyskusja na jakikolwiek temat może być doprowadzona do jakiejś rozsądnej konkluzji tylko w dwojaki sposób: albo poprzez wprowadzenie jakiegoś nowego elementu, który nam objawi "że się rzeczy tak mają"; albo przez oczyszczenie terminów, co nas prowadzi prosto do tautologii. Wszystko inne jest dreptaniem w miejscu, przy czym przez *miejsce* należy rozumieć samego człowieka, który postanowił postawić i rozwiązać pytania, na które żadne dane empiryczne nie dostarczają odpowiedzi. Bawiąc się w ten sposób człowiek tylko rozdrapuje własne rany, lubuje się grzesznie w raku, który go toczy, zamiast użyć lancetu by ten złośliwy nowotwór wyciąć.

Na użyciu takiego lancetu polega właśnie "metoda" Wittgensteina. Nie potrzebuję dodawać, że nie chodzi tu o lancet uniwersalny nadający się do leczenia wszystkich nowotworów i trosk człowieka. Gdyby tak było, jego metoda również stałaby się systemem i sprawa byłaby raz jeszcze rozwiązana. Tymczasem sprawa — podkreślę to raz jeszcze — nie może być rozwiązana, ponieważ nie ma spraw, nie ma pytań — istnieją tylko co najwyżej indywidualne troski, choroba, rak, rana. Zatem,

ściśle mówiąc, Wittgenstein nie wykląda filozofii i w zasadzie nie potrafi nigdy nic napisać. Nie potrafi sprowadzić żadnych danych do twierdzeń ogólnych, bo twierdzenia ogólne, będąc tylko funkcją słów, właściwie nic nie oznaczają. Co najwyżej ograniczy się on do tego, co nasz filozof nazywa tajemniczo "wypemieniem świata". Nie będzie też Wittgenstein w stanie sprowadzić pytania do analizy logiczno-gramatycznej, skoro zakłada, że nic nie da się powiedzieć o jakimś języku w temże języku. A jeżeli użyjemy słów umownych dla omówienia tematu ujętego werbalnie, to zdołamy tylko odsunąć pytanie. W końcu, jak naszego autora ostrzegł już Reichenbach, trzeba będzie stwierdzić fakt, że każdy język umowny jest w gruncie rzeczy językiem empirycznym. Wynika z tego, że język ten nie będzie mógł objąć twierdzeń ogólnych. Wynika też stąd, że pierwszy podział pytań na "pytania empiryczne" i "pytania werbalne", który zdawał się stanowić punkt kulminacyjny całej analizy Wittgensteina, jest tylko etapem pozwalającym nam zbliżyć się do jego właściwej metody nie dającej opisać się słowami. Albowiem, gdy sprowadziliśmy każde pytanie werbalne do sprawy składni, to odkrywamy wówczas, że te składnie są wielorakie i że nie ma — w przeciwieństwie do tego czego uczyła tradycyjna logika — pojęć niezmiennych, wspólnych wszystkim poszczególnym funkcjom słownym. Toteż w braku ostatecznego i jedynego punktu oparcia — tj. jednolitego systemu językowego — musimy radzić sobie tym lancetem, o którym już wspominałem. Będziemy musieli używać tej metody, która wówczas przestanie być metodą, a tym bardziej teorią, lecz stanie się dziwną formą leczenia dusz, działalnością niszczycielką.

Jeżeli zakładamy, że nie może pytań natury ogólnej, wszelka metoda ogólna musi być bezskuteczna, bezsilna. A zatem będzie potrzebna ściśle indywidualna osobista metoda. Profesor zamieni się w swoistego psychoanalityka. Uczeń stanie się ściśle mówiąc, pacjentem. Być może uczeń ten osaczony wszystkimi bateriami logiki i semantyki, przerażony świadomością, że wszystkie antynomie są nie do rozwiązania, zachowa jednak w głębi serca jakąś iluzję. Będzie mógł na przykład wierzyć, że jeśli istnieją różne rodzaje wypowiedzi, to będzie można mówić o analogiach pomiędzy nimi. Widma "zagadnień ogólnych" i "problemów filozoficznych" znowu staną przed nim, wywołując w nim niepokój, właściwy naturze ludzkiej. Ale to złudzenie trwać będzie krótko. Wittgenstein dowiedzie mu, że pomiędzy dwoma rodzajami wypowiedzi nie może być żadnej analogii. Gdyby istniała, analogia ta okazałaby się ipso facto zbyt techniczna, zbędna. Wówczas analogię zastąpiono by jedną tylko wypowiedzią. Presumpcja że taka analogia może istnieć i "ogólny problem", który by stąd wypływał, należało by przypisać tylko niedokładnościom, nieporadności języka codziennego, niezliczonym pułapkom dobrze nam znanego niebezpiecznego demona zwanego "Umgangssprache". Gdy tylko w wypowiedziach wpro-

wadzony zostanie jakiś porządek, przerażony demon ucieknie. Lancet będzie dalej funkcjonował. Tnąc coraz głębiej dosięgnie on samego źródła zła, co będzie wymagało już nie rozmów w języku wciąż przesiąkniętym echemi filozofii i wspomnieniami starych humanistycznych mitów, ale prawdziwej działalności: wycinania tumorów. Dojdziemy w ten sposób nie do pytania ale — co dla naszego spokoju jest dużo ważniejsze — do źródła wszelkich pytań. Psychoanalityk intelektu, terapeutyczny pozytywista obnaży po kolei pokłady języka i jego podświadomych powiązań, które się krzyżują w rzekomej duszy pacjenta, pokłady połączone ze sobą iluzjami i karmione niejasnymi zaburzeniami uczuciowymi. W tym celu terapeuta będzie musiał używać już nie tylko lancetu, ale i móżdżerza. Jego działalność niszczycielska będzie niewyczerpana. Pierwszym jego zadaniem w razie pojawienia się jakiegokolwiek pytania będzie zmiążdżyć je na proch. Dopiero kiedy pytanie znajdzie się przed nami zmiążdżone, rozproszkowane, będziemy mogli zabrać się do niego poważnie. "Mentalne skurcze" pacjenta (że użyjemy formułki Maxa Black'a) ustąpią z chwilą, gdy zda on sobie sprawę z absurdalności nie tylko jego własnego pytania ale w ogóle jakiegokolwiek pytania i dopiero w ten sposób nastąpi prawdziwe wyzwolenie pacjenta, jego serce się uspokoi i będzie się mógł pogodnie poddać operowaniu przedmiotami. Pacjent odrzuci swój kompleks i będzie mógł poświęcić się spokojnie "działalności" i "życiu". Nie wiem jak Wittgenstein i jego uczniowie nazywają ten kompleks, nie wiem nawet czy mają nań nazwę. Nazwijmy go — jest to zapewne jedyna nazwa możliwa — "kompleksem Sokratesa". Dwadzieścia pięć wieków temu w Grecji żył człowiek, który dokonał akurat odwrotnej operacji od tej, którą zajął się Wittgenstein. Sokrates też pragnął uwolnić ludzi od pewnego kompleksu. Ale tego wyzwolenia dokonał, odkrywając, że sam człowiek jest problemem. Dlatego Wittgenstein jest anty-Sokratesem. Dlatego to, jak i Sokrates, używa on metody indywidualnej, od człowieka do człowieka, i znowuż jak Sokrates nie pisze wcale lub bardzo mało. Z powodu tajemniczych praw harmonii geniusz destrukcji jest podobny do geniusza tworzenia.

W świecie odmalowywanym przez zrozpaczonych ludzi naszych czasów, samo istnienie rzeczywistości stało się problematyczne. To nas doprowadziło do filozofii, w sercu której znajdują się całkowita rezygnacja, bezkompromisowa absurdalność, strach i obawa. Ta filozofia dała nam świat, w którym wszystkie dogmatyzmy zaledwie są w stanie przesłonić — ale także przezroczyć — co dzień potężniejącą rozpacz człowieka. W świecie odsłoniętym nam przez osobistą analizę Wittgensteina nawet możliwość stawiania pytań staje pod znakiem zapytania. Nie znam sposobu bardziej przerażającego i groźniejszego odkrywania najgłębszych źródeł obecnego stanu ludzkości. Nie twierdząc, by stan ten był beznadziejny; oświadczenie bardziej się skłania do nadziei niż do rozpacz. Lecz chodzi o stan psy-

chiczny w którym wielu ludzi, prawie wszyscy, się znaleźli. Jeżeli geniusz myśliciela polega na tym, aby w epokach kryzysów odzwierciedlać i przeżywać te kryzysy bardziej intensywnie, to nie znam odbicia naszych czasów bardziej dokładnego, straszniejszego i groźniejszego od tego, które nam daje Ludwik Wittgenstein.

Dlatego twierdę, że Wittgenstein jest geniuszem, dlatego twierdę, że jeżeli kiedykolwiek świat odzyska równowagę i spokój ujrzy on swą przeszłość dokładnie w nim odbitą. Jest może tylko przypadkiem, że usiłując spojrzeć w dno naszych dusz, myślimy mniej o nieznanym profesorze w Cambridge niż o głośnym dramaturgu paryskim.

José FERRATER MORA

"ORZEŁ BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI
WYDAWCA: GRYF PUBLICATIONS LTD.

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11
Tel. BATTERSEA 0879

ADRES REDAKCJI: c/o R. PIESTRZYŃSKI,
31A, Dean Road — London S.W.2.

Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji, Włoszech, Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce, St. Zjednocz.

■ CENA EGZEMPLARZA:

WE FRANCJI: 25 franków fr. — W BELGII: 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

■ P R E N U M E R A T A:

WE FRANCJI: miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII: miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belgijskich.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/-,
rocznie 45/-.

■ PRENUMERATE PRZYJMUJĄ:

WE FRANCJI: Libella, 12, rue St. Louis en l'Île, — Paris IV^e,
nr konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: J. Roskiewicz, 44, rue Vinçotte — Bruxelles,
nr konta pocztowego 3172.28.

W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

O G Ł O S Z E N I A: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

GRYF PUBLICATION LTD,

169/171, Battersea Church Road, LONDON S.W.11

Apologia Gombrowicza

Ta obrona ma charakter profilaktyczny. Pragnę nią uprzedzić i udaremnić ewentualne ataki na osobę i twórczość autora "Trans-Atlantyku". Zarówno bowiem Przedmowa jak i Pierwszy fragment tej powieści, ogłoszone w numerze 5/43 "Kultury" mogą wywołać nieporozumienie, a nawet mogą zgorszyć niektórych czytelników. Zwłaszcza takich, co w gombrowiczowskim "zniekształceniu" tzw. rzeczywistości dopatrywaliby się własnych rysów. Kto gorszy się "Trans-Atlantykiem" i jego implikacjami, niech będzie łaskaw odczytać sobie na głos oba artykuły, jakby ze złośliwą intencją zamieszczone w tym samym zeszycie "Kultury", w dziale "Najnowsza historia Polski". Nie ubliżając niczyjej pamięci, ani czci ludzi żyjących, znajdziemy w tych artykułach żywy model tego właśnie świata, który Gombrowicz w sposób artystyczny przekształcił i wyszydził. Czyż np. radca Podbrocki z "Trans-Atlantyku" nie jest mlecznym bratem radcy z artykułu "Jeszcze o Komitecie siedmiu"? Bratem tego radcy w Bukareszcie, co "stukając łaską o podłogę (był kulawy) nosowo-gardłowym głosem kilkakrotnie powtarzał wyuczoną formułę: "Ja, radca Poniński" w mieniu Rządu R. P. i w mieniu Ambasady wzywam pana Dyrektora do mówienia prawdy?". Spójrzmy z odpowiedniego dystansu na przeróżne postaci dyplomowane, od których roi się "Najnowsza historia Polski", zanim żółciowym kamieniem ciśniemy w Gombrowicza i w jego dzieło.

Wszelkie zgorszenie ma sens tylko wówczas, gdy jest reakcją na zło. A więc w naszym wypadku, gdyby było reakcją na krzywdzącą inwektywę, na kłamliwe oskarżenia, na niesprawiedliwy osąd, na bezwstydne pogwałcenie czystości, niewinności — świętości. Skoro jednak artysta, głęboko wstrząśnięty niemoralnością rządzącego światem Absurdu stawia po tuzem, pod kaskadą zdrowego śmiechu — przedmioty i sprawy niezupełnie pod względem moralnym higieniczne — powinniśmy gorszyć się raczej istnieniem tych spraw i przedmiotów, a nie artystycznym faktem ich ośmieszenia. Gdyby świat, w którym żyjemy był choć o tzw. jotę lepszy od świata, który w tak oryginalny i bezwzględny sposób demaskuje w swych dziełach Gombrowicz — twórczość jego nie byłaby aktualna. Nikogo by nie drażniła i nie wymagałaby obrony. Ale ona i tak jej nie potrzebuje. W

zwięźlej Przedmowie sam autor wyjaśnił doskonale, o co mu chodzi i wyłożył metodologię swojej wizji świata. Wizji, a nie filozofii, gdyż zastrzega się kategorycznie, iż nie jest filozofem, tylko artystą. Jeśli mimo to, pozwalam sobie zabrać głos niejako "avant la lettre" ewentualnej polemiki, czynię to pobudzony wyłącznie szacunkiem i lojalnością wobec wybitnego i rzadko na polskiej "niwie" literackiej spotykanego zjawiska.

Mój podziw dla twórczości Gombrowicza datuje się nie od dziś. Już na parę lat przed ostatnią wojną, gdy ukazała się jego pierwsza książka, zbiór opowiadań groteskowo-satyrycznych pod niezbyt szczęśliwym tytułem "Pamiętnik z okresu dojrzenia" uprzytomniłem sobie, że pojawił się pisarz śmiały i niepodobny do innych. To moje pierwsze wrażenie potwierdziła i umocniła wydana nieco później i znacznie ważniejsza powieść "Ferdydurke". Nie mam zaszczytu należenia do osobistych przyjaciół Gombrowicza, ani do jego literackiej parafii, czy "sitwy", którą — jeśli się nie mylę — tworzył razem z nim tylko jeden, równie jak on wybitny artysta, pisarz i rysownik, nieodżałowany Bruno Schultz. Właściwie nie bronię tu Gombrowicza, lecz z tytułu starszeństwa witam go powracającego na polską scenę literacką i to na scenę emigracyjną, — po kilkunastoletniej nieobecności. Te zaś uwagi natury osobistej komunikuję czytelnikom "Kultury", aby ich zapewnić, że Gombrowiczem zajmuję się bezinteresownie, o ile pojęcie bezinteresowności może być stosowane w tym kontekście. Czyż miłośnictwo twórczej literatury, jak wszelkie miłośnictwo, żeby nie powiedzieć — miłość — może być bezinteresowne?

Powiadając: *twórcza literatura*, od razu docieramy do sedna zagadnienia. Na swych niezwykle wartościowych "Kartkach z dziennika", ogłoszonych w zeszycie 3/251 londyńskich "Wiadomości" — Jan Lechoń notuje pod datą 30 września (1950 r.) takie oto słuszne spostrzeżenia: "...bo ostatecznie o wartości pisarza stanowi przede wszystkim jego oryginalność"... "Jeśli ma się jakiś cień porządku i hierarchii w literaturze utrzymać, trzeba koniecznie zreformować, uinteligentnić wpływologię, ale zarazem zaczynać każdą krytykę od badania, co autor dał od siebie, w czym jest nowy. Oczywiście będzie to pogrom różnych wielkości"...

Nie jesteśmy amatorami pogromów nawet na "niwie" literackiej, lecz żyjąc w erze masowej produkcji książek, winniśmy stanowczo oddzielić to, co w nich jest naprawdę twórcze, a więc nowe, od wszystkiego, co jest tylko powtórką, wariacją, permutacją rzeczy dawno już stworzonych. Nie jest to sprawa łatwa. Świat czytelnicy zalewa dziś pisana manufaktura, zgrabna, strawna, podniecająca: wypiera ona dzieła samorodne, niekiedy trudne, zawiłe i niemiłe, bez których wszakże nie byłoby tej całej manufaktury. Iluż to dziś naliczymy Prouścików, ale wygładzonych i skróconych, ilu Joyce'ów, ale sterylizowanych? A w nowszym piśmiennictwie Stanów Zjednoczonych raz po raz zawadzamy o jakiegoś niedo-Kafkę, któremu brak tylko jednej

rzeczy: obsesji Kafki. Pomysły Kafki, podobnie jak teorie Freuda zostały już na tej półkuli szczęśliwie "zdigestowane" i beletrystycznie zasymilowane. Pełno tu jest w literaturze trzeźwych kombinatorów, którzy z powodzeniem podpatrzyli "chwyt" autentycznych wizjonerów i opętańców, aby potem na zimno, na trzeźwo produkować halucynacje o określonej liczbie słów, a nawet liter — i dyktować je sekretarkom i maszynistkom. W czasach powszechnego zamętu i popłochu, również i na targowisku sztuki pomieszały się i popłoszyły wszelkie wartości, i nieraz wynalazcy — aby nie umrzeć z głodu — muszą własne inwencje kupować za grosze u swych możliwych naśladowców. Tak synowie odbierają hołdy należne ojcom. Nie chcemy przez to powiedzieć, że w sztuce nie ma ewolucji i dzieci mają się rodzić bez współudziału rodziców. W sztuce współczesnej nie łatwo jest — pozbyć się dziedzicznego obciążenia. Ale taki chaos w niej panuje, że nazwę twórczości stosujemy i tam, gdzie mamy do czynienia tylko z odtwórczością: z przetworami, a nie — jakby powiedział Przybyszewski — z "tworami". A zatem nie wszystko, co zostało napisane — i nawet dobrze napisane — podpada pod pojęcie twórczości. Z drugiej jednak strony, wynosząc zasługę artystów, co tworzą jak gdyby "z niczego", czyli z siebie, nie powinniśmy lekceważyć tych, co świadomie ulepszają wynalazki poprzedników. W skromnej ambicji napełniania starych dzbanów świeżym winem — kontynuują oni style i rodzaje dawno już odtworzone. Ileż to pięknych i oryginalnych sonetów napisano po Guittone d'Arezzo, który uchodzi za ojca tego gatunku poezji? Dopiero po nim przyszli Petrarca i Dante.

Wolno również zakwestionować sprawę inwencji w literaturze. Wolno powiedzieć tak: Literatura jest już bardzo stara, wszystko już zostało wyrażone na setki sposobów, cóż nowego jeszcze można wymyślić? Taki pogląd byłby rezygnacją z postępu. Czy nie zdawało się, że po Flaubercie, Tolstojem, Dostojewskim niewiele już można zrobić w powieści? A jednak zrobiono sporo i to w naszym, tak wyklinanym XX stuleciu. Chociażby wspomniani już: Proust, Joyce i Kafka. Twórczości takich artystów jest rewelacją, czyli po polsku: objawieniem, a po grecku: apokalipsą. Odkrywaniem rzeczy zatajonych.

Na szczęście sztuki pełno jest jeszcze w świecie zmysłów i w świecie ponadzmysłowym — kształtów, barw, elementów, a nawet całych substancji — czekających na odkrycie. Ale wróćmy do Gombrowicza. Niezależnie od tego, czy on nam się podoba, czy nie, gorszy nas, czy nie gorszy — musimy go zaliczyć do tych właśnie twórców, co odkrywają rzeczy zatajone. W naszym mniemaniu należy on do największych artystów pisanej groteski. To "creative artist" całą, może niezawsze wyparzoną gębą.. "Creative" — a nie "recreative". Apokalipsa Gombrowicza jest groteskowa, podobnie jak apokalipsa Daumiera lub "Guernica" Picassa w nowojorskim Museum of Modern Art. Trudno jest bowiem wyrazić koszmar naszych czasów metodą realistyczną. A

jeśli można go tak wyrazić — nie podobna go przewyciężyć. Przewycięża go tylko żart, satyra, ironia i głębsze znaczenie. Każda groteska w sztuce jest pełna "głębszych znaczeń": jest artystycznym skrótem, oszczędzającym artyście i nam mozołu docierania do jądra koszmaru — przez okrywające go i niekiedy wspaniale połyskujące skorupy.

Gombrowicz jest artystą świadomym. Wie dobrze, do czego zmierza. W Przedmowie do "Trans-Atlantyku" wyznaje: "nie jestem opisywaczem i głosicielem świata zewnętrznego — jestem tylko piewą tego, co we mnie się dzieje". A dzieje się tam bardzo wiele. W każdym człowieku dzieje się bardzo wiele, niekiedy może więcej, niż w artyście. Ale tylko artysta potrafi to "dzianie się w nim" — wyciągnąć na powierzchnię i upostaciować. Co prawda nie każdy ma odwagę zajrzenia we własną tzw. głęb. A jeśli nawet ma odwagę i zajrzał, często na widok tego, co zobaczył, zdejmuje go tak paniczny strach, że traci mowę. I zamiast "własnymi słowami" opowiedzieć, wybełkotać, lub w braku słów bodajże wykwilić zawartość swej "głębi", — bojaźliwie pożyczka sobie cudze, lecz pewne narzędzia ekspresji. Woli sięgać po naoliwiony, w długoletnim użyciu wypróbowany aparat do przekazywania innym własnych doznań, niżli zaryzykować eksperyment, skok w próżnię, katastrofę, zgorzenie. Taką bywa tragedia niejednego artysty.

Uniknął jej Gombrowicz. Zajrząwszy śmiało w swoją "głęb" — znalazł od razu własny język na jej wyrażenie. Język to nie najslodszy. Przypomina on niekiedy Mikołaja Reja, to znów "Pamiętniki chłopów"; jest umyślnie stylizowany na rubaszność, udaje nieokrzesanie, marchołtową grubość, choć rzadziej — sprośność.

Gombrowicz fanatycznie wielbi prawdę. W jej imię demaskuje świat, załgany na śmierć. Z gracją humorysty rozsądza zastci-ny myślowe i uczuciowe polskiej inteligencji przedwojennej, burzy nawet jej nawyki semantyczne i ortograficzne. Na swym "Trans-Atlantyku" płynie on nie po żywym morzu, lecz po stęchłym, rzęsą i żabim skrzekiem zaciągniętym stawisku. Z trudem porusza się stateczek po nieświeżych wodach — sterując ku prawdzie.

Gombrowicz jest artystą zupełnie samotnym: jego apokalipsa, podjęta w imię ludzkości, nie znosi zbyt licznych towarzystwa ludzi. Toteż nie łatwo jest ustalić jej genealogię i powinowactwo. Kult wszechpotężnej Formy, którą autor "Trans-Atlantyku" nazywa "jedynym dostępnym nam bóstwem" zbliża go do St. I. Witkiewicza i jego "Czystej Formy". Pozorny cynizm rozgorzconego moralisty przypomina tu i ówdzie wczesnego Céline'a, tego od "Podróży do kresu nocy". W niektórych opisach absurdalności "szarego" bytu — straszy Gombrowicz, jak Kafka (Kancelarie). To — zdaje się — jest wszystko. Dalej — "wpływołogia" już zawodzi. Stoimy wobec fenomenu w literaturze polskiej zupełnie nowego, "inédit" lub, — jakby powiedzieli nasi puryści językowi — samoswojego. Odrębność i samorodność

Gombrowicza — nie oznacza atoli oderwania się od korzeni. Przeciwnie: głęboko i tragicznie tkwi Gombrowicz w ojczystym, ściślej mówiąc — w sandomierskim podglebiu. Ten pogromca szlachetczyzny i ziemiaństwa nie zerwał organicznej więzi ze sferą, która go wydała. Jest zjawiskiem tak bardzo polskim, że nawet w najlepszych tłumaczeniach utwory jego tracą swą soczystość.

Czytając je — winniśmy autorowi wdzięczność za to, że dostarczył nam tak rzadkiej okazji asystowania przy samym akcie twórczym. Zgodnie bowiem z teorią i zamierzeniem pisarza, jesteśmy tu stale obecni przy "stwarzaniu ludzi przez ludzi". "Dla mnie człowiek jest bez przerwy przez ludzi stwarzany" — deklaruje Gombrowicz w Przedmowie do powieści. To kwintesencja jego nauki i estetyki. I — nieczęsto zamierzenie artysty pokrywa się tak jak u Gombrowicza z tym, czego dokonał. Bo Gombrowicz potrafił wciągnąć nas w swój koszmarny (który jest przecie naszym koszmarem, choć nie zawsze chcemy to widzieć). Od nas zależy, czy w nim pozostaniemy, czy też potrafimy się zeń wydobyć o własnych siłach. Autor nam w tym nie dopomoże.

Poszukiwanie prawdy, demaskowanie kłamstwa jest zajęciem tak starym jak świat nauki i sztuki. Minęło już 1918 lat od owego Piątku, gdy pewien namiestnik rzymskiego cesarza na Bliskim Wschodzie zapytał Skazańca, który zeznał, że "przyszedł, aby dać świadectwo prawdzie": Co jest prawda? — Nie otrzymał odpowiedzi. Ale dla wielu ludzi właśnie śmierć owego Skazańca, poniesiona jeszcze tego samego dnia, jest odpowiedzią na to pytanie. Więcej: jest źródłem prawdy jedynej i uniwersalnej. Dla wielu — nie dla wszystkich. Większość dalej nie wie, i jak Piłat pyta, lub znużona brakiem odpowiedzi, rezygnuje z niej, zadawalając się surogatem prawdy, pół-prawdami lub kłamstwem. Cały trud dalszego poszukiwania stał się udziałem znikomej mniejszości. Toteż każdy ucziwy apokaliptyk, choćby trzymał się jak najdalej od prawdy Krzyża — już przez samą trawiącą go pasję szukania prawdy i odkrywania rzeczy zatajonych — jest jak gdyby draśnięty drzazgą z tamtego Drzewa. Może to być zatwardziały profan, bluźnierca, ikonoklasta, rozbijacz fetyszów, przed którymi padają plackiem całe narody. To może być — Witold Gombrowicz.

We wszystkich swych dotychczasowych dziełach kruszy on szablony, w jakie wtłoczono naszą wyobraźnię. Nasza wyobraźnia aż dusi się od tłumy zwalczających się wzajemnie mitów, które toleruje kosztem własnego zdrowia. Nie gniewajmy się więc na Gombrowicza za to, że naszą wyobraźnię trochę przeczyszcza. I nie gniewajmy się, że w tym celu, nazbyt często może, używa wyrazów wykropkowanych. Żyjemy w świecie tak moralnie wonnym, że tylko słowa na g... odświeżają nam nieco powietrze. Budząc śmiech, zmniejszają ucisk krwawego Absurdu.

Gdyby Gombrowicz swoje egzekucje na Absurdzie wykony-

wał językiem salonowym, uroczyście i bez humoru, nie dopiąłby celu. Na szczęście wybrał on broń swoich wielkich poprzedników: Laurence'a Sterne'a, Swifta, Woltera. Oni sam Absurd zaprzegli do armaty, z której do niego strzelali. Jest to operacja dość karkołomna i przez to groteskowa. Świat Gombrowicza jest o wiele ciaśniejszy od świata tamtych humorystów. Ale też ginie załaskotany na śmierć. Trzeba przy tym pamiętać, że mimo stylizację na rubasność i wulgarność — wystrzega się Gombrowicz frywolności. Tego srogiego humorystę znamionuje apokaliptyczny smutek. To my śmiejemy się, nie — on. Jego ani nie śmieszy ani nie cieszy to, że świat, do którego należy, jest taki monstrualny. Wcale go nie raduje konieczność unicestwienia tego świata. Wielka powaga twórcza powołała do życia komiczne postacie i sytuacje "Trans-Atlantyku". Za dowód tej powagi niech nam posłuży fakt, że zabieg demaskowania zaczyna Gombrowicz od — Siebie. Jest nieubiegany, gdy chodzi o własną osobę. To właśnie pasuje go na *moralistę* wysokiej próby. A ci, co gromią ludzkość po wyłączeniu z niej swojej osoby — to moralizatorzy, kaznodzieje, retorzy, besserwissery. I choćby nawet swój gniew przetwarzali na śmiech, — nie są prawdziwymi humorystami, dopóki siebie samych nie ośmieszają. Nawet wielki skądinąd G. B. Shaw ciął swym żądłem wszystko, z wyjątkiem G. B. Shawa.

Nasz sandomierski moral-humorysta z Buenos-Aires pokornie włączył siebie w pole obstrzału, w orbitę świata, który skazał na śmierć przez wyśmianie. Boć to "bohater" powieści-pamiętnika pt. "Trans-Atlantyku" nazywa się tak samo jak jej autor. Tego "bohatera" ustawił Gombrowicz w takim świetle, żeby wypadł jak najmniej korzystnie. Może nawet trochę przesadził. Może autor "Trans-Atlantyku" w rzeczywistości nie był tak nieczuły na los "ludzi-Rodaków", odpływających z Buenos-Aires, aby walczyć i ginąć za kraj — jak ów Gombrowicz, "bohater" powieści, zajęty wyłącznie własną osobą. Ale w generalnym demaskowaniu świata — musiał i siebie pokazać — bez maski. Pokazał siebie takim, jakim był po wielokrotnym zdeformowaniu przez otoczenie w Buenos-Aires. A więc — przez członków poselstwa R. P. i tamtejszą Polonię. Uczynił to w sposób zawrotny, niespotykany w literaturze — nie tylko polskiej.

Jeśli zważymy, jak wysokie miejsce w hierarchii polskich uczuć zajmuje miłość ojczyzny, adoracja munduru, wojny, wojenki, wojaczki oraz kult godności dyplomowanych i niedyplomowanych — publiczne przyznanie się bohatera "Trans-Atlantyku" do braku uwielbienia tych świętości zasługuje na — szacunek. Trzeba rzeczywiście nielada odwagi, żeby, Polakiem będąc, w najtragiczniejszej dla Polski chwili — przyznać się do własnego tchórzostwa. Rzadko w literaturze światowej znajdziemy utwór autobiograficzny, którego autor nie zabiegałby o sympatię dla siebie, kokietując czytelnika chociażby swymi grzechami. Gombrowicz jest za dumny na to. A może wolelibyśmy, żeby symulował przed nami patriotyzm wojenny, z któ-

rego wyzuł swojego "bohatera"? Żeby udawał żal z powodu niemożności przyłączenia się do walki z najeźdźcą? Być może, że jako "człowiek" lub obywatel byłby przez sympatyczniejszy, ale jako pisarz nie byłby przekonujący. Za wiele mieliśmy przyjemniaczków w naszej literaturze, grzecznych, posłusznych "Józiów", możemy już sobie nareszcie pozwolić na paru "bad boy'ów" — do których należał również śp. Zbigniew Uniłowski. Gdyby Gombrowicz zdeklarował się w "Trans-Atlantyku", jako "gorący" patriota — zburzyłyby całą artystyczną strukturę tego utworu. Byłby grzecznym Józiem, ale musielibyśmy zakwestionować jego prawo do traktowania obłudników, świętoszków tak, jak ich potraktował. W okrzykach posła R. P. Kosiubidzkiego: "Pokonamy, pokonamy i Zwycięzimy, w proch zetrzemy dłońią mocarną, najjaśniejszą naszą, w proch, pył, roztrzaskamy, rozbijemy, na Pałaszach, Lancach roznieśmy" itp. wyraził Gombrowicz tę tanią i płaską reakcję uczuciową na tragedię Polski — od której odwrócił się ze śmiechem. Nie ma jednak u Gombrowicza żołnierzy, którzy by zachowywali się tak, jak Poseł Kosiubidzki lub Radca Podsrocki. Z taktem pomija Gombrowicz w swej grotesce — samo wojsko. Taktownie przeciwstawił również Gombrowicz siebie — towarzyszom podróży do Argentyny na statku "Chrobry": koledze po piórze Czesławowi Straszewiczowi i śp. senatorowi Janowi Rembielińskiemu. Obaj wrócili. Obaj brali czynny udział w wojnie. Rembieliński już nie żyje Nie możemy mieć do Gombrowicza pretensji o to, że nie pozostawił ich śladem. Ale również takich ludzi, jak bohater "Trans-Atlantyku" było więcej. Nie tylko jeden Gombrowicz nie wrócił do kraju na wojnę i na poniewierkę — ostatnim pociągiem, czy ostatnim okrętem. To ich sprawa. Ale jeden Gombrowicz miał odwagę przyznać się otwarcie, że nad innymi instynktami i uczuciami, na pewno szlachetniejszymi, — górowały w nim: miłość własna oraz instynkt samozachowawczy. Gombrowicz nie szuka alibi, usprawiedliwiającego niepowrót np. w tym rodzaju: "Ja, jako pisarz bardziej przydam się zagranicą, wśród obcych, niż z karabinem na polu walki. Ja lepiej mogę służyć Polsce — piórem". Nie tylko nie szuka sobie podobnego alibi, ale hucznie wysmiewa oficjalnego przedstawiciela ojczysty, który chce z niego "stworzyć" takiego właśnie, zagranicznego bonze. "Trans-Atlantyk" należy do najszczerzych spowiedzi w literaturze świata i stawia jej autora w rzędzie takich egotyków i egocentryków, jak Stendhal, Lautréamont lub Gide.

Można by Gombrowiczowi zarzucić, że nie tylko odżegnywa się i ucieka od losu "ludzi-Rodaków", ale na domiar naigrawa się z nieszczęśliwej historii swego narodu. Taki zarzut byłby słuszny, gdyby nasz świat czyli świat przez nas zdeformowany — nie uległ w "Trans-Atlantyku" powtórnej deformacji. W "Trans-Atlantyku" stawia się określenie "św." przed rzeczami bardzo nieświętymi. Jesteśmy tam w świecie, gdzie poseł Kosiubidzki Feliks "zachowaniem i układem swoim niezwykle wzgląd na wysoką godność swoją wykazywał i każdym swem porusze-

niem honor sobie świadczył, a tyż tego z kim mówił sobą silnie bez przerwy zaszczycał, że już to prawie na Kolanach z nim się rozmawiało. Zaraz więc, płaczem wybuchnąwszy, jemu do nóg padłem". — powiada Gombrowicz — "i dłoń całowałem, a *śluzby swoje, krew, mienie ofiarowując*, (podkr. moje) o to upraszałem, aby mnie w takiej chwili św., wedle woli św., rozumienia swego użył i moją rozporządził osobą. Najlaskawiej mnie a siebie słuchaniem św. swoim zaszczycając" itd.. Czytelnicy "Kultury" mają tekst Pierwszego rozdziału "Trans-Atlantyku" w świeżej pamięci — więc nie muszę go dalej cytować. Widać z niego jasno, w jakim to świecie obracamy się. W tym zdeformowanym, lecz *prawdziwym* świecie nie ma wartości stałych. "Nie jestem ja na tyle szalony", powiada bohater, "żebym w Dzisiejszych Czasach co mniemał albo i nie mniemał". "Idź do Poselstwa lub nie idź!", radzi mu argentyński rodak, "tam się Zamelduj albo nie Zamelduj, bo jeśli się Zameldujesz lub Niezameldujesz, na znaczną przykrość możesz być narażonym lub nienarażonym". W świecie Gombrowicza pisze się dużymi literami słowa, które w naszym — tego zaszczytu jeszcze nie dostąpiły. Poseł Kosiubidzki jest "Cienki Grubawy, Nogę miał Wąską a grubawą lub tłustawą". W apokalipsie Gombrowicza zatarły się już różnice między: Tak i Nie. Trudno się zorientować, co tu jest pozytywne, a co negatywne. To jest świat wielce osobliwy, do którego, wyrażając się językiem "Trans-Atlantyku" wejść możemy albo nie możemy. Nas autor wcale tam nie ciągnie. Mimo, że jest synem ziemiańskiego dworu — nie częstuje nas staropolską gościnnnością. Przeciwnie oświadcza: "Nikogo ja na te Kluski stare moje, na Rzepę może i surową nie zapraszam, bo w Cynowej misie Chude, Kiepskie, a do tego podobnie Wstydlive, na oleju Grzechów moich, Wstydwów moich, te krupy ciężkie moje, Ciemne, z kaszą czarną moją, ach, że i lepiej do Ust nie wziąć"... Czym chata Gombrowicza bogata — tym nie jest nam rada. Co za stylizacja na Kalibana! Autor chyba świadomie poświęcił swoją osobę, jej dobre "obywatelskie" imię — aby sobie pohulać na scenie, wolnej od postaci "dodatnich". Kalibana z siebie zrobił, Golema, raba, żyjącego w nieustannym lęku — jak istoty w utworach Kafki. W ciągłym lęku, iż będą schwyte, zasądzone, zamordowane.

Gombrowicz, mimo pozorów zarozumiałstwa, jest skromny. To tylko osamotnienie każe mu posługiwać się dumną gestykulacją i zwracać się do publiczności per "wy". Tam jednak, gdzie autor zdejmuje z siebie kostium Kalibana, oświadcza po koleżeńsku: "Ja, jak wy, nienawidzę kłamstwa. Jak wy jestem śmiertelnie zmęczony tą wielką Gębą współczesności, głupotą głupców, niedojrzałością niedojrzałych, podłością podłych". A więc jednak nie ucieka od wspólnoty z ludźmi: gdy chodzi o zasady moralne, jest bliźnim dla bliźnich.

Zapewne "Trans-Atlantyk" nie jest książką budującą i nie radzimy jej dawać w upominku działwie szkolnej. Chyba, że będzie to działwa taka, jak w "Ferdydurke": łysa i brodata,

“upupiona” przez belfra Pimkę — po raz drugi w życiu posadzona na ławie szkolnej. Nie jest książką budującą. Żyjemy w czasach tak budujących, iż pewno nazwą je kiedyś archeologowie epoką Wielkiej Budowy. Ciągłe tylko budujemy. Właściwie jesteśmy już zbudowani. Pozostaje nam jeszcze tylko budowa schronów, w których się pochowamy, gdy Wielcy Budowniczo- wie Przyszłości zaczną z nieba burzyć wszystko, cośmy tu na ziemi w ciągu wieków pobudowali. A potem zbudujemy sobie budy z desek białych, jak puch Gołębicy Pokoju. — Budujemy, budujemy. Budujemy mosty dla pana starosty, dla pana prezydenta, dla Pana Boga. Budujemy nawet ten most, którym wedle Zaratustry Nietzschego sami jesteśmy: most między zwierzęciem a nadczłowiekiem.

Witold Gombrowicz nie jest pisarzem budującym. A jednak nie brak mu cech wzniosłości, gdyż uparte dążenie do prawdy, choćby droga do niej wiodła przez cuchnące bagna — jest wzniosłym dążeniem. Gombrowicz jest artystą świadomym skutków swego odosobnienia. Pierwszym takim skutkiem jest niepopularność. W krainach, gdzie sztukę obowiązuje optymizm, w pepinierach soc-realizmu, będą zapewne wskazywali na Gombrowicza, jako na jaskrawy przykład indywidualistycznego zwyrodnienia. Na to nie ma rady. Ale dla tych, co korzystają z gorzkiego dobrodziejstwa emigracyjnej swobody — twórczość Gombrowicza stanowi cenną pozycję, którą możemy pochwalić się wszędzie, gdzie jeszcze szanują polot samotnej myśli i grę nieskrępowanej wyobraźni.

Józef WITTLIN

Szpica

Droga jest jak dom. Mijane słupy telegraficzne, czarne od impregnującego je teru, mają zadziory i są od nich włochate i z drogą, z perspektywą maleją i zacierają się w jedną palisadę. Kiedy przejeżdżać koło każdego z nich to drży i brzęczy raz wyżej, raz niżej ale zawsze C jakby były troskliwie nastrojone. Droga od lat jest zaniedbana i wyboista i porozlewała się, rozmieszona obręczami kół, rozlaźla się do rowów, a rowy zarastają łopuchy i trawą jak skamienieliny, szare od kurzu drogowego. Ścieżeczka wydeptana przez pieszych biegnie po jej bankiecie, i w kurzu tej ścieżeczki widać dokładnie wyciśnięte bose stopy ludzkie. Droga raz podnosi się, raz opada łagodnie ku zlewowi, którym leniwie cieknie sobie jakaś woda, i tam także zawsze będzie most, z okrągłaków betonowych przepuszczony, ponad tą wodą i ogrodzą ją w tym miejscu niskie bariery z grubych belek, które także są czarne i wyjedzone przez czas. Droga jest jak dom.

Bo choć jedziemy nią, i przemija się z nami, to ciągle jednako i taka sama, takie samo brzęczenie słupów, jakby się było roztarasowanym w jednym miejscu, takie same wierzby ustawicznie się powtarzają, wierzby zawsze tam gdzie ten spadek wody, jak głównie powtykane w jej boki, palące się swym płomieniem oliwkowo-zielonym liści i prętów.

Po obu stronach są pola, i mimo że dobrze oczy wytrzeszczam w prawo i w lewo, patrzę po tych polach i niedalekim horyzoncie, bo od tego może moje życie zależeć, to jestem jak w domu, mam wspaniałe poczucie pewności że jestem w domu. Bo to już od lat, miesięcy i tygodni to właściwie mym domem jest droga, zwęży się przede mną, ucieka poza mną, droga, jakże mi znajomy jest du-du, du-du kopyt konia po drodze, doły wyjedzone przez koła, stary szuter zarosły trawą w miejscach gdzie kiedyś były przymy.

Mijana czasami kalwaria z pobielonego wapnem kamienia albo dom na pustkowiu, albo drzewo przybiegłe tu miedzą, są czymś bardziej w ruchu, są jak gest, jak sygnał, przestroga, są dziwne i obcokrajowe w porównaniu z statecznością, spokojem, jednakowością drogi. Patrzę po horyzoncie i coś zaczepia moją uwagę, jakiś daleko, daleko pokrzywiony daszek, kapliczka, albo, kępa drzew, przysiółek, albo spadek gdzieś tam i polsko i stoi w nim kilka mizernych krów, i te szczegóły są bardziej ożywo-

ne, zmieniają swoje miejsce, przesuwiają się leniwie, albo, kiedy nie obserwowane, nagle przyskoczą na krótki dystans. A droga? Zawsze taka sama, zawsze jednakowo, uparcie, od zakrętu do zakrętu prosta, ciągle na wschód i na wschód. Gubi się czasem pod kopytami mojego konia, kiedy rozpada się na kawałki u wjazdu do miasteczka. Przeciął ją tor kolejowy, to prawda, na torze stoi na pół spalony wagon pasażerski, z wyrwanych bocznych drzwi syplą się podarte pokrycia ławek, i pordzewiałe sprężyny siedzeń. Spalona chałupa tam gdzie był szlaban rogatki miejskiej, potem domy rozbiegają się w prawo i w lewo w uliczkę miłośnicy, ogródki mieszczkańskich domów, w całą gmatwaninę miejsca, które także nie jest statyczne bo rusza się w oczach i cmi, jak rozsypane szkło, jak kryształ w roztworze, przyrasta go albo ubywa mu, chce coś znaczyć, oddać się czemuś, choćby to miał być cmentarz albo kirkut żydowski, zaśmieca się drobiazgami nieważnymi i aż mi tęskno do drogi na nowo, i oto już jestem po drugiej stronie i droga wraca ku mnie jak żywy dom, wstępuję na nią kopytami swego konia jak gdybym wstępował w progi domu na których koń pozostawi swą podkowę na szczęście.

Czasem przejeżdżamy most, most prymitywny, postawiony na spalonych słupach dawnego mostu, palonego przez najeźdźcę, i czarne i usmolone są izbice, pochyło patrzące w stronę nadbiegającej wody, i głucho potyka się koń na świeżych jeszcze poprzecznych dylach mostu, głucho stukają haciele po drzewie i widać wodę pomiędzy szczelinami mostu jak łuszczy się od wiatru i oto drugi koniec mostu.

I znowu droga-dom, znowu popielaty, różowy kurz w słońcu, suche łajno krowie i milowy kamień mówiący o dystansie, jakże nieważnym teraz i nieistotnym, jak gdyby kilometry jakie dzielą mnie od tego co było i co będzie miały się liczyć, jak gdyby miało mi zależeć na tym jak daleko dom mój jest od miejsc, które przestały być domem, do których jako do domu już nie tęsknię.

Kiedy jechać było po nocy, to pozostawała ona tak zwyczajna jak dzień. Jechać drogą to tak jak poruszać się po znajomym domu. Nawet noc była bardziej sprzyjająca i wjeżdża w nią było, zaciągnąć się jej zapachem, to jakby porosnąć nową własną skórą. Przez noc stawałem się bogatszy o czarny kożuch, włochaty płaszcz czerni jakim się okręcałem.

I wtedy to po nocy, wśród własnego domu-drogi natknąłem się na obcą rzecz, i pierwsze wrażenie było bolesne jak potknięcie się we własnym pokoju i bolesne ucięcie się w goleń.

Zanim jeszcze do tego dojechałem, to zastraszył się koń, prychnął i zrobił wstydlawy krok bokiem, ale zaraz się otrząsnął jakby w jednym mgnieniu oka zrozumiał i pojął i przebaczył temu i nie miał pretensji i jakby wślizgnął się w swym spokojnym ściepie z powrotem w naturalny porządek rzeczy. Minęliśmy po drodze czarną zwalzną leżącą poławą w rowie, trupa konińskiego.

I zaraz potem zaczęło się znowu przed nami w kurzu drogi i leżały dwa inne. I potem to już ciągle, mijać było i mijać zlepkę czerni, skoncentrowaną ćmę nocną. Z wdzięcznością pomyślałem sobie o swym koniu, uczyć mi się od ciebie, zrozumieć, pojąć tak jak ty to pojmujesz i przebaczasz.

W jednym miejscu leżała para wielkich, ciężkich koni artyleryjskich, Meklemburgów czy Clydesdale, i leżały nienaturalnie, po psiemu, na brzuchach. Jeden z nich miał wygięty łukowato kark, ciężki kark i głowę położoną na karku towarzysza od pary, pieśczośliwie i jak to widzieć czasem konie na pastwisku kiedy kładą swe łby nawzajem na swych karkach i łby, szyje były ich wykręcone i ciężkie, i leżąc tak na brzuchach wydawało się jakby się pławiły w fali Oceanu, jakby wprzęgnięte w monstrualną konchę nocy, i grzywy ich mieszają się i mienia z pianą, z grzywami bałwanów, ta olbrzymia para dyszłowa, w swym kołysie wśród płaskiej drogi, jakby zamieniona w kamień i granit pomnikowy rwała się wprzód, ciągną swój rydwan czarnego, wygasłego słońca.

Trudno było przejechać koło tej grupy, komponującej się po nocy w pomnik, w wyrzut, w protest. Gdybyż nie było to aż tak zajadle obstående w swej słuszności, w swej bezwładnej rezygnacji. Gdybyż nie wyciosało się to w ten sposób, czarne wygięte karki, wspięte przednie kopyta, zaschłe od kurzu i potu grzbiety jak z brązu, jak gdyby ktoś ukomponował je żywe w tragiczną grupę, przygniótł je do ziemi, ściągnął munsztuki w pyskach aż spośród wykręconych patetycznie warg końskich wyszczerzyły zęby jak z metop Partenonu, jak konie kwadrygi słońca wypalonego, czarnego, zetłalego w popiół słońca, wobec którego czarna noc wydała się dniem białym.

Gdybyż nie wyprowadzono ich ze stajni, nie wprzęgnięto w rydwan o rozkraczonych kołach, nie wparto w suche fale Oceanu niebieskiego, gdybyż nie kazano spalającemu się słońcu, w strąkach promieni, mickiewiczowskich papilotów spalonych, zwęglonych i stroszących się komiczną koroną naokoło głowy i nie postrzelano im szybko, raz, dwa, trzy w łby, ażeby tę tragiczną kompozycję utrwalić w bladeńskim kurczu rigor mortis.

Bo w dzień było całkiem inaczej. W biały dzień, jechało się drogą i wpoprzek leżało padło końskie, rozdęty brzuch i sztywne nogi, i gazy wysadziły kiszkę odbytnicy, muchy zbierały się u warg i powiek. W dzień nie było to "kompozycyjne", w dzień ścierwo końskie walało się ohydnie w pośrodku drogi, cyniczne wyzwanie, bezcelne mruganie kaprawego oka losu w kierunku mnie, słodkawy zapach ścierwa, aluzja nekrofiliska, baude-lairowski naśmiewanie się do mego wzdragania,

Rappelez-vous l'objet que vous vimes, mon âme,

Ce beau matin d'été si doux:

Les jambes en l'air, comme une femme lubrique.

Zawsze myślimy o sobie jako o sobie a zaraz potem jak wyglądamy w oczach innych. Jeżeli mamy trochę oleju w głowie to żeby nie wiem jak krygować się to i tak dojdzie nas w końcu słuszne mniemanie, że to nie będzie w oczach innych tak jakbyśmy sobie sami wymarzyli.

Dzisiaj rano, kiedy jechałem drogą, powoli, powoli, na połogim stoku po prawej stronie drogi widziałem chłopską chałupę. Niebo od wschodu było jedną czerwoną żagwią, i od tej czerwoności wszystko miało różowe obwódki, jakby farba puściła po generalnym praniu wszystkiego. Z chaty wyszedł chłop, w koszuli tylko i portkach, bosy i stał pośród nędznego podwórza, włosy miał zmierzwiłone od snu, to było jeszcze bardzo wczesnie rano, i stojąc w ten sposób tyłem do chaty i do wschodzącego słońca, i czochrając się jedną ręką pod pachą brudnej koszuli patrzył w moją stronę. Patrzył w moją stronę i jakby poprzez mnie, jakbym ja miał być tylko pryzmatem poprzez który patrzy w rzeczywistość rozszczepioną moim spektroskopicznym pojawieniem się. Wydawało się, że moje pojawienie się pośród tego rana, niespodziewane, miało posłużyć mu, miało raz wreszcie rozwiązać jego problem rozumienia rzeczy. Myślałem sobie, to jest człowiek osobny, a ja jestem tylko środkiem dla rozumienia rzeczy. Ja, w swoim ruchu z zachodu na wschód wykreślam jakąś linię do której będzie sobie mógł wszystko odmierzać i wreszcie raz, nareszcie, w końcu pojąć.

Tak więc jestem jakby w zamkniętym wrzecionie, zwięza się poza mną aerodynamicznie, opływowo, potem rozpuszcza się w puchliwą obecną chwilę naokoło mnie, jestem otorbiony w tej wrzecionowatej puchliźnie jak węgry w mięsie i przede mną zwięza się przód, ostro, w oczekiwane i nieoczekiwane, jak szpic. Zacząłem wtedy tę historię, tak jak wtedy wydała mi się, jakby z nicości, jakbym narodził się z nicości, bez początku, samorodnie, potem rozdzieliło się to w przypadkową, fanatyczną, genialną soczewkę, galaktykę, przez którą skupiłem w sobie wszystkie nadbiegłe promienie, zapulsowało w niej galaretowatą materię wspomnień, tego co jest, co było i co ma być i potem zwięza się i cienieje w ostry stożek, szpic wślizgujący się w przyszłość.

Jestem bardzo niefortunnym wyborem, kiedy powierzono mi jazdę na szpic. A może bardzo fortunnym. Bo kiedy jadę na przedzie, na samym ostrzu wysuniętego oddziału straży przedniej, to tak wzywam się w swoją rolę, że jestem i sobą i domem, przepraszam, drogą i krajobrazem i szczegółami terenu. Mam taki zapas wyobraźni, że mogę, że potrafię siebie samego widzieć z daleka, jak figurkę z kineskopu, albo jak kurka na dachu. Kiedy patrzę w oczy spotykanych ludzi, to widzę swoje własne odbicie w ich oczach, jak w wypukłych zwierciadłach. Skarykaturowane odbicie, nieprawdziwe i jeżeli im niosę coś, to

widzę to w ich oczach jak jest to zniekształcone. I dzieje się to z ich milczącym przyzwoleniem, z ich oczami, oczami, żrenicami, tęczęwkami, które podobne i barwne, jednakowe, rodzinne, rzęsy, brwi i białka oczu i zostawione we mnie, pływające po wirzechu mej duszy jak oka na rosale.

Więc jest to bardzo fortunate, bo potrafię wżyć się w otaczający przestwór, odgadnąć myśli, wrażenia tych, których mam napotkać. Wybór mnie jest także niefortunny, bo rozprasza mnie to i tępi moją uwagę, która powinna być aż bezosobowa, zupełnie płaska, to wtedy na jej powierzchni każdy szczegół, każdy znak ma odbić się i krzyknąć w szalonym spaźmie, że stój! że wróg że co innego.

Zadaniem szpicy, według regulaminu służby polowej jest wywabić, nabrać, wykiwać palcem wroga. Niech się zdradzi. To jest najważniejsze, nie dać mu się powstrzymać. Choćbym miał tyśiąc oczu to i tak to nie pomoże, bo on, bo wróg roztopił się w terenie i moim tyśiącem oczu go nie wypatrzę, nie wyszukam w polu. Ja mam ściągnąć na siebie ogień. To jest to od czego tu jestem. Mam na to szeroką pierś, szeroką jak horyzont i tę pierś mam nastawić do niego, na cały widnokrąg, "po winkielridowsku". To ja mam na siebie wziąć wszystko, odkryć całą prawdę.

A że zawsze się tego spodziewam, to w krótkie noce wypoczynku, kiedy leżałem pod przygodnym dachem, albo pod niebem, w cieniu nocy, w pogłosie chrupiącym futrowanych koni, kiedy śmierdzi skóra siodła podłożonego pod głowę, to sobie umyśliłem i wyperswadowałem wszystko, przechodziłem ten moment wiele razy w wyobraźni, nauczyłem się tego na pamięć, mówiłem sobie, że kiedy przyjdzie moment to będzie krótki, że nie czas wtedy będzie ani żałować, ani cieszyć się z wypełnionej chwili, ani zatchnąć się samą chwilą, kiedy jedyna i nieunikniona i nigdy więcej nie powtórzona przyjdzie, że to się stanie tylko raz, tylko raz i bezpowrotnie, że nawet gdybym nie wiem jak myślał to sama chwila będzie inna i niespodziewana.

I przyjdzie w letnie rano, kiedy cienie jeszcze będą długie, kiedy będzie bardzo spokojnie, i w polu porwie się w górę skowronek i pójdzie wysoko, jeszcze wyżej i jeszcze wyżej i rozwierka się tam w górze, na szczycie piramidy swego głosu, której za fundament na dole żdźbła trawy, zielone i błękitne od rana. Będzie spokojnie i swojo i cicho, zaskrzypi tylko skóra siodła, cienutki kurz uniesie się spod kopyt końskich i nagle — to już!

Zygmunt HAUPT.

Teatr w Ameryce

Stany Zjednoczone są krajem żywych i wszechstronnych zainteresowań dla teatru. Można by powiedzieć, że istnieje tu szereg podstawowych warunków, które łącznie umożliwiają rozwinięcie się wielkiej sztuki teatralnej.

Jest przede wszystkim publiczność, głodna tych wrażeń, jakie dać może dobre widowisko teatralne. Nadzwyczaj łatwo jest zapełnić salę teatralną tam, gdzie ona istnieje i gdzie jest używana dla celów teatralnych. I będzie to dobra publiczność, żywo reagująca na sztukę, wczuwająca się w grę aktorów, często odróżniająca artyzm od szmiry. Nie jest rzeczą wyjątkową, gdy ludzie z Texasu jadą do New Yorku tylko po to — czy przeważnie po to — by spędzić szereg wieczorów w teatrach broadwayskich.

Są doskonali aktorzy. I jest ich bardzo wielu. Tu w Ameryce przecież osiadła rodzina wielkich Barrymore'ów. A obok nich cóż za plejada znakomitych artystów sceny: Helen Hayes i Eva Le Gallienne, Tallulah Bankhead i Uta Hagen, Fredrick March i świetna para małżeńska — Lynne Fontanne i Alfred Lynt, Katherine Cornell i Katherine Hepburn. I bez końca można by ciągnąć tę listę wielkich, wybitnych utalentowanych, inteligentnych aktorów. Ameryka też, gdy tylko może, wyłapuje wielkie talenty z innych krajów. Tak zdobyła Elizabeth Bergner i wielką Paxinou, jedną z najznakomitszych aktorek naszych czasów.

Są utalentowani autorzy dramatyczni. Jest O'Neill, jest Tennessee Williams, jest Elmer Rice, i Lillian Hellman, i Maxwell Anderson, i był tragicznie a przedwcześnie zmarły Sidney Howard. I tu znów bez końca można by wliczać nazwiska autorów, którzy mogą zaopatrywać każdy poważny teatr w dobry materiał widowiskowy.

Są doskonali reżyserzy, inscenizatorzy, dyrektorzy teatralni. Są znakomici dekoratorzy i świetni choreografowie. Są kompozytorzy, kostiumerzy, są nowatorzy w dziedzinie architektury teatralnej.

Nie brak też świetnych krytyków, że wymienię Brooks Atkinsona. Nie brak znakomitych teatrologów, historyków teatru i teoretyków dramatu. Kenneth MacGowan, George Freedley, Edith Isaacs — oto parę dowolnie wybranych nazwisk z

bardzo długiej listy. Przez szereg lat Stany Zjednoczone mogły się poszczycić posiadaniem jednego z najlepszych na świecie pism teatrologicznych — The Theatre Arts Monthly. Niestety pismo to zostało przed kilkoma laty poddane gruntownej reorganizacji (włącznie ze zmianą tytułu), co bynajmniej nie wyszło mu na korzyść. Ale wkład tego pisma w rozwój wiedzy teatrologicznej był rzeczywiście ogromny.

Wspominaliśmy o amerykańskiej publiczności teatralnej i o jej zainteresowaniach. Bez tych zainteresowań nie powstałby i nie rozwinąłby się tak imponująco teatr "mały" (the little theatre), całkowicie lub na wpół amatorski, w rodzaju teatru szkolnego, organizacyjnego czy świetlicowego (dość tu wymienić Young People's Theatre przy Henry Street Settlement w New Yorku!). Bez tych zainteresowań nie powstałby i nie działałyby dziesiątki wydziałów dramatycznych i teatrologicznych przy różnorodnych uniwersytetach i college'ach amerykańskich. Wydziały te nie mogą się skarżyć na brak studentów, wśród których nieraz spotyka się wielkie talenty. Rok rocznie na półkach księgarni amerykańskich ukazują się dziesiątki nowych książek z zakresu historii i teorii dramatu, historii i teorii teatru, krytyki i kostiumologii, i są czytane.

Istnieje pociąg do eksperymentowania i nowatorstwa. Można tu wskazać chociażby na amerykański teatr kukielkowy, który w osobie niedawno zmarłego Pawła McPharlin'a znalazł swego wielkiego apostoła. Są wspaniałe kolekcje i muzea teatrologiczne. Dość tu wymienić Yale i Harvard: kolekcja portretów dramatycznych tego ostatniego jest chyba największa na świecie. Są wspaniałe biblioteki teatrologiczne, jak np. biblioteka Northwestern University.

Słowem, bez końca można by ciągnąć to wyliczanie, dodając wciąż nowe nazwiska i nowe fakty. Nie ulega wątpliwości, że Ameryka zdaje się mieć wszelkie warunki dla rozwinięcia się tu wielkiego teatru.

Ba, ma nawet ona i nie bylejakie tradycje. Od początku wieku XIX działali tu — i zostawili po sobie trwałą pamięć — doskonali aktorzy, reżyserzy i inni ludzie teatru. Jest w teatrze amerykańskim wciąż żywa pamięć Augustina Daly, jednego z najlepszych organizatorów, jakich w ogóle znała historia sztuki teatralnej.

A jednak, a jednak — przy tym wszystkim — Ameryka nie jest krajem, w którym żyje i rozwija się wielki teatr, a próby stworzenia takiego teatru natrafiają na wręcz kolosalne trudności.

Zacznijmy od stwierdzenia zdumiewającego faktu, że w całych Stanach Zjednoczonych istnieje tylko jedno jedyne miasto, które stało się ośrodkiem teatralnym w tym sensie, że posiada liczne stałe teatry. Miastem tym jest New York. Nie ma stałego teatru stolica unii — Waszyngton. Nie istnieją stałe teatry w innych miastach amerykańskich — zarówno wielkich jak i małych. Owszem są tam budynki teatralne, w których

dawane są przedstawienia teatralne. Ale jest to wtedy, gdy przyjedzie tam trupa nowojorska, lub gdy na miejscu zorganizuje się jakiś zespół teatralny, przeważnie impreza amatorska i krótkotrwała. Teatr jako instytucja stała, profesjonalna, jako część integralna życia kulturalnego danego środowiska — nigdzie tu nie istnieje.

W olbrzymiej większości wypadków pozanowojorska Ameryka jest zdana na wędrowne trupy, które — zwłaszcza latem — odwiedzają różne miasta, miasteczka i osiedla, wystawiając sztuki, mające za sobą próbę Broadwayu. Zespół taki musi wtedy wynajmować salę jakiegos kinoteatru, albo korzystać z sali teatralnej jakiejś szkoły.

Nie lekceważmy sobie tych trup "na drodze". Tak przez lata wędrowała Margaret Webster ze swym ambitnym zespołem studenckim i ze swym szekspirowskim repertuarem. Ostatnio Webster musiała zresztą na czas pewien zrezygnować ze swej akcji: zabrakło jej pieniędzy.

I to jest wymownym faktem. Margaret Webster stanęła wobec takich trudności finansowych, że musiała — oby chwilo! — zrezygnować ze swej pionierskiej działalności. I stało się to w kraju, gdzie dolary podobno leżą na ulicy, i w kraju, gdzie — co jest znacznie większą prawdą, niż owe dolary na ulicy — istnieje tak żywe zainteresowanie dla teatru.

Dochodzimy tu do sedna zagadnienia teatru w Ameryce. Fachowy teatr amerykański to Broadway, który nie tylko promieniuje na resztę kraju, ale i zmonopolizował amerykański profesjonalizm sceniczny. A teatr broadwayski jest teatrem "skomercjonalizowanym", jest zwykłym przedsiębiorstwem, którego celem jest zysk.

Jego wpływ jest tak wielki, że w Stanach Zjednoczonych nie mógł powstać "wielki" teatr jako instytucja publiczna, której wyłącznym przeznaczeniem jest służba sztuce. Taką formą teatru jest tu teatr "mały", szkolny, świetlicowy, stowarzyszeniowy, częściowo lub całkowicie amatorski.

Oczywiście były próby — i to liczne, i nie raz udane — stworzenia fachowego niezależnego teatru repertuarowego. Najczęściej były one podejmowane przez zainteresowanych artystów i autorów. Dość tu wymienić The Washington Square Players i następnie The Theatre Guild z ich wielkimi ambicjami repertuarowymi i doskonałymi osiągnięciami. Ale próby te stałe natrafiały na trudności materialne i, pozbawione jakichkolwiek subwencji państwowych, musiały politykę swą opierać na podstawach komercyjnych. Metoda abonamentów dawała tu dobre wyniki, które jednak nie uwalniały kierownictwa teatralnego od konieczności pilnego śledzenia za tym czułym barometrem, jakim jest kasa.

Inaczej niż w Europie, w Ameryce jest nieznan — lub tak dobrze jak nieznan — teatr-instytucja publiczna, utrzymywana przez państwo lub samorząd. Tylko jako zjawisko przejściowe powstał w Ameryce teatr federalny — wynik straszliwej de-

presji gospodarczej, która wyrzuciła na bruk tysiące artystów. Wtedy to, w ramach tej pomocy, jakiej rząd federalny czasów New Deal'u udzielał bezrobotnym, powstał pod egidą państwową niezależny i nieskomercjalizowany teatr amerykański. Osiągnięcia jego były znakomite. Ale też istniał on tak długo, jak długo trwała depresja i z nią pomoc państwa dla bezrobotnych artystów. Dziś teatr federalny należy do przeszłości i, choć ciągle są dyskutowane projekty jego wskrzeszenia, nic nie przemawia za tym, by Kongres miał się pokwapić z przeznaczaniem pieniędzy na tak "nieamerykańskie" pomysły.

Władze stanowe nie są w tej dziedzinie lepsze od władz federalnych. Jeżeli dają pieniądze na teatr, to na teatr "mały", w ramach programów stanowych uniwersytetów czy pokrewnych przedsięwzięć. I to samo — z bardzo nielicznymi wyjątkami — da się powiedzieć o samorządach miejskich.

Teatr amerykański, tam gdzie istnieje, jest przedsiębiorstwem prywatnym, opartym na zasadzie rentowności, służącym celom zysku. Jest to część amerykańskiego businessu i to część wcale znaczna.

Konsekwencje tego są bardzo poważne i różnostronne. A żeby jednak je wyjaśnić, musimy przede wszystkim nieco miejsca poświęcić organizacji amerykańskiego businessu teatralnego.

Mówiliśmy o New Yorku jako o jednym w Ameryce ośrodku teatralnym. Ale poza New Yorkiem Ameryka ma jeszcze drugi potężny ośrodek przemysłu rozrywkowego. Tym drugim ośrodkiem jest oczywiście Hollywood. New York i Hollywood pod pewnymi względami rywalizują ze sobą, pod pewnymi jednak uzupełniają się wzajemnie. Najważniejsze jest to, że oba sprządzają amerykańskie życie widowiskowe — bez względu na to czy posługujące się sceną czy ekranem — do wspólnego mianownika businessu. Jest to business skomplikowany. Składa się nań szereg instancji pośrednich i pośredniczących, tworzących kółka i sprężyny wielkiego mechanizmu amerykańskiej produkcji rozrywkowej.

Autor napisał sztukę teatralną. Chce ją wystawić, czyli — mówiąc po amerykańsku — chce ją sprzedać. W tym celu posługuje się swoim agentem. Tylko bardzo poważny i uznany autor może sobie pozwolić na luksus niebrania pod uwagę rad i wskazówek agenta. Autor początkujący wskazówek tych musi się słuchać bardzo pilnie. A mają one na celu uczynienie ze sztuki dobrego obiektu sprzedażnego. Agent jest najczęściej człowiekiem doświadczonym i wie, czego potrzeba sztuce, by stała się "komercyjna". Istotą rzeczy jest pozyskanie dla sztuki kierownika teatralnego, który zechce ją wystawić. Taki kierownik to przedsiębiorca, nieraz szczerze zainteresowany stroną artystyczną swej pracy, ale zarazem człowiek praktyczny, który ma w wystawienie sztuki włożyć znaczne pieniądze i nie chce ich stracić. Często sam pieniądze tych nie ma i musi dopiero zainteresować finansistę, który mu je da. Ten ostatni rzadko

jest filantropem. Najczęściej jest to spekulant, który spekuluje na teatrze.

Z natury rzeczy "nabycie" i wystawienie sztuki są traktowane pod kątem widzenia jej rentowności. Jeżeli już agent ze swej strony dba o nadanie utworowi maksimum walorów komercyjnych, to tym bardziej w tym kierunku idą uwagi — żeby tylko uwagi! — przeróbki "nabywców" sztuki — kierownika teatru i jego finansisty. Skoro sztuka jest kupiona, skoro jest oceniona jako dająca gwarancję rentowności, skoro poczynione są wszelkie poprawki, mające na celu większe jej "skomercjalizowanie", skoro to wszystko jest zrobione, wtedy następuje złożony proces przygotowania sztuki do wystawienia.

Przed wszystkim kierownik teatru nie zawsze rozporządza budynkiem teatralnym i nie koniecznie musi mieć gotowy zespół teatralny. Budynki teatralne w Ameryce są najczęściej w posiadaniu specjalnych przedsiębiorstw i muszą być od nich wdzierżawiane, nieraz tylko w celu wystawienia jednej sztuki. Dla tego samego celu montowany jest zespół, angażowany reżyser itd.

Ideąłem sukcesu jest, gdy sztuka "idzie" na Broadwayu przez lata. Koszta wystawienia są olbrzymie. Trzeba płacić dzierżawę za budynek, trzeba — jeżeli sztuka ma mieć powodzenie — wystawić ją z blaskiem, trzeba zorganizować kolosalną reklamę itd. Trzeba też zapłacić autorowi, aktorom, reżyserom, dekoratorom. No i trzeba mieć zysk. Są też premiery, które dopiero po roku zaczynają przynosić rzeczywisty zysk. Wielki sukces ostatnich lat "Life with Father" — notabene słabizna — "szła" na Broadwayu bez przerwy przez siedem lat!

Naturalnie po sukcesie nowojorskim ze sztuką jedzie się do miast innych i — gdy wszystko uda się bardzo szczęśliwie — sprzedaje się ją do Hollywood.

Rzecz jasna, żaden aktor nie wytrzyma codziennego grania w tej samej roli przez lat siedem. W rezultacie obsada ulega zmianom. Ale nawet przy tych zmianach nie jest rzeczą wyjątkową, że aktor w tej samej roli występuje co wieczór przez dwa lata lub dłużej.

System ten stwarza wyjątkowo trudną sytuację dla aktora amerykańskiego. Zdarza się, że przez kilka lat nie ma on żadnej roli. I zdarza się, że przez kilka lat stale gra tylko tę samą rolę. Stan taki mocniej dotyka wybitnych aktorów, niż podrzędnych. Wybitny aktor jest nieraz umyślnie trzymany w odwodzie, by w odpowiednim momencie zostać na lata zaprzęgnięty do taczki jednej roli. W konsekwencji repertuar ról wybitnego amerykańskiego aktora jest bardzo mały, nieproporcjonalnie mniejszy, niż jego europejskiego kolegi. Jest to przedmiotem stałych skarg w świecie amerykańskiego aktorstwa.

W takich warunkach aktor, skazany na niepewność i bezczynność, daje się często uwieść pokusie Hollywood. Nie rozpatrujemy tu problemu filmu amerykańskiego oraz dróg i bez-

droży Hollywood. Faktem jest to, że w przekonaniu najwybitniejszych artystów amerykańskich Hollywood jest grobem ich talentów i faktem jest, że najwięksi aktorzy amerykańscy, jeżeli idą do Hollywood, traktują to jako coś chwilowego i raczej ubocznego. Oczywiście, najwięksi aktorzy amerykańscy występują w filmach. Wystarczy wymienić tu Barrymore'ów czy Katherine Hepburn czy Tallulah Bankhead. Tylko że nie film, ale scena teatralna jest rzeczywistym przedmiotem ich ambicji i właściwym terenem pracy. Są nawet tacy, jak Lillian Gish, którzy po początkowych triumfach w filmie, uparcie trzymają się z dala od niego.

Cała ta technika businessu, którą zresztą przedstawiamy tu w formie jak najbardziej szkicowej, sprawia, że teatr amerykański, opanowany przez Broadway, nie może być instytucją niezależną, służącą sztuce, sprawia, że w Stanach Zjednoczonych nie ma miejsca na wielki teatr repertuarowy.

To tłumaczy nam ogromne powodzenie "małego" teatru. Jest to teatr bardzo ambitny. Często na czele jego stoją doskonali fachowcy. Często tacyż fachowcy biorą w nim czynny udział. I często początkowi amatorzy przetwarzają się z czasem w prawdziwych fachowców. Jako przykład może tu posłużyć słynne "Pins and Needles", ciekawa próba teatru amatorskiego, podjęta w swoim czasie przez związek zawodowy krawiecki. "Mały" teatr, operujący skromnymi środkami, ambitnie biorący się do wielkich zadań i nieraz doskonale je rozwiązujący, stara się wypełnić lukę, wytworzoną przez bezprogramowość i oportunizm amerykańskiego businessu teatralnego. Sukcesy "małego" teatru świadczą wyraźnie, że w społeczeństwie amerykańskim istnieją potrzeby dobrego teatru i że społeczeństwo to szuka swych własnych dróg ich zaspokojenia.

Ludzie, którzy garną się do "małego" teatru i w nim szukają zaspokojenia swych potrzeb artystycznych, tym samym — choć niezawsze zdają sobie z tego sprawę — wyrażają swój protest przeciw komercjalizmowi maszyny broadwayskiej. Ludzie ci w teatrze "małym" szukają choćby namiastki teatru "wielkiego", którego Broadway nie daje. Słowem, można by zaryzykować twierdzenie, że w Ameryce wytwarza się rozdźwięk między teatrem zawodowym a najlepszą częścią jego publiczności.

Jest to zjawisko zastanawiające. Zawodowy teatr amerykański jest businesssem. A żadnemu przedsiębiorstwu handlowemu nie wolno jest lekceważyć gustów klienteli. Na zasadzie służenia klienteli oparty jest przecież cały business w Stanach Zjednoczonych.

Bądźmy jednak ostrożni z uogólnieniami. Przed wszystkim i w Ameryce zdarzają się przedsiębiorcy teatralni, którzy właśnie w dobrym teatrze widzą gwarancję zysku. Ba, przecież nawet Hollywood od czasu do czasu wypuszcza wartościowe filmy, odważne w pomyśle, a w wykonaniu utrzymane na po-

ziomie rzetelnego artyzmu. W teatrze jest tego znacznie więcej. Broadway rok rocznie daje szereg spektaklów, które stoją na najlepszym poziomie "wielkiego" teatru. I cieszą się one ogromnym powodzeniem. Tylko że nie stanowią one systemu; są bardziej odstępstwem od reguły, niż samą regułą. Najodważniejszy nawet przedsiębiorca teatralny musi stale mieć na względzie wysokie koszty swej produkcji i woli trzymać się drogi "komercyjnej", to jest takiej, która zapewnia długotrwałą i maksymalną zysk.

Wciąż podkreślamy, że Amerykanin interesuje się teatrem. Nie oznacza to jednak, by najszerze masy publiczności amerykańskiej wymagały od teatru czegoś więcej niż żywego i barwnego widowiska, dającego rozrywkę i chwilowe odprężenie. Niewątpliwie nie brak w Stanach Zjednoczonych widzów wybrednych, szukających w sztuce teatralnej wrażeń głębszych i podnieć dla przemysłów. Ale jako całość publiczność teatralna nie jest tu lepsza od wszelkiej masowej publiczności w każdym innym kraju. Idzie do kina czy do teatru jako do źródła chwilowej rozrywki, dającej odprężenie po dniu pełnym żmudnej, męczącej, nużącej pracy. Szuka w rozrywce ucieczki od rzeczywistości, szuka zapomnienia i zabawy. Przedsiębiorca teatralny, który jest i musi być człowiekiem businessu, to właśnie ma przede wszystkim na względzie.

Rzeczy takie istnieją na całym świecie. Ale wszędzie poza Ameryką istnieje jakiś teatr publiczny, który może sobie pozwolić na kierowanie się względami pozakasowymi, teatr, który nie jest i nie musi być tylko przedsiębiorstwem komercyjnym, teatr, który może spełniać wielkie zadania wychowawczo-społeczne i wychowawczo-artystyczne. W Ameryce tylko "mały" teatr i nieliczne teatry prywatne usiłują czynić za- dość takim zadaniom.

Dlaczego w Stanach Zjednoczonych — w przeciwieństwie do Starego Świata — taki teatr nie mógł się rozwinąć? I tu dochodzimy do podstawowych procesów historycznych, które wyznaczyły oblicze całej cywilizacji amerykańskiej.

Nie zrozumie się tej cywilizacji, jeżeli się nie uwzględni faktu, że rozwój jej był bardzo specyficzny i zupełnie różny od rozwoju narodów europejskich. Ameryka nie przechodziła przez te stadia rozwojowe, które nadawały kształt cywilizacjom Starego Świata. Ameryce nie znana jest era feudalizmu, era monarchii z jej dworami, z jej arystokracją i szlachtą, i z jej funkcjami kulturalnymi.

Ameryka powstała jako ludowe społeczeństwo kolonialne. Jej oblicze kształtowało się na "pograniczu", w świecie "pionierów" i w osiedlach handlowych Wybrzeża Wschodniego. Od początku było to społeczeństwo par excellence ludowe, demokratyczne, któremu obce i wrogie były stratyfikacje feudalnej Europy. To ludowe społeczeństwo, pierwotnie farmer- sko-agnarne, bezpośrednio ze stadium kolonialnego weszło w

epokę rozkwitu gospodarki wielkokapitalistycznej i wytworzy- ło cechy, nie znane innym narodom.

Dla rozwoju teatru europejskiego monarchia i organizacja stanowa miały kolosalne znaczenie. Nie zrozumie się współ- czasnego teatru europejskiego, jeżeli pominie się tę olbrzymią rolę, jaką w jego rozwoju odegrał teatr dworski czy też teatr popierany przez arystokratycznych mecenasów. Niewątpliwie cele tego teatru nie były natury ściśle artystycznej. Miał on swoje specjalne zadania i spełniał specyficzne funkcje. Ale z samego swego założenia był to teatr nieskomercjalizowany. Finansowo był zależny tylko od szkatuły monarszej czy od kieszeni możnego mecenasa. Był często zdany na kaprysy swych potężnych mocodawców, ale był wolny od przymusu, jaki stwar- rzają reguły rynkowe w świecie kapitalistycznym. I miał on też szanse, że wśród swych mecenasów natrafi na takich, jak Ludwik Bawarski, czy książę Meiningski, czy bogacz Morozow, ludzi wielkiej kultury i szczerego entuzjazmu dla sztuki. Masowa produkcja dla masowego rynku szansy takiej nie daje.

Teatr dworski stał się podwaliną późniejszego teatru pu- blicznego. Z teatru dworskiego wyszedł teatr narodowy, utrzy- mywany, subwencjonowany, popierany przez państwo i jego organy. Rzecz jasna, ten teatr państwowy miał i ma swe spe- cjalne troski, nieraz bardzo bolesne. Nieraz ulega naciskowi politycznemu, nieraz musi stać się narzędziem propagandy politycznej, nieraz wyrodnieje. W sposób jaskrawy da się to dostrzec w systemach totalitarnych.

Ale nawet w krajach totalitarnych teatr publiczny, przy wszystkich ograniczeniach i utrudnieniach, może wykazać swe ambicje repertuarowe, może w jakiejś mierze iść po drodze poważnych zamierzeń. Teatr sowiecki, szczególnie w ciągu dwóch pierwszych dziesięcioleci, był wciąż teatrem Stanisław- skiego i Niemirowicza-Danczenki. Teatr niemiecki, nawet w okresie swego upadku za Hitlera, miał wcale poważne osiągnięcia. Teatr włoski za Mussoliniego miał takich osiągnięć bardzo dużo. Różne przyczyny na to się składały, ale o tych przyczynach mówić tu nie będziemy.

W każdym razie publiczny teatr europejski, szczególnie ten, który korzysta ze swobód życia demokratycznego, może stać się teatrem wielkim, repertuarowym, służącym wielkim celom wychowania społeczeństwa, celom sztuki i piękna.

Inaczej w Ameryce. Nie było tu dworu, który by w teatrze widział jedno z narzędzi uświetnienia swych rządów. I nie było tu mecenasów prywatnych, którzy by, bądź to idąc śladami monarchów, bądź też dla jakichś osobistych względów, dawali pieniądze na teatr.

Prawdą jest, że w Ameryce nigdy nie było braku prywat- nych mecenasów. Ale nie w dziedzinie teatru. Milionerzy i mi- liarderzy amerykańscy dawali pieniądze na uniwersytety, mu-

zea i szpitale, kupowali książki i obrazy, ale nie dbali o teatr. Niektórzy z nich mieli purytańskie uprzedzenie do teatru. W oczach wielu teatr nie był tak konkretną inwestycją, jaką w każdym wypadku jest uniwersytet, szpital, fundacja pokojowa, muzeum czy biblioteka. Wyjątkowo się zdarzało, by jakiś bogaty Amerykanin dał poważniejszą sumę pieniędzy na imprezę teatralną.

A i samo społeczeństwo amerykańskie nie kwapiło się do tego, by uznać teatr za instytucję życia publicznego. W purytańskiej kolonialnej Ameryce uprzedzenia antyteatralne były bardzo silne. Zniknęły one później, ale pozostało przekonanie, że teatr jest sprawą tych, którzy się nim zajmują, nie zaś zbiorowości jako takiej. To zresztą było niesłychanie wzmocnione przez całą filozofię amerykańskiego życia zbiorowego.

Była to filozofia nieufności do państwa i filozofia inicjatywy prywatnej. Do tej pory Amerykanin utożsamia państwo z politykierstwem, które jest niezbyt czystą formą zwykłego businessu. Główny zarzut, jaki był wysuwany przeciw projektowi teatru federalnego, polegał na tym, że teatr taki stałby się zerowiskiem dla wszelkiego rodzaju biurokratów, że stałby się narzędziem politycznym, że byłby zwyrodnieniem funkcji rządu federalnego, że — wreszcie — byłby niezdrową konkurencją dla „prawdziwego” czyli prywatnego teatru. Argumenty były bzdurne, ale traktowane poważnie i jakże charakterystyczne.

Zresztą cały amerykański business teatralny pilnuje, by czynniki publiczne nie wchodziły na teren poważniejszych imprez teatralnych. A wpływy jego są tak znaczne, że skutecznie paraliżują wszelkie poważniejsze próby stworzenia w Ameryce wielkiego teatru niekomercyjnego.

I oto wielki dylemat amerykańskiego życia teatralnego. W kraju tym są wszelkie dane po temu, by rozwinął się doskonały teatr, reprezentujący bardzo wysoki poziom artystyczny. Ale teatr taki nie rozwija się. Jest on dławiony przez komercjalizm amerykańskiego businessu rozrywkowego. Czy stan taki trwać będzie zawsze, czy się zmieni? To jest sprawa zupełnie inna, która może być rozpatrywana tylko na szerokiej płaszczyźnie tych prądów ogólnych, jakie kształtują oblicze cywilizacji amerykańskiej.

Ale potrzeba zmiany jest żywa. Najlepiej mówi o niej rozwój „małego” teatru. Odczuwają ją też żywo ludzie teatru amerykańskiego. To, że radykalizm społeczno-polityczny tak często trafia do nich, ma swoją głęboką wymowę. Nie jest to radykalizm zbyt głęboki ani zbyt poważny. Jest to forma protestu przeciw tym komercyjnym metodom, jakie opanowały świat sztuki amerykańskiej. Jest to wyraz niezadowolenia z panujących stosunków i tęsknoty za zmianą, która by teatr amerykański wyzwoliła z pęt businessu.

Aleksander HERTZ.

Antologia poezji białoruskiej

NOTA TŁUMACZA:

Gdy w roku ubiegłym drukowałem w „Kulturze” przekłady z współczesnych poetów ukraińskich, zastrzegłem się wobec czytelnika, że wybór posiada duże luki, gdyż trudności z uzyskaniem tekstów skazały tłumacza na pewną przypadkowość. Otóż w stosunku do niniejszego wyboru poetów białoruskich przypadkowość ta i niekompletność są jeszcze większe. Tak nprz. z Janki Kupały, uważanego przez Białorusinów za narodowego proroka i właściwego — obok Maksima Bahdanowicza — twórcę literatury nowoczesnej, przełożyłem dwa jedyne teksty, jakie wpadły mi do rąk; o żadnym doborze materiału nie mogło być, oczywiście, mowy. Nie udało się zdobyć żadnego lirycznego utworu innego klasyka białoruskiego, Jakuba Kołasa; przełożony fragment poematu „Symon Muzyka”, o charakterze raczej dydaktycznym, w drobnym tylko stopniu jest reprezentatywny dla tego poety. Tłumacz rozporządzał przy pracy książkowymi wydaniem utworów Bahdanowicza i Arseniewej — wierszy innych autorów musiał szukać po nielicznych dostępnych mu czasopismach. W tych warunkach nacisk został położony na twórczości poetów dawniejszych i najmłodszych, z widoczną szkodą dla przedstawicieli pośredniego pokolenia. Rezygnując z dania antologii kompletnej — choćby w najszczuplejszych rozmiarach — tłumacz musiał ograniczyć się do jednego: zwrócenia uwagi na samo istnienie coraz bujniej rozwijającej się poezji białoruskiej, z podkreśleniem jej głównych tendencji formalnych i ideowych. Wydaje się, że z drugiej części zadania wywiązałem się w sposób dużo pełniejszy.

Józef ŁOBODOWSKI.

*Gadkę prowadzić z całym narodem,
pilnie się sercom milionów przysłuchać —
taką chcę tylko otrzymać nagrodę,
taka mi w życiu potrzebna otucha.*

*Pieśń tworzyć jasną jak wyże podniebne,
w każdym domostwie najmilszym być gościem —
takie mi tylko są skarby potrzebne,
takie mi w życiu największe radoście.*

*Że nie zatraci się w bólu i krzywdzie
dusza narodu, że ze snu powstanie —*

*taką nadzieją me serce się żywi,
takie jest moje na wiosnę czekanie.*

*K' słońcu jasnemu, gdy mroki rozmiemie,
i od niestawy hańbiącej ku stawie —
takiej ja ścieżki wciąż szukam po świecie,
Bogu takiemu swą duszę zostawię.*

*W walce, co mojej ojczystej krainie
szczęście przyniesie, los braci uświęci —
takiej ja śmierci pożądam jedynie,
takiej wyglądam po sobie pamięci.*



*A kto tam idzie, a kto nadchodzi?
W licznej gromadzie, w całym narodzie?
To Białorusy.*

*A co przynoszą na krwawych rękach,
na barach, które zgięła udręka?
Swoją krzywdę.*

*A dokąd z krzywdą swoją tak kroczą?
Czyim pokazać ją pragną oczom?
Świata całemu.*

*A kto nauczył tłumy tych ludzi
krzywdę nieść swoją, kto sen ich zbudził?
Bieda, nieszczęście.*

*A co zachciało się tłumom onym,
ślepy i głuchym, wiecznie wzgardzonym?
Pragną być ludźmi.*

JANKA KUPAŁA

Pieśń emigrancka

*Nie brak w świecie włóczęgów, co ani
wierzą w Boga, ni diabła się trwożą.
Jakże miły im wicher przystani
i szum żagli idących od morza.*

*Bez żegnania w swą podróż odplyną,
nie zostawią nikogo w oddali.*

*Wszystko jedno: czy żyć im, czy ginąć, —
bo jedyna namiętność ich pali:*

*kraj za krajem poznawać w podróży,
zaznać szczęścia i trwogi i smętu,
i śmierć znaleźć żeglarską od burzy
wpośród morskich spienionych odmętów.*

*Ale dla nas cel drogi jest inny,
na obczyźnie nie tego nam trzeba...
Nie rzuciliby strony rodzinnej,
gdyby w niej nie zabrakło im chleba!*

*Na ulicy słotzonej i ciemnej,
wśród turkotu, chaosu i wrzawy
przewiduje się wioska nad Niemnem
i portowa światełka Libawy.*

Maksym i Magdalena

FRAGMENTY

*Hej, jak utną, jak zadzwonią na cymbałach,
aż się karczma w posiadach zachwiała.
Struny dźwięcznie pod ręką przemawiają,
rytm do wtóru im buty wybijają.
Ostro krzeszą podkóweczki w podłogę;
dobrzy ludzie przystanęli na progu,
muzykowi wtórują, podśpiewują,
Maksymowi do tańca przyklaskują.
Siedzi Maksym — mało — wiele pije,
pod cymbały w obie dłonie bije.
Zakręciło mu chmielem w głowie,
w bardzo dziwnej wystawia się mowie:
„Magdusiu moja, Magdeczko,
miły leśny kwiateczku!
Nie mnie, chłopu, sprawiać z tobą gody,
ze starego córką wojewody.
Z wójtem dziś ciebie zaręczają,
ręczniki wykładają,
złoty warkocz twój przepijają.*

*To nie kwiaty wędną w zżętym sianie,
jeno kończy się nasze miłowanie.
Już nie będziesz do mnie wybiegała,*

ni całować, jakeś dawniej całowała,
o północy czekać w ogrodzie,
w oczy patrzeć najłodziej.
Tyś od śniegu marcowego bielsza,
brew — od doli sierocej czarniejsza;
a jak nigdy nie wrócisz do mnie,
tak mi nigdy o tobie zapomnieć.
Lej się strugą, pień się, chmielne piwo,
bo na sercu nudno i ckliwo!"

Nim pomyślał Maksym, co tą mową wskóra,
już go usłyszała szynkareczka Sura.
Biegnie Sura do pałacu, do wojewody,
opowiada co pod chmielem mówił Maksym młody.
Hej, jak tupnie wojewoda, groźne rzeknie słowo:
„Zapłacisz mi, chamiu, twoją własną głową!”
Usłyszeli słudzy, pospieszali duchem,
chłopu nogi zakuli w łańcuchy,
prowadzili go na plac kiermaszowy,
na wysoki pomost sosnowy.

Dobrzy ludzie przystanęli na stronie,
a on idzie, staniając się;
opuściły się białe dłonie,
krzepkie nogi uginają się.

Lecz nie żali się ludziom Maksym wdąty,
jeno prosi, by przynieśli mu cymbaty,
znów usłyszeć chce ich granie
już w ostatni raz,
w ten śmiertelny czas,
na żegnanie się ze światem, na rozstanie.

Scichli wszyscy — tylko dzwonią struny,
dźwięczną pieśnią rozlegają się;
wkóło ludzie stoją w smutku sumnym,
z bólu serca rozrywają się.

A jak śmiercią Maksyma pokarali,
białe ręce do bramy przybijali,
białe ręce do bramy miastowej,
bujną głowę do wieży wartowej,
żeby deszcz mu kędziory jasne moczył,
żeby wiatry suszyły mu oczy,
żeby kruki przylatały — źrenice dziobały,
ludzie spojierali — nie zapominali.

Hej, te bory-lasy, łąki i rozłogi!
Idą przez was ścieżki, idą przez was drogi.
Jakem szczerem sercem chłopca pokochata,
tom do niego równą ścieżkę wydeptata.
Szła ścieżynką — doszła do rozstania:
tam się i skończyło nasze miłowanie.
A ja znowu pójdę i po niej pochodzę,
pochodzę, popatrzę po tej dawnej drodze.
A na ścieżce już trawa-murawa;
rozrasta się czeremcha rozłożyscie,
ponad drogą nawisa liściem:
nie ma przejścia, nie ma i przejazdu.

Spod czeremchy kryniczeńka wyptywa
i gniazdeczko na niej się kotysze.
A dlatego kotysze się gniazdeczko,
że w niem ptaszek zanosi się piosneczką:
„Ty nie będziesz, kryniczeńko,
o przedwiośniu bujniej wodą wzbierała.
Ty pokochasz, dziewczynieńko,
ale nie tak, jakeś dawniej kochata!”

Pogoń

Ledwie w sercu mym myśl niewesota
losem drogiej ojczyzny się strwoży,
Ostrą Bramę wspomnieniem wywołam,
huf rycerzy pędzących spod zorzy.

W białej pianie unoszą się konie,
ciężko chrapią i grożą oczyma.
Starodawnej Litewskiej Pogoni
nikt nie zwalczy i nic nie powstrzyma.

Dokąd hufiec wasz pędzi i leci,
gdzie tak goni i spieszy się za kim?
Poprzez lata, przez mroki stuleci
nieodgadte prowadzą ich szlaki.

Może pragną dogonić i zmusić
do powrotu niegodnych twych synów,
co zdradzili cię, o, Białorusi,
i sprzedali, niezdolni do czynu?

Bić ich w serca, mieczami łomotać,
aż wypłeni się obcość i zdrada.

*Niech poznają, jak nocna tęsknota
u wezgłowa bezsennie usiada!*

*Z tego bólu mnie nic nie uzdrowi . . .
Matko nasza, ojczyzna kraino!
Przyjmij, wybacz Twojemu synowi,
daj mi w imię Twe walczyć i zginąć!*

*Wciąż cwałują i pędzą twe konie,
srebro dźwięczy i lśni na uprzęży . . .
Starodawnej Litewskiej Pogoni
nie nie wstrzyma i nikt nie zwycięży.*

MAKSIM BAH DANOWICZ.

Symon Muzyka

FRAGMENT

*Kraju bliski, kraju hoży!
Miły kraju mych pradziadów!
Cóż miłszego w świecie Bożym
od twych pól i jasných sadów;
od płynących srebrem rzeczek,
miodnych gryk i szumnych borów,
kiedy zboża na odwieczny
wiodą długie rozhowory;
od tych jezior i moczarów,
co się ciągną wszcz bez granic,
gdzie pod wtór rzeczno go waru
przeźrzenie mgłami się tumani;
gdzie jesienią płacz sitowia,
a na wiosnę łaki kwitną,
gdzie się liść brzożowy rozwił
starym traktem w dal błękitną?*

*Hej, odwieczne wy kurhany,
dawnych lat świadkowie głusi!
czyją ręką usypane?
Kto was trwać przez wieki zmusił
na nieustającej warcie?*

*Nie powierzę swych tajemnic,
kryjąc w piersi swej uparcie
starych czasów sprawy ciemne.*

*Równym polem, jasną dalą
idą w chwiejnym tym szeregu
ku przezroczej Dżwiny falom,
ku czarownej Wili brzegom.*

*Kraju miły! Któż nam poda
w świecie całym drugi przykład,
aby z cnotą i urodą
tak się wszelki brud powikłał?
Drugi kraj, w którym by wszystko
wzbogacała dola suła
i gdzie człek na pośmiewisko
był podany tak jak tutaj?!*

JAKUB KOŁAS.

Naśladowanie Horacego

*Jak pomnik sobie wznosił, ponad stulecia trwały,
nad mury wyższy, twardszy ponad głaz.
Nie skruszą go ulewy ni nawały,
ani nadwątlić zdoła szybkobieżny czas.*

*Nie umrę wszystek, nie! Nad śmiercią, nad latami,
to, co najlepsze we mnie, będziesz trwać i trwasz,
póki Pogoni miecz na Ostrej błyska Bramie
i idzie wzwymż czerwono-biały sztandar nasz.*

*Zostanie po mnie wieść, gdzie Niemna ciche wody
spieszą się wziąć w ramiona bystry Wili nurt,
i żem niezłomnie trwał, swym duchem zawsze młody,
i dom ojczyzny wsparł, z wrogami wiodąc spór.
Bom zawsze był wśród tych, co poprzez mrok udreki
ku ziemi przyzywali nasz krywiczański dzień.
Zastugi moje zważ i polnych chabrów pękiem,
wioskowa Muzo, dumne skronie wieńcz.*

WŁADZIMER ŻYŁKA.

Śpiewak

*Trzeba z pieśnią i dziś się uporać,
gdy nasz dzień — ciągle z śmiercią zbratany;
kiedy noce — jak zwierzęta w norach
zalizują jętrzące się rany.*

Nie, poeta nie ćma, co za ledwie
dojrzy płomień, już skrzydła spaliła.
Na popiołach pleśń i śniedzieć
on nie będzie . . . Poeta — to siłacz!

Czyliż z drzenia trwożnego osiczyn
nie potrafi wysnuć pieśni jesieni,
ruń wiosenną na słowa przeliczyć,
najpiękniejszą baśń w życie zamienić?

Przez ruiny wędrując i dym,
z świtu kul, z mrocznego czaru bitwy
jako z rudy wyrwie grzmiący hymn,
w najwznioślejsze przetopi modlitwy.

Nowe słowo rozżarzy się ogniem,
z nieba spadnie jak złota ulewa,
serca ludzkie połamie i pognie . . .
. . . I dziś także trzeba umieć śpiewać!

Żyj!

Nad ruiną, nad mroczną pustoszą
żar dogasa na pobitych lipach.
Nowy krzyż ku górze wynosząc,
krwawą rosą wieczór je przysypał.

Jakie szczęście iść w życie, gdy świat,
przemieniając się w pożarach, gaśnie,
jak zellate strzępy starych szmat,
odrzucając formy zbyt ciasne;

z głową w górze, przez udękę wplaw,
nie gnuśniejąc na głuchych bezdrożach,
zwłoki dawno przeżytych prawd
śmiało ciskać do krwi ludzkiej morza.

W naszym wieku żelaznym nie przystaje
być jak gość wśród huczącej kuźni,
tylko ten, co wszystko z siebie daje,
prawom jutra lepszego nie bluźni!

A więc żyj!

Choć nad mroczną pustoszą
żar dogasa na pobitych lipach,
Nowy krzyż ku górze wynosząc,
wieczór krwawą rosą je przysypał.

NATALLA ARSENIĘWA

Rubikon

A więc to tu Rubikon ten,
co dręczył, serce trwożą ścisnął,
za którym — złuda to, czy sen —
piąłem się żmudnie przez urwiska.

Mówiono mi: — Toż jeszcze czas,
do letnich, pięknych dni doczekaj,
aż się uciszy szumny las
i uspokoi w brzegach rzeka.

Lecz drogi był mi każdy dzień.
Nie trwożył serca szlak daleki,
ani pytałem lasu, gdzie
na zawsze zamkną mi powieki.

Do słońca zwykł mej stopy ruch,
zwyyczajne steru są już dłonie,
i oswojony z hukiem słuch,
gdy grzmieć zaczyna dzwon po dzwonie.

Poza mną jest już rzeczny brzeg,
wzrok znanych ognisk nie powita,
i cień mój na lodowce wbiegł
i huczy głos na stromych szczytach.

Kamienie

Czekałem gości w dom i oto
podchodzą już pod próg —
kamienny wali tłum z łoskotem
z urwistych moich dróg.

Nadeszły. A na każdym głazie
mych snów junackich ślad;
w każdym z nich ostrą bliznę wraził
chłtoszczący deszcz i wiatr.

Poznaję, gdy podeszły blisko:
bom w ciemną noc i wichr
podróżne niegdyś kładł ognisko
na szorstkiej piersi ich.

O ten — pod chaty mej oknami
w ojczyściej ziemi tkwit,
a tamten — w skroń ciśnięty kamień
krwi dobył z młodych żył.

Lecz jeden dziwnie obcy był mi,
nieznany. Kim jest on?
Skąd idziesz, gościu, z jakiej ziemi,
z jakich dalekich stron?

Ale — iż był okryty szronem,
w śmiertelnych włókł się mgłach
i w serce, jego tchem zmrożone,
chciał wsączyć mroczny strach —

naląłem czarę, już świadomy
skąd idzie i kto zacz.
— Skoro znalazłeś się w mym domu,
to ze mną wypić racz!

Jednak rozmawiać nam ze sobą
nie przyjdzie, bom się już
umówił z wiatrem i dąbrową
i z jasnym blaskiem zórz,

z borowem ptactwem i z radosnym
rozlewem młodych wód
i z burzą, bym się z nimi wiosną
na tamtą stronęawiódł.

MAKSIM TANK.

Do niezesłanego

Gdzieś był w owych dniach buntowniczych —
gdym szukała Ciebie nadaremnie . . .
Dróg ofiarnych niktby nie przeliczył,
krew niewinna płynęła strumieniem.

Gdzieś był, gdy Matka Bolesciwa
wśród kurhanów, co szlaku strzegą,
od napróżnych udręczona wzywań
wyglądała nadejścia Twojego?

Jeno wiatr z pieszczotą się tulił
do jej białych, w krzyż złamanych rąk —
jeno ptaki najsrebrniej, najczulej
zadzwonity śród bujnych łąk.

Los przychylnych dłoni nam nie podał,
ani szczęście nas nie uwieńczy . . .
Próżno w noc narzeczona młoda
wyzwalała swego oblubieńca.

Przebiegata ze skargą żalosa —
biednym siółem, drogą pochyłą.
Wyszli ludzie — pobici troską —
wyglądali. Lecz Ciebie nie było.

Od spalonych ruin w pustkowie,
od ojcowskich siedzib w dal lutą
odchodzili nasi bratowie,
by się spotkać z nieznaną pokutą.

I spod szarych nędzarskich świtek
wyglądały przyjaznej dłoni
serca, smutkiem i trwogą pobite;
ale Ciebie nie było koło nich.

W oszalały rzuceni pościg
dni, pijanych od rzezi i klęski,
wciąż błagali Tve wielkiej miłości
i odwagi dla piersi ich męskich.

Lecz na próżno czekali świtania
Twoi ludzie z pochytych chat;
Tyś miłości własnej im wzbraniał,
Tyś ich puścił bezradnych we świat.

Jakże ciężko od ziemi własnej
na obczyznę wędrować niemłą . . .
Tyś nadzieją im był i baśnią,
ale w życiu Ciebie nie było.

Poprzez gęstą mgłę nie widząc słońca,
na bezdrożach krywiczańskich dróg
długo, długo stałam szlochająca,
że nie postat Ciebie do nas Bóg . . .

LARYSA HENIJUSZ.

Nad borem siwy dym. Obłąki dróg.
Rząd chat, jak groch, rozsypał się w dolinie.
ku gwiazdom wzrok — jak gdybym dociec mógł
co ludzie mnie, a ja com ludziom winien.

Minioną powieść niech rozwieje wiatr . . .
Zagasta przeszłość w lat idących szumie.
Na czoło księżyc żółtą czapkę spadł
i siny wieczór wartuje koło gumien.

Nad borem noc. I dzwoni obłęk dróg.
Tam gwiazda w mroku drżąca łzą miłości.
Do moich sań spod końskich skacze nóg
wzburzona zima. Dalej w dziki pościg!

O, jakaż radość! Czuję skrzydła płóz.
W litanię zbieram, co przypomnieć można.
I mocniej, mocniej bije ziemi puls!
Na polach szum . . . I pieśń w dolinach trwożna.

WŁADZIMER CHADYKA

Oda

Jam twej sławy na śmierć nie zranit,
chociam krzyż z twej przyczyny nióst . . .
Czas nam rozstać się z sobą, Germanio,
zamieniona w popioły i gruz.

Kiedy gorzką czarę dopijasz,
ani płaczę, ni cieszę się — cóż ! . . .
Mów, kto wczoraj ku naszym szyjom
przysposabił morderczy nóż?

Mów, kto serca aż do dna zatrut,
kto wiosenną zagasił pieśń,
by nie śmiała na skrzydłach wiatru
ku marzeniom złotym się nieść?

I gdy w sadach znojem słonecznym
owocowy dojrzewał czas,
kto szaleństwem swoim skaleczył
ludzkiej zorzy wstający blask?

Kto znieważył nadzieje matek,
kto je w mękę uragań wiódł?
Nawet morze takiego spadku
do wzburzonych nie przyjmie wód.

Nim mi ręce bolesne ostygły,
czuję dobrze skurcz twoich warg;

ponad sztywność gotyckich iglic
znowu gniew mój wichrem się wdarł.

Nie zapytuj czy szlak mój prosty
i w milczeniu cierpieć się ucz . . .
Tyś od drzwi rodzinnego domostwa
zatraciła powrotny mój klucz.

WŁADZIMER DUDZICKI.

Ocean

Wydawałeś się inny z daleka
i o tobie myśl była inna.
W dzień i w nocy bezsilnie się wściekasz,
żeś nie ziemią . . sam siebie przeklinasz.

Zieleniejesz od głuchej rozpaczy,
burzą smaga cię gniew zawzięty.
Fale dęba stają i skaczą
jak pantery ku burtom okrętu.

Lecz nie zniszczysz tego ziemi wygnańca,
ni zatopić go nie masz mocy.
Więc ku niebu się rwiesz opętańczo —
samotnemu straszno wśród nocy.

I — jak my — żyjesz snem nieczyszczalnym,
każdy z nas w niedostępne dąży:
— Zbuntowanym nie chcesz być oceanem,
my zaś ziemią nie chcemy krążyć.

MASIEJ SIADNOW.

Kruk

Czarny kruk zakrakał na złą wróżbę,
słodkodźwięczny śpiew ptaków zagłuszył.
Ciemny koń z wichrawą mroczną grzywą
po ulicy przebiegł z tupotem.
Podkowami zagrzmiał, odtętnił,
snopy iskier na bruku wykrzesał.

Ciemna chmura wpełzła na niebo,
dzień błękitny ciężko się zamroczył.
Wytrysnęły ostre noże błyskawic,
pokrajały strop nieba płomieniem.
Z hukiem, grzmotem, z hasłem gromowym
chmury spadły ulewą na dom.

Wylewają rzeki spienione,
zalewają pola i ługi;
rozerwała się ziemia i wyże
potrzaskane nad nią na szczęty.
Oj, nieszczęście nam noszą te chmury,
na złą wróżbę huczy ich grom.

Sonet

Gdy was przysypie grząski piach mogiły,
czyż to zatrzyma twórczą zawieruchę?
Dusza — nie ciało — uniesie swą skruczę
aż tam gdzie świecą konstelacyj pyły.

Rozwinie skrzydła nad padół pochylty
i, powstrzymana od pijanego ruchu,
zaplodni glebę czystym ziarnem ducha,
żywym nasieniem niezmożonej sily.

Ono i w twojem sercu niespokojnem
rosło i krzepło — i żywiółów wojnę
aby przetrwało, tyś je pilnie rosit.

Więc ponad przyszłe planety popioły
w słońce wywinie się kwiat jasnoczoty,
pyszna ozdoba bujnej zieloności.

ALEŚ SAŁAWIEJ.

Przełożył z białoruskiego
Józef ŁOBODOWSKI

Sprawa Miłosza

Wobec nowego uchodźcy

Ukazanie się na emigracji nowego wychodźcy z Polski, zwłaszcza gdy jego imię coś waży, rola zaś w kraju w ostatnim okresie miała jakieś publiczne znaczenie, wywołuje od razu w pewnych kołach reakcję niechęci. Wygląda na to, jak gdyby się chciało odgradzić na zasiedziały podwóreczkach emigracyjnego ghetta od nowych przybyszy. Zdać by się mogło, że cenzus wieku emigracyjnego ma decydować o klasyfikacji uchodźcy.

W tym sposobie reagowania wyraża się podświadoma może obawa przed koniecznością skonfrontowania siebie z życiem kraju i ustosunkowania się do własnego narodu, który nie mógł i nie chciał porzucić kraju, a przechodzić musi przez potworny czyściec, jeśli nie piekło, życia i pracy w warunkach, stworzonych przez narzucone przemocą komunistyczne rządy.

W tych okolicznościach zachowanie "czystości" ideowej i "niezlomności przekonań", a tym bardziej manifestowanie tych cnót, jakże łatwych w emigracyjnym życiu, jest prawie nikomu niedostępne. Każdy, dosłownie każdy, kto musiał się ujawnić i wszedł w tok pracy normalnej, tym samym pożegnał się na długo z ideałem życia tych, "co mają tak za tak i nie za nie". Każdy musi zawrzeć mniejszy czy większy kompromis z wymogami istnienia, kompromis chociażby nawet pozorny i zewnętrzny, ale niemniej bolesny i niszczący te wartości wewnętrzne, które były dotychczas kanonem uczciwości wobec samego siebie.

W szczególności trzeba zrozumieć, że masa Polaków, która stanowi aparat reżimu, znalazła się w nim częstokroć nie tylko pod wpływem konieczności znalezienia kawałka chleba, ale również z najlepszych pobudek zrobienia dla kraju co można i jak można w istniejących warunkach. Wielu nawet przyjęło za prawdę głoszone w 1945 roku hasła współpracy całego narodu przy dźwiganiu się z ruin i budowaniu ustroju sprawiedliwszego niż dotąd. Na pewien czas co najmniej ludzie ci ideowo wyrównali się z reżimem. Trzeba zrozumieć ten stan rzeczy: fizyczna i in-

telektualna swoboda, w jakiej żyje emigracja, przestała kształtować życie polskie już od klęski wrześniowej, a znikła nawet jako nadzieja jutrzejszego dnia, od chwili realizacji traktatów jałtańskich. W tych warunkach motywy postępowania i postawa wewnętrzna ludzi musiały ulec głębokim przemianom. Ale nie naród polski spowiadać się będzie ze swych grzechów kompromisu lecz emigracja złożyć będzie musiała kiedyś rachunek sumienia wobec "grzesznego" kraju.

Uwagi te cisną się pod pióro, gdy myślę o tym, jak ostatnio zareagowali Katoni emigracyjni na zerwanie Czesława Miłosza z reżimem warszawskim. Nie dlatego, żebym chciał się z Miłoszem solidaryzować; właśnie ocenie krytycznej jego dziewiczego artykułu emigracyjnego w "Kulturze" poświęcam te kartki; powstają tylko przeciwko aprioryczności sądu i z góry powziętej niechęci, opartej na jedynej przesłance, że Miłosz służył reżimowi warszawskiemu. To kryterium dla oceny ludzi z kraju w żadnym wypadku wystarczyć nie może, wobec zaś Miłosza w szczególności się nie nadaje.

Problem zasadniczy stosunku do ludzi, którzy porzucają lub porzucają kraj w przyszłości musi być postawiony w płaszczyźnie indywidualnej ze szczególnym rozważeniem pobudek współpracy z reżimem, jeśli miała ona miejsce, rodzaju wypełnianej służby i przyczyn, które skłoniły do opuszczenia kraju. Same zaś te pytania postawione być winny w atmosferze przyjaznej, dającej pełną możliwość wyjaśnień i nawiązania ewentualnej współpracy z emigracją w dalszej walce o wyzwolenie. I dlatego, wobec uszczypliwych uwag pod adresem "Kultury", że dała głos Miłoszewi, chciałbym podkreślić, że dobrze się stało, iż wypowiedź Miłosza znalazła miejsce w emigracyjnej prasie.

◆

Czesław Miłosz stanowi przykład człowieka, który służył reżimowi. Nie ma powodu wątpić, że służył i chciał służyć, jak sam stwierdza, "lojalnie ludowej ojczyźnie". Taką powziął decyzję na przełomie 1945 roku i według niej "wypełniał swe obowiązki i jako pisarz i jako attaché kulturalny" zagranicą. O pobudkach swej decyzji i trwania w służbie reżimu mówić w ten sposób, jak zapewne odpowiedziałyby każdy inny pisarz czy poeta międzywojennego okresu, należący do tak zwanej lewicy. Cała ta gromadka w kraju zdecydowała się od razu na współpracę z nowym reżimem. Casus Miłosz rozciąga się na całą grupę ludzi.

Zjawisko to zasługuje na bliższą uwagę. Wielu z tych ludzi, jak Miłosz, jeszcze wczoraj, w podziemiu antyhitlerowskim, służyło piórem, a często i ramieniem, sprawie wyzwolenia narodowego i społecznego. Nagle zamknęli oni oczy na zniszczenie niepodległości kraju, na dewastację dorobku ruchów społecznych, na wyrastanie potwornego systemu policyjnego i totalitaryzmu, rozciąganego na wszystkie dziedziny życia. Wystarczała im etykieta "lewicowości", przyczepiana budowanemu

systemowi ludowej demokracji przez komunistów lub wysługujące się im koncesjonowane partie, by wyrównać swój front z reżimem i wejść w ścisłą z nim współpracę.

Dokonało się to z zadziwiającą lekkością, bo też "lewicowość" tej grupy pisarzy nigdy nie sięgała dna problemów społecznych. Ludzie ci po prostu bałamucili się lewicowo, dziedzicząc po Żeromskim czy Strugu sympatię do świata pracy bez zadania sobie najmniejszego trudu zgłębienia jego życia i walk. Stary świat pojęć i obyczajów odrzucali w literackich obratach, tkwiąc zresztą w jego zasięgu i tam przede wszystkim szukając poklasku przez budzenie dreszczyku pseudo rewolucyjnym "rżnięciem karabinem w bruk ulicy", by za chwilę "pójść na jednego" z którymś z dygnitarzy czy generałów sanacyjnych.

"Lewicowość" tego rodzaju nie przekraczała zakresu paru modnych sloganów i pozwalała doskonale stać poza życiem mas pracujących. Życie i walka robotników czy chłopów, pracujących w warunkach własnego państwa i zmagających się w opozycji do panujących stosunków były dla nich za mało atrakcyjne, jeśli chodzi o tematykę, wmieszać się zaś w jego nurt stanowiło niebezpieczeństwo stracenia jakiegoś honorarium czy posadki. Lewicowość sumienia uspokajało się umieszczeniem od czasu do czasu jakiegoś utworu w prasie socjalistycznej, byle tylko bez podpisu własnym nazwiskiem, bowiem toż samo lewicowe sumienie pozwalało służyć "faszystowskiemu reżimowi" nawet w urzędach cenzury, gdzie nie zawsze puszczano płazem tego rodzaju wyskoki.

Zastrzegam się od razu, że pisząc te słowa i podstawiając pod każde z mych twierdzeń konkretną osobę z owego światka lewicowych pisarzy i poetów, nie mam na myśli Czesława Miłosza i chodzi mi tutaj bardziej o atmosferę środowiska, niż o poszczególne postacie. W tej atmosferze bowiem tylko mogła się zrodzić łatwość, z jaką pisarze podporządkowali się nowej dyktaturze. Brak istotnego podłoża ideowego w połączeniu z lewicową frazeologią torował im w tym kierunku drogę.

Musi jednak przyjść moment krytycznej oceny dokonanego wyboru. Rozpiętość pomiędzy słowami a rzeczywistością rośnie z każdym dniem. Brutalność wymagań komunistycznych władców prze również ku temu, by albo przyjąć służbę dla ich celów, albo dokonać pełnej rewizji dotychczasowych pozycji. Propaganda podsuwa przy tym cyrograf nowej wiary przestrajając ją w koronkową szatę sofizmatów i świecidełek dialektycznych. Osładza decyzję jej przyjęcia tysiącem przywilejów. Zobaczmy jak głęboko odbiły się te zabiegi na Miłoszu. Przedtem jednak zatrzymajmy się na pytaniu, co go skłoniło do odrzucenia pokus i przeprowadzenia rewizji swego stanowiska.

"Miałem powody, aby trzymać się nowej Polski, zmierzającej ku socjalizmowi i tak było do czasu... kiedy naśladowanie

wzorów sowieckich stało się w Polsce obowiązujące dla pisarzy. Wtedy powiedziałem: "Nie". W tych słowach, wyjętych z artykułu Miłosza, streszcza się jego konflikt i wypukła moment decyzji. Kropka. Nic więcej? Próżno szukać po całym jego artykule rozszerzenia platformy konfliktu. Dochodzi się tylko do wniosku, że wszystko inne mogło być tak, a mogło też być inaczej. Cały dramat odbył się w zamkniętym świątku literata.

Jego "Nie" nie jest protestem przeciwko dyktaturze, przeciwko obcym rządóm, przeciwko terrorowi i nieprawieniu społeczeństwa strachem. Jego "Nie" obce jest tragediom ludzkim, które widział Miłosz w Polsce i sam określił, że "w zestawieniu z nimi błędną tragedie antyczne". To policja zapukała do mieszkania poety, to cenzor upomniął się zbyt natarczywie o swe prawa, to urząd propagandy położył rękę na jego twórczości. I tu dopiero nastąpił kryzys.

A gdyby tak nie nakazano naśladować ściśle wzorów sowieckich, gdyby pozwolono dalej uprawiać dla siebie własny literacki ogródek, to można byłoby dalej służyć "ludowo demokratycznej ojczyźnie"? Z toku artykułu Miłosza, niestety, wynika, jeśli go rozumiem, odpowiedź twierdząca. Więcej, znajdujemy usprawiedliwienie takiej służby.

"Organizacja życia literackiego nie była dla mnie czymś szczególnie uciążliwym" — stwierdza Miłosz. Potrzebę podporządkowania się rygorom władzy przyjął on jako naturalną konsekwencję korzystania z przywilejów, jakimi pisarz został wyposażony. Wstydliwą stroną tego stosunku pisarza-najmity do najemcy osłania jeno takim znamienym wynurzeniem: "Obowiązki pisarza są określone jako usługi, które winien jest on tym, co go utrzymują, to jest przede wszystkim ludziom zaangażowanym w bezpośrednich procesach produkcji, a więc robotnikom i chłopom". Czego tu więcej: naiwności czy jakiegoś zaczadzenia kłamstwem propagandy komunistycznej, stawiającej znak równania pomiędzy robotnikami i chłopami a kliką, sprawującą dyktaturę nad tymi masami? Od pisarza, który sam stwierdza, jak głębokie znaczenie mają dzisiaj problemy społeczne, można wymagać odróżniania propagandowej bzdury od istoty zjawiska. Przecież ta organizacja życia literackiego w reżimie komunistycznym wymaga usług wzmacniających reżim nie zaś służby dla sprawy robotniczej czy chłopskiej. Dyktatura komunistyczna i masy pracujące — to siły przeciwstawne, a nie pokrywające się wzajemnie. Usługi, oddawane jednej z nich, są w istocie ciosem, zadawanym drugiej.

Dopóki podobne kłamliwe formułki mają jakkolwiek walor w umysłach ludzkich, dopóty współpraca z reżimem opiera się na dość mocnych podstawach. Można przypuszczać, że wielu ludziom w Polsce takie frazesy oficjalnej propagandy nadal służą dla uspakajania sumień. Nie ma to jednak nic wspólnego z prawdziwym stanem rzeczy.

Proces psychologiczny, prowadzący do konieczności rewizji pozycji pisarza, który współpracuje z reżimem a chciałby zachować choć minimum intelektualnej wierności sobie samemu, został przedstawiony przez Miłosza z całą wiernością — można sądzić — samoanalizy. Warto powtórzyć jego słowa:

"Większość pisarzy cierpi na rozdwojenie i na to rozdwojenie musi być znaleziona rada. Wyrzeczenie się prawdy na rzecz literatury propagandowej i utylitarnej *jest możliwe* jeżeli jest to wyrzeczenie się w imię czegoś. Tutaj dochodzimy do konieczności przyjęcia Nowej Wiary drogą praktyki: jeżeli praktykujesz, musisz wreszcie uwierzyć pod grozą albo zdradzenia się, albo wpadnięcia w zupełne rozbiecie własnej osoby. Dosięga się wreszcie punktu, w którym odpowiedź samemu sobie na pytanie, czy jest się poganinem czy nawróconym, nie da się dłużej odkładać".

Pozostawmy na boku zbyt już hojnie darowaną swobodę rozmijania się z prawdą nawet w literaturze propagandowej i utylitarnej. Prowadzi to prostą drogą do rozgrzeszenia Goebbelsa i jego sowieckich mistrzów. Zatrzymajmy się na samym procesie wyboru w obliczu Nowej Wiary, czyli mówiąc po prostu — komunizmu, oraz na wpływie praktykowania tej wiary chociażby nawet bez przekonania.

Autor praktykował. Jakim zaś ciężarem to pięcioletnie praktykowanie w atmosferze sloganów komunistycznych i nowej obyczajowości, nakazującej przy każdej okazji powtarzać przepisowe formuły, spada na osoby praktykujące widać na samym Miłoszu. Do dziś drży on przed tą nową wiarą — komunizmem. Odrzucił ją, ale wciąż gniewa się pod jej potęgą. Istotnie, przypomina poganina, który narzuconemu bożkowi nie dowierza, ale jest pełen lęku przed jego siłą, o ileż większą, niż okazywały dawne bogi. "To, co takiemu (komunistycznemu) rozumowaniu może przeciwstawić poganin, jest o c z y w i ś c i e znacznie słabsze".

Rozumiemy dlaczego cały bunt poety zamknął się w jego osobistym, jednostkowym świecie. Strach przed nowymi bożkami goni go jeszcze tu wśród ludzi wolnych. Trudno też o bardziej jaskrawe przyznanie się do bezsily ideowej. Nic dziwnego, że przy takiej postawie, w takim kompleksie niższości, przyjęcie komunizmu staje się właściwie koniecznością. Bo jeśli, jak mówi Miłosz, po stronie komunizmu jest ściśle naukowa metoda usunięcia niedoskonałości świata, a po drugiej stronie działają tylko ciemne siły tradycji, czyż wynik starcia nie jest z góry przesądzony? Bunt poety jest tutaj nie tylko wynikiem zamknięcia pokoju jego kapliczki, ale również ogranicza się jedynie do jej rozmiarów. Jest on osobistą sprawą indywidualnego szaleństwa.

A przecież tak nie jest. Bunt Miłosza, czy za jego wolą czy przeciw niej stanowi zjawisko natury społecznej. Ujawnia kryzys

świadomości nie tylko pisarskiej, ale kryzys zachodzący zapewne w duszach wszystkich tych, którzy tak lub inaczej dali się unieść fali komunistycznej. Byłoby też tragiczne, gdyby kryzys ten obracał się tylko wokół motywów Miłosza, mówiących o beznadziejności zerwania z nową wiarą i rokujących buntownikom los robaka, miażdżonego na drodze historii "w grzmocie czołgów i łopocie sztandarów". (Jakże głęboko zasiały w duszy Miłosza, a zapewne nie jest on odosobniony, echa wspaniale reżyserowanych rewij komunistycznych!) Czy mamy się z tym pogodzić? Czy nie ma ideału, który można byłoby przeciwstawić komunizmowi?

W przytoczonej już cytacie Miłosz mówi o Polsce, zmierzającej do socjalizmu. To go pociągało. Socjalizm więc był dla niego ideą bliską. Dla autora tych słów jest jasne, że ideał socjalizmu wystarczył nadal za zbroję przeciw komunizmowi. Przecież komunizm jest skarykaturowaniem wielkiej idei klasy robotniczej i nie tak trudno spod wypaczonego obrazu wydobyć prawdziwe jej rysy, zwiastujące wolność narodom i narodziną człowieka — władcy swego losu. Setki tysięcy robotników i pracowników w Polsce potrafiło się nie poddać urokowi "łopotu zwycięskich sztandarów", chociaż ich kolor tak ich sercom bliski. Z potoku kłamliwych słów o realizowaniu socjalizmu w Polsce potrafili uratować prawdziwą o nim pamięć. Wystarczy czytać skargi i gromy oburzenia reżimowej prasy na socjal-demokratyczne odchylenia wszędzie tam, gdzie coś jeszcze ma do powiedzenia robotnik, by poznać siłę socjalistycznego ideału, przechowywanego pod tyranią sowiecką. Czyżby intelektualści, których rzemiosłem jest myślenie, byli łatwiej ulegający dialektycznym sztuczkom unicestwiania prawdy? Miłosz, zda się, zapomniał o tym niedawnym dlań ideale Polski, zmierzającej do socjalizmu.

Sieć pseudo-naukowych uogólnień, którą komuniści podają do wierzenia z brutalnym prostactwem, okazała się na tyle skuteczna, że w oczach Miłosza wyrosła do przemożnej siły intelektualnej, komunizm zaś, według jego słów, jako Nowa Wiara "dostarcza wyczerpujących i dostatecznie uzasadnionych odpowiedzi, stanowi system myślenia wybitnie współczesny i wsparty analizą historii". A przecież, wystarczyłoby trochę poznanie historii komunizmu, tylko nie z "Krótkiej Historii WKP(b)", aby zdać sobie sprawę, że jeśli w systemie komunistycznego myślenia jest coś twórczego, to zrabowane zostało myśli socjalistycznej. Na szkieletcie zaś tej myśli rozpięli bolszewicy czysto użytkowy materiał kłamstwa, sporządzonego na potrzeby tyranii. I bynajmniej nie trzeba wchłaniania i przemyślenia osiągnięć teoretycznych bolszewików ani nowych odkryć, wystarczy metoda analizy historycznej i gospodarczej, której wzór dali klasycy socjalizmu, by odkryć i źródła historyczne komunizmu w dziejach carskiego imperium i jego podstawy klasowe w nowej warstwie wszechwładnej biurokracji

oraz zrozumieć antyspołeczny charakter całej praktyki komunizmu, którego symbolem stały się łagry. Nie. Przyjąć tezy o intelektualnej sile komunizmu nie można. Jeśli po jego stronie jest siła, to wyrażają ją czołgi i przemysłna sieć NKWD, ale nie polot sztandarów.

Opowieść swą nazwał Miłosz "historią pewnego samobójstwa". Stoi mu przed oczyma ponura wizja końca literackiej kariery i w ogóle końca. Można sądzić jednak, że tony te wynikają tylko z oszołomienia, wyniesionego z "praktykowania wiary". Teraz jednak, gdy wyzwolony z potrzeby bicia czołem przed jakimkolwiek oltarzem, rozejrzy się w wolnym świecie, łatwo zapewne dostrzeże, że zmora, która, zda się, wciąż go jeszcze dusi, daleka jest od opanowania całego globu. Socjalizm też przedstawi mu się w innym zupełnie świetle, niż to, którym olśniewała czy oślepiła Miłosza propaganda komunistyczna. Zobaczy wielki nurt, który bez gwałtu nad człowiekiem, bez fanfar i półbogów, przeobraża w naszych oczach Wielką Brytanię, żłobi nowe życie Skandynawii, wyciska dominujące piętno nawet w Stanach Zjednoczonych, chociaż przybiera tam odmienne formy i innymi posługuje się symbolami.

Można wierzyć, że nurt ten, chociaż mniej dekoracyjny, ale za to o ileż głębszy i zupełnie samorodny, pozwoli Miłoszowi ostatecznie otrząsnąć się z szoku pięcioletniego obcowania z nieludzką maszyną sowieckiego totalitaryzmu. Jasne też stanie się wówczas dla niego, jak jasne jest dla piszącego te słowa, że praca w szeregach reżimu panującego w Polsce nie prowadzi i nie prowadzi do Polski socjalistycznej. Ta sprawa była i jest w Polsce dziełem ludzi, którzy stali być może gdzieś obok Miłosza, nieznanymi mu, szczuci przez Bezpiekę.

A może znajdzie inną busolę, którą wyznaczy swój kierunek walki z potwornością świata, zostawionego za sobą. Ważne jest, by znalazł. Gdy znajdzie, nie będzie mowy o samobójstwie poety, lecz o jego wyzwoleniu.

Zygmunt ZAREMBA.

List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta KULTURY)

Sprawa Miłosza

Oddalamy się od Kraju z każdym miesiącem, z każdym rokiem. Z Emigracji stajemy się Polonią — organizmem o własnym krwiobiegu, o własnych sprawach, ambicjach, planach.

Gdy zdarzy się, że ktoś do nas przyjedzie stamtąd — jak ostatnio Czesław Miłosz — mamy możliwość wymierzyć ów tragizm naszego oddalenia od autentycznego losu Polski.

Dramat polski, nie mający analogii w dziejach naszego narodu, — toczy się bez nas i poza nami.

Sprawa bowiem wygląda tak: my nie walczyliśmy z komunizmem, tylko odrzucamy komunizm. Na emigracji, praktycznie biorąc, nie ma komunistów i wskutek tego nie rozważamy doktryny i filozofii, którą zgodnie odrzucamy. Odrzucamy komunizm z zasady — ze względów uczuciowych, religijnych, patriotycznych.

Na tego rodzaju stosunek Emigracji do komunizmu złożyło się wiele specyficznych przyczyn. Dla nas jest całkowicie obca droga, jaką przebyli Koestler, Silone, Hyde, którzy, nim komunizm odrzucili, wpierył go przeżyli, poznali, przecierpieli w zmaganiach z samym sobą.

Musiśmy jednak pamiętać o tym, że nasza reakcja na komunizm i uodpornienie, które wielu z nas okupiło sowieckim łagrem — jest czymś wyjątkowym w Europie. Ludzi, którzy przeszli tego typu anty-komunistyczne szczerzenie i znaleźli się powtórnie na wolności — jest niewiele. Taki masowy wyjazd łagierników poza Rosję był wydarzeniem całkowicie wyjątkowym.

Z tych samych przyczyn, historia naszego anty-komunistycznego poglądu jest również wyjątkowa. Istnieją miliony anty-komunistów na Zachodzie i w Ameryce, którzy do tej postawy doszli zupełnie inną drogą niż my.

W związku z tym, popełniamy wielki błąd, sądzymy bowiem, że historia naszego anty-komunistycznego nastawienia jest również historią ogólnie polskiego anty-komunizmu. Dzięki temu formujemy sobie niezmiernie uproszczony pogląd na Kraj. Uproszczony i fałszywy.

Ponieważ na emigracji odrzucamy komunizm z zasady — uważamy, że Polacy w Kraju, w 98% również odrzucają komunizm z zasady, rezygnując z bliższego zapoznania się z teorią tej doktryny. Nasi mężowie stanu i politycy, którzy piorunują na komunistyczne agentury, w życiu swoim — w znakomitej większości — nie czytali ani Marksa ani Lenina i nikt od nich tego nie wymaga. Albowiem to co wiemy o komunizmie, wystarcza nam by go potępić bez specjalnych studiów i dociekań.

Jeżeli jednak weźmiemy do ręki prasę krajową, choćby krakowski, katolicki "Tygodnik Powszechny" to przekonujemy się natychmiast, że w Polsce, dla bardzo znacznego procentu ludzi, komunizm nie jest doktryną, którą by wystarczało propagandowo spiorunować.

Miłosza osobiście nie znam. Nie podzielałam również wszystkich jego opinii jakie wyraził w swym artykule, w majowym zeszytcie "Kultury". Jego wypowiedź wywarła na mnie jednak wielkie wrażenie bo wiem, że Miłoz nie jest wyjątkiem. Podobne dramaty toczą się w duszach tysięcy i dziesiątek tysięcy Polaków — w osamotnieniu — w rozterce — w rozpaczce.

Tu, na emigracji wielu naszych intelektualistów przyjmuje wyniosłą pozę "Klubu Trzeciego Miejsca" odrzucając komunizm

i pogardzając Zachodem. Oni są wyżej ponad współczesny konflikt, który rozdarł świat. Dramat toczy się poza nimi. Głoszą, że ów konflikt to tylko "business" między wielkimi — Rosją a Ameryką — i nas nic to nie obchodzi.

W Polsce, ludzie są młodem a kowadłem konfliktu. Komunizm jest tam ofensywną siłą dysponującą mózgiem, talentami, literaturą, prasą, radiem, teatrem — jest doktryną, która w pełni wykorzystuje słowiańską pogardę dla Zachodu — tak świetnie zresztą reprezentowaną przez wielu pisarzy na emigracji.

Artykuł Miłosza w "Kulturze", przez większość pism polskich na emigracji został skomentowany negatywnie. "Dziennik Polski" skwitował wypowiedź Miłosza złośliwą uwagą, że gdyby jeszcze rok popracował dla reżimu "Kultura" poświęciłaby mu zapewne cały numer. W londyńskich emigracyjnych kołach literackich zawrzało ("Jako — ledwo się zjawiał już mu wydają książkę?"). Znakomity autor "Silva Rerum" w "Wiadomościach" oburzył się i napiętnował. "Wiadomości" mają rację piętnując pewne sformułowania Miłosza, jak np. nonsens o "pół-feudalnej" strukturze Polski przedwojennej. Lecz to są dwie sprawy różne: I. Czesław Miłoz i II. Sprawa Miłosza. Interesuje nas wyłącznie zagadnienie drugie, jest to bowiem problem kardynalny — problem Polaków komunistów, czy pół-komunistów — którzy przejrżeli.

Co leży u dna tych reakcji?

Genezą tych reakcji jest przeświadczenie o niebywałej naszej wyższości. Jako — Miłoz potrzebował aż 5 lat, by się przekonać, że komunizm do niczego nie prowadzi? Myśmy wiedzieli to od samego początku. Polakowi na emigracji nie może pomieścić się w głowie, że ktoś będąc przy zdrowych zmysłach mógł komunizm traktować serio, sympatyzować z nim, wierzyć w jego misję, ludzić się i wreszcie stracić w niego wiarę. Jeżeli już jednak taki istotnie się trafił, który potrzebował aż 5 lat, by się przekonać o tym, co dla nas było oczywiste od samego początku — to nie nawrócił się szczerze, tylko ze strachu, gdy ziemia zaczęła mu się palić pod nogami.

Jakże takiemu się równać z tymi — co wszystko wiedzieli i zawsze mieli rację.

Wydaje mi się, że jest to psychologia wręcz niebezpieczna. Tego rodzaju postawa może nas całkowicie odciąć od Kraju. Dosłownie odciąć!

O Miłoszu jest głośno, bo Miłoz jest poetą i pisarzem, był kimś i miał możliwość wyjazdu za granicę. Ale ilu jest w Polsce Miłoszów, którzy szamocą się z "nową wiarą" — zwątpili, a nie są ani głośnymi pisarzami, ani nie mają możliwości ucieczki na Zachód. Złośliwa notatka polskiego dziennika londyńskiego była zaadresowana również i do nich.

Oczywiście, że nasi emigracyjni wieszczowie, którzy przy każdej okazji podkreślają, że mają czystą "hipotekę polityczną",

którzy nie tylko nie upadli, ale nawet nie zająknęli się nigdy w swej prawowierności — odpowiedzą na to: każdy, co latami siedzi na tłustej reżimowej posadzce, gdy zwącha pismo nosem — "wybiera wolność". Czy taki b. bierutowiec jest równie dobrym Polakiem jak ci, co grosza nie wzięli z kas reżimowych i fizyczną pracą zarabiają na emigrancki kęs chleba?

W takich dyskusjach pada zwykle nazwisko p. Modelskiego. I ja pozwolę sobie wziąć go za przykład.

W każdym społeczeństwie istnieje pewien procent oportunistów i karierowiczów. Są i tacy wśród Polaków. Jeżeli powiedziałem, że naszą postawą odcinamy się od Kraju, miałem na myśli reakcję Emigracji, która powoduje, że automatycznie, każdego Polaka, który był komunistą a następnie się nawrócił — uważamy za kanalię i oportunistę. Tego rodzaju postawa jest obelgą dla narodu polskiego. Dlaczego te same polskie pisma, drukują Koestlera i zachwycają się Silone? Dlaczego Koestler, czy Wright, nie są oportunistami, a musi być oportunistą Miłosz? Czy tylko dlatego, że jest Polakiem? Koestler, na swoim nawróceniu zrobił wielką karierę i pieniądze — nie przewiduje takich dywidend z nawrócenia Miłosza.

Zdaję sobie sprawę, że "niezłomnych" nie przekonałem.

— Jakto? — woła taki pan, przy pół czarnej w "Orle Białym" — Miłosz dopiero w 1951 zauważył, że pisarz w bierutowej Polsce nie jest wolny? Taki inteligentny i wybitny, a tego nie wiedział?

Cóż można na to odpowiedzieć?

Douglas Hyde, którego książka pt. "I believed" cieszy się zasłużoną sławą — potrzebował nie 5, lecz 20 lat, by przejrzeć, zerwać z komunizmem i przejść na katolicyzm.

"Niezłomni", którzy mają często tę wadę, że niczego nie rozumieją — mogą zapytać p. Hyde'a:

— My co niedzielię na dwunastówce w Brompton Oratory, a potem u Dakowskiego na kawie, a pan, panie drogi, przez 20 lat tu, w Anglii, służył komunistom by dopiero w 1951 r. zostać katolikiem?

A jednak, jeżeli kto jest niezłomny, jeżeli kto jest katolikiem, jest nim Douglas Hyde! Z jego książki bije moc i wewnętrzna najczystsza rzetelność.

Sam fakt zerwania z komunizmem nie może rozgrzeszać z poprzedniej służby dla reżimu. Sprawy te muszą być traktowane indywidualnie. Byłoby jednak w najwyższym stopniu krzywdzące, gdybyśmy każdego Polaka, który zerwał z reżimem traktowali na równi z p. Modelskim. W ten sposób rozumując musielibyśmy bowiem dojść do wniosku, że dobrzy Polacy są tylko na Emigracji. Ponieważ pogląd ten brzmi zbyt absurdalnie, nawet dla najbardziej "niezłomnych", skonstruowaliśmy inną fikcję mianowicie, że w Kraju są tylko agenci Kremla, garstka karierowiczów — a komunistów Polaków z wiary i przekonania w ogóle nie ma!

Prawda — jak zazwyczaj — leży w środku.

Gdyby Polska nie miała granicy od wschodu i zachodu z Sowietami, gdyby nie było armii sowieckiej na ziemiach polskich, gdyby jednym słowem, nasz Kraj nie był w orbicie wyłącznych wpływów rosyjskich — komunizm polski nie miałby szans rozwoju. Ponieważ jednak geopolityczna koniunktura stworzyła polskiemu komunizmowi wielką szansę — mógł on rozwinąć się ponad miarę swego istotnego potencjału. Dotyczy to przede wszystkim młodzieży, pewnego procentu robotników, pewnego procentu inteligencji.

Cóż my wiemy tu, na emigracji, o tragediach polskich komunistów, którzy utracili wiarę? Dla których nie ma możliwości ucieczki na Zachód. O tysiącach zrozpaczonych, samotnych, szczutych, niepewnych ani dnia ani godziny. Cóż wiemy o tych, którzy powędrowali w bramy Bezpieki za "nacjonalistyczne odchylenie"? Co wiemy o dziesiątkach tysięcy powojennych pół-inteligentów, którzy nie mieli dość wiedzy, by odeprzeć ofensywę dialektycznej "nowej wiary", dość siły by rozegrać jasno walkę o kształt własnego światopoglądu, którzy szamotali się w bezradnej samotności nim ulegli przewadze komunizmu? Co wiemy o nowym pokoleniu polskim, chowanym od dziecka w bezkrytycznym kulcie dla "nowej wiary i w pogardzie dla łacińskiego Zachodu?

Nie wolno się nam ani od tego odciąć ani załatwić tej sprawy kilkoma okrągłymi frazesami. To jest polska Historia, tragiczna treść dziejów naszego narodu na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia.

P. H. Wielopolski, w liście do redaktora "Kultury" pisze, że nie będzie kupował naszego miesięcznika — dopóki "nie zdeklarujemy się ideowo". Uważa, że publikując "Nie" Cz. Miłosza zesłaliśmy "z platformy niepodległościowej".

P. Wielopolski przewiduje również, że "sporo takich łotrów się znajdzie i będzie ich ciągle przybywało, w miarę jak sowietyzacja w Polsce będzie postępować... a głupi i poczciwy Zachód w ich bzdury i pokajania uwierzy".

Czytając ten list przypomniałem sobie, jak pewien polski tygodnik, którego redaktora zbyt wysoko cenię by jego pismo tu wymienić — natrząsał się niedawno z tolerancji Anglików. Chodziło o sprawę dyplomaty czeskiego w Indiach, p. Kratochwila, który odmówił powrotu do Pragi i poprosił Anglików o prawo azylu.

Cóż za szczęście, że nie od polskich emigrantów zależy udzielenie prawa azylu innym politycznym zbiegom! Gdyby stosowanie tego prawa było w rękach p. Wielopolskiego a nie w rękach "głupiego i poczciwego zachodu" — politycznymi zbiegami zaludnilibyście co najwyżej... Berezy.

Anglicy uważają, że wyuczone pokajania istnieją tylko za "żelazną kurtyną". My uważamy, że Polacy kłamią i "kajają

się" nawet z łamów niepodległościowej prasy, drukowanej na Zachodzie.

Wydaje mi się, że jeżeli ktoś publicznie stwierdza, że stracił wiarę w komunizm — jest to akt, który winien budzić szacunek, w żadnym wypadku kpiny. Nie jest bowiem to samo, przestać być komunistą, co przestać być członkiem emigracyjnego NiDu. Głębia przeżycia, bywa zwykle nieco większa w wypadku pierwszym!

To są sprawy bolesne i niezmiernie trudne. Trzeba pamiętać, że w państwie totalistycznym — jakim w tej chwili jest Polska — 85 % ogółu obywateli, musi w takiej, czy w innej formie współpracować z reżimem.

Oczywiście, inną odpowiedzialność za współpracę z sowiecką agenturą ponosi Tuwim, czy Broniewski, a inną kierowca miejskiego autobusu, czy listonosz. Nikt jednak chyba sobie nie wyobraża, że kiedyś w Polsce powołamy trybunały norymberskie i miliony Polaków będziemy sądzić i skazywać.

A jednak zdrajcy powinni być ukarani. Jeżeli chodzi o zdradę, nie ma okoliczności łagodzących. Wydaje mi się przeto, że problem trzeba zacieśnić do tych, może tylko kilku tysięcy ludzi, którzy na kluczowych stanowiskach, z pełnią świadomości są aktywnymi współtwórcami sowietyzacji Polski. Niewątpliwie, do tej kategorii ludzi należą pisarze współpracujący z reżimem.

Komunizm ma dwa oblicza. Jest sprawą polityki i jest sprawą sumienia. Jest i wiarą i imperializmem. Pisarz, który współpracował z reżimem i wierzył w komunizm ma przed sobą tylko jedną drogę: oświadczyć publicznie, że stracił wiarę w ideologię "nowej wiary" i że pragnie służyć sprawie wolności. Miłosz tak postąpił. W swym odczycie, wygłoszonym w Paryżu, oświadczył, że pragnie służyć ideom, reprezentowanym przez Zachód i poddał druzgocącej krytyce instytucję "nowej wiary".

Należy to docenić. Nie są to akty, ani łatwe, ani proste. Jeden z czołowych pisarzy emigracyjnych, do tej pory nie odwołał publicznie swej faszystowskiej książki wydanej w Polsce na krótko przed wojną. Do dziś pamiętam okładkę tej kosztownej książki z lasem rąk w hitlerowskim pozdrowieniu. Dla sympatyków faszystowskiego totalizmu byliśmy zawsze raczej wyrozumiali.

Innego typu odpowiedzialność niż na pisarzach, ciąży na komendantach obozów pracy przymusowej, na funkcjonariuszach Bezpieki, na członkach Politbiura PPR'u itp. Jeżeli oczekamy się Polski wolnej i niepodległej, ludzie ci odpowiedzą za swoje czyny. Jeżeli jutro zjawiliby się w Paryżu czy w Londynie dostojnik Bezpieki, który ma na sumieniu śmierć tysięcy Polaków i prosił o azyl — to sam fakt "wybrania wolności", nie może rozgrzeszać takiego człowieka ze zbrodni jakie popełnił.

Ale pisarz nie jest agentem Bezpieki (w każdym razie nie musiał nim być!) i jego kolaboracja polega na tym, że swym piórem służy idei komunistycznej. Jeżeli publicznie zrywa z komunizmem i pióro swoje zwraca przeciw "nowej wierze" — czegoż można więcej od niego wymagać?

Jeżeli mówimy o odpowiedzialności za czyny popeinione przed zerwaniem z komunizmem, to nie wiem czy w jakimkolwiek ustroju demokratycznym byłoby rzeczą możliwą pociągnąć pisarza do odpowiedzialności w związku z jego poprzednimi przekonaniami politycznymi. W Anglii nikt nie będzie pociągał do odpowiedzialności Douglasa Hyde — dziś wybitnego katolika — za artykuły, jakie latami ogłaszał w "Daily Worker".

Czytelnik może zauważy, że z polskiego punktu widzenia ta demokratyczna zasada jest jednak tylko w połowie słuszna. Różnica pomiędzy p. Miłoszem a p. Hyde polega bowiem na tym, że Anglia nie jest przez nikogo okupowana, a p. Hyde przez 20 lat był członkiem legalnej partii politycznej. Polska natomiast, jest krajem okupowanym przez Rosję i kto jest uznawanym pisarzem, automatycznie współpracuje z okupantem.

Trudno zaprzeczyć logiki takiemu rozumowaniu. Jeżeli jednak powyższy punkt widzenia miały obowiązywać musieliśmy konsekwentnie całą obecną literaturę polską postawić na równi z gadzinówkami, które wydawały po polsku (i pisane przez Polaków) okupacyjne władze niemieckie w Polsce, w czasie wojny.

To byłby absurd. "Bolesława Chrobrego" A. Gołubiewa uważam osobiście za jedno z najwspanialszych dzieł jakie napisano w języku polskim na przestrzeni ostatnich 100 lat. Wydał je "Czytelnik".

A więc nie każdy pisarz, który w Polsce wyda książkę u reżimowego "Czytelnika" jest kolaborantem i zdrajcą. W takim wypadku musieliśmy bowiem uznać za zdrajcę również i Gołubiewa.

I tak doszliśmy do sedna sprawy: nie jest ważne gdzie dał pisarz pióro i kto mu jego książkę wydawał — ważne jest jedynie co pisał?

Z twórczości Broniewskiego, która miała tak wspaniałe karty — nikt i nic nigdy nie wymaże bizantyńskiej ody do Stalina. Nie wywyższyła ona dyktatora sowieckiego, ale zrównała z błotem autora "Bagnetu na broń". I z tego błota nie ma zmartwychwstania.

Za swą twórczość pisarz odpowiada zawsze. Odpowiada za nią również i Czesław Miłosz.

Z tego, co powyżej powiedziałem proponowałbym wyciągnąć następujące wnioski:

Nie należy na emigracji budować fałszywego obrazu Kraju,

albowiem Kraj nie oczekuje od nas cukierkowej sztancy, tylko prawdziwego zrozumienia jego dramatu.

Emigracja nie jest zamkniętym klubem, jak wyobraża sobie to p. Wielopolski i wielu innych. Nie jesteśmy ani nową "kadrowką" ani legionem zasłużonych. Nie mamy również monopolu na przymiotnik "niepodległościowy", albowiem znakomita większość narodu polskiego zawsze była i jest niepodległościowa.

Na emigracji, słowo "niepodległościowy" zaczyna zatracać sens ogólnopolski, a staje się terminem słownictwa partyjnego. W myśl nomenklatury pism obozu rządowego określenie "niepodległościowy" przysługuje wyłącznie ugrupowaniom popierającym rząd. Jesteśmy o krok od tego, że oficjalnym niepodległościowcem będzie można być tylko z nominacji, lub z nadania.

I punkt ostatni — nowi emigranci. Reakcja, która każe nam każdego nowego emigranta politycznego uważać za zdrajcę, kanałię, sprzedawczyka — może nas do reszty odciąć od Kraju. Z punktu widzenia politycznego, tego rodzaju postępowanie jest szaleństwem i na Polakach w Kraju wywierać musi jak najfatalniejsze wrażenie. Tego rodzaju postępowaniem współpracujemy gorliwie z propagandą reżimową.

Nie sądzę by w zagadnieniach nowych emigrantów możliwe było ustalać sztywne reguły z wyjątkiem tej jednej: nie wolno w żadnym wypadku z góry wykluczać czyjejs dobrej woli i szczerości. Nikogo nie wolno potępiać, nie dając mu możliwości obrony.

Wydaje mi się, że jest rzeczą każdego nowego emigranta przedstawić swą sprawę publicznie — jak zrobił to Miłosz. Wielu nowych emigrantów nie postąpiło w ten sposób i przypuszczając należy, że wszyscy ci, którzy "wybierają wolność" tylko ze strachu i z obciążeniami w przeszłości — nie zdeklarują swej postawy jasno i otwarcie. Od takich mamy obowiązek się odciąć.

Lepiej jednak, byśmy przyjęli do naszego grona 10 oportunistów niż żebyśmy odtrącili jednego, szczerze nawróconego, który wyciągnął do nas rękę jako do tych, którzy reprezentują Imię Polskie na wolności.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Odpowiedź

W związku z moim artykułem w majowym zeszytacie "Kultury" wypowiedziano pewne uwagi na łamach pism emigracyjnych. Uwagi te wydają mi się interesujące, dlatego spróbuję się nad nimi w liście zastanowić.

1) Od września 1939 upłynęło niemal dwanaście lat i w chwili obecnej istnieje już zasadnicza trudność porozumienia się pomiędzy Polakami z kraju i Polakami z emigracji. Zdawało by się, że będąc wychowankiem przedwojennej szkoły i przedwojennego uniwersytetu nie odbiegam szczególnie sposobem myślenia od ludzi, którzy wyjechali z Polski w r. 1939, mimo że przez te lata byłem związany z krajem. Tak jednak nie jest. Cóż mówić o młodszych, uformowanych w Polsce w zupełnie innych warunkach. Trzeba stwierdzić ten fakt, jak myślę, bardzo ważny.

2) To samo zdanie może mieć dwa różne znaczenia dla dwóch czytelników przebywających w różnych "aurach". Biorąc np. fragmenty jakiegoś artykułu i pokazując je czytelnikowi z emigracji, a także czytelnikowi z Polski, można by przeprowadzić ciekawe testy. Miałem sposobność zauważyć, że wielu Polaków przebywających na Zachodzie uważa za "nudę", "banał" i "doktrynerstwo" pewne sformułowania, które przez czytelników w kraju są uważane za śmiertelnie poważne sprawy (słowa "śmiertelnie" nie używam jako ornamentu). Tym prawdopodobnie można wytłumaczyć często spotykane u Polaków "zachodnich" lekceważenie dla głębokich przemian świadomości jakie zachodzą w Polsce.

3) To, że wszyscy Polacy "zachodni" są anty-stalinistami nie oznacza, że wszyscy mają te same racje do potępiania stalinizmu. Jeden człowiek nie kapie się w rzece, bo zabronił mu lekarz, drugi bo nie umie pływać, inny bo sądzi, że w rzece są złe duchy, które wciągają za nogi, jeszcze inny, bo po ostatniej kąpieli dostał wysypki. Moim zdaniem słabo usprawiedliwiona jest niechęć do prób udzielenia odpowiedzi na pytanie *daczego* stalinizm jest zły. "Myśmy to dawno wiedzieli" nie rozwiązuje niczego. Gdyby rozwiązywało, ilość zwolenników stalinizmu na świecie nie powiększyłaby się w ostatnich latach o ładną garstkę milionów.

4) Zasadniczym motywem, który powtarza się w artykułach na temat mojej "ucieczki" jest pytanie, dlaczego przez tyle lat służyłem rządowi warszawskiemu i dlaczego "przejrzałem" tak późno. Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba by przede wszystkim stwierdzić, że w kraju nikt nie mógłby go postawić, bo tam uważane jest za pewnik, iż miejsce pisarza jest z narodem,

a pisarz który oderwie się od swoich czytelników, niszczy. Doświadczenie lat wojny, którą spędziłem w Warszawie, utwierdza mnie w przekonaniu, że teza ta jest na ogół słuszna. Gdybym nie miał za sobą lat pod okupacją niemiecką, byłbym człowiekiem wewnątrznie uboższym. Z tej perspektywy mój problem moralny nie polegał na poczuciu winy że służę (wszyscy służą), ale na poczuciu, że winą byłoby odrywanie się od dwudziestu czterech milionów ludzi tzn. wykorzystanie sytuacji uprzywilejowanej: możliwości ucieczki dzięki pobytowi za granicą (ratuj się kto może).

Jeżeli już ktoś chce wnikać w powody dla których służyłem, oto one w skrócie. Gdybym zebrał swoje wiersze, przekłady i artykuły o literaturze, wydrukowane w ciągu tych lat w kraju, złożyłyby się one na kilka książek. Można dać młodemu człowiekowi z Mławy czy Grodziska prac literackich wykonanych według pewnych uczciwych założeń, jest warta królestwa. Jest to jedyny możliwy, jak sądzę, cel pisania w polskim języku.

Sytuacja w kraju rozwijała się w kierunku coraz surowszych rygorów. Nie mogła ukazać się, z powodów politycznych, antologia poezji angielskiej od Chaucera do T. S. Eliota, którą przygotowałem. Z tych samych powodów nie mogła się ukazać antologia moich przekładów z poezji angielskiej, amerykańskiej, francuskiej i południowo-amerykańskiej; nie próbowałem również zebrać w książce swoich artykułów literackich, a wydawca nowego tomu wierszy nie chciałem, aby uniknąć segregacji utworów według kryteriów, którym byłem przeciwny.

W artykułach byłem zmuszony robić coraz większe koncesje linii ortodoksyjnej. Niektóre artykuły, przychylnie dla Zachodu, odrzucano, inne przerabiano. Zerwałem z krajem w chwili, kiedy przekonałem się że muszę swoje wiersze dostosować do wymagań socrealizmu, czego nigdy nie robiłem. Słusznie czy niesłusznie na zerwanie z krajem patrzyłem jako na koniec mojej działalności jako poety i tłumacza poetów.

Błędem jest niedoceniwanie tej siły atrakcyjnej jaką stanowi i n t e g r a c j a pisarza w "demokracjach ludowych": ma on tam "miejsce na ziemi", jest osobistością społecznie cenną. Zerwać z krajem oznaczało więc dla mnie nie tylko dopuszczać myśl, że przestanę być twórczy jako poeta, ale zgodzić się na stracenie poczucia u z y t e c z n o ś c i.

Co do moich poglądów politycznych, to znów trzeba zauważyć, że przedwojenne, czy też obowiązujące dziś na Zachodzie, podziały nie mają w kraju większego znaczenia. Jesteśmy w epoce, w której zaczyna obowiązywać zasada "cuius regio, eius religio". Gdybym musiał siebie określić, to określiłbym tak: na lewo i anty-stalinowsko. Ale to jest pozycja setek

tysięcy ludzi w kraju. Na ogół w sferach intelektualnych w Polsce przeważa opinia, że chcąc coś pożytecznego zrobić, trzeba pić, choćby krzywiąc się z niesmakiem, bo jest jak jest, to jest rzeczywistość. Rozpowszechniony jest fatalizm historyczny, a sprawa Polski nie jest oddzielana od sprawy całej Europy.

Chciałem pić do końca, tak jak piją inni w kraju, ale nie potrafiłem. Żadna ludzka decyzja nie jest możliwa do wyabstrahowania, tj. do wytłumaczenia tylko jedną przyczyną. W moim wypadku główną jednak przyczyną była zwykła niemożność, sięgająca daleko w głąb do moich odruchów etycznych, religijnych i estetycznych, o których mówić tu nie będę.

Jeżeli moja droga życiowa jest zygzakowata (bo wrzucony zostałem w niezwykle wypadki historyczne), to moja droga poetycka wydaje mi się dość konsekwentna. Nie mam potrzeby zapierać się żadnych swoich wierszy pisanych w ciągu ostatniego dziesiątka lat, włączając w to również utwory najbardziej nawet "treściowe" i zjadliwe. Istnieją sfery działania w których można uprawiać kompromisy i sfery działania w których na żaden kompromis iść nie wolno. Dla poety tą sferą jest jego poezja. Czy potrafię pisać wierszem na emigracji, tj. w i d z i e ć swojego polskiego czytelnika, nie wiem.

5) Jeden szczególnie artykuł, w londyńskim tygodniku "Wiadomości", napełnił mnie prawdziwym smutkiem. Nie dlatego bynajmniej, że obłano mnie tam pomyjami. W latach które nas dzielą od r. 1939 widziałem wielu ludzi oddanych swoim drobnym przywiązaniem i nienawiściom, całkowicie nieświadomych że ziemia oto otwiera się im pod stopami a niebo się pali — i zawsze widok tego drobnego ludzkiego życia, które miało być zniszczone przez żywioł historii budził we mnie smutek zmieszany ze zdumieniem. Biedni, biedni nie rozumiejący. Widziałem ich, jak do ostatniej chwili porządkowali swoje bibeloty, złudzenia, dywaniki, antyki — a potem już tylko krew i płomień i zgorzelisko. Ale forma małej pasji, małej troski, małej nienawiści jest trwała, zginie w jednym kraju, przeżywa w innym. I jakimś przekleństwem dziejów można chyba wytłumaczyć, że Polacy, jeżeli ręka władcy nie zmusi ich do zajmowania się filozofią i dialektyką, zawsze potrafią schronić się w lamus pełen słowników, herbarzy, senników i kalendarzy, między pamiętki minionego czasu.

Czesław MIŁOSZ.

Sens przemian gospodarczych w Polsce

1. Wprowadzenie

Artykuł ten jest próbą uporządkowania ocen przemian gospodarczych w Polsce.

Wydaje mi się, że oceny, z jakimi często się spotykamy, nie biorą dostatecznie pod uwagę następujących truizmów.

Że rewolucja, w której Polska znalazła się po wojnie, rewolucja, będąca dopiero w fazie początkowej, jest rewolucją totalną. Jej celem jest przekształcenie według jednolitego modelu całego życia kraju, wszelkiej jego treści i wszelkich jego form.

Że — zgodnie z doktryną komunistyczną — przemiany gospodarcze w przekształceniach tych odgrywają specjalną rolę: dopiero w odpowiednio skonstruowanych warunkach życia gospodarczego możliwe jest osiągnięcie właściwej postawy człowieka i społeczeństwa.

Dlatego oceny fragmentaryczne są przeważnie mało mówiące i — obawiam się — że niekiedy nawet wprowadzają w błąd. Na podstawie analizy odcinkowej nie można wyciągać właściwych wniosków, nie biorąc pod uwagę roli danego przeobrażenia w całokształcie przemian. Na przykład, wzrastające uprzemysłowienie kraju jest zjawiskiem dodatnim z punktu widzenia potrzeb rozwojowych Polski. Musimy jednak wprowadzić ważne uzupełnienia do takiej właśnie oceny, gdy bierzemy pod uwagę polityczną i socjologiczną rolę uprzemysłowienia w tym znaczeniu, jakie jej nadaje doktryna komunistyczna. Postęp techniczny rolnictwa jest również zjawiskiem dodatnim, ale postęp techniczny rolnictwa jest zarazem środkiem bardzo drastycznej i ograniczającej człowieka przebudowy światopoglądowej.

Fragmentaryczność ocen może na przykład prowadzić do wniosku, że wprawdzie struktura gospodarcza Polski ulegnie gruntownym zmianom — częściowo dodatnim, częściowo ujemnym — ale te zmiany struktury gospodarczej nie naruszają światopoglądowych podstaw społeczeństwa. Nie jestem w stanie ocenić odporności społeczeństwa na wpływy wychowawcze systemu, zwłaszcza na wpływ wychowawczy, jaki mają wyrzecz

przemiany gospodarcze. Nie jestem w stanie ocenić siły oryginalnego życia i rozwoju wewnętrznego człowieka w Polsce bez względu na wpływ warunków zewnętrznych. Na jedną rzecz trzeba jednak zwrócić uwagę, a mianowicie, że jednym z najważniejszych celów przebudowy gospodarczej jest odpowiednie urobienie człowieka i społeczeństwa. Jeśli jest to jeden z najważniejszych celów systemu, to nie można go lekceważyć. Przede wszystkim należy liczyć się z uporem w realizowaniu tego celu i w forsowaniu przemian gospodarczych, jako metody osiągnięcia odpowiednich rezultatów wychowawczych. Następnie, trzeba się liczyć z faktem, że to, co człowiek codziennie słyszy w związku z zaspakajaniem najbardziej powszednich potrzeb jego bytu materialnego, posiada — pomimo wszystko — jakąś siłę drażenia.

Wydaje mi się również, że jeśli od ocen fragmentarycznych przechodzimy do odcyfrowania sensu całości przemian, to inne znaczenie przywiązujemy do twierdzenia, że wprawdzie cele i metody przebudowy nie są polskie, ale realizacja odbywa się rękami Polaków, a więc polskie przekonania realizatorów muszą wycisnąć swoje piętno na wynikach. Rozumiem intencje tego rodzaju interpretacji. Jest ona swego rodzaju odtrutką na zbyt duże dozy pesymizmu, jakimi karmiony jest czytelnik emigracyjny. Oczywiście, że publicysta emigracyjny nie może uważać za swój główny moralny obowiązek wyławiania z życia kraju wyłącznie wiadomości jak najbardziej ponurych. Ale, mając sympatię do zwolenników odtrutek, nie uważam, by droga do obiektywizmu prowadziła poprzez rozwijanie tego uproszczenia, że przecież system realizuje swoje cele przy pomocy Polaków, a komuniści są również Polakami. W tym wypadku pozostaje bez odpowiedzi pytanie: z jakiej swobody modyfikacji celów i metod mogą Polacy korzystać i czy przy pozbawieniu ich wszelkich innych, poza komunistycznymi, środków i materiałów poznania, nie ulegają oni również sugestii komunistycznego monizmu?

Zdaje sobie sprawę z tego, że metoda ocen przemian w Polsce wymaga dyskusji i że dopiero w wyniku zmierzenia się różnych punktów widzenia na ten temat może powstać metoda najbardziej właściwa.

W swoich rozważaniach przyjmę następujący tok rozumowania. Z początku postaram się wyjaśnić najbardziej elementarne warunki strukturalne, w jakich w Polsce powojennej muszą być formułowane cele i metody realizacji każdej polityki ekonomicznej.

Następnie, przejdę do celów i metod polityki gospodarczej, sformułowanych tak, jak — wydaje mi się — powinny być one sformułowane, gdyby Polska posiadała samodzielność decyzji.

Taka analiza powinna dać właściwe tło oceny celów i metod polityki gospodarczej, jaka jest faktycznie prowadzona po wojnie. Tą drogą powinno się dojść do określenia właściwego sensu przemian gospodarczych w Polsce.

2. Warunki strukturalne

Ocena warunków strukturalnych rozwoju gospodarczego Polski po wojnie sprowadza się do odpowiedzi na następujące pytania:

- jakie są rozmiary zjawiska gospodarstw karłowatych i istniejące możliwości jego likwidacji;
- jakie jest przeludnienie rolnictwa i perspektywy chłonności pozarolniczego rynku pracy.

Należy skrupulatnie rozróżnić problem likwidacji gospodarstw karłowatych od problemu osiągnięcia optimum zaludnienia rolnictwa. Likwidacja gospodarstw karłowatych wywołuje silne zdynamizowanie ekonomiczne indywidualnej gospodarki chłopskiej; natomiast osiągnięcie stanu optimum zaludnienia rolnictwa oznacza zapewnienie tej gospodarce względnie najkorzystniejszych warunków rozwojowych. Rozróżnienie to jest szczególnie ważne z punktu widzenia rozkładania zadań polityki gospodarczej w czasie. Jak zobaczymy, już teraz możliwe jest znaczne zmniejszenie liczby gospodarstw karłowatych; jest to okazja do wyzwolenia nowych, dodatkowych sił społeczno-gospodarczych, które mogą być wprężone do wysiłku nad osiągnięciem wyższego stopnia równowagi społeczno-gospodarczej, jaka występuje przy stanie optimum zaludnienia rolnictwa.

Przed wojną na rodzinę rolniczą przypadało przeciętnie 5,95 hektarów ziemi użytkowanej rolniczo. Minimum gospodarstwa chłopskiego, tzn. takiego gospodarstwa, które byłoby zdolne do wyżywienia gospodarującej na nim rodziny i produkowania pewnych nadwyżek na rynek, zamykało się w granicach od 5 do 10 ha, w zależności od położenia. Po wojnie powyższe normy minimum zostały potwierdzone obserwacjami misji F.A.O. w Polsce.

Otóż, można powiedzieć, że przed wojną występował absolutny głód ziemi: ziemi było za mało, by obdzielić służbę folwarczną gospodarstwami o minimalnych rozmiarach i upełnorolnić istniejące gospodarstwa karłowate, tzn. podnieść ich obszar do rozmiarów minimum. Gdyby cały obszar ziemi użytkowanej rolniczo, zajętej przez większe obiekty ziemskie, został rozparcelowany, to — przy utrzymaniu istniejących wówczas norm w sprawie wyłączeń — zaledwie 59% zapotrzebowania na ziemię ze strony służby folwarcznej i gospodarstw karłowatych mogłoby być zaspokojone. Do takich konkluzji doszedł na kilka lat przed wojną Instytut Gospodarstwa Społecznego, na czele którego stał prof. Ludwik Krzywicki. Przed samą wojną możliwości zaspokojenia głodu ziemi stały się jeszcze bardziej ograniczone. Warto wspomnieć, że udział gospodarstw o rozmiarze ponad 50 ha w ogólnej powierzchni ziemi użytkowanej rolniczo bezpośrednio przed wojną wynosił mniej niż 14%.

Po ostatniej wojnie na rodzinę rolniczą przypada przeciętnie 7,88 ha ziemi użytkowanej rolniczo. Jest to bardzo poważna poprawa przeciętnego wyposażenia ludności rolniczej w użyt-

ki rolne. Poprawa ta mogłaby być wyzyskana dla niemal zupełnej likwidacji gospodarstw karłowatych.

Nie będę mówił o błędach powojennej reformy rolnej, ani o tym, jak znaczne rezultaty mogłyby być osiągnięte w zakresie poprawy struktury gospodarstw chłopskich, gdyby reforma ta nie była przeprowadzona tak bezplanowo i chaotycznie, jak to uczynił system komunistyczny w Polsce. Zatrzymam się na obecnym stanie struktury gospodarstw chłopskich i wezmę pod uwagę wyłącznie ten zapas ziemi, jaki jeszcze istnieje i jest w rękach państwa.

Otóż, gdybyśmy ten zapas ziemi wykorzystali do upełnorolnienia gospodarstw karłowatych, to istniejąca jeszcze dziś liczba tych gospodarstw mogłaby być zmniejszona o jakieś 80 - 85%. Należy przy tym zaznaczyć, że nie wszystkie gospodarstwa poniżej 5 ha wymagają upełnorolnienia, zwłaszcza przy dzisiejszym stanie uprzemysłowienia. Nie dla wszystkich właścicieli takich gospodarstw rolnictwo stanowi główne źródło utrzymania. W obliczeniach swoich brałem ten fakt pod uwagę, nie nadając mu jednak zbyt dużego znaczenia, dlatego też efekty upełnorolnienia w rzeczywistości mogą być większe od moich ocen; w każdym razie nie powinny być mniejsze.

Przechodzę obecnie do sprawy przeludnienia.

Przed wojną optimum zaludnienia rolnictwa było oceniane (Józef Poniatowski) na 7,320 tysięcy zawodowo-czynnych. Istniały również inne obliczenia, dające wyższe liczby zaludnienia optimum, ale przytoczona ocena wydaje mi się najbardziej prawidłowa i niewątpliwie jest ona najpoważniej i najwszechstronniej umotywowana z punktu widzenia ekonomicznego.

Przyjmując wspomniane optimum, trzeba stwierdzić, że nadmiar ludności w rolnictwie na 1 stycznia 1937 r. wynosił 5,364 tysiące zawodowo czynnych i 8.808 tysięcy zawodowo czynnych i biernych razem. W stosunku do ogółu ludności utrzymującej się z rolnictwa, nadwyżka wynosiła 42%.

Posługując się metodą J. Poniatowskiego, optimum powojennego zaludnienia rolnictwa oceniam na 9.800 tysięcy czynnych i biernych razem. Ocena Centralnego Urzędu Planowania jest wyższa. Według niej, optimum zaludnienia rolnictwa wynosi 10.800 tysięcy czynnych i biernych razem. Ponieważ w 1946 r. ludność rolnicza wynosiła 12.200 tysięcy, nadwyżka równałaby się w pierwszym wypadku — 2.400 tysięcy, w drugim — 1.400 tysięcy czynnych i biernych razem. W stosunku do ogólnej liczby ludności rolniczej nadwyżka wynosiłaby 19% lub 11%.

Osiągnięcie stanu optimum zaludnienia oznaczałoby, że wyposażenie ludności rolniczej w ziemię użytkowaną rolniczo zostaje podniesione z 7,88 ha do 9,77 ha przeciętnie na rodzinę rolniczą. Byłoby to dalszy wielki krok naprzód w kierunku uzyskania równowagi społeczno-gospodarczej kraju i poprawy warunków gospodarowania w warsztatach chłopskich.

O ile, niemal całkowita likwidacja gospodarstw karłowatych, która może być dokonana natychmiast, nie wymaga dalsze-

go podniesienia stanu uprzemysłowienia kraju, o tyle osiągnięcie stanu optimum zaludnienia rolnictwa wymaga wchłonięcia przez zawody pozarolnicze całej nadwyżki zawodowo czynnych w rolnictwie i całego przypiływu młodych roczników na rynek pracy w następnych latach.

Na tym tle zarysowuje się pytanie, jaką zdolność absorbcyjną może reprezentować w najbliższej i nieco dalszej przyszłości pozarolniczy rynek pracy? Wydaje mi się, że ta zdolność absorbcyjna jest bardzo duża.

Stopień uprzemysłowienia i ogólnego wyposażenia inwestycyjnego Polski powojennej jest znacznie wyższy od stopnia uprzemysłowienia i takiegoż ogólnego wyposażenia inwestycyjnego Polski przedwojennej. Ten fakt jest najważniejszym czynnikiem, warunkującym dalsze tempo uprzemysłowienia i wzrostu chłonności pozarolniczego rynku pracy. Ponadto, posiadając stosunkowo łatwe możliwości uaktywnienia rolnictwa i taki atut eksportowy jak nadwyżki węgla (nie wymieniam już innych strukturalnych wartości gospodarstwa polskiego na tle powojennych koniunktur międzynarodowych), Polska nie miałaby — po odrzuceniu największej przeszkody w postaci okupacji sowieckiej — specjalnych przeszkód zewnętrznych w utrzymaniu ożywienia gospodarczego. Wprost przeciwnie, istniałyby wszelkie warunki zewnętrzne, aby to ożywienie utrzymać. Jeszcze lepsze warunki ożywienia wynikałyby z układu stosunków wewnętrznych: mam tu na myśli większą proporcjonalność w rozwoju przemysłu i rolnictwa, która ułatwia wzajemne obroty i ogólne procesy rozwojowe.

Zestawiając wyniki oceny prawdopodobnych tendencji wzrostu chłonności pozarolniczego rynku pracy, oceny, przeprowadzonej z uwzględnieniem prawdopodobnego tempa przyrostu kapitału wytwórczego, z liczbami prawdopodobnego dopływu młodych roczników na rynek pracy i z liczbami przeludnienia rolniczego, dochodzę do wniosku, że gospodarstwo polskie posiada wszelkie strukturalne warunki stosunkowo szybkiej absorpcji przeludnienia rolniczego. Wydaje mi się, że stan optimum zaludnienia rolnictwa mógłby być osiągnięty w ciągu okresu jednego pokolenia, a więc w ciągu 25 lat. Nie jest do tego potrzebna ani specjalnie bezbłędna polityka ekonomiczna, ani też specjalnie korzystna koniunktura światowa. Po prostu wystarczy względnie rozsądna polityka gospodarcza i względnie korzystna koniunktura.

3. Cele i metody polskiej polityki gospodarczej

Jest chyba bardzo zrozumiałe, że nie na tle przedwojennej rzeczywistości, ale na tle dzisiejszej struktury kraju powinny być formułowane cele i metody polityki gospodarczej po wojnie. Tymczasem (nie mogę powstrzymać się od dygresji), spotykamy takie podejszcie, że ktoś niewprawnym palcem wodzi po stronicach przedwojennego Rocznika Statystycznego i następ-

nie z niezrozumianych, błędnie dobranych, lub po prostu przekreślonych liczb preparuje tło dla odmalowania dzisiejszych osiągnięć gospodarczych. Jeśli przeinaczenia są tylko wynikiem niedouczenia a nie zlej woli, to chciałoby się powiedzieć słowami Gogola, że Aleksander Macedoński był rzeczywiście wielkim człowiekiem, ale po co zaraz łamać krzesła...

Następnie, polityka gospodarcza nie może być oceniana wyłącznie na miarę osiągnięć. Porównanie kosztu społecznego i osiągnięć daje dopiero podstawę pełnej oceny wartości polityki gospodarczej.

Z tego, co powiedziałem, wynika, że, oczywiście, nie kwestionuję, iż Polska powinna dążyć do uprzemysłowienia. Leży to w interesie całego kraju, a zwłaszcza w interesie rolnictwa i chłopów. Nie znaczy to jednak, by każda droga uprzemysłowienia była dobra, a w szczególności, by dobra była droga najbliższa. Gdyby po wojnie Polska mogła prowadzić samodzielną politykę gospodarczą, musiałaby niewątpliwie rozstrzygnąć zagadnienie, czy istnieją powody gwałtownego pośpiechu w uprzemysławianiu kraju. Inaczej mówiąc, czy dla osiągnięcia szybkiego przyrostu zakładów przemysłowych jest do zaakceptowania każdy koszt społeczny?

Teoretycznie biorąc, mogą istnieć dwa motywy pośpiechu w polityce uprzemysławiania. Pierwszy — to motyw obronności kraju, drugi — motyw społeczny.

Nad pierwszym nie będę się dłużej zatrzymywał, wspomnę tylko, że w pewnych okolicznościach może być usprawiedliwione forsowanie uprzemysłowienia kosztem dużych ofiar społecznych, na przykład kosztem masowej niedokonsumpcji, jako zjawiska przejściowego, o ile za tę cenę można ocalić niezależność państwa. Oczywiście, taka polityka może być usprawiedliwiona dopóty, dopóki osłabienie fizycznej i kulturalnej żywotności społeczeństwa nie zacznie wywierać ujemnego wpływu na stan obronności kraju, o który właśnie chodzi w danej polityce forsownego uprzemysłowienia.

Motyw społeczny zilustruję przy pomocy następującego przykładu. Przed wojną istniało zjawisko masowej i chronicznej niedokonsumpcji wsi polskiej. Gdyby na drodze drastycznej redukcji spożywanego dochodu całego społeczeństwa można było zmobilizować odpowiednie zasoby, które umożliwiłyby znaczne posunięcie naprzód uprzemysłowienia kraju i dzięki temu rozładowanie przeludnienia rolniczego, to wówczas polityka taka byłaby usprawiedliwiona. Inaczej mówiąc, byłoby usprawiedliwione usunięcie masowej i chronicznej niedokonsumpcji wsi za cenę przejściowej niedokonsumpcji całego społeczeństwa. Jeszcze inaczej, byłoby celowe uniknięcie — za cenę dużych ofiar społecznych — ofiar jeszcze większych, jakie pociągała za sobą masowa i chroniczna niedokonsumpcja na wsi.

Po wojnie ten motyw społeczny zupełnie nie wchodził w grę. Możliwość prawie całkowitego usunięcia ze struktury agrarnej gospodarstw poniżej 5 ha oznaczała, że wieś mogła osiągnąć

taki ustrój rolny, który nie tylko zapewniał warunki wyżywienia się wsi, lecz również warunki produkowania przez gospodarstwa rolne odpowiednich nadwyżek na rynek na potrzeby wyżywienia miast. Pozostała, niewielka, liczba gospodarstw poniżej 5 ha obejmowałaby wyłącznie gospodarstwa, które nie stanowią głównego źródła utrzymania gospodarujących na nich rodzin. Zaznaczam raz jeszcze, że to względne uaktywnienie ekonomiczne rolnictwa mogło być osiągnięte bez przesunięcia części ludności rolniczej do zawodów pozarolniczych.

W tym stanie rzeczy polityk gospodarczy, rozwiązując problemy uprzemysłowienia, mógł mieć spokojne sumienie społeczne; mógł mieć świadomość, że rozwiązania te nie muszą być dokonywane pod presją palących zagadnień społecznych. Co więcej, polityk gospodarczy musiał zdawać sobie sprawę z tego, że interes społeczny wymagał naprawę takiej polityki, która przyniosłaby szybkie efekty z punktu widzenia odbudowy człowieka. Po czasach wojny społeczeństwo było niezmiernie wyczerpane okupacją i walką z okupantem, niemieckimi obozami koncentracyjnymi i sowieckimi łagrami; wymagało odprężenia i odpoczynku. A więc należało specjalnie unikać ostrych zrywów i dbać specjalnie o efektywność polityki gospodarczej, o najkorzystniejszy stosunek pomiędzy rezultatami polityki ekonomicznej a jej kosztem społecznym.

Wydaje mi się, że stojąc na gruncie gospodarki planowej, należało oprzeć się na ogólnym planie długofalowym, 20 - 25-letnim, podzielonym, oczywiście, na krótsze okresy bardziej szczegółowego planowania. Projekcja 20-25-letnia wynika z przekonania, że w tym okresie powojenna Polska mogła osiągnąć zupełną równowagę społeczno-gospodarczą, polegającą na doprowadzeniu zaludnienia rolnictwa do stanu optimum. Ogólną wytyczną polityki długofalowej byłoby godzenie przy pomocy odpowiednio skoordynowanych środków działania dwóch celów: celu dalszego uprzemysłowienia kraju z celem równoległej przebudowy struktury agrarnej w kierunku wzmocnienia indywidualnej gospodarki chłopskiej.

O ile chodzi o okres, który jest, względnie był, w zasięgu naszej obserwacji, to można stwierdzić, że polska polityka gospodarcza miała do wykorzystania przede wszystkim następujące atuty:

- a) pomoc inwestycyjną, względnie kredytową w szerszym tego słowa znaczeniu, Stanów Zjednoczonych i krajów Europy Zachodniej;
- b) korzystną koniunkturę eksportową na artykuły rolnicze i węgiel, zwłaszcza korzystny światowy stosunek cen artykułów rolniczych do cen artykułów nabywanych przez rolnictwo;
- c) stosunkowo dużą równomierność w rozwoju przemysłu i rolnictwa.

Przyjęcie pomocy kredytowej Stanów Zjednoczonych i krajów Europy Zachodniej mogłoby znacznie ułatwić i przyspieszyć wyzyskanie istniejących urządzeń wytwórczych. Ponadto skorzystanie z tej pomocy umożliwiłoby podjęcie dalszej rozbudowy przemysłowego aparatu wytwórczego przy mniejszym obciążeniu bieżącego dochodu społecznego. Ograniczenie dochodu spożywanego na rzecz akumulacji wystąpiłoby dopiero w momencie spłat kredytów zagranicznych, gdy dochód społeczny byłby już bardzo wzmocniony. Nie znaczy to, oczywiście, że cały wysiłek kapitalizacyjny społeczeństwa zostałby przesunięty na przyszłość; znaczy to jednak, że wysiłek bieżący w okresie, gdy potrzeby człowieka wymagają większej opieki, a jego możliwości produkowania są stosunkowo słabe, mógłby być zmniejszony. Wydaje się, że na tle powojennego stanu społeczeństwa założenie: "wyłącznie o własnych siłach", jest zupełnie niemądre, a rzadko kiedy bywa zasadą całkowicie rozsądną.

Współpraca handlowa ze światem w ciągu szeregu lat po wojnie dawałaby Polsce możliwości korzystnego zaopatrywania się zagranicą wzamian za towary, wywożone przez Polskę. Jeśli weźmiemy pod uwagę strukturę towarową polskiego eksportu, takiego jakim mógłby on być w ciągu tych lat i strukturę towarową polskiego importu takiego, jakim powinien on być, to należy stwierdzić, że w porównaniu do dwudziestolecia pomiędzy dwiema wojnami, po tej wojnie Polska posiadała wyjątkowo korzystne warunki zaopatrywania się zagranicą w potrzebne jej artykuły — surowce i urządzenia wytwórcze. Słowem, Polska mogła otrzymywać zagranicą znacznie więcej jednostek potrzebnych jej towarów za jednostkę swego wywozu, aniżeli otrzymywała i mogła otrzymywać w okresie międzywojennym. Oczywiście, ta potencjalna poprawa zarówno polskich "terms of trade", jak i polskich koniunktur na uzyskanie kredytów zagranicznych, została całkowicie zmarnowana w ramach systemu izolacji sowieckiej.

Przechodząc do omówienia warunków wewnętrznychżywienia gospodarczego, zatrzymam się nad paroma następującymi tezami polityki inwestycyjnej.

Po pierwsze, fakt, że przyszłość gospodarcza całego kraju, a przede wszystkim polskiego rolnictwa leży w uprzemysłowieniu i to uprzemysłowienie jest głównym celem długofalowej polityki gospodarczej, nie oznacza, że inwestycje rolnicze nie są wskazane. Wprost przeciwnie, w pewnych okresach inwestycje rolnicze mogą mieć takie same znaczenie, jak popieranie rozwoju przemysłu. W pewnych okresach można nawet więcej osiągnąć, inwestując w dziedzinie produkcji rolniczej niż inwestując bezpośrednio w przemyśle. Takim okresem był właśnie okres powojenny i jestem głęboko przekonany, że odpowiednio inwestycje rolnicze przyspieszyłyby znacznie rozwój produkcji przemysłowej. Nie twierdę, że inwestycje rolnicze powinny mieć przewagę nad in-

westykami przemysłowymi, po prostu powinna być zachowana pewna równowaga w potraktowaniu inwestycji rolniczych w stosunku do inwestycji przemysłowych.

W związku z tą samą sprawą inwestycji rolniczych chciałbym zwrócić uwagę na fakt, że zetknięcie z rynkiem tych gospodarstw rolnych, które byłyby upemnorolnione (pozostałe już współpracowały z rynkiem), rozszerzyłoby możliwości samofinansowania przez rolnictwo jego własnych inwestycji. Ponadto, gospodarstwa chłopskie, uzdrowione strukturalnie w swym całości, zyskują większe możliwości również w zakresie tych inwestycji, które nie przechodzą przez rynek i są wynikiem bezpośredniej akumulacji w ramach danych gospodarstw chłopskich. Te procesy bezpośredniej akumulacji, względnie te nakłady, które nie przechodzą przez rynek, stanowią bardzo poważny czynnik przyrostu kapitału wytwórczego w kraju takim, jak Polska, oraz bardzo poważne odciążenie ogólnej polityki inwestycyjnej. Prawie całkowite zastąpienie bezpośredniej akumulacji w gospodarce chłopskiej akumulacją, przechodzącą przez rynek, będzie dopiero wówczas możliwe, gdy praca w rolnictwie zostanie prawie całkowicie zaabsorbowana wytwarzaniem na rynek (obok pokrywania własnych potrzeb spożycia) i posuwanie naprzód specjalizacji wystąpi w sposób wyraźny pod wpływem współpracy z rynkiem. To stadium rozwoju polskiego rolnictwa przyjdzie dopiero wówczas, gdy zostanie osiągnięty stan zaludnienia optimum.

Po drugie, w kraju, który jeszcze nie osiągnął wysokiego stanu nasycenia kapitałem wytwórczym, specjalnego znaczenia nabiera wykorzystanie inwestycji już istniejących. Nie znaczy to, że pewne nowe inwestycje nie mogą być podejmowane przed wyzyskaniem starych. Znaczy to jednak, że jest absurdem realizowanie nowych projektów na szeroką skalę przy równoczesnym zaniedbywaniu wyzyskania już istniejących nakładów i — co gorsza — przy dopuszczaniu do dezinvestycji w zakresie tych właśnie nakładów. Z punktu widzenia kraju o stosunkowo słabej sile kapitalizacyjnej wygląda to tak, że wykorzystanie istniejącego kapitału wytwórczego zwiększa dochód społeczny, możliwości kapitalizacji i budowy nowych zakładów. I odwrotnie, realizacja na szerszą skalę nowych projektów inwestycyjnych przy pominięciu dawnych nakładów — oznacza opieranie rozbudowy na węższych podstawach dochodu społecznego, aniżeli te, jakie byłyby możliwe przy pełnym wyzyskaniu istniejących zasobów.

Przy tej okazji warto wspomnieć, że twierdzenie, jakoby istniała funkcjonalna zależność pomiędzy dokonywaniem nowych inwestycji a wyzyskaniem starych (że droga do pełnego zatrudnienia starych nakładów prowadzi poprzez ruch inwestycyjny), nie może być utrzymane w warunkach polskiej struktury gospodarczej, o ile nawet nie traci ono swej prawdziwości w ramach gospodarki planowej. Struktura gospodar-

stwa polskiego nie jest wynikiem procesów organicznych. Nie odbywały się one w przeszłości w ramach jednolitego gospodarstwa narodowego, pokrywającego się ściśle z dzisiejszym gospodarstwem polskim. Dlatego też trudno jest przypuszczać, że impulsy, wywołane nowymi inwestycjami, spowodują pełne zatrudnienie już istniejących zakładów wytwórczych i nie wyrażą się w postaci zupełnie nieoczekiwanych reperkusji.

Po trzecie, w sytuacji społeczeństwa wyczerpanego wojną należało położyć główny nacisk na inwestycje, które by szybko fruktyfikowały. Inwestycje w dziedzinie przemysłu dóbr spożycia dają zasadniczo większe możliwości pod tym względem, aniżeli inwestycje w zakresie dóbr wytwórczych, lub — inaczej mówiąc — inwestycje w dziedzinie przemysłu lekkiego dają pod tym względem większe możliwości aniżeli inwestycje w zakresie przemysłu ciężkiego (który obejmuje cały przemysł dóbr wytwórczych i wielki przemysł dóbr spożycia).

Po czwarte, pierwszeństwo w polityce inwestycyjnej powinny być mieć te dziedziny wytwórczości, które służą zaspokajaniu potrzeb społeczeństwa oraz wytwarzaniu takich nadwyżek eksportowych, które pozwalają na transfer obsługi kredytów zagranicznych. Polityka inwestycyjna w Polsce powojennej posiada, jak mi się wydaje, stosunkowo duże możliwości pobudzenia i zorganizowania obrotów wewnątrznych, obrotów pomiędzy wsią i miastem i odwrotnie. Rozwój takich obrotów byłby niezmiernie cennym źródłem impulsów i mocną podstawą dalszych procesów rozwojowych w przemyśle.

Do powyższych czterech tez ograniczam swoje uwagi w sprawie polityki inwestycyjnej, jaką Polska powinna była prowadzić po wojnie.

Z tego, co powiedziałem wynika, że prawidłowym rozwojem produkcji dóbr wytwórczych w latach powojennych byłby rozwój pośredni, tzn. wywołany rozwojem produkcji dóbr spożycia. Nie znaczy to jednak, abym temu twierdzeniu nadawał wagę dogmatu. Chodzi mi o akcenty, o zaakcentowanie pośredniości, ale nie o wyłączną pośredniość w rozwoju produkcji dóbr wytwórczych. Przy tych akcentach, szereg inwestycji w zakresie dóbr wytwórczych mogłoby planowo wyprzedzać rozwój odpowiednich gałęzi dóbr spożycia. Nie twierdzę również, by akcenty pośredniości w rozwoju produkcji dóbr wytwórczych były niewzruszone, o ile chodzi o inne etapy polityki gospodarczej.

Na zakończenie pragnę dodać, że uwagi, które skreśliłem w sprawie polityki inwestycyjnej, dadzą się zastosować — mutatis mutandis — również do problemów dysponowania zasobami wytwórczymi w ogóle.

4. Faktyczna powojenna polityka gospodarcza

Nawet dziewczątko z pierwszej klasy gimnazjalnej wie dobrze, że, gdy rząd głosi, że chce podnieść stopę życiową lud-

ności i poświęca temu wysiłek Planu Trzyletniego, to należy się obawiać, że z wyżywieniem będzie coraz gorzej i, że coraz trudniej będzie w ciągu tego trzechlecia o nową sukienkę i buty.

Każdy obywatel w Rosji wie dobrze, że każdorazowy plan pięcioletni obiecuje podniesienie stopy życiowej ludności i że konsekwencją tych obietnic jest fakt, że w ciągu następnych pięciu lat pogarsza się stopa życiowa ludności.

W Polsce Plan Sześcioletni pod względem obietnic mało się różni od Planu Trzyletniego, może tylko o tyle, że dozy ich zostały zwiększone.

Ekonomista nie może oceniać intencji planów wyłącznie na podstawie haseł. Wie, że należy przeprowadzić analizę dystrybucji zasobów wytwórczych, aby się przekonać do czego dany plan zmierza. Jaką wartość posiadają hasła na temat podniesienia stopy życiowej, jeśli polityka inwestycyjna faworyzuje rozwój produkcji dóbr wytwórczych, upośledzając rozwój produkcji dóbr spożycia i dopuszczając do dezinwestycji w dziedzinie tej ostatniej?

W polityce gospodarczej, jaka faktycznie jest prowadzona w Polsce po wojnie, postawiono sobie zadanie jak najszybszego uprzemysłowienia kraju. Zasadniczo pokrywa się to z polskimi racjami ekonomicznymi. Natomiast przyjęcie zasady forsowania tego uprzemysłowienia już w obecnym etapie życia narodu — jest sprzeczne z jego interesami.

W okresie realizacji Planu Sześcioletniego zatrudnienie w przemyśle ma wzrosnąć o 2.100 tysięcy. W ten sposób nie tylko zostanie wchłonięty cały dopływ młodych roczników na rynek pracy, ale również nastąpi bardzo znaczne zbliżenie do stanu zaludnienia optimum w rolnictwie. Dokładniej mówiąc, jeśli przyjmiemy, że stan zaludnienia optimum wynosi 10.800 tysięcy, to w 1955 roku, zostanie on prawie osiągnięty.

Skróconej drodze do tego samego celu, to znaczy do uprzemysłowienia i uzyskania równowagi społeczno-gospodarczej w rolnictwie, towarzyszy pogorszenie warunków realizacji.

Przed wszystkim zostały zmarnowane warunki zewnętrzne. Postawiona zasada "o własnych siłach" pozbawia Polskę możliwości korzystania z kredytów w państwach zachodnich i swobodnego rozwijania wymiany towarowej z tymi państwami, prowadzącej do pełnego wyzyskania tendencji korzystnego kształtowania się dla Polski "terms of trade" i do odpowiedniego dopływu potrzebnego Polsce ekwipunku wytwórczego.

Zasada "o własnych siłach" prowadzi do tego, że te same rezultaty Polska musi osiągnąć większym wysiłkiem społeczeństwa, większymi jego ofiarami. Ten koszt społeczny procesów uprzemysłowienia został podniesiony bez żadnego uzasadnienia ekonomicznego.

Poszło za tym pogorszenie wewnętrznych celów realizacji. Do

tej sprawy jeszcze powrócę. Teraz chciałbym zwrócić uwagę na następującą okoliczność.

Analiza polskich możliwości wytwórczych i możliwości dostaw ze strony Rosji oraz państw satelickich prowadzi do wniosku, że sprawa przyrostu ekwipunku wytwórczego w przemyśle musi napotykać na techniczne trudności realizacji. Po prostu może tego ekwipunku nie być w dostatecznych ilościach z punktu widzenia planowanego dodatkowego zatrudnienia. Tego rodzaju trudności nazywam "technicznymi" w odróżnieniu od istniejących również trudności ekonomicznych, a polegających na ograniczeniach dochodu spożywanego.

Otóż, jeśli mechanizacja rolnictwa będzie wypychała ludność ze wsi (nie ma zresztą pewności, czy mechanizacja nie wypchnie większej ilości niż jest przewidziana) i ludność ta wraz z młodymi rocznikami będzie kierowana do źle wyekwipowanych przemysłowych warsztatów pracy, to w konsekwencji nastąpi spadek produktywności w przemyśle i pogarszanie się warunków bytu całego świata robotniczego. Stosowanie metod stachanowskich i im podobnych ma na celu wyrównanie braków w ekwipunku wytwórczym nadmiernym wysiłkiem i trudem robotnika. Z punktu widzenia bilansu sił robotnika rezultat jest mniej więcej jednakowy w wypadku, gdy istnieje niska produktywność i jej następstwo — niskie zarobki, czy też wyższa produktywność i większe zarobki, ale osiągane nie polepszeniem wyposażenia wytwórczego lecz metodami stachanowskimi. W obu sytuacjach siły życiowe robotnika narażone są na szwank. W pierwszym wypadku występuje niedokonsumpcja, w drugim — przepracowanie i przemęczenie.

Wydaje mi się, że to niebezpieczeństwo dysproporcji pomiędzy przyrostem ekwipunku wytwórczego w przemyśle a dopływem ludzi na rynek pracy przemysłowej, niepotrzebnie wzmagany przez kolektywizację i mechanizację rolnictwa, stanowi i s t o t ę sytuację społeczno-gospodarczej kraju w dobie dzisiejszej. Narastanie tej dysproporcji w najbliższych latach będzie stanowiło punkt centralny naszego niepokoju o losy społeczeństwa polskiego w kraju.

Przechodzę obecnie do paru aspektów prowadzonej po wojnie polityki inwestycyjnej.

Wiemy dobrze, że mimo istniejących możliwości, nie dokonano naprawy struktury gospodarstw chłopskich, prowadzącej do zdynamizowania rolnictwa, bardzo cennego z punktu widzenia całokształtu rozwoju gospodarczego kraju. Co więcej, zamiast powiększyć możliwości samorzutnych procesów rozwojowych w rolnictwie, przystąpiono do niszczenia najbardziej aktywnych gospodarstw chłopskich, tak zwanych gospodarstw kułackich. Od samego początku komunistycznej gospodarki planowej rolnictwo stało na szarym końcu polityki inwestycyjnej. Według danych Ekonomicznej Komisji do Spraw Europy (O.N.Z.), udział rolnictwa w inwestycjach, planowanych na okres 1947 - 1949 (Plan Trzyletni), wynosił 13%. Na

inne dziedziny gospodarki przypadają następujące udziały procentowe: przemysł — 39%, transport — 24%, budownictwo — 9%, usługi publiczne — 11% i inne dziedziny — 4%. Jest rzeczą interesującą, że — pomimo roli kluczowej rolnictwa z punktu widzenia odnowienia i rozwoju gospodarczego kraju — dopuszczono na przykład do tego, że w 1947 roku nie tylko nie było przyrostu kapitału wytwórczego w rolnictwie, ale nastąpił ubytek tego kapitału, tzn. zlekceważono nawet dokonanie potrzebnych nakładów amortyzacyjnych. Odnawianie kapitału zainwestowanego po wojnie w budynkach i inwentarzu martwym wymaga rocznych nakładów w wysokości 71 milionów dolarów. Inwestycje brutto w rolnictwie wyniosły w 1947 r. — 50 a w 1948 r. — 65 milionów dolarów. Powyższe kwoty obliczone były na podstawie cen przedwojennych.

W inwestycjach przemysłowych, przeprowadzonych w okresie Planu Trzyletniego, inwestycje w przemysłach dóbr spożycia zostały również zepchnięte na szary koniec. Udział przemysłu żywnościowego, tekstylnego i ubraniowego w ogólnej kwocie inwestycji przemysłowych w 1947 r. wynosił 12%, a w 1948 r. — 15%. Udział przemysłu metalowego, chemicznego i węglowego wynosił natomiast w 1947 r. 70%, a w 1948 r. — 57%. Przemysłami, w których nie tylko nie nastąpił przyrost kapitału wytwórczego, ale wprost przeciwnie — ubytek, były przemysły: żywnościowy, tekstylny i ubraniowy, a więc właśnie przemysły, które służą „podniesieniu stopy życiowej ludności”.

Te tendencje forsowania rozwoju produkcji dóbr wytwórczych przy upośledzeniu produkcji dóbr spożycia zostały jeszcze silniej zaakcentowane w Planie Sześcioletnim.

Byłoby błędem traktowania tych tendencji jedynie pod kątem widzenia upośledzenia spożywcy. W związku z tym, co już powiedziałem, raz jeszcze podkreślam, że doktrynalne podejście do problemów rozwoju gospodarczego Polski uniemożliwia wykorzystanie tych wyjątkowych koniunktur rozwojowych, jakie zarysowały się po wojnie, a które przed wojną nie istniały. W tym doktrynalnym podejściu zaniebdywane są różnego rodzaju współzależności w rozwoju gospodarczym, których należyte uwzględnienie i potraktowanie mogłoby bardzo poważnie zasilić dynamikę rozwojową.

5. Interpretacja doktrynalna przemian w Polsce

Prawdopodobnie niejedyn Polak zafascynowany jest „energicznym” postawieniem przez obecny system w Polsce sprawy uprzemysłowienia kraju, które musi być głównym celem każdej polskiej polityki gospodarczej. Przy zbieżności celu istnieje jednak podstawowa różnica metod realizacji. A ponadto — i to jest moment niezmiernie ważny — inne znaczenie posiada uprzemysłowienie dla Polski, inne zaś — dla komunistów.

Dla komunistów uprzemysłowienie jest głównym środkiem

przetworzenia społeczeństwa. Obok przemysłu, jako środka formowania człowieka i społeczeństwa, występują również inne, jak na przykład kolektywizacja rolnictwa, albo organizacja rzemiosła w Rosji w ramach tzw. „promkooperacji”. Tym niemniej są to narzędzia namiastkowe i drugorzędne. Silnie rozwinięty przemysł państwowy w kraju jest najważniejszym elementem bazy materialnej, warunkującej właściwy stosunek człowieka do człowieka, do zbiorowości i wszelkich zagadnień wszechświata. I przemysł jest głównym trzonem aparatu wytwórczego, który ma zapewnić społeczeństwu obfitość zaopatrzenia w dobra materialne. Komunistyczna nadstruktura i obfitość zaopatrzenia w dobra materialne — to są te dwie cechy społeczeństwa komunistycznego, których istnienie jest bodaj najsilniej związane z rozwojem przemysłu.

Dodałbym jeszcze jeden aspekt, specjalnie ważny w dobie „okrażenia kapitalistycznego”. W państwach, które weszły na drogę ewolucji, zmierzającej do utworzenia społeczeństwa komunistycznego, silny przemysł jest niezbędny jako obrona przed atakami świata kapitalistycznego, i jako oparcie dla ruchów rewolucyjnych w całym świecie. Publicystyka sowiecka podkreśla, że do niedawna tylko Związek Sowiecki samotnie dźwigał na sobie cały ciężar podtrzymywania ruchów rewolucyjnych, dziś muszą go dzielić również państwa satelickie. Wobec grona komunistów polskich Stalin postawił następująco sprawę obowiązków państwa socjalistycznego:

„Władza sowiecka w Rosji, to oparcie, to ostoja, to schron dla ruchu rewolucyjnego w całym świecie”. (Stalin, *Soczinienja*, Tom 6, str. 265).

Dziś obowiązki Rosji wobec świata muszą być również udziałem państw satelickich.

Publicystyka rosyjska zadaje sobie pytanie — w jakim etapie ewolucji znajdują się dziś kraje demokracji ludowej? Chodzi o to, aby stwierdzić wobec krytyków odchyień i rzekomo słabego kursu sowietyzacji w krajach demokracji ludowej, że pomiędzy obecnym etapem ewolucji tych krajów a dalszą jej linią, wyznaczoną rozwojem systemu sowieckiego w Rosji, istnieje całkowita konsekwencja doktrynalna.

„Państwo sowieckie i państwo ludowo-demokratyczne to różne postacie państw, należących do tego samego typu państwa, państwa socjalistycznego. Państwo sowieckie realizuje przejście od socjalizmu do komunizmu, kraje demokracji ludowej — przejście od kapitalizmu do socjalizmu”.

„Z punktu widzenia swej treści klasowej i formy politycznej państwa ludowo-demokratyczne są państwami typu socjalistycznego. Kierowniczą siłą w krajach Europy środkowej i południowo-wschodniej są partie komunistyczne. Sojusz klasy robotniczej i chłopstwa, przy hegemonii klasy robotniczej, jest fundamentem władzy w tych krajach.”

Istotą ustroju państw tego samego typu, a więc państwa sowieckiego i ludowo-demokratycznego, jest dyktatura proletariatu.

"Lenin genialnie wskazał, że w okresie przejściowym mogą występować różne formy polityczne, ale — istota będzie ta sama — dyktatura proletariatu". Wszczęte i historyczne znaczenie tych wskazań Lenina zostało obecnie potwierdzone z całą dobitnością."

Cytowany autor mówi o potwierdzeniu doświadczeniami krajów demokracji ludowej.

W jakim kierunku ma zdążyć ewolucja państw ludowo-demokratycznych? Jest to ewolucja kierowana, która realizuje program stalinizmu:

"Stworzona przez towarzysza Stalina całkowita i kompletna nauka o państwie socjalistycznym jest programem walki w krajach demokracji ludowej o budowę socjalizmu."

Plan Sześcioletni jest programem realizacji socjalizmu w Polsce w dziedzinie społeczno-gospodarczej. Realizacja tego planu została zapoczątkowana w 1950 r. W tym samym czasie Polska otrzymała organizację ogólnopolską, która odpowiada typowi sowieckiemu, a mianowicie opartą na radach ludowych i zasadach jedności władzy i demokratycznego centralizmu. Ten nowy ustrój wprowadziła ustawa z dnia 20 marca 1950 roku.

"Przejdźcie do nowego etapu miejscowych organów władzy i zarządu stało się wówczas możliwe, gdy pod kierownictwem polskiej partii komunistycznej dyktatura klasy robotniczej w kraju została całkowicie umocniona... Rady ludowe stały się w pełnym tego słowa znaczeniu podstawą polityczną państwa ludowo-demokratycznego, jako państwa dyktatury proletariatu. Zapewniają one wciągnięcie szerokich mas pracujących do zarządu państwowego i do kierownictwa budownictwem socjalistycznym, dalszym rozwojem demokracji socjalistycznej..." *)

Jak już wspominałem, kolektywizacja rolnictwa jest namiastką fabrycznych form produkcji, które są najlepszymi formami wychowania człowieka komunistycznego. Obok tej roli wychowawczej, gospodarstwa kolektywne mają do spełnienia poważną rolę w zakresie podniesienia produkcji. Nawiasem mówiąc, jeśli weźmiemy pod uwagę ten etap rozwoju organizacji gospodarstw kolektywnych, w który wchodzi obecnie w Rosji, to trzeba stwierdzić, że w podejmowanej rekonstrukcji motywy wychowawcze występują o wiele wyraźniej niż motywy ekonomiczne.

Publicystyka sowiecka kategorycznie zaprzecza, że mogą istnieć możliwości utrzymania w krajach demokracji ludowej indywidualnej gospodarki chłopskiej, opartej na zasadzie prywatnej własności ziemi. Utrzymanie tego rodzaju form jest niedopuszczalne z punktu widzenia konsekwencji w ewolucji krajów demokracji ludowej w kierunku komunizmu poprzez etap socjalizmu. Ziemia musi być całkowicie upaństwowiona,

*) Powyższe cytaty zostały zaczerpnięte z rozprawy jednego z profesorów sowieckich, a mianowicie: B. S. Mańkowskij, *Nowy etap w rozwoju narодно-демократических государств как государств социалистического типа*. "Сoviетское Государство и Право", Moskwa, 1950. Nr 7, str. 1-4.

kolektywizacja obejmie całe rolnictwo, a ze statutów spółdzielni produkcyjnych znikną pozostałości prywatno-gospodarczego stosunku do ziemi i inwentarza, tzn. podział dochodów będzie się odbywał wyłącznie na podstawie przepracowanych "trudno-dni", a nie częściowo w zależności od obszaru ziemi i inwentarza, które zostały wniesione przez chłopów do gospodarstwa kolektywnego. Będzie to dalszy krok naprzód w budownictwie socjalistycznym, który powinien pociągnąć za sobą odpowiednie konsekwencje ekonomiczne i wychowawcze.

Wstępnym do upaństwowienia całej ziemi jest obecna polityka powiększania obciążeń i szykanowania zamożniejszych gospodarstw chłopskich oraz zakaz kupna-sprzedaży i dzierżawienia ziemi.

"Przeprowadzenie tych i innych przedsięwzięć doprowadzi do nacjonalizacji wszystkich gruntów w krajach demokracji ludowej.

"Nacjonalizacja ziemi oznacza, że jednym jedynym jej właścicielem jest państwo. Materialnym wyrazem nacjonalizacji jest to, że istnieje jedyny państwowy fundusz ziemi (ziemielny gosudarstwiennyj fond), który obejmuje całkowitą powierzchnię kraju, niezależnie od tego, czy dane grunty są użytkowane rolniczo, czy są gruntami o specjalnym przeznaczeniu, czy są gruntami miejskimi, czy są to grunty zalesione, czy wreszcie wchodzi one w skład państwowego zapasu wolnej ziemi. Prawnym wyrazem zasady nacjonalizacji ziemi jest wprowadzenie prawa, ustalającego, że państwo jest wyłącznym właścicielem gruntów..."

"...Upaństwowienie całej ziemi, które zostanie zrealizowane w krajach demokracji ludowej, jest dyktowane interesami ogólnopolskimi i ogólnospołecznymi, tj. interesami budownictwa socjalistycznego. I upaństwowienie to zostanie przeprowadzone.

"W ten sposób, o ile u nas, w Rosji, od pierwszych dni realizowaliśmy budownictwo socjalistyczne w warunkach upaństwowienia całej ziemi, to tam, w krajach demokracji ludowej, upaństwowienie ziemi będzie urzeczywistnione w konsekwencji szeregu przedsięwzięć w toku budownictwa socjalistycznego.

"Te okoliczności należy mieć na oku, gdy rozstrzyga się, teoretycznie i praktycznie, problemy przebudowy gospodarki rolnej w tych krajach według zasad porządku socjalistycznego."

Przechodząc do sprawy kolektywizacji, tenże autor pisze:

"Likwidacja kułactwa, jako klasy, możliwa jest tylko na podstawie całkowitej kolektywizacji rolnictwa." *)

Inny autor sowiecki stwierdza, że następnym krokiem, po powojennych reformach rolnych, w kierunku przebudowy rolnictwa w krajach demokracji ludowej będzie:

"...masowa kolektywizacja wsi, w toku której zostanie rozstrzygnięty najtrudniejszy problem przekształcenia drobnego prywatnego gospodarstwa chłopskiego w wielkie gospodarstwo społeczne i likwidacji kułactwa, jako klasy."

"Więcej niż aktualne są dziś słowa towarzysza Stalina, o ile chodzi o kraje demokracji ludowej, że nie jest możliwe na dłuższą metę opieranie "budowy socjalizmu na dwóch różnych podstawach — na podstawie wielkiego i zjednoczonego przemysłu socjalistycznego i na pod-

*) Powyższe cytaty pochodzą z rozprawy N. D. Kazancewa: *Ziemelnyje reformy i puti priobrazowania sielskogo choziejstwa w stranach narodnoj demokratii centralnej i jugo-wostocznoj Iewropy*. "Izwestia Akademii Nauk S.S.S.R., Otdielenie Ekonomiki i Prawa". Moskwa, Leningrad, 1950, nr 4, str.: 257, 260, 264, 285.

stawie rozdrobnionego, zacofanego i drobno-towarowego gospodarstwa chłopskiego."

W Polsce program kolektywizacji rolnictwa został pomyślany w ten sposób, że z ogólnej liczby 300 powiatów polskie Politbiuro wybrało 115 powiatów, w których postanowiło organizować spółdzielność produkcyjną. Oparciem dla niej mają stać się gospodarstwa państwowe oraz państwowe ośrodki maszynowe.

Rządy i partie komunistyczne w krajach demokracji ludowej przystępują obecnie do systematycznego popierania rozwoju tego typu gospodarstw kolektywnych, który jest najbardziej zbliżony do stalinowskiej "artieli", oraz do likwidacji tego typu, który przyjmuje podział części dochodów nie według dni roboczych (trudno-dni), a według wkładów — ziemi i dobytku — wniesionych przez chłopów do gospodarstwa kolektywnego.

"Można nie mieć wątpliwości co do tego, że najbliższa przyszłość należy do takich właśnie gospodarstw kolektywnych (tzn. — typu stalinowskiego — nasz przyp.)"

W likwidacji typu gospodarstwa kolektywnego, odbiegającego od wzoru stalinowskiego, prym wiodą Bułgaria i Węgry, gdzie po procesach Rajka i Kostova nastąpiło systematyczne podniesienie norm dni roboczych i ograniczanie odsetka dochodu, dzielonego według wkładów chłopów do gospodarstw kolektywnych.

"Z tego wynika, że w miarę likwidacji dochodów nie z pracy w rolniczych spółdzielniach produkcyjnych, w miarę kasowania renty ziemskiej, co — powtarzamy — faktycznie będzie oznaczało nacjonalizację ziemi, obecne spółdzielnie produkcyjne zmieniają się z niedorozwiniętych, z niepełnych z punktu widzenia form socjalistycznych, w rozwinięte, socjalistyczne gospodarstwa kolektywne. Liczba ich rośnie z każdym dniem w krajach demokracji ludowej."*)

Dopuszczenie typu "mieszanego", nie czysto stalinowskiego, gospodarstw kolektywnych było przejściowym ustępstwem taktycznym, które miało na celu pozyskanie chłopów średnio-rolnego (tzw. w Rosji "średniaka") na rzecz akcji kolektywizacyjnej. To odstępstwo od linii musiało wywołać zastrzeżenia wśród komunistów rosyjskich, planujących sowietyzację krajów Europy środkowo- i południowo-wschodniej. Jeden z cytowanych publicystów rosyjskich broni celowości tego czasowego odstępstwa:

"Nie wolno w żadnym razie lekceważyć tej formy (mowa o typie "mieszanym" — nasz przyp.), zwłaszcza w obecnym etapie, lekceważyć na tej zasadzie, że dopuszcza ona do podziału części dochodu nie według pracy. Ale za to forma ta ułatwia znacznej części średnio-rolnych chłopów przejście do kolektywnych form gospodarowania. Przypomnijmy sobie nasze doświadczenie budownictwa kołchożnego. Czyż

*) A. Z. Bagijan: **K woprosu o prirodi i tipie sielskochozajstwiennoj kooperacji stran narodnoj diemokratii**. "Sowietskoje Gosudarstwo i Prawo". Moskwa, 1950, nr 7, str.: 59, 60, 62, 65.

nie byliśmy zmuszeni do ustępstw na rzecz średniorolnych, dzieląc część dochodów według uspołecznionego majątku."

I tu autor przypomina taktyczne odstępstwa sowieckie w 1930 roku *).

Niezmiernie interesujący wykład o znaczeniu Planu Sześciolletniego z punktu widzenia "stalinowskiej nauki o socjalistycznej industrializacji" daje nam Włodzimierz Brus na łamach "Nowych Dróg" **).

W okresie formułowania Planu Trzyletniego literatura sowiecka twierdziła, że plan ten ma stworzyć przesłanki ("priedposylki") do właściwego etapu budowy socjalizmu w Polsce. Brus potwierdza tę oczywistą prawdę, która zresztą wynika z analizy Planu Trzyletniego, że nie może być mowy o jakiejś polskiej oryginalności tego planu, o jego niezależności od doktryny.

Nie ma innych motywów w polityce uprzemysłowienia Polski, jak tylko motywy doktrynalne:

"Stalinowskie ujęcie problemu industrializacji cechuje najgłębsza partyjność, prymat politycznego podejścia, walka z wszelkim ekonomizmem."

Socjologiczne znaczenie uprzemysłowienia Polski, tzn. jego roli w przetworzeniu społeczeństwa polskiego, Brus formułuje następująco:

"Industrializacja jest więc zasadniczym czynnikiem umocnienia dyktatury proletariatu, gdyż: 1° umacnia sojusz robotniczo-chłopski, stwarzając materialno-techniczną bazę rozwoju wyższych form spójni; 2° przez rozbudowę przemysłu, zwłaszcza przemysłu ciężkiego, umacnia "szczególną formę" tego sojuszu, kierowniczą w nim rolę klasy robotniczej; 3° stwarza materialne podstawy socjalistycznej przebudowy wsi, a więc jest niezbędnym warunkiem likwidacji dwóch różnych podstaw ekonomicznych państwa socjalistycznego w okresie przejściowym i stworzenia jednolitej podstawy ekonomiczno-społecznej gospodarki socjalistycznej zarówno w mieście, jak i na wsi, co oznacza oczywiście ogromne umocnienie dyktatury proletariatu."

Brus wiele uwagi poświęca roli rozbudowy przemysłu w Polsce w dobie okrażenia kapitalistycznego, znaczeniu wspólnego planowania Rosji i krajów satelickich oraz ścisłej współpracy w budowie i umocnieniu socjalizmu. A oto jeden z jego wywodów na ten temat:

"Warunki zewnętrzne wynikają z faktu istnienia otoczenia kapitalistycznego, istnienia imperializmu, który wszelkimi środkami dąży do zduszenia świata socjalizmu. Wynika stąd konieczność pełnego, ekonomicznego i technicznego, uniezależnienia się od kapitalistycznej zagranicy, konieczność rozwoju własnego przemysłu ciężkiego, będącego bazą samodzielności ekonomicznej i zdolności obronnej państwa socjalistycznego. Nie ulega wątpliwości, że — w innych warunkach, a więc i w innej postaci — problem ten stoi w całej rozciągłości również przed

*) Kazancew, op. cit., str. 264.

***) Włodzimierz Brus: **Plan sześciolletni w świetle stalinowskiej nauki o socjalistycznej industrializacji**. "Nowe Drogi", nr 5 (23), Warszawa, 1950.

nami. Odmienność naszych warunków polega przede wszystkim na tym, że budujemy socjalizm w Polsce nie w jednym kraju, w którym zwyciężyła rewolucja, lecz w oparciu o Związek Radziecki i w ścisłym sojuszu z krajami demokracji ludowej. Fakt ten ogromnie ułatwia zadanie osiągnięcia ekonomicznej niezależności Polski od świata kapitalistycznego, stawiając ten problem nie na płaszczyźnie niezależności Polski (i innych krajów demokracji ludowej) jako izolowanej jednostki gospodarczej, lecz jako części całego systemu państw typu socjalistycznego. Budowa socjalizmu w Polsce w powiązaniu z potężnym mocarstwem przemysłowym — z Z.S.R.R., w oparciu o pomoc Z.S.R.R. i w braterskiej współpracy z krajami demokracji ludowej umożliwia nam rozwijanie przemysłu ciężkiego, a przede wszystkim tych jego gałęzi, dla których istnieją u nas najbardziej sprzyjające warunki i które są konieczne dla rozwoju naszej gospodarki i dla wzajemnego uzupełniania się krajów systemu socjalistycznego. Industrializacja socjalistyczna krajów demokracji ludowej, w tej liczbie i Polski, musi więc być także rozpatrywana z punktu widzenia ogólnych potrzeb świata socjalizmu z punktu widzenia umocnienia więzi ekonomicznej z wszystkimi krajami typu socjalistycznego, a przede wszystkim z Z.S.R.R. Nie ma potrzeby podkreślać, jak wielkie, pozytywne znaczenie posiada ta współpraca dla pełnego wykorzystania wszystkich możliwości rozwoju sił wytwórczych. Planowość nie tylko w skali jednego kraju socjalistycznego, lecz w skali całego systemu socjalistycznego, planowość umacniająca suwerenność i stwarzająca warunki najwzschodniejszego rozwoju ekonomicznego poszczególnych krajów — to nowy, niezmiernie istotny czynnik wyższości gospodarki socjalistycznej nad anarchiczną gospodarką kapitalistyczną, prowadzącą do marnotrawstwa sił wytwórczych, nie pozwalającą społeczeństwu skutecznie walczyć o opanowanie sił przyrody."

Na zakończenie przytoczę ustęp, który zawiera umotywowanie izolacji Polski od współpracy z Zachodem:

"Analizując socjalistyczną metodę uprzemysłowienia i jej zasadniczą odmienność od kapitalistycznej metody uprzemysłowienia — Stalin podkreślił, że jednym z najistotniejszych czynników tej odmienności jest — obok tego, że proces industrializacji socjalistycznej rozpoczyna się od rozwoju przemysłu ciężkiego oraz obok szczególnie szybkiego tempa uprzemysłowienia — fakt, że proces industrializacji socjalistycznej dokonuje się w oparciu o wewnętrzne źródła akumulacji. Jest rzeczą jasną, że pomoc Związku Radzieckiego, ścisła współpraca polityczna, ekonomiczna i techniczna z ZSRR i z krajami demokracji ludowej niezmiernie ułatwia proces industrializacji naszego kraju. Nie znaczy to jednak, by w nowych warunkach historycznych zagadnienie akumulacji wewnętrznej, jako podstawowego źródła środków dla rozwoju przemysłu ciężkiego, straciło w czymkolwiek na ostrości. Wręcz przeciwnie: zadanie polega na tym, aby wykorzystać wszystkie czynniki ułatwiające proces industrializacji w nowych warunkach, przede wszystkim wszechstronną braterską pomoc ZSRR — dla maksymalnej mobilizacji wewnętrznych rezerw nagromadzenia, dla jak najpełniejszego przekształcenia możliwości akumulacji w rzeczywistość akumulację".

Stanisław GRYZIEWICZ.

Archiwum polityczne

Współczesny świat arabski

Świat arabski jest zwartą jednością duchową. Fakt ten, pomijając wspólnotę cywilizacji, języka i religii, uwydatnia się tym, że każde wydarzenie polityczne czy kulturalne zachodzące w jednym z krajów arabskich — z reguły (lub najczęściej) jest odbiciem prądów, zagadnień i wydarzeń, rozwijających się w całym świecie arabskim. Tak na przykład na ruchu Braci Muzułmańskich, powstałym w Egipcie, zaciążyły nie jego wewnętrzno-egipskie cechy, lecz charakter pan-arabski i w pewnym stopniu nawet islamicko-ekumeniczny. W dodatku zbyt wybujały rozwój tego ruchu doprowadził do zduszenia go właśnie w Egipcie, natomiast w kilku innych krajach arabskich organizacja Braci nadal rozwija się spokojnie.

Również i na przykładzie wydarzeń w Syrii mamy potwierdzenie tej zasady. Głośne przewroty w tym kraju w latach 1949-50, jakkolwiek posiadały tendencje do reform i naprawy rządów (szczególnie przewrót płk. Husni Zaima odznaczał się kemalistowskim zacięciem) — jednocześnie ściśle wiązały się z problemem Wielkiej Syrii, a więc łączyły się *wewnętrznie* z prądami ideowymi i politycznymi w Iraku, Jordanii i Libanie. Realizacja bowiem planu Wielkiej Syrii nie tylko mogła zmienić sytuację wymienionych krajów w sensie międzynarodowym, lecz pociągnęłaby za sobą głębokie konsekwencje ustrojowe, kulturalne i gospodarcze.

Sprawa zawarcia pokoju między Izraelem a Jordanią w obecnym stanie rzeczy lub problem umiędzynarodowienia Jerozolimy — teoretycznie są zagadnieniami lokalnymi, obchodzącymi przede wszystkim dwa małe państewka (Jordanię i Izraela), lecz w praktyce bulwersują cały świat arabski i nieomal doprowadziły do rozbitcia Ligi Arabskiej. Złożyło się na to szereg przyczyn: *wspólnota* celów politycznych świata arabskiego w stosunku do Izraela, charakter miejsca ofiary Abrahama w Jerozolimie (Al Haram Al-Sharif), jako trzeciego świętego miejsca w

Islamie, i znów sprawa Wielkiej Syrii, która zyskałaby większe szanse realizacji, gdyby pertraktacje Jordanii z Izraelem zostały pozytywnie sfinalizowane.

Wspólnota świata arabskiego znajduje swój wyraz i w jego identycznych prawie problemach gospodarczych — konieczności wielkich prac irygacyjnych i uprzemysłowienia. Również i sytuacja międzynarodowa obszaru arabskiego jest dość jednolita. Jako całość pozostaje on pod presją dwóch (różnych co prawda w treści i formie) czynników: Zachodu i bloku sowieckiego. Czynnikiem trzeci, który mógłby wprowadzić większe zróżniczkowanie terenu w polityce międzynarodowej, nie zaznacza się dość wyraźnie, jeśli pominąć nieistotne wpływy polityki neutralności Indii, nieuzasadnione obawy Syrii przed presją Turcji, lub mimo wszystko lokalne rozgrywki mocarstw Zachodu między sobą na tym obszarze.*)

Jednym z czynników jednoczącym świat arabski (a po części i cały prawie świat Islamu) jest zagadnienie ropy naftowej. Ropa naftowa w ogóle stała się nieodłączną cechą geografii gospodarczej i politycznej Islamu. Jeden z przedwojennych autorów niemieckich, pisząc o Kaukazie i innych krajach muzułmańskich Rosji, nadał swej książce tytuł: «Oel und Mahomed» (Herbert Volck, Korn Verlag, Breslau 1938). Podobnie Margaret Boverl swej książce o Bliskim i Śr. Wschodzie nadaje tytuł «Minaret and Pipe-Line» (London, 1939). Paliwo płynne skupia się w formacjach skalnych Azerbejdżanu i części rosyjskiego Turkiestanu, pod ziemią tatarskiej środkowej Wołgi, zaś na Bliskim i Środkowym Wschodzie, poza światem arabskim, występuje w Turcji i Persji.

Rurociągi przecinają kraje arabskie (z wyjątkiem Egiptu) i łączą je w jeden kompleks naftowy. Polityka wobec państw zachodnich, eksploatujących ropę, jest również w pewnym sensie jednolita: każda tendencja do podniesienia «royalties» w jednym z krajów, z reguły wywołuje te same tendencje w pozostałych. Ropa naftowa jednoczy te kraje i w najwyższym aspekcie: dba-

*) To ostatnie twierdzenie może budzić zastrzeżenie, musimy więc go uzasadnić. Rozgrywki między mocarstwami Zachodu na Środkowym Wschodzie dlatego określamy jako nieistotne, gdyż w nikłym stopniu obejmują rządy i sfery odpowiedzialne za państwową i zagraniczną politykę mocarstw. Są one przede wszystkim rozgrywkami między kompaniami naftowymi, z którymi nie mogą sobie poradzić również i rządy USA, czy W. Brytanii, Francji, czy też Holandii. Również i inne «vested interests» prowadzą rywalizację pod sztandarami swych krajów lecz bez większego udziału aparatów tych krajów, dążących w ostatnim okresie do uzgodnienia swych sprzecznych interesów, do wytknięcia wspólnych planów obrony Środkowego Wschodu i do kompletnego uzgodnienia swej polityki azjatyckiej wobec Moskwy. Co do niezależnej w pewnym sensie polityki kompanii naftowych i innych rodzajów koncernów finansowo-przemysłowych, to w ostatnim okresie fakt ten wystąpił dobitnie w opozycji stawianym przez kompanie naftowe w USA wobec planów Washingtonu, dążącego do uregulowania produkcji i spożycia ropy w związku z ewentualnością wojny światowej. Plany te i zamiary rządu USA zostały w dużym stopniu zdruzgotane przez te kompanie, w oparciu o obowiązującą zasadę «laissez faire'izmu».

nia, by poprzez koncesje naftowe nie pomniejszyć własnej suwerenności, z drugiej zaś strony, by przez odmowy koncesji lub stawiania zbyt wielkich trudności — nie pozbawić się cennych wpływów za dzierżawę obszarów roponośnych. Dochody z tego tytułu decydują o stabilności gospodarczej i trwaniu niemal szeregu państw arabskich (Irak, Arabia Saudyjska, Kuwait).

Wydawać by się mogło, że cechy nadające jednolity charakter całemu obszarowi arabskiemu wpłyną również na zgodność postulatów politycznych państw arabskich. Tak jednak nie jest. Liga Arabska, której założeniem jest uzgadnianie postulatów i reprezentowanie ideologii świata arabskiego na zewnątrz — jest tylko formalnym wyrazem tej tendencji. Przypomina raczej dawną Ligę Narodów w miniaturze; będąc ośrodkiem porozumiewawczym zespołów o tym samym języku, religii, kulturze i celach politycznych — jest terenem częstych kryzysów i zakulisowych rozgrywek, wynikających z ambicji politycznych dwóch zasadniczych bloków: Egiptu — usiłującego utrzymać rolę lidera na Bliskim i Środkowym Wschodzie, oraz państw haszemickich (Iraku i Jordanii), dążących do uniezależnienia swej polityki od wpływów Egiptu i stworzenia wielkiej jednostki państwowej między morzem Śródziemnym a zatoką Perską. Wzajemne intrygi i zazdrości, przestaniające istotne interesy świata arabskiego, powodują, że nawet w konkretnych pracach nad palącymi zagadnieniami reform, oświaty czy higieny Liga jest mniej czynna, niżeli bezpośrednio ONZ, Stany Zjednoczone czy też W. Brytania w tej części świata. Nawet opieką nad uchodźcami palestyńskimi zajmują się przede wszystkim organizacje zachodnie, Watykan, kwakrzy, poszczególne rządy — najmniej zaś Liga. Również zagadnienia obrony Środkowego Wschodu nie znalazły oparcia w Lidze i rozstrzygane są bilateralnie przez poszczególne państwa arabskie w porozumieniu z mocarstwami Zachodu.

Powyzsze świadczy, że jedność świata arabskiego jest *jednością podłoża* (cywilizacji i naturalnych warunków) *lecz nie jest jednością nadbudowy politycznej*. W aspekcie tym zagadnienie to tkwi korzeniami w podstawowych problemach cywilizacji islamskiej i arabskiej. Gdyby cywilizacja ta była żywa i dynamiczna, wówczas moment nadbudowy politycznej stałby się elementem wtórnym, podporządkowanym pierwszemu. Jest jednak odwrotnie i nad życiem arabskim ciąży w praktyce w większym stopniu bieżąca polityka i rozgrywki wewnętrzne, niżeli elementy jedności rasy, języka, religii i kultury. Konsekwencją tego stanu rzeczy jest rozbieżność i brak jedności w najżywotniejszych sprawach, jak wojna palestyńska, spory dynastyczne bloku egipsko-saudyjskiego contra Haszemitom, inwestycje gospodarcze. Każdy z krajów arabskich prowadzi więc politykę samodzielną i kieruje się własnym «parafiańskim» interesem, dbając jedynie o zachowanie pozorów wspólnoty, wyzyskując je jednocześnie jako przykrywkę dla własnej lokalnej ekspansji.

Typowym przykładem kraju arabskiego, prowadzącego tego

rodzaju politykę, jest Egipt, w polityce którego większą rolę odgrywa problem Sudanu i ciążenie ku Afryce, niżeli sprawy związane ze światem arabskim. Nie oznacza to, by Egipt i Liga Arabska, która chwilami sprawia wrażenie wydziału ministerstwa spraw zagranicznych Egiptu, nie robiły nic dla podniesienia kultury ogólno-arabskiej. Nauczycieli egipskich spotkać można w Iraku, Arabii Saudyjskiej, itp., pisma i gazety egipskie są bardzo popularne w całym świecie arabskim, podobnie jak filmy i radio egipskie. Uniwersytety egipskie gromadzą studentów z całego Bliskiego i Środkowego Wschodu, niemal z całego Islamu. Wszystko to razem sprawia raczej wrażenie pracy egipskiej odmiany «British Council» i jest podyktowane względami propagandowymi i *sui generis* imperializmu, nie zaś szczerą chęcią służenia słabszym braciom arabskim.

Ostatnie lata historii państw arabskich są dobitnym przykładem, jak słabym spoiwem jest wspólny język, religia i kultura przy jednoczesnym braku wspólnego idealizmu narodowego i politycznego, który byłby w stanie wziąć górę nad lokalnymi ambicjami czy antagonizmami. Wojna palestyńska 1948-49 oraz jej zakulisy odzwierciedlają to niezbitcie. Przyjrzyjmy się tej wojnie raz jeszcze z perspektywy dwóch blisko lat od jej *faktycznego* zakończenia. (Formalnie stan wojny trwa i między światem arabskim a Izraelem zapadła żelazna kurtyna). Przede wszystkim była to wojna Dawida z Goliatem: 700-tysięcznej Palestyny żydowskiej z «blokiem arabskim» liczącym około 40 milionów ludzi, za którym stał cały świat Islamu. Wojna została przegrana nie na skutek słabości militarnej Arabów, lecz ich skorumpowania i sporów między kombatantami na temat ewentualnego podziału terenów zdobytych na Żydach.

Pokłosiem wojny palestyńskiej, niezależnie od powszechnie znanych faktów, jest fala wzajemnych oskarżeń i procesów, z których bardzo charakterystyczny jest ostatnio wielki proces w Kairze o nadużycia przy zakupach broni i amunicji dla armii egipskiej w okresie wojny w Palestynie i tuż po jej zakończeniu. Komunikat rządowy, opublikowany w Kairze w dn. 15 stycznia 1951, ogłosił nazwiska 13 osób, w tej liczbie Nabila (krewny króla) Abbas Halima, admirała Ahmed Bedr Beya, podsekretarza wojny i marynarki Mahmud Tewfik Ahmed Paszy oraz lewa (generał) Ibrahim Saad el Mesiry Beya, którzy wspólnie z innymi współnikami nabyli dla armii materiał wojenny nie nadający się do użycia. Zakupili m. in. w Szwajcarii pewną ilość dział polowych i amunicji po wygórowanych cenach, narażając skarb państwa na przeszło 4 miliony dolarów strat. Inny oskarżony, kajmakam (pułkownik) Abdul Gaffar Osman w porozumieniu z włoską firmą «Societa Meccanica Costruzioni» nabył amunicję wykonaną wadliwie, nie według załączonych wzorów i z innych materiałów, w wyniku czego np. granaty ręczne miały mniejszą siłę wybuchową i zasięg, lub też nie wybuchwały zupełnie. Admirał Ahmed Badr Bey nabył dla marynarki okręt dla przewożenia

ropy naftowej za £.E. 34.470, gdy wartość i istotna cena wynosiła £.E. 16.108. Inni spośród 13-tu oskarżonych obwinieni są o świadome przyjmowanie wadliwego materiału.

Bardzo charakterystyczny jest przebieg tej afery. W jesieni 1948 r. minister wojny i marynarki Ferik Mohammed Haidar Pasza zażądał, by izba kontroli państwa ze względu na tajemnicę wojskową nie dokonywała kontroli wydatków jego resortu w okresie działań w Palestynie. Wkrótce potem miała miejsce demonstracyjna rezygnacja szefa kontroli państwa. Objęcie rządów przez Nahas Paszę wywołało ustąpienie Ferik Haidar Paszy ze stanowiska ministra wojny, zaś w maju 1950 na skutek interpelacji w senacie w sprawie przyczyn niepowodzenia wojny w Palestynie — podjęto dochodzenia odnośnie nadużyć przy dostawach materiału wojennego. Pismo «Rosa el Yusef» z 6-go czerwca 1950 zażądało sądu nad odpowiedzialnymi za dostawy, ogłaszając teksty umów i szereg nazwisk. Odślonięto fakt eksplozji w czasie działań szeregu działek polowych z firmy «Oerlikon», dostarczonych za pośrednictwem Nabila Abbas Halima i Mustafy Shehida. Sprawa była o tyle poważna, że w tym okresie na całym froncie palestyńskim armia egipska rozporządzała tylko 24 działkami. Cztery zniszczone w ten sposób działka znajdują się w warsztatach wojskowych i komisja, która je badała, orzekła, że były one wadliwie skonstruowane i niebezpieczne dla obsługi (istotnie było szereg ofiar z obsługi dział w czasie eksplozji). Komisja zbadała również aferę kupna małego tankowca, którego właściwa cena wynosiła £.E. 17.000, oferowany był przez sprzedawców za £.E. 25 tys., a ostatecznie nabyty został przez marynarkę za £.E. 37 tys. (Te nieliczne odślonięte fakty nadużyć i zdrad z okresu palestyńskich działań wojennych omawiała szeroko prasa egipska w dniach 15-17 stycznia 1951.

Sprawa zakupu broni i amunicji w czasie wojny palestyńskiej w ostatnich dniach zatacza coraz szersze kręgi: «Egyptian Gazette» z 3 marca 1951 w sprawozdaniu z rozprawy sądowej nad winnymi zaniedbania, wskutek którego nastąpiła eksplozja składu amunicji w pobliżu cytadeli kairskiej w 1949 podaje, że znaczna część tej amunicji była bezużyteczna i że w śledztwie starano się ustalić, czy powodem wybuchu nie była chęć usunięcia dowodów tego faktu. Prasa również notuje, że Nabil Abbas Halim złożył «wyjaśnienie», w którym przyznaje się, że za pośrednictwem przy zakupie broni dla armii na sumę 7 mil. dolarów miał pobrać 1 milion dolarów prowizji.

Analogiczne fakty miały miejsce i na terenie innych krajów arabskich. W okresie przewrotu płk. Husni Zaima w Syrii — minister wojny poprzedniego rządu umknął za granicę w obawie przed represjami za nadużycia w czasie wojny palestyńskiej. Arabska opinia publiczna w owym czasie podkreślała fakty masowych nadużyć w dostarczaniu broni dla partyzantów arabskich, walczących w Palestynie, oraz liczne akty zdrady, dzięki którym statki z bronią, miast kierować się do portów arabskich, zbaczały od Cypru w stronę żydowskiej Haify, lub skrzy-

nie — zamiast broni — naładowane były kamieniami. Przez cały okres wojny kwitł szmugiel między krajami arabskimi a Izraelem środków żywnościowych i brakujących w Izraelu towarów.

Wojna palestyńska stanowi przedział między przeszłością a dniem dzisiejszym arabskiego świata. Wywołała ona wielki wstrząs, falę oskarżeń, samooskarżeń i planowań w kierunku naprawy. Konkretne wyniki tego wstrząsu dają się na razie odczuć w sferze obrony krajów arabskich. Armia egipska dozbraja się i modernizuje, Saudi Arabia zamierza zorganizować regularną armię w miejsce oddziałów o charakterze policyjnym, przeprowadza się reorganizację wojska w Iraku i Syrii. Mała lecz bardzo dobra armia Libanu wprowadza stałe ulepszenia organizacyjne i w materiale. Arabski Legion Jordanii stanowi najlepszą jednostkę wojskową na Środkowym Wschodzie. Na tę ewolucję jednak wiele wpływa międzynarodowa sytuacja i inspirację mocarstw zachodnich łącznie z pomocą materialną.

W dziedzinie polityki zagranicznej ostatni okres nie przynosi poprawy, a raczej dalsze pogłębienie rozdźwięków. Do tradycji należą już tarcia egipsko-angielskie na tle Sudanu i stacjonowania wojsk brytyjskich w strefie Kanału. Powoli lecz systematycznie wzmagają się nastroje «anty-imperialistyczne» na całym Bliskim i Środkowym Wschodzie, od Persji poczynając (zamordowanie premiera Razmara i przeprowadzona nacjonalizacja przemysłu naftowego) do małego Libanu, i od Egiptu (stałe rozruchy i demonstracje młodzieży przeciwko Anglikom, Amerykanom, Francuzom) do Iraku. Pozycja W. Brytanii bardzo mocna w swych ukrytych powiązaniach słabnie i kurczy się, jeśli chodzi o nastroje mas i wpływ wydarzeń politycznych ostatniego okresu. Pozycja Stanów Zjednoczonych, mocniejsza jest niż przed dwoma laty, ale tylko pod względem formalnym i materialnym. W nastrojach mas arabskich zwięszają się raczej nastroje anty-amerykańskie. Rozrastająca się i kosztowna propaganda USA nie trafia właściwie do szerszych mas i nie przebija skorupy niechęci lub obojętności. Działa raczej na mniejszości lokalne, jak na Ormian, Greków, Arabów chrześcijan, lub różnych kandydatów na wyjazd do USA lub marzących o posiadach w Tapline czy Aramco. Propaganda ta m. in. podnosi bogactwo i rozmach życia w USA, drażniąc w ten sposób ubogie warstwy arabskie przez podkreślenie ich nędzy i zacofania. Francja posiadająca mocną pozycję w sferze wpływów kulturalnych, cofa się i raczej ustępuje miejsca wpływom anglo-saskim. Język francuski kurczy swój zasięg i już dziś ogranicza się do starszego pokolenia i sfer kulturalnych. Głównym językiem obcym na Środkowym Wschodzie staje się angielski. Odnosi się wrażenie, że polityczne i gospodarcze wpływy Francji powoli zanikają. Podobnie, jak w wypadku Anglii, cięży na niej wybitnie opinia mocarstwa kolonialnego i oba kraje, mimo wielkich przemian ustrojowych w organizacji ich imperiów, nie mogą pozbyć się tego piętna.

Wszystkie prawie plany i zamiary organizacji, reorganizacji, dynamizacji świata arabskiego czy to poprzez plan Wielkiej Syrii, czy Blok Śródziemnomorski, czy też zjednoczenie przez Ligę Arabską, koncepcje panislamickie, jak i próby oddziaływania Turcji na blok arabski itp. — nie dały wyniku. Międzynarodowe plany użycia mas uchodźców palestyńskich przy rozbudowie dróg, urządzeń irygacyjnych, przemysłu itp. natrafiają również na poważne trudności. 800-tysięczna masa uchodźców, korzystając z mniejszej lub większej pomocy materialnej, zniechęca się do pracy, radykalizuje i komunizuje. UNRRA i inne organizacje działają stale w sferze planowań przyszłości i w znikomym stopniu wpływają na aktualną rzeczywistość. Lepsze wyniki daje pomoc bezpośrednia poszczególnych mocarstw zachodnich.

Zagadnienia socjalne nabierają coraz większej wagi. W obawie przed ich ofensywą sfery rządzące reagują już to papierowymi projektami daleko idących reform lub też represjami policyjnymi. Nie brak jednak odruchów głębszych. Następca tronu Egiptu Mohamed Ali ofiarował majątek wartości ponad miliona funtów dla ulżenia doli bezrolnego fellaha. Za jego śladem idą inni. (Szach Iranu zarządził parcelację swych majątków między małorolnych i bezrolnych chłopów na bardzo dogodnych warunkach). Budowane są w Egipcie wzorowe wsie, specjalne ministerstwo wsi i miasta opiekuje się masami ludowymi. Poza Egiptem, którego cała nieomal sytuacja gospodarcza zależy od pracy fellaha (bawełna), i który najbardziej podminowany jest radykalnymi wpływami — w innych krajach nie się prawie w tym kierunku nie robi. Próby niektórych grup politycznych w tych krajach, domagających się usanowania zabagnionych stosunków — neutralizowane są powoli wpływowym naciskiem warstw posiadających. Podstawowe zagadnienia leżą nadal odłogiem, zdobywają aktualność w każdym okresie przedwyborczym, a w rezultacie «siła złego» przeważa i zwycięża.

Widać to m. in. na przykładzie walki z narkotykami. Po wojnie handel nimi rozrósł się niebywale, a Egipt stał się głównym konsumentem haszyszu na Środkowym Wschodzie. Niedożywienie i choroby endemiczne trapiące całą ludność rolniczą Egiptu są głównymi przyczynami rozszerzenia się nawyku palenia haszyszu, dającego złudne pozory fizycznej siły i oderwania się od rzeczywistości. Przemysł haszyszu do Egiptu, przy użyciu najbardziej przemysłowych metod, zatacza coraz szersze kręgi, a stałe konfiskaty ładunków — nieraz wartości kilkuset tysięcy funtów eg. — są tylko drobną częścią narkotyku, który przedostaje się do kraju.

Głównymi producentami haszyszu są Liban, Syria i Jordania, w mniejszym stopniu Irak i Persja. «Liban pozostaje w dalszym ciągu głównym ośrodkiem nielegalnego handlu narkotykami na Środkowym Wschodzie. Jakkolwiek pewna ilość haszyszu może być produkowana za zezwoleniem władz dla legalnych celów, to w praktyce aktualna produkcja jest o wiele większa, niż jej

legalne zapotrzebowanie. Produkcja haszyszu jest tak korzystna, że duże tereny w dolinie Bekaa zupełnie jawnie oddane są pod uprawę konopi (*Cannabis indica*). Przemysł haszyszu przynosi wielkie zyski i spoczywa w rękach niezwykle sprężystej organizacji. Handel haszyszem leży u podstaw wielu niepokojów, walk oraz szeregu morderstw i zamachów» («Syria and Lebanon», *Report of the Board of Foreign Missions of the Presbyterian Church*, August 1950, str. 13).

Do dziennika bejruckiego «Le Jour» z 9 kwietnia 1949 wkradła się kłopotliwa i rozbrajająca notatka pt. «Uprawa haszyszu przynosi dobre dochody». «Jak wynika ze sprawozdania, skierowanego do ministerstwa spraw wewnętrznych z inspektoratu ministerstwa rolnictwa, rocznie około 15 tys. dunamów (1 dunam = 1.000 metrów kwadratowych) oddanych jest pod uprawę, produkując od 25 do 35 tysięcy kg haszyszu. Kilo haszyszu kosztuje od 30 do 50 liwów lib. w Libanie, zaś od 1.000 do 1.500 L.L. zagranicą». Byłoby błędem przypuszczać, że Liban jest też dużym konsumentem narkotyków — jest wręcz odwrotnie. Minimalne spożycie haszyszu w Libanie ogranicza się prawie zupełnie do niższych warstw muzułmańskich, natomiast zupełnie nieużywany jest przez chrześcijan i warstwy kulturalne. W ogóle chrześcijański przeważnie Liban wyróżnia się bardzo dodatnio pod każdym względem od wszystkich pozostałych krajów arabskich.

Kwestia ograniczenia uprawy haszyszu jest stale podnoszona przez Egipt na posiedzeniach Ligi Arabskiej, wywołując nie-realizowane obietnice drastycznych kroków przeciw producentom w odnośnych krajach. Jedyne jednak kroki, wyrażające się w paleniu zapasów narkotyku, denuncjacji przemytu w biurach walki z narkotykami, przeprowadzane są przez konkurencyjne bandy przemysłowe dla podtrzymania wysokich cen rynkowych. Walka z narkotykami toczy się stale, przybierając nieraz drastyczne formy, jest jednak coraz trudniejsza wobec zjawienia się na rynku różnych syntetycznych namiastek, nie objętych zakazami konwencji antynarkotycznej z 1925 r., jak i wobec nieprzestrzegania tej konwencji przez państwa z zażelazonej kurtyny oraz niektóre kraje arabskie (wyspy Bahrein, Oman, Saudia-Arabia). W drugiej połowie 1950 komunistyczne Chiny ofiarowały otwarcie sprzedaż dwóch wielkich partii opium: 500 ton i 200 ton.

W całym tym zagadnieniu nie można winić aktualnych rządów arabskich, gdyż jedynie zanik popytu może zniszczyć podaż. I w tym punkcie znowu wracamy do zagadnień ekonomiczno-socjalnych, a więc do konieczności podniesienia warunków życia, szkolnictwa, higieny itp., czyli do błędnego koła problemów nękających świat arabski.

Stosunki gospodarcze świata arabskiego są bardzo niezdrowe mimo wielkich możliwości lokalnych, płynących z położenia środkowego Wschodu jako pomostu między trzema kontynen-

tami, wyposażonego w ogromne zapasy ropy naftowej i innych cennych surowców, jak też posiadającego duże szanse rozwoju produkcji rolniczej i hodowlanej. Mimo to kraje arabskie, częściowo może oprócz Egiptu, nie potrafiły stworzyć nawet zasad zdrowego rozwoju gospodarczego, vegetując w kompletnej zależności od Zachodu. Na przeskodzie stoją wiekowe zaniedbania i braki, wymagające olbrzymich inwestycji kapitału i kwalifikowanej pracy. Z drugiej strony ostatnia wojna przyniosła krajom arabskim wielkie a doraźne korzyści materialne, a po ustąpieniu wojsk obcych i likwidacji mandatów — nowe zwłaszcza państwa arabskie, pozostawione same sobie, stanęły w obliczu trudnego zadania zbalansowania gospodarki narodowej przy skurczonych możliwościach zbytu własnych produktów i narastającego naporu importu przetworów przemysłowych z zagranicy. Nieopatrzna polityka importowa, kierowana w wielu wypadkach personalnymi interesami wpływowych jednostek — zabiła lub obniżyła poziom lokalnej produkcji przemysłowej. Przyzwyczajony do szybkich obrotów i zysków kapitał lokalny uciekać zaczął od długoterminowych inwestycji w kierunku szybko rentujących się przedsiębiorstw handlowych bez względu na chłonność rynku, jak też istotne potrzeby kraju.

Również niestabilizowane jest życie gospodarcze na poziomie codziennych potrzeb przeciętnego obywatela. Mimo, że produkcja Śr. Wschodu ogranicza się głównie do produktów rolniczo-hodowlanych, cena żywności jest wygórowana i ma tendencję do stałej wyższości. Abstrahując od wyższości cen na rynku międzynarodowym i lokalnych nieurodzajów (np. w ub. roku na całym Środkowym Wschodzie zaznaczył się dotkliwy nieurodzaj oliwek), drożyzna produktów lokalnych wynika z dużego łańcucha pośredników między producentem, zwłaszcza małym, a konsumentem. Wszelkie próby kontroli cen ze strony poszczególnych rządów z reguły rozbijają się o sprzeciw dobrze zorganizowanych hurtowników. W ostatnim czasie rząd egipski rozpoczął walkę, zmierzającą do zahamowania wzrostu kosztów utrzymania, narzucając hurtownikom maksymalne ceny produktów pierwszej potrzeby (mięsa, tłuszczów i owoców). Akcja ta dała tylko połowiczne wyniki i rząd zmuszony był do otwarcia szeregu sklepów i spółdzielni, rozdzielających produkty po kontrolowanych cenach, zmuszając w ten sposób hurtowników do dobrowolnej obniżki cen. W innych krajach walka z drożyzną jest mniej energiczna. Duży import środków żywnościowych z zagranicy podkopyje zwolna produkcję lokalną i wytwarza paradoksalną sytuację na rynku. Albo produkty zagraniczne są tańsze od lokalnych (np. mąka australijska lub kanadyjska, sery, masło, przetwory owocowe), albo ceny produktów lokalnych podciągane są do droższych, zagranicznych. W obu wypadkach dzieje się to kosztem konsumenta i drobnego producenta. W rezultacie, poziom odżywiania się szerokich mas, równolegle z kurczącymi się zarobkami, obniża się coraz bardziej.

Próby uzdrowienia stosunków gospodarczych są niewspół-

mierne z potrzebami, zaś ogólny tryb życia uniemożliwia wprowadzenie daleko idących reform i inowacji. Arabski Wschód żyje według staropolskiej zasady z czasów saskich: «jedz, pij i popuszczaj pasa», żyje ogromnymi kontrastami. Rosnący kryzys i bezrobocie idą w parze z budowaniem luksusowych willi i olbrzymich bloków mieszkalnych, rosnąca nędza mas — z rosnącym poziomem życia zamożniejszych warstw. A nawet warstwy średnio zamożne — wydają resztki swych oszczędności lub spieniężają część swych nieruchomości na nierealnie pomyslane inwestycje, jak kupowanie najbardziej luksusowych samochodów (którymi wożą bagaże, tandetne meble, środki żywnościowe i oberwanych pasażerów między miastami a wsiami arabskiej prowincji) lub kupno drogich maszyn do nędznych fabryczek czy pracowni. O masowym zwiększeniu luksusowych urządzeń i maszyn elektrycznych w życiu arabskim świadczy gwałtowny wzrost zużycia elektryczności. Na przykład Bejrut zużywał w 1945 r. 36 milionów kłwgodzin, a w 1949 r. 72 mil. kłwgodzin.

Życie arabskie toczy się kołem «wegetacji w zgiełku», wegetacji nawet w pozornych próbach rozwoju życia intelektualnego, trzymającego się zresztą na pewnym (niskim) poziomie dzięki stałemu zastrzykom nauki i wiedzy z Zachodu. Osią jednak życia, nawet w sferach intelektualnych, jest szukanie doraźnych przyjemności, zasada «zastaw się a postaw się», walka o władzę dla władzy a przede wszystkim wymiana dóbr materialnych i handel w jego najprzeróżniejszych postaciach i formach. Można by powiedzieć, że cały wigor życia na Wschodzie kręci się wokoło handlu.

Wnikliwy autor angielski Robin Fedden pisał o Bejrucie: «Czegoś tu (w Bejrucie) brak i codziennie narasta uczucie niezadowolonia, które — bez zdania sobie sprawy z powodów — przerodzić się może w trudną do pokonania antypatię. Po pewnym czasie odkrywa się, że ruch uliczny jest powierzchowny i nic się za nim nie kryje. Kwitnie tylko kupczenie i rośnie tempo handlu: tylko negotiationis ardor jest sprężyną poruszającą miasto i stwarzająca pozory życia» (Robin Fedden, *An Historical Appreciation*, London 1946, str. 22).

Jest to nieomal genialny obraz duchowy nie tylko Bejrutu, lecz całego współczesnego arabskiego Wschodu, nad którego życiem ciążyą dwa zjawiska: upadek cywilizacyjny świata Islamu a z drugiej strony napór cywilizacji zachodniej. To drugie zjawisko jest wynikiem pierwszego.

Nakreślony wyżej obraz jest smutny. Jego obiektywna wartość jest jednak relatywna. W porównaniu do Chin z okresu przed opanowaniem ich przez komunistów, a tym bardziej po ich zajęciu, świat arabski jest w bardzo dobrej sytuacji, lecz w porównaniu do obowiązujących kryteriów życia na Zachodzie — panujący tu stan rzeczy jest niepokojący.

W. BĄCZKOWSKI.

Sprawy i troski

Genealogia Polonii argentyńskiej

Od czasu do czasu drukuje "Kultura" polonica niemieckie, szwajcarskie, włoskie. Takie — ziarenka kultury pieczołowitą ręką zbierane, notowane, przechowywane — choćby tylko tytułem, tylko wzmianką — na dobro ogólne.

Jest również dział "Najnowsza historia Polski". Najnowsza? To znaczy z lat ostatnich? Wojennych i powojennych? Czy nie można by było do tego działu — lub działu jemu pokrewnego — wciągnąć również kart historii Polski mało lub zgoda dotąd nieznanych, niedocenionych i przemilczanych?

Do tych ostatnich należałyby dzieje oderwanej od pnia macierzystego emigracji. Historia jej nie znaczonej etapami pawań, wojen, układów — a będąca dziwnym ciągiem wydarzeń małych, nieznaczących — jak trud codzienny, i pot serdeczny, i walka o byt, i walka o polskość. Kartki tej historii zapisywały się z dala od Macierzy i właściwie w pełnym oderwaniu od ziemi ojczystej — tym niemniej należą one bezspornie do historii Polski, do historii naszego narodu i naszej kultury.

Nie mam na myśli naszej, powojennej emigracji, i nie mówię również o emigracji zwanej "wielką", ale o tej co to szeroką falą spływała z ziem Rzeczypospolitej w pierwszych latach bieżącego stulecia, czasami przeciekała wąskim strumykiem, czasami zamierała. Co potem, znów, w okresie między wojnami, ruszała za oceany. "Za chlebem". Nie na roboty sezonowe, nie "na Saksy", a częścię już na całe życie.

Przedziwna jej historia — a raczej historie — nie są zapisane i nie były dostatecznie znane w Ojczyźnie. To nie tylko "Pan Balcer w Brazylii", to nie tylko reportaże rodzinnych globtrotterów a tym bardziej notatki-zapiski rozmaitych dostojników "wizytujących" polskie ośrodki na obczyźnie. Jest to materiał ogromny, rozrzucony bodaj po całym świecie, i jeżeli kiedykolwiek zbierany — to tylko w ilości znikomej, ułameczku rzucającym nikłe światło na całość.

I jest to materiał nadzwyczaj cenny. I dla historyków, i dla socjologów, i dla ekonomistów. Jest cenny dla nas, tej "nowej" emigracji, która nie jednego mogłaby się z tego nauczyć i na język czasów obecnych przełożyć.

A poloniki tej "starej" emigracji?

W artykule p. J. Karbowskiej pt. "W Buenos Aires" (Kultura Nr 4/42) autorka mówi o "starej" i "nowej" emigracji. Na marginesie tego artykułu muszę zaznaczyć, że zdania: "Młoda (emigracja)... mimo biedy i wyczerpania, zdobyła się już na... nowy Dom Polski, i spleca go z podziwu godnym wysiłkiem" oraz że: "młoda (emigracja) ma swoją Macierz Szkolną, swój tygodnik i bibliotekę..." — nie odpowiadają rzeczywistości. Mało tego, jeżeli zostaną przeczytane przez tę "starą emigrację" — mogą być źródłem nieporozumienia i obrazy. Są bowiem rzeczywistość krzywdzące. Pozwalam więc sobie na małe sprostowanie. Dom Polski, nowa siedziba Związku Polaków w Argentynie, zakupiony zeszłego roku jest — domem wspólnym, zdobytyim wspólnym wysiłkiem i "starej" i "nowej" emigracji. Pomysł zdobycia czy zakupu go wyszedł właśnie od przedstawiciela tej "starej", pierwszą ofiarę na ten cel nadesłał również "stary" emigrant i to z odległej prowincji. Komitet Budowy Domu, pracujący nad tym dziełem, składa się z przedstawicieli obu emigracji. Macierz Szkolna, choć związana w obecnej formie dopiero zeszłego roku — jest również dziełem i własnością wszystkich. Pięknie rozwijająca się Biblioteka Centralna Związku — powstała w oparciu o księgozbiór pozostawiony po śmierci bardzo "starego" emigranta. A tygodnik? Tygodnik "Głos Polski", jedyne niezależne czasopismo polskie wychodzące obecnie w Argentynie i będące organem oficjalnym Związku Polaków, założono przeszło... 27 lat temu! Trudno więc nazwać go tygodnikiem "nowej" emigracji mimo, że do komitetu redakcyjnego wchodzi jej przedstawiciele!

O Polonii Argentyńskiej, w kraju, przed wojną, wiedzieliśmy bardzo mało. Wprost kompromitująco mało! Nie będę daleki od prawdy jeżeli powiem, że publikacje na ten temat, w języku polskim, można by było wyliczyć na palcach jednej ręki. Broszurka pt. "Polacy w Argentynie" wydana w okresie P.W.K., jeden rozdział w książce-pamiętnikach ks. biskupa Kubiny, napisanej po pobycie na Kongresie Eucharystycznym, książeczka pt. "Argentyna" — dzieło (chciałoby się to "dzieło" ująć w cudzysłów!) byłego konsula p. W. Dostała, w której to pan konsul załatwił się z zagadnieniem emigracji polskiej na... trzech czwartych jednej stroniczki, no i... chyba nic więcej? Nie licząc luźnych artykułów i reportaży. Znaczenie więcej można dowiedzieć się ze źródeł... angielskich i niemieckich!

Argentyna, i jej kolonia polska, leżała jakby poza kręgiem naszych zainteresowań w Kraju. Polonia argentyńska — znacznie mniejsza, i biedniejsza, od Polonii w U.S.A., nie mieszkają-

ca, jak w Brazylii, w zwartych skupiskach, nie ujęta żadnymi cyframi statystyk, żyjąca "sama sobie", gdzieś tam — bardzo daleko...

A przecież młoda republika argentyńska, kraj wybitnie emigracyjny, w swoim konglomeracie narodowościowym plasuje emigrację z Polski na trzecim miejscu. Po Hiszpanach i Włochach. A przecież z książki p. Stanisława Pyzika, wydanej w języku hiszpańskim i nakładem autora, w roku 1944 pt. "Los Polacos en la Republica Argentina" — JEDYNEJ książki na ten temat! — możemy się dowiedzieć i o rozbitkach po powstaniowych, z lat 1831 i 1863, którzy tu przybyli i rolę nie byle jaką w życiu Argentyny odegrali, i nawet o "napoleonidach" polskich na ziemi argentyńskiej. A przecież — z czasów ostatniej wojny, ci ochotnicy do wojska polskiego...

Boję się odbiec od tematu. A są nim zasadniczo polonica argentyńska, lub ściślej — ich najciekawszy dział — emigracyjna prasa polska w Argentynie. Nie wiem: czy i gdzie był dotąd drukowany wykaz tych pism i periodyków, co to w większości wypadków powstawały samorzutnie, jako wyraz potrzeby posiadania organu prasowego we własnym języku, ku obronie i zachowaniu tego języka, by zaznaczyć swoje istnienie na tym terenie, by nawoływać do łączenia się, do jedności. Żywoć niektórych był krótki, kończył się na wydaniu kilku numerów. Ale były i takie — jak na przykład wychodzący wciąż "Głos Polski" — którym nie jedno czasopismo w Kraju mogłoby pozazdrościć srebrnego jubileuszu. Niektóre z nich odegrały na emigracji rolę znaczną a wszystkie bez wyjątku są ciekawym materiałem historycznym i socjologicznym. Niestety — nie istnieje żaden pełny zbiór archiwalny tych czasopism i zachowały się jedynie pojedyncze egzemplarze — czasami roczniki.

Podaję wykaz prasy polskiej w Argentynie w porządku chronologicznym.

1) "Echo Polskie". Lata 1913, 1914 i 1915. Dwutygodnik, miesięcznik, potem wychodzący od czasu do czasu, by znów stać się dwutygodnikiem. Redaktor Wincenty Paczyński, administrator — Bolesław Schreiber. Do omówienia tego najstarszego czasopisma polskiego w Argentynie wróć.

2) "Wiadomości Polskie". Dwutygodnik. Lata 1916-17. Redaktorzy: G. Jasiński i St. Pyzik. Wychodził jako organ Towarzystw Pol. w Buenos Aires.

3) "Wolna Polska". Dwutygodnik. Wychodził tylko przez 2-3 miesiące. Rok 1918. Redagował, jako sekretarz Tow. Wolna Polska, St. Pyzik.

4) "Słowo Polskie". Dwutygodnik. Lata 1920-21. Pismo konserwatywne i katolickie, prowadzone bardzo starannie i na wysokim poziomie przez Józefa Białostockiego. Mające ponoć zapomogi ze strony kleru... irlandzkiego (?!). Ciekawy jest fakt, że jego redaktor, J. Białostocki, przyjąwszy obywatelstwo argen-

tyńskie, był następnie konsulem argentyńskim w Turcji i umarł pełniąc tę funkcję.

5) "Głos Polski". Tygodnik. Powstaje jako organ społeczny w roku 1922. Prowadzony przez Komitet Obywatelski. Pierwszy redaktor, St. Czyżewski (stary bojowiec P.P.S., musiał emigrować po 1905 roku) składał ręcznie i sam odbijał. Następni redaktorzy: Jakóbowski, T. Kalinowski, W. Drozdowski, St. Pyzik, T. Roman i E. Olejniczakowski. Ten ostatni następnie dzierżawi tygodnik i wydaje go "samodzielnie". W roku 1927 Zjazd Delegatów Tow. Pol. w Argentynie uchwała odebrać tygodnik z rąk dzierżawcy i przywrócić mu charakter pisma społecznego i organu oficjalnego. Wobec oporu dzierżawcy kolonia stosuje swojego rodzaju presję: z doraźnie zebranych składek tworzy fundusz prasowy i zaczyna wydawać nowy tygodnik nazywający się... również "Głos Polski", lecz tytuł drukowany kolorem czerwonym. Walka trwa krótko i kończy się zwycięstwem tygodnika społecznego. Wraca on do starego nagłówka i wychodzi do chwili obecnej jako oficjalny organ Federacji Towarzystw Polskich w Argentynie (obecnie — Związek Polaków w Arg.). Z historii "Głosu Polskiego" warto zanotować dwa fakty: w roku 1932 nakład jego skoczył raptownie do wysokości nigdy przedtem i nigdy potem nieosiągalnej. Bito 8.000 egz. Stało się to dzięki przychylności ówczesnego prezydenta Argentyny, który po prostu polecił bankowi narodowemu umieszczenie w "Głosie" bardzo wysoko płatnego ogłoszenia! (Nie mogłem dociec: czy cały nakład rozchodził się w sprzedaży?). A w latach 1933 i 1934 tygodnik stał się dziennikiem. Redagował go przybyły wówczas z Polski Kazimierz Leczycki, autor znanej sztuki "Sztuba". Obecnie, już od 2-ich lat, "Głos Polski" jest redagowany przez powołany społecznie Komitet Redakcyjny, odpowiedzialny przed Zarządem Związku Polaków. Komitet pracuje całkowicie bezinteresownie a do płatnego personelu należy jedynie tzw. redaktor techniczny.

6) "Goniec Polski". Tygodnik. Wychodził krótko w roku 1928 jako organ subsydiowany przez placówkę poselską. Redagował Z. Białobrzeski.

7) "Kurier Niezależny". Założony w 1927 roku, jako wydawnictwo prywatne, przez W. Janiczka. Dotrwał (zmieniając właścicieli) do roku 1947, po czym został sprzedany w niepolskie ręce.

8) "Trybuna Ludu". Dwutygodnik wydawany prywatnie przez Włod. Taworskiego w latach 1930-1931.

9) "Orędownik". Dwutygodnik. Organ Unii Katolickiej w Misiones. Wychodził od roku 1927 do 1950.

10) "Osadnik". Organ Związku Polaków w Misiones. Powstał w 1935, wychodził do 1950. Redagował Nowak, później Skupień, który był jednocześnie i zecerem i administratorem. Warto nadmienić przy okazji, że w czasie wojny, w roku 1942, p. Skupień składa ręcznie w Misiones "W pustyni i w puszczy" Sienkiewicza i wysyła odbite własnoręcznie egzemplarze do Afryki, do obozów naszej ludności cywilnej!

11) "Argentyna". Miesięcznik wydawany przy "Kurierze Niezależnym" po 1935.

12) "Gazeta Polska". Tygodnik. Powstał jako prywatne wydawnictwo około 1937. Wydawana przez G. Borowskiego i Jan-kowskiego do 1942.

13) "Polonia economica i cultural". Dwujęzyczne wydawnictwo Izby Przemysłowo-Handlowej Polsko-Argentyńskiej. Wychodziło przed wojną. Bliższych szczegółów nie mogłem uzyskać.

14) "Bóg i Ojczyzna". Miesięcznik wychodzący od 1938 roku. Organ Koła Katolików w Buenos Aires.

Tak wyglądało by wyliczenie polskiej prasy zakładanej i wydawanej w Argentynie przez "starą" emigrację. Dla całości obrazu należy wspomnieć o dwóch próbach wydawniczych "nowej" emigracji. W roku 1947 przez pewien czas ukazywał się tygodnik "Nowy Kurier Polski", wydawany przez p. Smyczyńskiego a w roku 1948-49 ukazało się kilkanaście numerów dwutygodnika pt. "Listy z Europy i Polski", redagowanego i wydawanego przez Z. Bauá, R. Dąbrowskiego i Z. Kulpińskiego. W końcu r. 1947 poselstwo administracji warszawskiej zaczęło wydawać tygodnik pod tytułem "Polska Wyzwolona". Parę miesięcy temu wydawnictwo to zlikwidowało się lub zostało zawieszona.

W chwili obecnej na terenie Argentyny wychodzi więc tylko "Głos Polski", tygodnik Związku Polaków i "Bóg i Ojczyzna", miesięcznik Koła Katolików w Buenos Aires.

Z powyższego zestawienia wydawnictw i dat — można wyciągnąć ciekawy wniosek: wszystkie wydawnictwa prywatne — zamierały po mniej lub więcej krótkim okresie swego istnienia. Nie utrzymało się również czasopismo subsydiowane przez poselstwo R. P. w roku 1928. Rozwijało się, i rozwija się nadal, jedynie czasopismo, że tak powiem społeczne, organ oficjalny Związku Polaków, to znaczy Związku łączącego wszystkie polskie organizacje i stowarzyszenia na tym terenie. Powtarzam: liczy ono już przeszło 27 lat istnienia. Miesięcznik religijny "Bóg i Ojczyzna" ze względu na swój specjalny charakter i sposób prowadzenia stanowi wyjątek w tej zaobserwowanej regule.

Najstarsze czasopismo polskie w Argentynie, "Echo Polskie", jest jednocześnie bodaj najciekawszym z tych "starych" wydawnictw, założono je bowiem jeszcze przed pierwszą wojną światową i, mimo wydawania przez osoby prywatne, nosi wszelkie cechy czasopisma społecznego. Pisząc te uwagi — mam przed sobą na stole trzy pełne roczniki "Echa", z lat 1913, 1914 i 1915. Sięgam więc bezpośrednio do autentycznego materiału z tych odległych czasów.

Zastanówmy się przez chwilę: rok 1913. Polska nie istnieje jako państwo. W Argentynie — według jej prawodawstwa i przyjętych określeń — NIE ISTNIEJĄ POLACY! Oficjalnie są to Rosjanie, Niemcy i Austriacy! Takie bowiem posiadają paszporty i podlegają "opiece" konsulatów tych państw. W Argen-

tynie bowiem narodowość określa się prawnie nie pochodzeniem, przynależnością do narodu — a miejscem urodzenia, „państwowością” tego miejsca. A więc Anglik urodzony we Francji — jest Francuzem, Francuz urodzony w Anglii jest notowany jako — Anglik, nawet syn Argentynczyka urodzony na przykład w Chinach — będzie... Chińczykiem! A Polska na mapach politycznych tamtych czasów nie istniała...

Cóż to za ludzie byli ówcześni emigranci z ziem byłej Rzeczypospolitej? Jaki był ich przekrój socjalny? W ogromnej, przyciążającej większości — chłopci i robotnicy niewykwalifikowani. Przybyli — za chlebem. Przygnała ich nędza, czasami — warunki bytowania pod zaborami. Czasami — zwabieni nieuczciwością agentów rozmaitych firm „emigracyjnych”.

Z jakimiż zasobami materialnymi opuszczali Ojczyznę? Oповідаł mi pewien „stary” emigrant (potem... wieloletni prezes jednego z towarzystw polskich!) jak to wędrował wzdłuż toru kolejowego... piechotą... w poszukiwaniu pracy, jak to pracował... sześć lat! by... uzbierać pieniądze na „szyfkartę” dla żony i dziecka czekających na dwumorgowym gospodarstwie brata, gdzieś w Zamojszczyźnie..

Jakież związki łączyły ich z kulturą polską? Co dane było im zaczerpnąć z jej skarbcza? Pozostawmy lepiej to pytanie bez przykrej odpowiedzi.

Religia? Wiara ojców? Pamiętajmy, że w kraju katolickim, jakim jest Argentyna, czynnik ten nie gra takiej roli jak na przykład w protestanckich Stanach Ameryki Północnej...

A jednak ciążyła nad nimi ta — pięknie przez nieznana im poezję zwana — „siła fatalna”. Był po prostu — zew krwi. Na przekór wszystkim rozgoryczeniom, urazom, upośledzeniu. I wbrew — realnym „racjom bytu”.

Inteligencja w tej masie stanowiła garstkę nieliczną. Było jej mniej niż rodzynek w chudym cieście. Malutka jej grupka podjęła myśl wydawania polskiego czasopisma. Nie dla siebie! — dla wszystkich!

„Echo Polskie”? Czy to dzięki przypadkowi nadano nazwę tak wówczas aktualną i tak odpowiadającą rzeczywistości? Przecież to „Echo” było naprawdę — echem polskim, echem z bardzo daleka, echem z grobu — lub wyprzedzającym zmartwychwstanie!

Redaktor tego tygodnika dawno umarł. Ale mam zaszczyt znać ówczesnego administratora i korespondenta, p. Bolesława Schreibera. Określenie: „mam zaszczyt” — nie jest grzecznościowym ukłonem a podyktowane prawdziwym szacunkiem. Uwzględniłam za stosowne podać parę danych biograficznych. P. Bolesław Schreiber przybył do Argentyny 58 lat temu! Właściwie — był tu przywieziony jako mały chłopak. Nigdy nie był w żadnej polskiej szkole, nigdy nie uczył się po polsku. Skąd więc ta piękna polszczyzna jego artykułów i korespondencji z dalekich Misiones? W życiu przemysłowym Argentyny zajmuje wybitne stanowisko, przechodzi na emeryturę żegnany jako dyrektor

handlowy wielkiego koncernu naftowego „Ultramar”. Jest obywatelem argentyńskim. A jednocześnie ta pasja do — pracy w środowisku polskim. Założył i prowadził 38 lat temu pierwsze polskie czasopismo, był założycielem i wieloletnim prezesem Polskiego Klubu, obecnie piastuje najwyższą godność w Polonii Argentyńskiej — Prezesa Związku Polaków! Jednocześnie kieruje pracami komitetu realizującego myśl posiadania centralnej siedziby, reprezentacyjnego Domu Polskiego. Mam wrażenie, że określenie przyjęte w Stanach Zjednoczonych — „Amerykanin polskiego pochodzenia”, w tym wypadku nie odpowiadałoby rzeczywistości. Raczej: „Polak — obywatel argentyński”...

Pierwszy numer „Echa Polskiego” ukazał się w sierpniu 1913. Sześć stron formatu, drukowanych obecnie w Londynie „Wiadomości”. Staranny druk, bardzo dobra korekta, język? — piękna polszczyzna, a jednocześnie bez rozmaitych wygibasów literackich, bez używania słów i określeń zrozumiałych dla inteligenta — będących obcymi dla masy emigracyjnej. Krótko mówiąc — język taki, jaki powinien być używany w prasie na obczyźnie, w czasopismach o bardzo szerokiej poczytności. Na ten fakt należy zwrócić uwagę. Pod tym względem „Echo Polskie” może być wzorem dla nieomal wszystkich następnych wydawnictw.

Jakimże celom miało służyć to czasopismo? Jakie podejmowało zadanie? Tłumaczy to pierwszy artykuł redakcyjny. Przytaczam z niego wyjątki.

„...pismo poświęcone sprawom i potrzebom emigracji polskiej w Argentynie... „Echo Polskie” pozostanie poza wszelkimi partiami i stronnictwami politycznymi. Zadaniem jego będzie rozwijanie, podtrzymywanie i rozbudzanie szeroko pojmowanej polskości, opartej nie na formułach i komunałach partyjnych, lecz na odwiecznej kulturze naszego narodu i tych szlachetnych dążeniach zbiorowej polskiej duszy... Poza tym zajmujemy stanowisko pism postępowych i demokratycznych...”.

Na takich zasadach opierało się polskie czasopismo... 38 lat temu!!!

Poza tym: „...złączyć tych wszystkich co zrzędzeniem losu znaleźli się poza ukochaną przez polskie serca Metropolią, szukając w Argentynie warunków do życia — nie zrywając jednak z nią serdecznych węzłów, w nadziei na jaśniejszą przyszłość”.

Prócz ideologii pozostaje jeszcze — jak to określa redakcja: „moment wielkiej doniosłości społecznej” — a więc praca konkretna: walka z nieuczciwością biur emigracyjnych, stworzenie własnego „biura informacyjnego” dla rodaków, popieranie projektu zbudowania własnego Domu Polskiego, kooperatywy, spółki, kasa oszczędnościowa...

I marzenia o Polsce przyszłej, o Ojczyźnie, którą pragną zobaczyć po jej zmartwychwstaniu. O jakiejże to Polsce marzy

się w Argentynie, w roku pańskim 1913?"... do pracy wszyscy stanąć muszą — gdyż jeżeli dziś pragniemy widzieć Polskę piękną, silną, żywotną i zdrową, to nie Polskę szlachecko-rycerską, nie kraj egzotycznych kwiatów, hodowanych na krajowej mierzwie, nie Polskę arystokratycznych nenufarów... nie krainę ciemnoty na dole z gwiazdami na górze... ale zdemokratyzowaną, oświeconą, od nizin do szczytów, rzucającą wokoło promienie własnej kultury. Tego nam nikt nie da, ani Bóg, ani władza, ani gra, ani przypadek, to tylko dać możemy sobie sami..."

Po ukazaniu się kilku numerów "Echa Polskiego" do redakcji zaczęły napływać listy i życzenia. Niech nasi Federaliści ucieszą się wiadomością, że pierwsze — i jakże serdeczne — życzenia, polskie czasopismo dostało od organizujących swój związek Litwinów i od Chorwatów! Niech redaktorzy naszych obecnych pism emigracyjnych zastanowią się nad tym, że 38 lat temu ich poprzednicy na tym polu uważali za stosowne podawać w polskim czasopiśmie wiadomość o mających się odbyć uroczystościach i zebraniach bratnich nam narodów, że zachęcało się rodaków do wzięcia udziału w uroczystościach litewskich, chorwackich itd.

Z prowincji nadchodziły takie listy: "My tu pracujący na "cuadrilli" radujemy się ze szczerego serca..." podpis: Dymitro Iwańczuk i towarzysze. A więc były czasy gdy Dymitro Iwańczuk radował się z powodu ukazania się polskiego tygodnika...

"Pragnę gorąco, by "Echo Polskie" na tej nowej glebie stało się Echem Polski wszystkich sfer i czasów, Polski sławnej i potężnej, Polskiej uciemnionej i cierpiącej, Polski ducha niezłomnego, dążącego naprzód z nadzieją i wiarą. By było także Echem polskiego narodu na obczyźnie, bez różnic sfer i poglądów, z jedynym ideałem: miłość i praca dla utraconej Ojczyzny. Szczęść Boże". Taki list nadesłał Józef Białostocki, późniejszy redaktor "Słowa Polskiego" (1920-21), obywatel argentyński, który już w czasie niepodległości naszej pełnił funkcje konsula... argentyńskiego w Konstantynopolu. Czyż nie jest to wzruszającą osobliwością polską? Przykładem więcej tej — "siły fatalnej"?

W owych czasach, na terenie Argentyny, istniał już cały szereg polskich organizacji. Z tego dwie — w samym Buenos Aires. Nazywały się: "Towarzystwo Polskie w Buenos Aires" i "Polskie Tow. Socjalno-Robotnicze Równość". Z notatek w omawianym tygodniku wiemy, że: "w jednym skupiała się polska myśl narodowa — w drugim socjalistyczna". Jedynie czasopismo — służy wszystkim. Przeprowadza całą kampanię za złączeniem polskich organizacji i zbudowania wspólnym wysiłkiem Domu Polskiego. Powstaje trzecia organizacja pod nazwą: "Związek Polskich Robotników Wzajemnej Pomocy". Po stwierdzeniu, że wszystkie jej cele są objęte statutami i działalnością obu istniejących poprzednio organizacji, "Echo Polskie" ostro potępia takie nieumotywowane rozdrabnianie wspólnego wysiłku. W ciętych artykułach podpisanych "Gamajda" bez osłonek wytyka

kryjącą się za frazesami ambicję prywatną "prezesów żądających ich uszanowania wyborem". Artykuły te żywcem mogłyby być drukowane, jako zupełnie aktualne, na niejednym terenie emigracyjnym w obecnych czasach.

Na początku 1914 w Argentynie przeprowadza się ogólny spis ludności. Przypominam, że Polacy figurowali wówczas, według paszportów, jako Rosjanie, Niemcy i Austriacy. "Echo Polskie" poucza: jak należy wypełniać druki spisu, by podkreślić swoją polskość. Ze wzruszeniem śledzimy te próby "obrony swojej narodowości i państwowości" przez tych co to za chlebem szli za ocean. Administracja argentyńska nie uznaje tak wypełnianych druków. Wynikają konflikty. W Misiones jakiś urzędnik nie przyjmuje arkusza ankietowego wypełnionego przez kolonistę w rubryce "narodowość" słowem "Polak". Sprawa opiera się o głównego komisarza. Wyznacza karę za... wprowadzenie w błąd. Karę na owe czasy bardzo dużą bo aż 100 pesos. I taki kolonista, chłop przybyły z Galicji, oświadcza: "Zapłacę wam, panie komisarzy, ale jeżeli wy mnie udowodnicie, że nie jestem Polakiem!". I komisarz daje za wygraną.

Z chwilą wybuchu wojny rosną nadzieje uzyskania niepodległości, bo, jak pisze "Echo" — "Lud polski z ideą wojny europejskiej łączył zawsze ideę własnej niepodległości... Nie chcemy, ani możemy obliczać dzisiaj, jakie korzyści kraj nasz wyciągnąć zdoła z obecnej sytuacji politycznej w Europie. ...Jedno tylko zdaje się być rzeczą najzupełniej pewną: że Polska znajduje się w przede dniem wielkich wydarzeń, dotyczących jej losu... W bardzo znacznej części zależeć to będzie (uzyskanie pełnej niepodległości) od społeczeństwa naszego. ... Powinno ono (społeczeństwo w kraju) zdusić w sobie wszelki ruch sekciarski, zapomnieć na pewien czas o różnych "programach i celach" i skupić się wokoło celu WIELKIEGO a wspólnego nam wszystkim — Ojczyzny!... Czy obecnie czynią to nasi bracia w kraju?"

Czy obecnie bracia nasi w kraju czynią to? czy jest tam zgoda w postanowieniach i działaniach? — pytania te ciągle przewijają się w artykułach Polonii argentyńskiej, są bodaj najważniejszą jej troską. Sami oni piszą: "Nie wiemy jeszcze, jakie stanowisko zajmą nasi rodacy w trzech zaborach wobec możliwych rezultatów wojny, ale uważamy, że kolonia polska w Argentynie powinna być przygotowana na poparcie jakiegokolwiek akcji wszystkimi swymi skromnymi środkami..."

Dnia 4 października 1914 odbył się w Buenos Aires ogólny wiec polski. Tak pisze o nim "Echo": "...przejaw jedności widziała kolonia polska na nim... Przedstawiciele różnych odcieni politycznych jednogłośnie uchwalili gromadzenie fundusów na rzecz Ojczyzny. Nie wyłonił się ani jeden głos protestu, nie dał się słyszeć najmniejszy szmer niezadowolonia... dotychczasowi przeciwnicy, których podobno nie nie łączyło, a dzielił cały ocean różnic programowych, zrozumieli wreszcie, iż

obok programów lokalnych istnieje jeden WSPÓLNY program: obowiązek względem ziemi ojczystej".

Na wiecu uchwalono następującą rezolucję:

"Polacy, zebrani na wiecu, dnia 4. X. 1914 postanowili ustanowić dobrowolne opodatkowanie się, celem zebrania funduszu polskiego, którego zużytkowanie zadecyduje wiec następny, zwołany po jedenastu miesiącach, lub wcześniej, jeżeli zajdzie tego potrzeba".

Fundusz, zapoczątkowany na samym wiecu, rósł stale. I z datków jednorazowych i ze stałego, miesięcznego opodatkowania się. Wybrany "Komitet Funduszu" — należy chyba wymienić nazwiska? B. Schreiber, W. Paczyński, G. Jasiński, B. Zakrzewski, A. Moszyński i S. Potakowski — oświadczył szczerze, że nie wie jak ten fundusz będzie zużytkowany, może na mające powstać w przyszłości oddziały wojska polskiego, Czerwony Krzyż w Polsce, może na akcję polityczną, a może po prostu... "jako pomoc tak cierpiącej w kraju ludności". Jednak musi być zbierany — być "gotowy", gdy przyjdzie odpowiednia chwila. Zbieranie funduszu, takiego miniaturowego Skarbu Polskiego na obczyźnie, przetrwało wychodzenie samego "Echa Polskiego", nie wiem więc jak ostatecznie był zużytkowany.

Strony czasopisma są wypełnione wiadomościami z kraju. Po tem dział ten ma inny nagłówek: "Wiadomości z kraju i o kraju". Wiadomości te bowiem przychodzą z agencji prasowych, lub kwater prasowych — trzech zaborców. Są więc sprzeczne, chaotyczne, licytujące się w opisach okrucieństw przeciwników. Najważniejszy ówczesny czytelnik nie mógłby na ich podstawie wyrobić sobie choćby przybliżonego pojęcia o sytuacji w kraju. A wiadomości polskie, o stanowisku "kochanych braci w kraju"? Są również chaotyczne, czasami wręcz dziwaczne.

W roku 1915 ogarnia Argentynę bezrobocie. Wysokość zarobków spada katastrofalnie. Dnia 31 maja wychodzi ostatni numer pierwszego polskiego czasopisma w Argentynie. W artykule "Od Redakcji" pan Paczyński zapowiada czytelnikom ten smutny fakt i podaje powody. To nie brak zainteresowania ze strony kolonii, to nie obojętność dla sprawy polskiej. Po prostu bieda zagładająca nie do jednego domu emigranckiego, zmuszająca do liczenia się nawet z wydatkiem na kupno gazety.

Ale nawet w ostatnim numerze nie brak nawoływania do dalszej zbiórki na fundusz narodowy. Podaje się tylko adresy prywatne członków Komitetu, bo redakcja... przestaje istnieć.

I administrator "Echa Polskiego", pan Bolesław Schreiber, żegna czytelników — rzecz chyba niezwykła dla czasopisma prywatnego! — żegna — bilansem wydawnictwa za cały okres jego istnienia! I stwierdzeniem, że sumka pozostająca jako saldo kasowe — również będzie przekazana na fundusz narodowy...

Z dziwnym uczuciem odkładam ten ostatni numer. Myślę — że przecież powiedzenie o historii, która się wciąż powtarza — chyba nie jest pozbawione pewnego sensu, że przecież...

Ale dajmy temu lepiej spokój. Wszak miałem pisać o poloniacach wydawniczych starej emigracji argentyńskiej, tylko takie notatki z życia "starej" emigracji...

Buenos Aires, rok 1951.

Wiktor OSTROWSKI.

Kronika angielska

Na Earls Court'cie bez zmian

Organizacja Skarbu Narodowego miał stworzyć techniczne możliwości przeprowadzenia wyborów do Rady Narodowej. Twórcy tej koncepcji wychodzili ze słusznego założenia, że płatnicy na Skarb Narodowy winni mieć możliwość kontrolowania, poprzez wybranych reprezentantów, gospodarki z funduszy Skarbu Narodowego. W ten sposób klasycznej zasadzie demokracji: "no taxation without representation" stało by się zadość.

Przeszło rok temu (10. 5. 1950) projekt dekretu Prezydenta R. P. o Ordynacji Wyborczej do Rady Nar. został przyjęty przez komisję ordynacji wyborczej. Sprawy tej jednak nie załatwiono. III Rada Nar. została zamknięta, a ostatnim jej echem było uchwalenie noweli zmieniającej dekret Prez. R. P. z grudnia 1939 r. o Radzie Nar. Nowela zwiększa liczbę członków Rady Nar. do 120 i postanawia, że przerwa pomiędzy kadencjami Rady nie powinna trwać dłużej niż 3 miesiące.

III Rada Nar. powzięła również uchwałę w sprawie trybu powołania członków IV Rady Nar. W myśl tej uchwały:

1. W skład IV Rady wejdą członkowie powołani przez Prezydenta spośród kandydatów przedstawionych, co najmniej w połowie, przez ugrupowania polityczne, dążące do odzyskania niepodległości i stojące na stanowisku ciągłości prawnej Państwa Polskiego.

2. Mandaty do IV Rady nie przypadające ugrupowaniom politycznym będą obsadzone spośród osób:

a) piastujących odpowiednie stanowiska w hierarchii swoich kościołów lub wyznań,

b) posiadających doświadczenie w pracy publicznej, lub znanych ze swej działalności na polu nauki, publicystyki, literatury, sztuki, lub wojskowości,

c) piastujących stanowiska we władzach instytucji, bądź zreszeń społecznych, albo

d) reprezentujących organizacje narodowościowe.

Nikt zatem nikogo nie będzie wybierał tylko w dalszym ciągu wszyscy będą "przedstawiani" i "powoływani".

Płatnik na rzecz Skarbu Nar. nie będzie miał nadal żadnego wpływu czy możliwości kontroli w stosunku do pieniędzy płynących z jego kieszeni. Nie oznacza to oczywiście, że gospodarka z funduszy Skarbu Nar. jest niekontrolowana. Oznacza to jednak, że kontrolowana jest przez osoby, które nie piastują swojego mandatu z wyborów w których wzięłaby udział większość płatników na Skarb Nar.

Pieniądze płynące z podatków płaconych przez Polaków nie-obywateli brytyjskich podlegają w Anglii takiej samej publicznej kontroli, jak wszystkie inne wpływy podatkowe. Mimo to płatnik polski nie ma

na tę kontrolę żadnego wpływu, nie posiada bowiem ani biernego ani czynnego prawa wyborczego. W pewnym stopniu sytuacja emigracyjnego płatnika na Skarb Narodowy kształtuje się podobnie. Pięniądze, które płyną z jego ofiarności są kontrolowane, lecz na wybór osób, które uchwalają sposób wydatkowania tych pieniędzy i tryb kontroli — płatnik w znakomitej większości — nie ma żadnego wpływu.

Z drugiej strony fakt, że ordynacja wyborcza przez III Radę Narodową nie została uchwalona, (choć jak zaznaczył w swym przemówieniu Prezydent R. P. — prace w tym kierunku znacznie zostały posunięte naprzód) — stwarza, być może, większe szanse porozumienia ze stronnictwami opozycyjnymi. Jak wiadomo bowiem, opozycja jest przeciwna reprezentacji wyłonionej z wyborów emigracyjnych. Przeprowadzenie wyborów i powołanie Rady Narodowej, której połowa członków pochodziłaby z wyborów, byłoby równoznaczne ze zrealizowaniem pewnej koncepcji z której trudno byłoby już się wycofać. Krok taki oznaczałby oparcie legalnego "Państwa na Emigracji" o uchodźstwo i byłby logicznym dopełnieniem koncepcji Skarbu Narodowego. Decyzja taka pogłębiłaby jednak niezmiernie przepaść, jaka dziś dzieli poglądy opozycji od poglądu obozu rządowego. Opozycja bowiem uważa, że misja kontynuowania zębów legalnej państwowości polskiej winna być oparta o stronnictwa polityczne, a nie o uchodźstwo.

Wskutek tego, z teoretycznego punktu widzenia, dopóki ordynacja wyborcza nie jest uchwalona istnieją większe możliwości pogodzenia tych dwóch sprzecznych poglądów. W praktyce — jak wiemy — cała rzecz rozbija się nie tyle o poglądy, co o osoby. Kompromis jest osiągalny tylko w stosunku do poglądów nigdy w stosunku do osób. Jeżeli żąda się ustąpienia np. prezydenta — jakież są możliwości kompromisu? Nie ma oczywiście żadnych. Ktoś musi skapitulować — albo prezydent, albo opozycja wycofując swe żądanie. Jeżeli żadna ze stron nie kapituluje — kryzys trwa nadal.

Nawoływanie do porozumienia i jedności weszło już do żelaznego repertuaru patriotycznej frazeologii, którą okrasza się każde przemówienie.

Prasa londyńska o polskich autorach.

Przypuszczam, że w szczególności naszych Czytelników w Stanach Zjednoczonych zainteresuje opinia londyńskiej "wrocławskiej" literackiej o książce K. Wierzyńskiego pt. "The Life and Death of Chopin". "The Times Literary Supplement" z dn. 18 maja br. zamieścił bardzo nieprzychylną recenzję o studium Wierzyńskiego. Autor omówienia wyraża pogląd, że jedynie pierwsze rozdziały książki w których Wierzyński daje literacką rekonstrukcję polskiej atmosfery w której wychował się Szopen — przedstawiają jakąś wartość. Pozostała część dzieła nie różni się niczem dodatnim od innych, znanych biografii szopenowskich.

"Times Lit. Sup." atakuje przede wszystkim sprawę korespondencji między Szopenem a Delfiną Potocką i zarzuca Wierzyńskiemu, że przyjmuje za pewnik autentyczność tej korespondencji, nie przedstawiając żadnych dowodów. Krytyk "The Times Lit. Sup." zarzuca również Wierzyńskiemu, że nie zajmuje w swym studium stanowiska w stosunku do licznych sprzeczności, które musiałyby powstać, gdyby omawiana korespondencja uznano się za autentyczną.

W sumie, literackie pismo londyńskie stwierdza, że Wierzyński powiększył tylko szereg tych wielbicieli Szopena, którym zamiast faktów wystarczają barwne fantazje.

Zarzuty są poważne. Dziwić się tylko należy, że do tej pory nie znalazł się polski znawca przedmiotu, który by odpowiedział na te zarzuty choćby w liście do redaktora "Times'a".

W "The Observer" z dn. 20 maja E. Crankshaw omówił książkę Z. Stypułkowskiego pt. "Invitation to Moscow". E. Crankshaw — sam

wybitny znawca Rosji i autor świeżo wydanej książki pt. "Russia by Daylight" — nie skąpi słów wielkiego uznania dla polskiego autora i stwierdza, że jego książka jest jedynym w swoim rodzaju dokumentem odsłaniającym mechanizm moskiewskich procesów. Swą recenzję zakończył Crankshaw słowami: "Książka jest nie tylko pomnikiem dla jego (Stypułkowskiego) odwagi i woli. Jest ona również pomnikiem dla tych wszystkich w państwie Stalina, którzy przyznali się do nie popełnionych zbrodni by móc umrzeć w spokoju".

Na łamach "New Statesman and Nation" ukazało się omówienie książki Stypułkowskiego piera R. H. S. Crossmana. Na wstępie autor recenzji podkreślił, że nie sympatyzuje z polityczną ideologią partii do której należy Stypułkowski — co jest zrozumiałe ponieważ Crossman jest wybitnym socjalistą. Nie mniej czytając "Invitation to Moscow" Crossman doszedł do wniosku, że "reakcyjna" Polska była krajem cywilizowanym, a Stypułkowski stanął przed sądem w Moskwie jako samotny bojownik zachodniego humanitaryzmu.

Swe rozważania zamyka Crossman następującym wnioskiem ogólnym: "Co za nonsens mówić o socjalistycznej Anglii jako o czymś pośrednim między blokiem komunistycznym a kapitalistycznym lub dowodzić, że Stany Zjednoczone ze wszystkimi swoimi grzechami stanowią dla cywilizacji groźbę analogiczną do sowieckiej".

Istotnie cóż za nonsens!

Ale naszym, nawet prawicowym, pisarzom Stany Zjednoczone wydają się czymś równie potwornym jak Rosja. (W tym i w tamtym wypadku będzie to "kultura standardowa, obca nam, zmechanizowana, odpychająca trywialna". — Zygmunt Nowakowski).

Artykuły "Kultury" na łamach prasy obcej.

"The Manchester Guardian" z dn. 17 maja br. zamieścił obszernie streszczenie drugiego artykułu J. Łobodowskiego poświęconego analizie sytuacji w Polsce w oparciu o listy jakie nachodzą z Kraju do radiostacji w Madrycie. ("Kultura" — maj 1951).

"Życie Warszawy" przedrukowało pt. "Z londyńskiego obozu zdrady narodowej" wyjątki z "Listu z Wyspy" ("Kultura", luty-marzec 1951) Juliusza Mieroszewskiego opatrując tekst typowym komentarzem.

LONDYNŹYK

Kronika amerykańska

Emigracyjne obozy polityczne w stolicy St. Zjednoczonych

Na terenie Washingtonu istnieje ortodoksyjna część byłych urzędników ambasady polskiej w St. Zjedn. Am. Północnej. Stoją oni na stanowisku, że majestat Rzeczypospolitej został na tym terenie obrażony w osobie ostatniego uznawanego przez rząd amerykański ambasadora Rzeczypospolitej, którego Amerykanie zastąpili przedstawicielem reżimu warszawskiego. Otóż błąd ten i krzywdę Amerykanie mogą naprawić jedynie w ten sposób, że wrócą do uznawania legalnych władz Rzeczypospolitej w obronie tegoż ambasadora, który obraził się na rządzącą poroosveltowską administrację demokratyczną. Pan ambasador Ciechanowski dał wyraz swemu stanowisku w doskonałej książce: "The Defeat in Victory", która ukazawszy się w okresie przedwyborczym kampanii prezydenckiej, jako druzgocąca krytyka polityki zagranicznej Roosevelta i jego otoczenia stała się właśnie narzędziem wyborczym w rękach partii republikańskiej. Myślę zresztą, że każdy uczciwy Polak, będąc na miejscu ambasadora Ciechanowskiego uczyniłby to samo. Niemniej naturalnym następ-

stwem tego faktu było doszczętne przekreślenie możliwości oddziaływania przez ostatniego naszego ambasadora na rządzącą partię demokratyczną i kierownicze urzędy państwowe. Otóż nieukrywaną teżą części zespołu ambasadzkiego jest to, że każdy nowy Polak, reprezentujący jedno z ugrupowań politycznych lub też wykazujący samodzielną inicjatywę na terenie washingtonskim jest zjawiskiem szkodliwym, gdyż prowadząc rozmowy z Amerykanami i zdobywając nowe przyjaźnie i kontakty, opóźnia rzekomo automatycznie moment i potrzebę "nawrócenia" Amerykanów. Dla ścisłości pragnę podkreślić, że wyżej przedstawionego wywodu nie słyszałem bezpośrednio z ust ambasadora Ciechanowskiego, natomiast niejednokrotnie miałem okazję spotkania się z nim w wypowiedziach pomniejszych urzędników dawnej ambasady.

W tym miejscu nie sposób pominąć trudnej, ale niezmiernie istotnej sprawy obywatelstwa. Otóż wbrew stanowisku władz państwowych w Londynie, wbrew uchwałom uchodźczych organizacji społecznych, przeważająca większość emigrantów politycznych w Stanach Zjednoczonych przyjmuje obywatelstwo amerykańskie, lub co najmniej, biorąc tak zwane pierwsze papiery, wyraża pod przysięgą intencję przyjęcia tego obywatelstwa w przyszłości. Do spraw obywatelstwa, bardzo tu dyskutowanych, podchodzą ludzie w różny indywidualny sposób i daleki jestem od tego, by ganić kogokolwiek za ten krok. Niemniej stwarza on tym właśnie ludziom, którzy chcą się nadal uważać za emigrację polityczną, poważny problem wewnętrzny. Niewątpliwie wielu byłych urzędników i dygnitarzy rozumuje uczciwie, iż więcej będą mogli zdziałać dla sprawy polskiej jako urzędnicy amerykańscy, aniżeli jako bezrobotni czy jako pracownicy fizyczni. Wiem, iż wielu ludzi w tej właśnie formule znalazło rozgrzeszenie swego rozstania z niewygodnym, protestacyjnym statusem bezpaństwowca. Jednak jest tu jakieś wstydlive niedomówienie. Nie może być bowiem dwóch polityk w tej sprawie. Nie można masie uchodźczej zakazywać przyjmowania obcego obywatelstwa i skazywać ją na gorsze warunki na rynku pracy, a jednocześnie swoich najbliższych po cichu rozgrzeszać. Należy podkreślić, że w Ameryce nikogo nie zmusza się do przyjmowania obywatelstwa, niemniej jednak przyjazd na wizę imigracyjną jest w zasadzie rozumiany przez władze tego kraju jako pierwszy krok w tym kierunku. Stąd ci cudzoziemcy z wizą imigracyjną mogą podlegać poborowi do służby wojskowej i to następuje obecnie. Sprawy te powinny być wreszcie wyraźnie postawione przez kompetentne czynniki emigracyjne, by uniknąć w przyszłości zbytecznych konfliktów sumienia i lojalności.

Mam wrażenie, że te właśnie względy obok krytycznej najwidoczniej cechy dotychczasowego bardziej niż nikłego dorobku kierowały ośrodkiem londyńskim, kiedy postanowiono przerzucić tu w charakterze naczelnego przedstawiciela śp. ambasadora Łukasiewicza, zmarłego tragicznie w pierwszych dniach kwietnia. Wg. wszelkich sumiennie zebranych informacji pogłoski o ew. zabójstwie są bezpodstawne.

Z kolei przechodzę do omówienia obozu politycznego Stanisława Mikołajczyka, którego wpływy i znaczenie wyraźnie zaczęły ostatnio maleć. Wielkim wstrząsem i zasadniczym podważeniem pozycji Mikołajczyka było odejście od niego dwóch czołowych i dobrze znanych w kraju działaczy ludowych jak Bagiński i Korboński. Jedynie częściowo Mikołajczyk załatał tę stratę stworzeniem komitetu narodo-demokratycznego, gdzie najpoważniejszym atutem jest były minister Karol Popiel, per fas et nefas pretendujący wraz z p. Sieniewiczem do roli reprezentacji polskich sumień katolickich i szerokiej rzeszy robotniczo-chrześcijańskich. Piszę przez cały czas wyłącznie o Mikołajczyku, a nie o jego stronnictwie, gdyż w tym obozie liczy się jedynie wola i osoba "prezesa". Amerykański system bossa zastosowany został w całej pełni. Zresztą na emigracji obecnie Mikołajczyk jest niemal całkowicie odosobniony. Na odcinku Polonii amerykańskiej

poniósł dzięki swemu uporowi — w sprawach programowych — całkowitą klęskę, jeszcze tylko wśród Polonii francuskiej usiłuje utrzymać pewne wpływy poprzez monopol prasowy "Narodowca" i ruchliwego na froncie wojny wewnętrznej profesora Kota. Największym jednak atutem Mikołajczyka było wybranie Washingtonu na kwatery i centralę działania. Administracja demokratyczna miała i ma nadal wobec niego długi wdzięczności za zagranie karty jałtańskiej. Amerykanie jako ludzie w stosunkach osobistych lojalni, nie mogą zapomnieć Mikołajczykowi, że wbrew całej emigracji i wbrew presji Polonii pomógł im w zepchnięciu sprawy polskiej na ślepy tor, gdy się robiło przymierze z Sowietami za wszelką cenę. Nie mogą mu zapomnieć z drugiej strony, że przez dwa lata z górą stawiał bezspornie meżny opór komunistom w kraju i starał się w miarę możliwości wywalczyć dla narodu polskiego pozytywne strony umowy jałtańskiej. Dał temu wyraz choćby Arthur' Bliss-Lane w swej szlachetnej książce: *I saw Poland betrayed*. Wreszcie, był on nieocenionym źródłem informacji o rządzie warszawskim i metodach politycznych komunistów. Zaćmić go mógłby w tym zakresie tylko nowy uciekinier z równie wysokiego stopnia administracji warszawskiej. Ponadto książka Mikołajczyka pod niewybrednym tytułem *The Rape of Poland*, mimo iż bardzo słaba pod względem literackim i redakcyjnym, stała się przed kilku laty cennym narzędziem w propagandzie antykomunistycznej i dała autorowi dużą popularność w społeczeństwie amerykańskim.

Dalszym atutem Mikołajczyka jest jego niezwykła, mrawcza pracowitość i ruchliwość (jak mówił złośliwie ktoś będący w jego otoczeniu: "to czego prezes nie wymyśli, to prezes wybiega"). Mikołajczyk kraży już od lat trzech po różnych biurach i instytucjach washingtonskich, składa notatki, informuje o swoim stanowisku lub co gorzej, o rzekomym stanowisku swoich antagonistów politycznych; wszędzie go pełno, czasami za pełno. Niewątpliwie potrafił się już przez te lata więcej niż opatrzyć i naprzykrzyć osobistym stawianiem sprawy, oraz niezwykłą bezkompromisowością w sprawach wewnętrzno-polskich, stojącą w rażącej dysproporcji do wykazanej wielokrotnie kompromisowości w stosunku do czynników anglo-saskich. Niemniej Washington ma ciągle zmieniające się ekipy urzędnicze, więc zawsze można poznać kogoś nowego, ważnego i z polskiego punktu widzenia ciekawego.

Do niedawna potrafił on przekonywać swych rozmówców, że emigracja nie przedstawia wielkiego znaczenia ani liczbowego ani politycznego, że istotne są nastroje kraju, który rzekomo niemal w 90% opowiada się personalnie za nim. Długo jednak bluffować nie można. Amerykanie coraz bardziej zajmując się sprawami zza żelaznej kurtyny, zaczynają się już nieźle orientować w zbyt szybko niestety zmieniającej się sytuacji krajowej.

Politycznie jednak najważniejszym plusem Mikołajczyka jest nadal jego pozycja w Zielonej Międzynarodówce, stworzonej i finansowanej przez pewne koła amerykańskie, a zaplanowanej bodaj przez zmarłego rok temu misjonarza protestanckiego, autora książek o Rumunii i Bułgarii, R. H. Markhama. Jeszcze rok temu groziło, że na wypadek dalszego rozkładu emigracji politycznej Amerykanie mogą użyć koncepcji alternatywnej, mianowicie prowadzić politykę w tej strefie nie poprzez rządy, nie poprzez komitety międzynarodowe, ale właśnie przez różnego rodzaju sfabrykowane ad hoc w Washingtonie międzynarodówki chłopskie, "chrześcijańskie" etc. Czynniki amerykańskie od dawna zdradzają zainteresowanie dla każdej próby bliższej współpracy przedstawicieli sąsiadujących narodów, idącej w kierunku federalnym. Jakkolwiek znaczenie międzynarodówki chłopskiej wyraźnie zmalało od śmierci Markhama, niemniej należy ją nadal brać poważnie w rachubę. (Dimitrow, Macek, Nagy).

Tak się złożyło, że najmniej jestem w stanie powiedzieć o washingtonskim zespole Rady Politycznej. Jest tu nas tylko dwóch: Kazimierz

Bagiński i ja. Trudno więc samemu działalność tę oceniać. Sądzę, że częściowym świadectwem aktywności i zasięgu naszych kontaktów był bogaty tydzień konferencji, wizyt, rozmów i wywiadów, zorganizowany dla prezesa Rady Politycznej Arciszewskiego w czasie jego znanego pobytu w Washingtonie. Najbardziej obiektywnie oceniając sądząc uczciwie, że właśnie Rada Stronniców Politycznych, umieszczona na pośrodku pomiędzy sztywnym i nieruchawym, oligarchicznym rządem londyńskim, a zrywającym z ciągłością prawną, zdecydowanie niepopularnym na emigracji, a coraz bardziej odsuniętym od kraju, Mikołajczykiem ma potencjalnie największe na tym terenie możliwości, zwłaszcza, że względu na rosnące poparcie Polonii amerykańskiej i coraz bliższą współpracą z emigracjami bratnich narodów.

Po chybionej imprezie filadelfijskiej Rada Polityczna ogromnie się uaktywniła na odcinku współpracy i zbliżenia emigracji politycznych z Europą Środkowo-Wschodnią, będąc inicjatorem i współorganizatorem ważnych konferencji periodycznych, przedstawicieli tych narodów, celem ustalenia wspólnych zasad polityki naszego obszaru oraz planowego współdziałania w akcji niepodległościowej. Wkrótce odbędzie się czwarta kolejna konferencja tego typu w Waszyngtonie. Jak dotychczas są one bojkotowane ze względów prestiżowych przez Mikołajczyka i jego politycznych popleczników.

Dopóki jednak istnieje rozbięcie na trzy człony nie ma, moim zdaniem, nadziei, aby Amerykanie nawiązali faktyczną współpracę z jednym z tych członów, jako wyłącznym przedstawicielem opinii polskiej. Wbrew temu co mówią różni domorośli filozofowie polityczni na emigracji, wydaje mi się, że polityka amerykańska chętnie widziałaby zjednoczony obóz wolnych Polaków. Można to zaobserwować chociażby w pracach komitetu Wolnej Europy. Z innych moich obserwacji wynika, że dopóki będą rządzić Stanami demokraci, to znaczy w każdym razie do wiosny 1953 roku, najchętniej widziany byłby na odcinku polskim blok Rady Politycznej z Mikołajczykiem i tak zwanym czynnikiem wojskowym londyńskim. Wątpię, by spodziewane zwycięstwo republikanów coś tu zmieniło.

W następnej korespondencji zajmę się kluczowym dla sprawy polskiej wpływem Polonii amerykańskiej na Washington.

Jerzy LERSKI.

Kronika australijska

Prasa polska w Australii przeszła wreszcie z powielaczy na druk. W Sydney, nad Pacyfikiem, Związek Polski w N. Połudn. Walii wydaje "Wiadomości Polskie", w "interiorze" wychodzi "Tygodnik Katolicki" i nad Oceanem Indyjskim, w Perth, powstał, jako prywatne wydawnictwo, tygodnik "Echo". Ma się niebawem ukazać "The Polish Bulletin", jako wydawnictwo propagandowe w języku angielskim. Poza tym tygodnik australijskiego związku zawodowego robotników niewykwalifikowanych i rolnych wprowadził stały dział polski. Wszystkie pisma mają charakter niepodległościowy, lecz nie związane wyraźnie z żadnym ze skłóconych ośrodków politycznych naszej emigracji.

Rada Naczelna Polskich Organizacji w Australii obradowała na dorocznym zjeździe w Sydney. Obejmuje ona kilkanaście stowarzyszeń terenowych, S.P.K. i tzw. "kacetowców" o łącznej ilości członków około 2 tysiące. Prezydium Rady wybrano na zasadach koalicji większych stronnictw i ugrupowań.

Stowarzyszenie polskie w Brisbane zakupiło już dom, co stało się bodźcem i dla innych skupisk. W Sydney zebrano na ten cel tymczasem nieco ponad sto funtów. Praktyka wykazała, że trudno zebrać fundusze ze zbiórek „czy udziałów własności, a najłatwiej „wytanńczyć” urządzając dobrze popłatne zabawy.

Rada Naczelna powołała do życia "Fundusz Polonii Australijskiej" na sfinansowanie angielskiego biuletynu, działu opieki społecznej, i komisji oświatowej, która dla braku środków uruchomiła dotychczas jedynie parę kursów języka angielskiego.

Życie kulturalne. W kilku ośrodkach powstały już teatry amatorskie, chóry i zespoły taneczne na poziomie raczej amatorskim. Programy artystyczne akademii 3-majowych ujawniły istnienie polskich muzyków i śpiewaków, którzy na ten wieczór rozstali się z łopata, czy warsztatem. Na objazdowej wystawie folkloru i sztuki grup imigranckich wyróżniły się obrazy prof. Fueringa.

Sekcja dyskusyjna w Sydney urządza co niedzielę odczyty, często na wysokim poziomie. Również w innych ośrodkach prowadzona jest akcja odczytowa, gdyż prelegentów nie brakuje. Wielu intelektualistów pragnie, chociaż od czasu do czasu, mieć przeświadczenie, że wiedza ich choć na coś może się przydać.

Sport. Przybysze z Europy środkowo-wschodniej wyróżniają się w gałęziach sportu tutaj mało uprawianych: europejska piłka nożna, ping-pong, koszykówka, i (choćaż to nie sport) szachy. Polskie kluby piłki nożnej, jak też poszczególni gracze w klubach australijskich, mają już pewne sukcesy.

Urządzanie się. Większość Polaków wciąż jeszcze odrabia swe dwuletnie kontrakty pracy i nie wykroczyło poza pierwsze stadium nabycia, zależnie od wieku i stanu rodzinnego: parceli, motocyklu, radiodiodniorka i kompletu odzieży. Następnym stadium będą: domki i w dalekiej przyszłości samochody. Częściej się zdarza nabycie ciężarówki w celach zarobkowych. Na ogół jednak zakładanie własnych warsztatów pracy idzie bardzo opornie.

W Melbourne kilku polskich marynarzy założyło warsztaty reparacyjne motorów Diesla. Firma rozwija się świetnie i ma już kilka oddziałów. Inż. Sariusz-Bielski prowadzi polskie przedsiębiorstwo wiertnicze (lecz chodzi tu nie o naftę, a o rzadki w Australii surowiec — wodę). Dr Hempel jest doradcą w sprawach żeglugi rządu stanowego w Queensland. Istnieją pod Sydney i Melbourne polskie farmy hodowli drobiu i na Tasmanii sadownictwa. W Melbourne są dwie polskie kawiarenki. Najpospolitsze prace inteligentkie to ubezpieczanie swych rodaków w firmach australijskich, podrzędne stanowiska w administracji obozów, oraz praca biurowo-techniczna w stanowych wydziałach budowlanych, mierniczych itp.

Na ogół konta bankowe imigrantów wzrastają obecnie w wolniejszym tempie, gdyż wzmagająca się drożyzna powoduje zmniejszenie możliwości oszczędzania a tendencje inflacyjne każą szukać innej lokaty niż pieniądź i konto bankowe.

Wojsko. W Australii wprowadzono wreszcie przymusowy pobór do wojska, a raczej krótkie przeszkolenie dla chłopców w wieku 18 lat. Pobór ten nie obejmuje imigrantów. Armia, marynarka i lotnictwo składają się z ochotników. Do armii lądowej przyjmowani są również imigranci nie posiadający obywatelstwa, którzy zadeklarują chęć naturalizacji. W wypadku wojny można przewidywać, że imigranci będą powoływani do takich, czy innych, formacji wojskowych. Polaków w wieku obecnie poborowym, 18 lat, jest tu bardzo mało, natomiast ilość b. żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na zachodzie, a zwłaszcza z kompanii wartowniczych w Niemczech, przekracza podobno 6 tysięcy.

Kronika niemiecka

Niespodziewanie "teren niemiecki" ożywił się, gdy zdawało się, że zamiera. W końcu maja i w czerwcu r. b. kilku najwybitniejszych przedstawicieli emigracji odwiedziło Monachium. Znosi się tu na uruchomienie sekcji polskiej radia Free Europe, rozbudowanej równie szeroko jak sekcja czeska.

Wiele osób znajdzie pracę w działach programowych i administracyjnych. Zainteresowanie tą sprawą jest duże wśród... zainteresowanych.

Jeden z dziennikarzy wyraził pogląd, że wchłonięcie przez aparat radia Free Europe wielu pracowników odbija się niekorzystnie na propagandzie wolnego świata w kraju. Stanie się tak dlatego, że dipisi w Niemczech zostaną nawet bez tej skromnej opieki i obrony interesów jaką im daje resztką inteligencji polskiej. Będą wobec tego pisać do kraju coraz bardziej rozgoryczone listy — jak to robią już dziś. A to są listy do bliskich — listy którym się wierzy. A piszą ich dużo.

Takie listy pisano także do "Wiadomości Polskich", organu misji repatriacyjnej (czy też tak zwanego "Czerwonego Krzyża"), wydawanego we Frankfurcie. Jest rzeczą zabawną, że listy te piszą ludzie, którzy zostają w Niemczech, bo nie chcą się dostać pod reżim komunistyczny. Ale rozgoryczenie ich jest tak wielkie, że przewyciężą opory psychiczne przeciw pisaniu do organu jawnie komunistycznego.

Podobno teraz "Wiadomości Polskie" ulegną likwidacji. Ale nie położą to kresu propagandzie listowej.

Nowa organizacja polska Z.P.U. zwerbowała do końca maja 5.000 członków. Jak wiadomo jej powołanie do życia jest wynikiem lokalnego porozumienia obu odłamów politycznych emigracji: obozu Rady Narodowej i obozu Rady Stronictw Politycznych.

Na terenie strefy brytyjskiej zwerbowano do Z.P.U. 3.500 członków, strefy francuskiej 300. W tej ostatniej Polaków prawie już nie ma. W obu tych strefach ostatnio walki partyj przycichły.

W strefie amerykańskiej, gdzie Polaków jest mniej więcej tyle co w strefie brytyjskiej zwerbowano tylko 1200 członków Z.P.U.

Tłumaczenia są różne. Ja znajduję jedno: mimo porozumienia oba odłamy na terenie strefy amerykańskiej prowadziły walkę podjazdową, także w prasie.

To jest pouczające.

Podobno też walki podjazdowe mają ustać.

Oby!

Zwerbowanie 5000 członków przez ZPU nie jest rezultatem tak mizernym, jakby się to na pierwszy rzut oka wydawało. Kto emigruje lub ma nadzieję emigrować nie zapisuje się do Z.P.U. Nie należą do niego też dzieci. W kompaniach wartowniczych akcji werbunkowej się nie prowadzi.

W rachubę wchodzi około 30.000 Polaków, a bez dzieci 15.000. Jedną trzecią zapisała się. Otóż normalnie organizacja społeczna, skupiająca trzecią część ludności ma duży ciężar gatunkowy.

Może nareszcie Z.P.U. rozwiąże problem opieki prawnej i poradnictwa prawnego dla bezradnych dipisów?

Dla ilustracji stosunków, panujących w tej dziedzinie przytoczę obserwacje z jednego obozu D.P. W obozie tym rozdaje się paczki wartości może 2, może 3 tysięcy marek rocznie. Troje ludzi pracuje

nad "dobroczynnością" i podziałem niepraktycznych przeważnie darów.

W tym samym obozie około 200 pracujących nie załatwiło sprawy ulg podatkowych dla D.P. (takich samych jak dla niemieckich wysiedleńców). Przeciętnie tracą na tym po 50 marek, czyli 10.000 marek rocznie. Urzędnik dobroczynnej instytucji niby to załatwia ludziom sprawy podatkowe, pobierając od nich opłaty, ale nie ma pojęcia o ustawach.

Straty na niezajomości przepisów ubezpieczeń społecznych obliczono na 30.000 DM. rocznie.

Nikt się nie zajmie dopomożeniem Polakom w uzyskaniu pożyczek z "Banku Wysiedleńców" (Trzeba powiedzieć, że tu organizacje centralne swoje zrobiły, ale po obozach brak pomocy).

Straty, wynikające z braku obrony interesów na najwyższym szczeblu są bez porównania większe. Wskutek niezaliczenia okresu ubezpieczenia emerytalnego w Niemczech, nie wyrównania różnicy płac w okresie pracy przymusowej (inne stawki dla robotników przymusowych niż dla Niemców), wskutek niezapłacenia za pracę wykonaną w kacetach (o zaplaceniu za doznane tam cierpienia mowy nie ma), Polacy stracili dziesiątki milionów marek.

Czyż tych problemów nie mogą pojąć kierownicy akcji "dobroczynnych" takich instytucji, jak NCWC czy Rada Polonii- Czy rozdawanie jałmużny w tych warunkach ma jakiś sens?

Trudno to wszystko zrozumieć.

Wiele z wymienionych wyżej krywd dipisa da się podciągnąć pod kategorią powstrzymania ubogim zapłaty.

W katechizmie czytamy, że jest to grzech wołający o pomstę do nieba. Tylko dla niewielu przewin używa nasz Kościół nazwy tak pełnej grozy.

Dla mieszkańców obozu Badenerhof w Heilbronie miano zbudować baraki w miejscu spokojnym i dobrze położonym. Zarząd miasta poczynił starania, by miejsce to zarezerwować dla innych celów. Starania uwieczone zostały powodzeniem. Baraki zbudowano w gliniankach. W czasie ulewnych deszczów są one dosłownie zalewane spływającym ze świeżo rozkopanej góry błotem. A w barakach mieszka spory odsetek gruźlików. Ale to jeszcze nic. Baraki zbudowano przy szosie o bardzo dużym ruchu i przy skanalizowanym Nekarze. U samego brzegu zaczyna się głębia. W obozie pełno dzieci. Była przedszkolanka, ale wyjechała. Nowej nie zdążono zaaganżować. Matki, albo pracują, albo gotują obiady.

Rezultat?

W jednym miesiącu jedno dziecko utopiło się, drugie przejechane przez samochód walczy ze śmiercią.

Któż znajdzie słowa, które przekonają, które dotrą tam, gdzie należą, które poruszają serca i skłonią do poruszenia ospałej myśli?

Każdy obóz potrzebuje opiekuna, który by o tym myślał. Nie opiekuna idealnego, bo takich nie ma, ale opiekuna kontrolowanego. Niech będzie taki adres, pod który można pisać — skargi. Nie po to, by te skargi posłużyły jako materiał do perfidnej propagandy, ale po to, by spowodowały zbadanie czy opiekun robi to, co do niego należy. Różnych opiekunów na pensjach, którzy nie wiele robią jest wielu. Ale brak nad nimi mocnej ręki. Brak im też mądrego kierownictwa i brak rozsądnych pouczeń. Póki się tego nie naprawi, szkoda każdego centa, wydanego na "propagandę". Z obozów nędzy idzie w świat kontrpropaganda, miażdżąca siłą faktów.

Ostatnią kronikę z Niemiec piszę nie w Niemczech. Piszę ją w Paryżu, w czasie nocy bezsennej, pierwszej spędzonej poza krajem udręki "dipisa".

Piszę ją nie tylko dla czytelników. Piszę także dla siebie, żeby nie zapomnieć.

Przez otwarte okna widzę Place de l'Etoile. Na mokrym asfalcie wciąż błyskają światła samochodów, które mkną setkami, choć zegary na wieżach wybijają godzinę trzecią.

Jest week-end. Miasto światła ciągnie ku rozkoszy zapomnienia o koszmarze.

Ale jednak — trzeba pamiętać, bo inni pozostali.

Będę się starał, by mieć moralne prawo wymagania tego samego od innych.

J. B.,

OSTATNIE WIADOMOŚCI

*Jedynе pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.
Ukazuje się trzy razy tygodniowo.*

W każdą niedzielę dodatek.

*Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech,
Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli,
Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.*

*Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo
w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)*

Redakcja, administracja, drukarnia:

*17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönau
US Zone, Germany.*

POLSKIE KSIĄŻKI I PISMA Z EUROPY

WSZYSTKIE WYDAWNICTWA INSTYTUTU
LITERACKIEGO W PARYŻU

posiada na składzie

JÓZEF F. BIAŁASIEWICZ

Przedstawicielstwa "Kultury", "Orla Białego",
"Wiadomości", "Zycia".

1165 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. U.S.A.

Bilans Skarbu Narodowego

Mam przed sobą egzemplarz "Dziennika Polskiego Nr 102 z dnia 30-go kwietnia 1951 i egzemplarz "Biuletynu Politycznego Rady Politycznej" Nr 8 z dnia 5 maja 1951. W pierwszym ogłoszony jest bilans Skarbu Narodowego, w drugim krytyka tego bilansu. Gdyby krytyka tego bilansu była obiektywna i rzeczowa, nie zabierałbym głosu w tej sprawie. Wobec tego, że tak nie jest pozwalam sobie zarówno na analizę tego bilansu, jak i na analizę krytyki, do czego jako były i wieloletni bankowiec mam prawo.

Zaczynam od bilansu. W pozycji przychodowej podano zgodnie z przyjętymi na całym świecie zasadami o bilansowaniu i w zgodzie ze statutem wszystkie wpływy na dobro tego funduszu w kwocie ogólnej £ 18.216.00.07 z rozbiem na następujące pozycje:

a) Sprzedaż znaczków S. N.	£. 10.527.16.09
b) Inne stałe wpływy na S. N.	£. 869.02.05
c) Wpływy z darów jednorazowych	£. 6.802.03.08
d) Odsetki bankowe	£. 02.03
e) Zysk z tytułu różnic kursowych	£. 16.15.06

razem £ 18.216.00.07

W pozycji rozchodowej wykazano łącznie z nadwyżką przeniesioną na 1951 kwotę £ 18.216.00.07 z rozbiem na następujące pozycje:

a) Sumy wpłacone Skarbowi Państwa	£ 7.730.05.10
b) Wydatki wstępne związane z organizacją S.N. i jego placówek:	
— Druki, plakaty, afisze, ulotki itp.	£ 289.04.06
— Publikacje S.N. i koszty ekspedycji	£ 284.15.04
— Ogłoszenia i inne wydatki prasowe	£ 100.05.04
— Wydatki na organizację Kom. Teryt.	£ 491.16.05
— Wydatki na legalizację	£ 152.18.09
c) Wydatki na druk legit. i znaczków	£ 275.19.06
d) Wydatki administracyjne bieżące (Gł. Komisja i Komisje Terytorialne)	£ 2.063.10.11
e) Wydatki na informację bieżącą (Komisje Terytorialne)	£ 6.562.13.06
f) Nadwyżka wpływów nad wydatkami do przeniesienia na 1951	razem £ 18.216.00.07

Analizując stronę rozchodową bilansu należy wyeliminować pozycje wykazane w punktach a) i f), jako niepodlegające dyskusji i zastanowić się nad wydatkami wykazanymi w punktach b) — e).

Wydatki wykazane w pktcie b) zostały ujęte jako wydatki "wstępne związane z organizacją S. N. i jego placówek". Zrozumiała jest rzecz dla każdego fachowca, a nawet i dla niefachowca o dobrej woli, że organizacja każdego przedsiębiorstwa i każdej instytucji pociąga za sobą w okresie organizacyjnym specjalne wydatki, które po zakończeniu okresu organizacyjnego już się nie powtarzają względnie powtarzają się, ale w rozmiarach bardzo wydatnie zredukowanych. Zastanówmy się więc nad wydatkami w tym pktcie, zróżniczkowanymi bardziej szczegółowo w bilansie:

— Druki, plakaty, afisze, ulotki itp. £ 289.04.06. W tej kwocie mieści się zarówno wydatek na druki przeznaczone dla normalnej działalności Komisji S. N. (druki potrzebne dla założenia kartotek członków, listy ewidencyjne członków w znaczeniu rejestracyjnym, przesyłane przez Komisję Terytorialną do Głównej Komisji itd.), jak i wydatki na akcję propagandową S. N. zintensyfikowaną w okresie organizacyjnym. Nie mam materiału do ścisłego przeanalizowania tego wydatku, ale myślę, że będę niedaleki od prawdy przyjmując, że po-

łowa tej kwoty wydatkowana została na druki przeznaczone do normalnego urzędowania, a reszta na akcję propagandową w okresie organizacyjnym. Taki podział na pewno zawiera już duży procent bezpieczeństwa na obciążenie nadmierne normalnych wydatków administracyjnych.

— Publikacje S. N. i koszty ekspedycji £ 284.15.04. Przyjmuję (nie mając możliwości wglądu do ksiąg Głównej Komisji S. N.), że z kwoty tej połowę należałoby zaliczyć na normalne wydatki administracyjne, a resztę na akcję propagandową w okresie organizacyjnym.

— Ogłoszenia i inne wydatki prasowe £ 100.05.04. Przyjmuję podział jak wyżej.

— Wydatki na organizację Komisji Terytorialnych £ 491.16.05. Wydatek zrozumiały dla każdego logicznie myślącego człowieka dobrej woli. Wydatek ten nie będzie się powtarzał w przyszłości lub powtórzy się w wymiarze zredukowanym, o ile nastąpi organizacja dalszych kół. Wydatku tego uniknąć nie można.

— Wydatki na legalizację £ 152.18.09. Wydaje mi się, że wydatku tego nikt nie będzie kwestionował, jako wydatku koniecznego w okresie organizacyjnym.

Do grupy wydatków związanych ściśle z organizacją S. N. należy przynajmniej częściowo zaliczyć również wydatek na informację bieżącą Komisji Terytorialnych. Wydatek ten uwidocznił się w bilansie w kwocie £ 264.10.06. Komisje Terytorialne periodycznie informują swoich członków za pomocą biuletynów o rezultatach zbiórki na S.N. oraz podają do wiadomości członków w postaci bilansów rezultat rocznej zbiórki na swoim terenie. Wydatki na ten cel należy niewątpliwie zaliczyć na bieżące koszty administracyjne. Niemniej jednak znaczną część wydatku poniesionego na ten cel w 1950 należy zaliczyć na koszty związane z organizacją S. N., ponieważ Komisje Terytorialne zmuszone były rozesłać Polakom zamieszkałym na ich terenie biuletyny informacyjne omawiające nie tylko konieczność zorganizowania tego funduszu, ale omawiające również techniczną stronę wpłat na S. N. na terenie swojej działalności. Aby nie być gołosłownym dodaje, że na terenie działalności Komisji S. N. Italia circa 55 % wydatku na ten cel związane zostało z czynnościami o charakterze organizacyjnym, a reszta tj. circa 45 % została wydatkowana na bieżącą, normalną informację. Nie będę więc daleki od prawdy przyjmując jako założenie przy analizowaniu tego wydatku, że 50 % poniesiono w związku z czynnościami organizacyjnymi, a resztę w związku z normalną działalnością instytucji.

Pozostaje więc do omówienia tylko wydatek uwidoczniłony w bilansie pod pozycją "Wydatki administracyjne bieżące (Główna Komisja i Komisje Terytorialne) £ 2.063.10.11, ponieważ wydatek "na druk legitymacji i znaczków S. N." £ 275.19.06 jest zupełnie niewątpliwy, obciąża normalne wydatki administracyjne i omówienia nie wymaga.

W sprawie wydatku podanego w bilansie pod pozycją "Wydatki administracyjne bieżące Gł. Komisja i Komisje Terytorialne" w kwocie £ 2.063.10.11, stawiam Głównej Komisji tylko ten zarzut, że podała go w bilansie w formie mało przejrzystej, bez rozbicia go na subkonta "Wydatki Osobowe" i "Wydatki Rzeczowe".

Rozbicie na te subkonta nie tylko dałoby bardziej przejrzysty obraz wydatków na ten cel, ale zapobiegłoby również atakom na działalność S. N., a ataków tych przecież należało się spodziewać.

Kończąc analizę bilansu, przystępuję do uszeregowania wydatków na normalną działalność instytucji poniesionych w 1950 według podanej przez mnie powyżej analizy:

a) Druki, plakaty, afisze, ulotki itp.	50%	£ 145.00.00
b) Publikacje S.N., koszty ekspedycji	50%	£ 143.00.00
c) Ogłoszenia i inne wydatki prasowe	50%	£ 50.00.00
d) Wydatki na druk legitymacji i znaczków		£ 275.19.06
e) Wydatki Administracyjne bieżące		£ 2.063.10.11
f) Wydatki na informację	50%	£ 132.00.00
		razem £ 2.809.10.05

co w stosunku do wpływów wynosi circa 15,4 % i w żadnym przypadku nie może być uważany za wydatek nadmierny we względu na charakter instytucji i ze względu na konieczność istnienia Komisji Terytorialnych w całym szereg państw, co z natury rzeczy powiększa wydatek na koszty administracyjne.

Ogólna zaś kwota wydatków administracyjnych związanych z organizacją instytucji wynosiłaby według podanej przeze mnie analizy:

a) Druki, plakaty, afisze, ulotki itp.	reszta	£ 144.04.06
b) Publikacje S.N., koszty ekspedycji	"	£ 141.15.04
c) Ogłoszenia i inne wydatki prasowe	"	£ 50.05.04
d) Wydatki na organizację Kom. Teryt.	"	£ 491.16.05
e) Wydatki na legalizację	"	£ 152.18.09
f) Wydatki na informację bieżącą	"	£ 132.10.06
		razem £ 1.113.10.10

co w stosunku do wpływów wynosi circa 6,1 %.

Przyjmując, że przeprowadzona przez mnie analiza bilansu jest całkowicie błędna i że żadne wydatki związane z organizacją przedsiębiorstwa nie zostały poniesione (co jest niewątpliwym nonsensem), z wyjątkiem wydatków podanych w bilansie pod pozycjami:

a) Wydatki na organizację Komisji Teryt.	£ 491.16.05
b) Wydatki na legalizację	£ 152.18.09
	razem £ 644.15.02

których to wydatków nawet "rzeczowy i obiektywny" krytyk Biuletynu Politycznego nie będzie miał odwagi zaliczyć do normalnych wydatków administracyjnych instytucji poniesionych w 1950, normalne wydatki administracyjne wyniosłyby £ 3.278.06.01 i stanowiłyby za ledwie circa 18 % wpływów.

W świetle podanych przez mnie argumentów nie wydaje mi się konieczne przeprowadzanie specjalnej analizy krytyki umieszczonej w Biuletynie Politycznym Nr 8 z dnia 5 maja 1951.

Znacznie gorzej przedstawia się sprawa tego artykułu jeżeli się zważy, że pisany jest w liczbie mnogiej. Cytuję np. dosłownie: "Nie uwzględniamy w tym zestawieniu "wpływów z darów jednorazowych w sumie £ 6.802, gdyż według otrzymanych informacji ich charakter wykazuje, że nie były one rezultatem akcji objętej pozycjami kosztów administracyjnych". Czyżby ujęcie tego zdania w liczbie mnogiej stanowiło dowód, że artykuł ten stanowi wyraz opinii Rady Politycznej? Nie chce mi się w to wierzyć, aby Rada Polityczna zechciała się podpisać pod tym artykułem bez szlusznej obawy narażenia swojej opinii w polskim środowisku emigracyjnym.

Sprawy krajowe

Rozmowa z «pozytywistą» krajowym

Piwo macie tu nie wiele lepsze od naszego — powiedział odstawiając niedopity kufel. — Nie mam zresztą nic przeciwko temu, że w kraju piwo jest podłe, a wódka droga. Jest to jedna z form walki z alkoholizmem, prowadzonej u nas z niewielkim powodzeniem przez reżim, który zdaje się nie dostrzegać, że zwalcza objawy, a nie przyczynę. Zresztą — nawet i świadomość tego faktu nie mogłaby zmienić jego postępowania. Jedną bowiem z głównych przyczyn rozpanoszonego pijaństwa jest sam system. Wyobraź sobie taką sytuację: wracasz wieczorem do domu w lepszym niż zwykle nastroju — nie było tego dnia żadnej "akcji", szkoleniówki czy pochodu — mogłeś więc spędzić popołudnie u przyjaciół. Pozwoliło ci to oderwać się na krótki czas od ciężaru codziennych kłopotów. U progu wita cię gospodyni, u której wynajmujesz pokój, wiadomością, że w czasie twojej nieobecności było w mieszkaniu dwóch panów i pytali o ciebie. — Nie, nie widziała ich tu nigdy przedtem — po chwili zaś dodaje: byli samochodem. — Choć starasz się na nią nie patrzeć, czujesz, że przygląda ci się uważnie. Z dobrego samo-

Powyższe informacje otrzymaliśmy z kraju i zamieszczamy je jako materiał i bardzo ciekawy i charakterystyczny. Oddaje on dość wiernie sposób myślenia i oceny sytuacji niewątpliwie dość znacznej części społeczeństwa — a specjalnie inteligencji technicznej.

Nie można ryczałtem potępiać wszystkiego co się dzieje w kraju. Niewątpliwie zachodzą tam również przemiany pozytywne. Ale do tych nielicznych jasnych punktów należy podchodzić i ostrożnie i z dużym krytycyzmem. Nie można oceniać niczego w oderwaniu od zamierzonej i bezwzględnie przeprowadzanej przez Sowiety przebudowy społecznej. Słusznie zwraca uwagę R. Palester, że w tym aspekcie, tak zdawało by się niewątpliwie pozytywne fakty, jak np. rozbudowa wyższych uczelni, wyglądają inaczej. Albo sprawa elektryfikacji? Jakże wielu z nas zapoznało się z tą "elektryfikacją" na wsi rosyjskiej. Jeśli zaś idzie o zagadnienia uprzemysłowienia, to zwracamy uwagę czytelników na studium St. Gryziewicza, zamieszczone również w bieżącym nrze.

REDAKTOR.

poczucia nie zostało ani śladu i czujesz, jak strach rozprzestrzenia się w mózgu i tkankach. Nie jesteś w stanie ani chwili dłużej zostać w tych czterech ścianach, które nagle przestały być schronieniem i upodobniły się raczej do celi więziennej. Pod byle pozorem odprawiasz gospodynię, która ciągle jeszcze stoi niezdecydowana, jakby czekała jakichś wyjaśnień. Płaszczu nie zdążyłeś nawet zdjąć, więc tylko kapelusz na głowę i — ulica. Ludzie obcy, obojętnie przechodzą obok ciebie, nie darząc cię nawet spojrzeniem. Zaczynasz powoli odzyskiwać równowagę, resztę niepokoju zrzucaasz z siebie, po pierwszym kieliszku wypitym przy bufecie najbliższej knajpy. Jeśli przypadek zdarzy, że spotkasz kogo znajomego — sprawa kończy się dziką i hałaśliwą pijatyką. Następnego dnia, w biurze, rzecz się wyjaśnia. Przyjechał tu, służbowym wozem, przyjaciel twój z fabryki położonej dość daleko od twego miasta. Po załatwieniu spraw w urzędach, zapragnął cię odwiedzić, nieznałomej gospodyni nie zostawił karteczki ani nazwiska, bo ludzie zdążyli się w ciągu sześciu lat nauczyć unikania pewnych rzeczy, a może działało tu przyzwyczajenie z okresu wojny.

Teraz, kiedy już wiesz, że nie było powodu do obaw, odczuwasz ulgę, połączoną z zawstydzieniem i wściekłością na siebie samego. Przy odrobinie opanowania i rozsądku mogłeś być przecie przewidzieć, że pewna kategoria gości nie zwykła składać wizyt popołudniu. Postanawiasz więc sobie być w przyszłości bardziej opanowanym i nie powodować się pierwszym odruchem. A jednak czujesz, że w podobnej sytuacji zachowasz się znówu tak samo. Masz za sobą prawie sześć lat okupacji niemieckiej i tyleż — drugiej, to zaś nie wpływa na zobojętnienie wobec niebezpieczeństwa. Są choroby, po których przejściu organizm staje się odporny na jej zarazki i inne, czyniące go podatniejszym i słabszym w wypadku recydywy. Bakcyła strachu łatwiej przewyciężyć żołnierzowi frontowemu niż spokojnemu poddanemu w systemie totalnym. Nieuchwytny, niewidzialny bakcyl, nieodczuwalny dopóki ukrywa się w jakimś zakamarku podświadomości, gotów w każdej chwili do zaatakowania i zawładnięcia swoją ofiarą. Zresztą przeważnie nie wiesz, czy nie pamiętasz o jego istnieniu i to twoje największe szczęście, pozwala ci bowiem żyć; za to gdy raz cię dopadnie, nie broni cię wtedy ani wpływowe stanowisko, ani twoja niepozorność, bezpartyjność, czy najmocniejsza pozycja w Komitecie partyjnym, brak ambicji politycznych, ani posiadanie ich w nadmiarze, zasługi przeszłości ani teraźniejsze wysiłki — n i c. Pod tym względem system wzniósł się na wyżyny doskonałości, realizując absolutną równość wszystkich poddanych wobec strachu.

... Tak, już wiem, co chcesz mi powiedzieć: dlaczego wobec tego zamiast wsiąść za parę godzin w pociąg, który zawiezie mnie do Warszawy, nie zostanę tu z wami, by napisać coś na

temat "wybrałem wolność". Być może zrobiłbym to parę lat temu, gdybym mógł wtedy wydostać się zagranicę i nie miał w kraju rodziny, której nie zamierzałem zostawić na łasce losu. Wówczas mieliśmy jeszcze złudzenia, z których czas nas wyłeczył. Gdyby "szczęście" mi wtedy dopisało, dzisiaj, być może, zmywałbym talerze w którymś z hoteli nowojorskich, albo sądził buraki cukrowe w Kanadzie, czy innej Australii. Z niezłymi kwalifikacjami fachowymi i dyplomem inżyniera w kieszeni... Ponieważ zaś szczęście mi nie sprzyjało i nie miałem w owym czasie możliwości ucieczki — dzisiaj siedzę w kraju na dość odpowiedzialnym stanowisku w przemyśle i przyjeżdżam tu od czasu do czasu za legalnym paszportem, jako fachowy doradca naszej delegacji handlowej przy zakupach. Gdyby mi kto dziś zapewnił tu całkiem znośne życie i przywiezienie rodziny z kraju, nie wiem czy bym się na to zdecydował. — Tak, mimo wszystkiego, co mówiłem przed chwilą o atmosferze terroru, w jakiej żyjemy tam, mimo radości, jaką daje oddychanie wolnością. Nie wiem czy wszystkie wolności świata pozwoliłyby mi zapomnieć, że korzystam tylko z niezасłużonej łaski losu, nie będącej udziałem 25 milionów Polaków. Z wami sprawa jest oczywiście inna. Jesteście, czy nazywacie się, emigracją polityczną i macie, także w moim przekonaniu, do wypełnienia zadanie reprezentowania i walczenia o interesy polskie tam, gdzie nie dociera głos ludzi z kraju. Wolę tu już nie dyskutować kwestii, czy zadanie to wypełniacie. Faktem jest, że będzie ono coraz bardziej odpowiedzialne i coraz trudniejsze. Liczba ludzi, którzy mogą rościć sobie prawo do nazwy emigracji politycznej jest, jak sam wiesz, dość ograniczona, ale cóż ja? Miejsce ludzi takich jak ja jest w kraju. Jak wiesz polityką nigdy czynnie się nie zajmowałem, nie sądzę abym miał odpowiednie po temu kwalifikacje. Praca w moim zawodzie wypełniała mi czas i dostarczała nie mało radości. I to pozostało do dziś dnia. Gdybym tu znalazł się, pośród was, nie byłbym nikomu pożyteczny — a tam jestem. Chcesz może powiedzieć, że z mojej pracy i tysięcy mnie podobnych korzysta nie tylko kraj? Widzisz, na to można różnie patrzeć. Jeżeli dziś stawiamy w kraju fabrykę i przyjmujemy nawet mało prawdopodobną ewentualność, że cała jej produkcja idzie do Rosji, to zawsze jeszcze zostaje szansa, że kiedyś fabryka ta będzie produkować dla Polski. Zapewne, może ją zniszczyć wojna, maszyny może wywieźć okupant, zostanie druga i dziesiąta, wszystkich wojna nie zniszczy, maszyny lub ich część można będzie rewindykować, zostanie wreszcie coś cenniejszego od urządzeń przemysłowych — ludzie, którzy nauczyli się produkować, dziesiątki tysięcy fachowców, bez których podźwignięcie przemysłu nie byłoby możliwe.

◆
Dobrze, że zaczęliśmy o tym mówić. O "ciemności w południe" pisało się już dosyć i ta strona życia w systemach total-

nych jest znana dość dobrze nawet ludziom, którzy sami żyli i żyją poza kręgiem totalizmu, tak dobrze, że przesłania wszystkie inne. Nie chciałbym przyczyniać się sam do zaciemniania obrazu życia ludzi w dzisiejszej Polsce. Można żyć względnie normalnie nawet nosząc w sobie bakcyła strachu, podobnie, jak nikomu nie maści radości życia fakt, iż nosi stale na podniebieniu zarazek zapalenia płuc. Nieprzyjemnie zaczyna być dopiero wtedy, gdy choroba rozwinię się, tym bardziej, że nie wynalazł nikt penicyliny, która by ratowała człowieka zagrożonego systemem totalnym. Alkohol spełnia tu rolę nie lekarstwa, lecz środka uśmierzającego ból.

Na ogół jednak ludzie w Polsce starają się żyć i żyją tak, jak gdyby nie groziły im choroby, nieznanne ludziom w szczęśliwych demokracjach mieszczańskich. Czy oznacza to, że żyją tak samo, jak przed wojną? Oczywiście nie, ale nie zapominaj, że od tamtych czasów dzieli nas piekło okupacji niemieckiej, po której obecne życie wydaje się mimo wszystko lepsze. Dawne przedwojenne czasy żyją w pamięci wielu w formie mocno wyidealizowanej i zamglawionej. O tym, że trzy czwarte ludności państwa było stale nie dożywione, o owych słynnych zaparkach, rozłupywanych na cztery części, myślą "wspominkarze" niechętnie.

"Wewnętrzni emigranci" (byli nimi i przed wojną), nie interesują jednak ani mnie, ani ciebie. Chcesz wiedzieć, jak żyje w Polsce przeciętny człowiek, wrośnięty w dzisiejsze warunki? Zaczniemy od funkcji najprostszej — jedzenia. W tej dziedzinie różnica między stopą życiową dzisiejszego inteligenta a robotnika została prawie zatarta. Pierwszy odżywia się gorzej i skromniej niż przed wojną. Obiady jada już przeważnie w stołówkach zakładowych lub gospodach ludowych, podobnie jak robotnik. Mleko i pieczywo oraz pozostałe posiłki dostępne są nawet dla najbiedniejszego, zarabiający lepiej mogą sobie pozwolić na luksus wędliny czy jajek. Dla robotnika nie oznacza to na pewno pogorszenia w porównaniu z czasami przedwojennymi.

Problem mieszkaniowy nie wygląda w Polsce wesoło. W ciągu ubiegłego roku na przykład oddano w Warszawie do użytku 16 tys. nowych izb mieszkalnych, równocześnie zaś przybyło ponad 45 tys. mieszkańców, tzn., że na każdego z nich przypadła jedna trzecia izby. Poza Warszawą ludzie mieszkają trochę lepiej, co jeszcze nie znaczy, aby mieszkali dobrze. Przyznać bowiem trzeba, że budowa nowych mieszkań nie dotrzymuje tempa rozwojowi przemysłu i powstawaniu w związku z tym nowych skupisk ludzkich. Na wsi natomiast sytuacja uległa pewnej poprawie wobec poważnego odpływu na zachód i do miast. Warunki mieszkaniowe chłopów na ziemiach odzyskanych są oczywiście lepsze niż w Polsce centralnej.

Mówiąc o mieszkaniach, warto wspomnieć, iż są one nieporównanie tańsze od przedwojennych. Komorne w mieszkaniach

przydzielonych drogą służbową kosztuje po prostu grosze. Ktoś zarabiający np. 600 zł. płaci w takim Szczecinie czy Wrocławiu za mieszkanie trzypokojowe 30 zł., czyli 3% uposażenia. W miastach centralnej Polski komorne jest może nieco wyższe, ale ciągle jeszcze dalekie od owego przedwojennego haraczu, który wynosił co najmniej 30% zarobków. To tanie komorne nie jest jednak przywilejem "inicjatywy prywatnej", likwidowanej zresztą w coraz szybszym tempie. Znaczna większość mieszka jednak za pół darmo. Dzisiejszy kamienicznik jest w położeniu gorszym jeszcze od kułaka. Czyny od lokatorów przynosi mu grosze, a obciąża go obowiązkiem przeprowadzania remontów, płacenia podatków. Często jedynym wyjściem biedaka jest przekazanie domu spółdzielni czy państwu.

Jak wygląda zaspokojenie potrzeb wyższego rządu? Zaczniemy może od dziedziny najbardziej zaniedbanej, jaką była przed wojną wieś. — Pogrzebał przez chwilę w teczce. — Posłuchaj, jeśli cię to nie nudzi. Czy wiesz np. w ilu wsiach wprowadzano przed wojną rocznie elektryczność? W 22. Interesuje cię może ile wsi zelektryzowano w r. ub.? — Tysiąc. Dwanaście i pół tysiąca gromad wiejskich korzysta obecnie z dobrodziejstwa elektryczności, przy końcu planu sześcioletniego liczba ich wzrośnie do ponad dwudziestu tys. W ostatnim roku planu jedna czwarta ogółu gospodarstw będzie zelektryfikowana. Oznacza to przewrót nie tylko w metodach gospodarki rolnej, ale także przewrót kulturalny wsi, która dzięki wprowadzeniu radia i kina przestaje być izolowana od świata. Dzisiaj masz już na wsi przeszło ćwierć miliona radioabonentów, posiadających nie detektorki, jak przed wojną, lecz przynajmniej głośniki domowe (radiowęzeł) lub normalne aparaty lampowe (tych jest nawet znacznie więcej). Liczba stałych kin wiejskich wynosi już dziś ponad 600 i wzrośnie przy końcu planu do trzech i pół tysiąca. Prócz tego działa dziś kilkaset kin objazdowych. — Tak, masz rację, sam postęp techniczny, to tylko część problemu. Nie chodzi tylko o ilość strawy kulturalnej, dostarczanej chłopu przez radio, kino, prasę i książki, ale o jej rodzaj. O tym, rozstrzyga oczywiście sam reżim, a nie odbiorca, który nie ma żadnej możliwości wyboru. Reżim, jak ci już powiedziałem nie jest filantropem, jeśli robi jakieś inwestycje gospodarcze czy kulturalne muszą się one mu opłacać. W warunkach izolacji kulturalnej wsi wszelki wpływ na nią byłby niemożliwy. Względy, którymi kieruje się reżim mogą być takie czy inne, pozostaje niezaprzeczenie fakt pozytywny — wieś czy się konsumować dobra kulturalne, ta potrzeba pozostanie i będzie zadaniem przyszłości wykorzystać ją kiedyś dla lepszych celów. Zresztą i to, co dzisiaj otrzymuje odbiorca na wsi nie zawsze jest szkodliwe czy bezwartościowe. Radiowe pogadanki rolnicze, filmy fachowe i kulturalne, muzyka, słuchowiska literackie są strawą, której wieś potrzebować będzie i w zmienionych warunkach. A biblioteki i czytelnie wiejskie? Powiedz mi kto się tym zajmował systematycznie przed wojną? Dziś reżim troszczy się o

to, aby każda gromada wiejska miała świetlicę, połączoną z wypożyczalnią książek. Dobór książek? Naturalnie znowu pod kątem celów reżimu, ale czy nie jest już pozytywny sam fakt, że ludzie w ogóle czytają, także ci ludzie, którzy przed wojną czytać nie umieli? Bo likwidowanie analfabetyzmu dobiega końca, akcja ta ma już być w tym roku zamknięta. I znów, to samo. Wiem, że reżim zadał sobie tyle trudu nie dla miłości bliźniego, lecz po prostu chce, aby **do każdego** docierała drukowana w tysiącach odmian bibuła propagandowa. W tej gorliwości i pasji o władnięciu każdą duszą jest coś z gorliwości pierwszych chrześcijan. Jest to oczywiście apostołstwo ułatwione, wsparte wszelkimi zdobyczami postępu technicznego, a męczenników spotyka się jedynie pośród nawracanych, nie zaś nawracających. Ale rezultat? chłop czy robotnik, którego nauczono czytać, nie będzie trawił swego czasu tylko nad lekturą podsuwaną mu przez reżim, ale sięgnie też czasem po Kraszewskiego, Orzeszkową czy popularną broszurę rolniczą. Mickiewicz nigdy nie był tak bliski zawędrowania pod strzechy, jak właśnie teraz.

Nigdy jeszcze w Polsce nie wydawano tak dużo i tak tanich książek. I nie tylko propagandowego śmiecia. Doczekali się wznowienia prawie wszyscy klasycy, nawet "Trylogia" Sienkiewicza (choć w mniejszym nakładzie i znacznie droższa w porównaniu z innymi), wygrzebano nazwiska i dzieła zapomniane, nie żałuje się nawet pieniędzy na wydania bibliofilskie. Wysokie nakłady i niskie ceny możliwe są dzięki subwencji państwowym oraz większej niż przed wojną ilości odbiorców. Zakupuje książki każda z niezliczonych bibliotek świetlicowych rozsianych po wsiach, fabrykach, szkołach, związkach i organizacjach. Trzy czwarte nakładu rozchodzi się w ten sposób, resztę wykupują odbiorcy prywatni i z reguły po kilku miesiącach nakład jest wyczerpany. Dotyczy to oczywiście większości dzieł literatury pięknej, znacznie mniej jest wznowień przedwojennej literatury naukowej, wyrosłej z innego światopoglądu niż reżimowy, najmniej zaś wznowień ma, tak bogata w okresie międzywojennym, polska literatura społeczno-polityczna. Czytelnik polski ma możność zapoznania się z publicystyką Fryczów-Modrzewskich i Stasziców, ale nie Dmowskich i Piłsudskich. Cała tematyka okresu międzywojennego, zawarta w tak licznych publikacjach młodej publicystyki polskiej, owych Bocheńskich, Wasiutyńskich, Bączkowskich i dziesiątków innych jest młodszemu pokoleniu oczywiście najzupełniej nieznaną i niedostępną. Taki Bierut może na przykład umieszczać w referacie długie cytaty z Dmowskiego "Polityki Polskiej", ale już jego poddanym niedostępne są takie źródła.

Ludzie w Polsce uczą się. Uczą się dużo i uczących się jest wielu. Rozbudowana sieć szkolnictwa dociera już dzisiaj do każdego. Nie ma już dzieci, dla których zabrakło miejsc w szkole, ale pasja uczenia się ogarnęła nie tylko młodzież. Namnożyło

się szkół wieczorowych, kursów dokształcających, korespondencyjnych, na których ludzie zdobywają kwalifikacje fachowe w godzinach wolnych od pracy zarobkowej. O tym, że praca nie jest dzisiaj w Polsce lekka, wiesz dobrze. Jak się to dzieje, że wyżyłowany normami i współzawodnictwem pracy robotnik czy inteligent ma jeszcze siłę i ochotę do wygniataania ławy szkolnej, mimo różnych szkoleń i pochodów? Odpowiedź prosta: trud się opłaca. Fachowiec zarobi lepiej od niewykwalifikowanego, majster od robotnika, inżynier od majstra. A możliwości polepszenia sobie warunków życia są dla chętnych ogromne. Nigdy jeszcze awans społeczny nie był tak łatwy i szybki, jak dzisiaj. Przed wojną szedł robotnik do fabryki, przepracował w niej kilkanaście lub kilkadziesiąt lat, przeważnie w tym samym oddziale i opuszczał ją wreszcie jako emeryt, jeśli nie nastąpiło to wcześniej z powodu bezrobocia. — Powiedz sam ilu szczęściarzy miało widoki dokształcić się na majstra? Dzisiaj młody i zdolny robotnik ma szansę zostania nie tylko majstrem, ale i inżynierem. Zresztą nie tylko inżynierem, także i dyrektorem fabryki, ale to już należy do humorystycznych poczynań reżimu. Dlaczego widzisz różnicę? Widzisz, robotnik musi, jak każdy inny, zdobyć sobie dyplom inżyniera, pomaga mu w tym fabryka, ale uczyć musi się sam; na stanowisku dyrektora nie potrzeba dyplomu, wystarczy uświadomienie "klasowe", "czujność proletariacka" i zaufanie komitetu partyjnego. Ci, kreowani w ten sposób dyrektorzy bez przygotowania, są nieszczęśliwymi ofiarami losu, niezdolni do podłożania nałożonym na nich obowiązkom, tęskniący nieraz za funkcjami mniej odpowiedzialnymi. Obecnie wprowadzono i dla nich kursy dokształcające, czas był najwyższy! Znałem jednego, który bał się brać do ręki słuchawkę telefonu, w obawie, że ktoś z centralnego zarządu zapyta go o przebieg jakiegoś skomplikowanego procesu produkcyjnego albo, co jeszcze gorzej, o sprawy związane z biurowością fabryki. Dlaczego reżim ośmiesza się takimi nominacjami? To już należy do fasonu proletariackiego, móc powiedzieć: z robotnika — dyrektorem. Zawsze się już tam znajduje jakiś zastępca, który robi wszystko, co trzeba.

Ten pęd do uczenia się, wspinanie w górę po drabinie społecznej popierany jest przez reżim wszystkimi środkami, systemem stypendiów i ułatwień w zakładach pracy. Mimo surowej "dyscypliny pracy" możliwe jest dla studenta czy ucznia wychodzenie z biura lub warsztatu przed zakończeniem godzin pracy. Reżim potrzebuje inteligencji technicznej i sił fachowych dla prowadzenia rosnącego przemysłu, mechanizowanego rolnictwa, transportu itd. Ludzi tych i fabryk potrzebuje także nasz kraj.

Plan sześcioletni jest w dziedzinie rozbudowy przemysłowej Polski zamierzeniem częściowo nawet pozytywnym. Wiem, że nakłada na ludzi ciężar wysiłku i wyrzeczeń — wielki. Trafia

się nam niecodzienna szansa przestać wlec się w ogonie narodów świata. — Mówisz, że jest niesprawiedliwością nakładanie tak wielkich ofiar na pokolenie, które tyle wycierpiawszy, zasłużyło sobie na lepsze życie, że ciężar tych ofiar można by rozłożyć bardziej równomiernie na barki szeregu pokoleń. Nie wydaje mi się, abyś miał rację. Przedwojenny układ gospodarczy świata, błędy własne popełnione w okresie dwudziestolecia niepodległości i wreszcie wojna — zepchnęły nas tak głęboko w grzęzawisko, że tylko bardzo wielki wysiłek umożliwi nam wydobycie się na twardy grunt. Chciałbyś wiedzieć, czy nawet jeśli będzie nam dane przeprowadzić do końca plan sześcioletni, Polska stanie się w r. 1955 krajem mlekiem i miodem płynącym? Nie trzeba przesadzać i oczekiwać zbyt wiele. Jedno jest pewne: stworzone będą wówczas podstawy do życia na bardziej równej stopie z bogatszymi krajami Europy zachodniej. Czy to nastąpi? Chyba tylko wtedy, gdy będzie to leżało w interesie okupanta, sądząc więc po przebiegu pięciolatek sowieckich, widoki na to nie są zbyt wielkie. Więc po co w takim razie tyle wysiłku bezcelowego? Nie bezcelowego, mój drogi, to, co zbudujemy wystarczy nawet w rozmiarach uszczuplonych przez nową wojnę, aby rozpocząć w normalnych warunkach — normalne życie.

Zamierzenia planu sześcioletniego w dziedzinie rolnictwa trudno uznać za zbieżne z interesami polskimi. Proces kolektywizacji, rozpoczęty na dobre dopiero w tym roku rozwijać się będzie dalej. Obecna liczba kolchozów, zwanych u nas wstydliwie — spółdzielniami produkcyjnymi — wynosząca ok. dwa i pół tysiąca, nie jest jeszcze zawrotna, ale tempo "przechodzenia na podstawie dobrowolności od drobnej, rozproszonej indywidualnej gospodarki na tory gospodarki socjalistycznej, zespołowej" zaczyna być coraz szybsze. W 45 r., obejmując ziemie zachodnie, mieliśmy jedyną, bodajże, szansę stworzenia w Polsce zdrowej struktury rolnej, opartej na średnich i dużych gospodarstwach chłopskich. Ale reżim nie myślał długo zgrywać się na dobrodzieją chłopów, zresztą musiał się słuchać rozkazów okupanta, który naglił i szybko usuwał bardziej opieszalnych wykonawców w rodzaju Gomółki. Walka z chłopem będzie ciężka, z tego sobie reżim zdaje sprawę, prowadzi ją więc ostrożnie, choć bynajmniej nie zamierza cofać się z obranej drogi. Korzysta tu niewątpliwie z odstraszaających doświadczeń ukraińskich z pocz. lat trzydziestych. Mówienie przez Minca o dobrowolności jest oczywiście zwykłym cynizmem, dowodzi jednak, że reżim nie zamierza powstarać błędów sowieckich sprzed z górą piętnastu laty. Przymusu fizycznego wobec chłopów opierających się kolektywizacji nie stosuje się jeszcze masowo. Zresztą, po co zmuszać siłą, skoro istnieje tyle form nacisku pośredniego, przez podatki, szykany administracyjne i wygrywanie wewnętrznych antagonizmów wsi. Warstwa małorolnych, zwana dziś z sowiecka "biedniakami", nie została upełnorolniona w rozmiarze możli-

wym do przeprowadzenia, właśnie po to, aby reżim miał wygodne narzędzie do swej walki ze zniechęconymi kułakami. Tam, gdzie reżim nie chce się angażować bezpośrednio, wyręczy go biedota wiejska podpuszczona umiejętnie na bogatszych gospodarzy. Jeśli np. uznano, że kułak nie odstawił dość zboża na sprzedaż państwu, przychodzą sąsiedzi, wymłócają parę kwintali, ładują na wóz i dostarczają do punktu skupu zboża. W ten sposób, wygrywając jednych przeciw drugim, osiąga reżim dwa cele: osłabienie spójni wewnętrznej wsi, która mogłaby zwiększyć jego trudności oraz pozory spontaniczności akcji. Nie wystarczy zdemaskować kułaka jako wroga reżimu, musi zostać uznany za wroga klasowego, wroga samych chłopów, tych właśnie "biedniaków".

Państwowy plan skupu zboża, czyli po prostu ustalenie kontyngentów, jest dla reżimu doskonałą okazją dla wygrywania przeciw sobie dwóch grup wiejskich. Gromada ma odstawić tyle zboża, ustalenie rozdzielnika na poszczególne gospodarstwa pozostawia się już samym chłopom. Łatwo sobie wyobrazić, jakie powstają konflikty, zawsze ktoś się czuje skrzywdzony i zawsze znajdzie się winny jeśli plan nie został wykonany. Jest nim oczywiście zawsze kułak. Gdy reżim pewien już jest, że wspólnota gromadzka została podkopana, że wieś podzielona została na dwa wrogie obozy, można wówczas przystąpić do realizacji właściwych, dotąd skrywanych celów. Paru specjalnie wybranych, zwykle małorolnych chłopów, rozpoczyna przekonanie opornych. Czasem wysyła się przedtem owych specjalnie dobranych ludzi z wycieczką, do któregoś z wzorowych kołchozów ukraińskich, skąd wracają oczywiście z ładunkiem przepisanego entuzjazmu. Agitatorzy roztaczają ponętne perspektywy ulg podatkowych, pomocy państwa w dostarczeniu maszyn, nawozów sztucznych itd. W odpowiednim momencie przychodzi im w sukurs reżim, przykręcając wydatnie śrubę podatkową, oporni widzą, że sprawa jest i tak przegrana i wreszcie wszystko kończy się zabawą, gdzie przy wódce i tańcach ostatni wątpiacy zostają "przekonani", po czym zebrani uchwalają założenie spółdzielni produkcyjnej. Tak, mniej więcej wygląda schemat, mogą być zresztą tu różne warianty. Utworzony kołchoz cieszy się rzeczywiście poparciem władz! Przychodzą maszyny, traktory, nawozy sztuczne, materiały budowlane, podatki zelżały.



Niechętnie czytam w prasie zachodniej i emigracyjnej głosy pełne oburzenia na wyzysk człowieka pracy w dzisiejszej Polsce. Oczywiście, że wyzysk ten istnieje, i to wyzysk ujęty w system. Nie przybrał on jeszcze tych rozmiarów co w Sowietach, szczególnie problem pracy niewolniczej istnieje u nas w skali znikomej w porównaniu z "ojczyzną ludu pracującego". Stałe podwyższone normy i współzawodnictwo pracy mają na celu wydobyc z każdego maksimum wysiłku i niejedyn istotnie "wypru-

wa sobie flaki", aby nie zostać czasem posądzonym o bumelanctwo czy sabotaż. Ale jest też bardzo wielu cwaniaków, którzy potrafią sobie radzić wcale nieźle, bądź to zwyczajnie kiwając zwierzchników, bądź też przez lepszą organizację pracy. Te normy, o których dość przesadne wyobrażenie panuje u was, nie są znowu tak przesadnie wyśrubowane, aby z reguły rujnowały organizm przeciętnie zdrowego człowieka. W górnictwie na przykład, mimo iż wielokrotnie już zwiększono je, dzienne wydobywanie węgla na górnika ciągle jest jeszcze niższe od przedwojennego. Albo więc po wojnie nie wysilano się zbyt w kopalniach, albo przed wojną eksploatacja górnika była większa niż obecnie. Zresztą, zapewniam cię, że pędzenie normami bardziej wpływa na obniżenie jakości pracy niż nadwyrężenie zdrowia pracującego. Inaczej już wygląda sprawa jeśli chodzi o tzw. "discyplinę pracy". Wprowadzono system drakońskich kar i bardzo łatwo jest za kilka spóźnień czy nieobecności wyładować w karnym obozie pracy. Natomiast podnoszenie wydajności pracy jest prostą koniecznością, jeśli chcemy produkować, tak jak zachód.

Najgorszą zmorą człowieka pracującego jest dziś, mimo całej prawdy o eksploatacji wysiłku ludzkiego, nie sama praca, lecz to, że nie dają mu świętego spokoju po robocie, że go "doszkalają", każą maszerować, kwadransami skandować "Stalin-Stalin", spontanicznie uprzętać gruzy, podpisywać apele. Nie w formach, warunkach i rozmiarze pracy leży dziś główne źródło niezadowolonia ludzi.

Jest moment, który nie pozwala ludziom w Polsce dostrzeżać osiągnięć reżimu. Ponosi tu winę sam właśnie reżim przez swoje nieumiarkowanie. Chciałby on wykrzesać w ludziach entuzjazm, wszystkie zamierzenia i osiągnięcia przejawia, narzuca je świadomości ludzi propagandą natrętną, hałaśliwą. Ludzie są już tym wszystkim zmęczeni, chcieliby spokoju a przede wszystkim pozostawienia im samym sądu o tym co się dzieje. Okazji tej reżim ludziom nie daje. Nie chodzi tu oczywiście o prawo do krytykowania tych czy innych lokalnych posunięć administracji, organów życia gospodarczego itp. W sprawach istotnej wagi w skali państwowej obywatel wypowiedzieć się nie może, nawet gdyby w jego głosie krytyki miało być maksimum akcentów uznania. Reżim będąc totalnym, toluje tylko całkowite, absolutne uznanie jego posunięć, żąda od obywatela stosunku entuzjastycznego. Entuzjazmu na obstałunek nie było i nie będzie. Natrętne domaganie się i próby organizowania go przez reżim wywołują w rezultacie nieufność i przekorę. Przelamanie tych oporów nie jest dla reżimu rzeczą już prostą. Najwięcej niepowodzeń zawdzięcza reżim swojej własnej, przesadnej gorliwości. Nie pozbędzie się jej nigdy, wypływa ona bowiem z jego istoty, my zaś na pewno nie mamy powodu tego żałować, jakże często bowiem nieufność i

przekora są jedyną formą obrony przeciwko próbom zatruwania dusz ludzkich.

To nieumiarkowanie reżimu zaciążyło jednak na stosunku niektórych ludzi do zagadnienia szczególnie dla nas ważnego. Myślę o naszych ziemiach zachodnich. Nieustannie powtarzanie przez tuby propagandy reżimowej, że ziemię tę wrócili do nas na zawsze i nieodwołalnie, zaczęło wywoływać po pewnym czasie więcej szkody niż pożytku. Niejeden zaczął się zastanawiać czy reżim głośnym powtarzaniem nie usiłuje zagłuszyć mogących powstać wątpliwości może i własnych? Myślę, że należy tu zaraz stwierdzić, że owa kategoria ludzi ma zasięg ograniczony. Zauważyłem, iż w ostatnim czasie podjęła ten temat część prasy emigracyjnej. Próbowano generalizować pewne zjawiska, występujące sporadycznie albo wręcz należąca do przeszłości. Myślę, że obaj nie potrzebujemy przekonywać się o tym, że ziemię tę należą się nam i są nam potrzebne. Cały nasz wielki wysiłek dzisiejszy, wyrażony w planie sześcioletnim byłby skazany na niepowodzenie, gdyby nie posiadanie tych obszarów. Kraj, który tak potwornie spustoszył Polskę w ostatniej wojnie, nie byłby w stanie zapłacić za to żadnymi górami złota, którego i tak zresztą nie posiadał. Trudno nie uważać tego za fakt sprawiedliwości dziejowej, że ziemię uprawiane nie od dziś rękoma polskiego autochtona na Śląsku, Pograniczu, Warmii, Mazurach i Powiślu lub robotnika sezonowego, który chadzał "na Saksy" do dzisiejszej Ziemi Lubelskiej i Pomorskiej, będące nieraz bramą wypadową rozbójniczej wyprawy na wschód, dziś, należąc do nas, umożliwiają nam odbudowę i stopniowe narastanie dobrobytu.

Nie ma świecie narodu, który by chętnie wyrzekał się choćby skrawka ziemi, kiedyś do niego należącej. Tu zaś chodzi o coś więcej, niż skrawek. Nie dziwi mnie przeto rewizjonizm niemiecki a także i to, że większość Niemców wydaje się przekonana, bez zastrzeżeń, o słuszności swoich żądań. Niemcy są na ogół skłonni wierzyć w to, co jest im w danej chwili wygodne, jeszcze chętniej w to, co związane jest z ich korzyścią. Dlatego może do dziś dnia tylu Niemców wierzy, przynajmniej oficjalnie o tym zapewnia, że ogromna większość popełnionych przez nich w czasie wojny zbrodni jest jedynie wytworem wrogiej im propagandy. Słyszałem, że film dokumentalny, nakręcony przez Amerykanów w obozie koncentracyjnym Belsen-Bergen zaraz po wyzwoleniu, był ze zdumiewającą konsekwencją, w jakiejś milczącej zмовie bojkotowany przez Niemców, nawet tam, gdzie urządzano bezpłatne pokazy. Nie należy się ludzi, aby Niemcy chcieli lub potrafili zrozumieć nasze racje i argumenty. Jest to dla nich, przy ich charakterze i mentalności — po prostu niemożliwością. Nie chcę, żebyś mnie posądzał o ułatwianie sobie sprawy uogólnieniami, wiem, że spotyka się wśród Niemców wyjątki od tej reguły, jednostki

te jednak nie mają większego wpływu na opinię ogółu, czy większości.

... że Niemcy starają się zdyskredytować Polaków w opinii świata twierdzeniem, że nie potrafimy zagospodarować tych ziem i powołują się na miliony ha ziemi leżącej odłogiem, niezaludnione miasta i nieodbudowane fabryki, że sami siebie usiłują pocieszyć i uspokoić powtarzaniem o niezapuszczeniu korzeni przez ludność polską na ziemiach nadodrzańskich, o stanie tymczasowości i niepewności w jakiej żyją tam rzekomo wszyscy — to wszystko potrafię zrozumieć. W walce o te ziemię każdy środek wydaje się Niemcom dobry, a część wysuwanych przez nich twierdzeń mogła nawet odpowiadać rzeczywistości pierwszych lat powojennych. Mniej natomiast wydaje mi się zrozumiałe, że szereg twierdzeń, którymi operuje propaganda niemiecka wysuwa się jako własne ze strony polskiej w r. 1951. Podkreślenie to jest ważne, bo jak już wspominałem, to co można było twierdzić z dużą dozą słuszności w r. 46 czy 47, trudniej da się podtrzymać w latach 50 czy 51. Wiesz, że sytuację na naszych ziemiach znam z własnych doświadczeń. Spędziłem tam pierwsze lata powojenne i nie straciłem z nimi kontaktu mimo późniejszego przeniesienia się do Warszawy. Oglądałem własnymi oczyma w jakim stanie obejmowała te ziemię Polska. Zmasakrowane miasta, zniszczony lub zdemontowany pośpiesznie przez "bratnią armię-wyzwolicielkę" przemysł, zaminowane lub zalane wodą setki tysięcy ha ziemi ornej, brak środków lokomocji, zniszczone drogi i mosty — i pośród tego wszystkiego: ludzie, przybyli w większości bez narzędzi, maszyn, inwentarza, z gołymi rękoma naprzeciw morza zniszczeń. Nie obejmowaliśmy kwitnącej prowincji, lecz obszary przez które przeszło jakby gigantyczne trzęsienie ziemi. Jeśli dziś zostały one doprowadzone do stanu względnie normalnego, to tego nikt nam nie podarował, to jest rezultat naszego trudu i znoju. Najdłużej, bo aż do rb. trwało zlikwidowanie reszty odłogów. Dlaczego aż tak długo? Decydował o tym nie tyle brak ludzi, ile raczej sprzętu oraz w pewnej mierze rodzaj zniszczeń. Odminowanie poszło stosunkowo szybko, ale zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa z osuszeniem takich np. Żuław Gdańskich, zalanych wodą na skutek uszkodzenia lub zniszczenia tam stacji pomp i skomplikowanej sieci melioracyjnej przez wycofujące się oddziały Wehrmachtu. 45 tysięcy ha najbardziej urodzajnej ziemi pokryte zostało kilkumetrową warstwą wody, drugie tyle zamieniło się w bagniska. Osuszenie ich wymagało zmuszonych prac prowadzonych w ciężkich warunkach bez posiadania planu sieci melioracyjnej. Prace te zostały zakończone w pierwszej połowie ub. r. Obszar oddany do użytku wyniósł 25% ogółu ziem użytkowych rolniczo w woj. Gdańskim a półtora procent w skali całości ziem odzyskanych. Oto jeden z przykładów z trudności, jakie trzeba było pokonać.

Natomiast odbudowa przemysłu szła w tempie o wiele szybszym. Już w r. 45 uruchomiono wszystkie te zakłady, które oszczędziła wojna i rabunek "sojusznika". W następnym rozpoczęto odbudowę fabryk zniszczonych, m. in. obiektu tak wielkiego jak wrocławska fabryka wagonów (dawniej Linke-Hoffmann, obecnie Pafawag). Odbudowa zniszczeń wojennych w przemyśle została na ogół już zakończona, obecnie w ramach planu sześcioletniego rozpoczęto budowę nowych uzupełnień obiektów. Do tego dodaj naprawę dróg, budowę mostów, odbudowę i rozbudowę portów morskich — oto obraz wysiłku włożonego i wkładanego. Posuwa się naprzód także odbudowa większych miast,

Człowiek na ogół nie ceni sobie tego, co przychodzi mu zbyt łatwo. Polacy włożyli w ziemię odzyskane ogrom wysiłku, który przerodził się w przywiązanie i poczucie związania z tą ziemią. Jak już ci wspominałem są od tej zasady wyjątki, których liczby nie przeceniabym. Wojna zrobiła z niejednego wólcę i cygana, który nigdzie miejsca nie zagrzeje. Chłop, któremu przydzielono gospodarstwo, a później zmuszono przystąpić do kolektywu, musi poddać się zniechęceniu. Tzw. ucieczka ludzi ze wsi do ośrodków przemysłowych jest wyrazem protestu przeciwko kolektywizacji lub szukaniem lepszych warunków bytu w rosnącym przemyśle. Te rzeczy mają miejsce, lecz nie są nagminne. Masa ludności tkwi na miejscu i czuje się na swoim. Stopień zakorzenienia się nie jest zresztą równy na całym obszarze ziem zachodnich. Największy bezwzględnie na Śląsku, najmniejszy chyba w samym Szczecinie. Ale dowodem, jak mocno ludzie zrastają się z podłożem będą chyba cyfry przyrostu ludności. Posłuchaj uważnie, bo to jest bardzo ciekawe. Wiesz, że przyrost naturalny jest dziś w Polsce bardzo wysoki. W roku 1948 wynosił on 17,9%, ale z tego na ziemi "dawne" przypada tylko 14,5%, zaś na odzyskane 25,5%. Województwa wrocławskie i szczecińskie mają jeszcze wyższe cyfry przyrostu od przeciętnej dla całych ziem zachodnich: 30,7 i 31,3%. Płodność ludzi z kresów zachodnich przewyższa wszystkie przedwojenne rekordy Polesia czy Nowogródzczyzny. Zresztą udział najpłodniejszego elementu Polski przedwojennej, tzw. zabużan w zaludnieniu ziem zachodnich wynosi ok. 20% (na 6,5 milj. — 1 do 1,5 milj.), nie może więc decydująco wpływać na cyfry ogólne przyrostu. Wydaje mi się, że ten fakt, mocniej niż wszystkie inne świadczy o zrośnięciu się ludzi z ziemią. Jeśli by nastąpił miał nowy exodus, dobrowolnie opuści te ziemie ok. miliona Lwowian i Wilnian. To na pewno nie będzie oznaczało powstania vacuum.

Mógłbym ci wskazywać na wiele jeszcze innych przemian w Polsce, od których nie wystarczy odgrodzić się pogardliwym gestem, ponieważ są dziełem Quislingów krajowych lub ich państw. I również dużo można by mówić o innych posunięciach,

godzących bezpośrednio w nasze interesy, jak np. likwidacji prywatnej inicjatywy w handlu detalicznym, rzemiośle i stworzeniu na ich miejsce państwowej sieci domów towarowych i "spółdzielni usługowych", których katastrofalne funkcjonowanie powoduje, że te potrzeby ludności zaspakajane są w fatalny sposób. O tym np., że można dziś w Polsce kupić filizankę i czekać miesiącami na transport spodeczków do niej, że uszybie ubrania czy podzelowanie butów uległo wielu komplikacjom, które pocieszne mogą wydać się tylko niezainteresowanym.

Można by mówić wreszcie o wysiłkach reżimu nad pozyskaniem dusz ludzkich i wynikającej z nich walce z Kościołem i religią — i o najtrudniejszym, najboleśniejszym problemie zatruwania i demoralizowania duszy młodzieży, któremu na emigracji poświęcono już wiele słusznych uwag. Część tej młodzieży, najbardziej zaślepiona, jest może i najwartościowsza, ponieważ w coś wierzy. Wygranie walki o te dusze będzie może najtrudniejszym, ale i najwznieczającym zadaniem, jakie czekać będzie kiedyś nas — skazanych teraz w kraju na milczenie i was, marnotrawiących nieraz tak dużo słów — bezużytecznie...

Witold KOSTRZYŃSKI.

SPROSTOWANIE

Wskutek rozsypania się składu, w czasie druku czerwcowego numeru (6/44) „Kultury” uległa zniekształceniu Tabela Nr 1, ilustrująca artykuł p. J. Kamińskiego pt.: „Wzrost ludności w Polsce” (str. 116). Mianowicie, odwrócona została pierwsza rubryka tej tabeli. Rubryka ta powinna wyglądać jak następuje:

Niemcy ⁴⁾
W. Bryt.
Francja ⁵⁾
Włochy
Hiszpania ⁶⁾
Polska

Redakcja.

Najnowsza historia Polski

Opowieści administracyjne czyli Pamiętnik Niebohaterski

1.

Pojawiają się coraz to nowe Pamiętniki.

Ach, jakie piękne, imponujące i błyskotliwe są... niektóre!

Bez różnicy narodowości, autorowie ich "rzną prosto z mostu", nie oglądając się na nikogo i nic, że przecież:

wszystko, co oni robili było dobre, mądre, a nade wszystko **przewidziane** w ich samotnych, wielkich umysłach na dziesiątki lat naprzód. Nic to, że przeszkadzano im i szkodziło. Wszystko, na ogół stało się tak, jak oni myśleli i przewidzieli. I dobre i złe rzeczy!

Ach, jakże chciałbym umieć pisać takie pamiętniki!

Ale cóż, człowiek jestem prosty i "za nic" mi nie wychodzi.

Nie umiem: — po fakcie, obowiązkowo i zawsze pisać, że ja go przewidziałem.

Umiem, niestety, tylko pisać tak, jak było!

Blade to i nie bohaterskie i nie "na miarę męża stanu"...

Ale czym chata bogata...

Pragnę, więc, w ogólnych zarysach, podać wytyczne postępowania mego, jako Szefa Rządu w latach 1936 - 39.

Do napisania tych wspomnień skłoniły mnie dwa fakty:

- 1) Bardzo mało pisze się dotąd o celach i sposobach administrowania Polską w okresie Jej Niepodległości;
- 2) To trzecie wspomnień od 1936 - 1939 roku będzie zam-

Dział Najnowszej Historii Polski wywołuje coraz większe zainteresowanie czytelników i otrzymujemy coraz więcej listów, polemik, prentensyj czy zarzutów związanych z artykułami (drukowanymi w tym dziale. Nie jesteśmy w stanie wszystkich ich wykorzystać. Raz jeszcze zwracamy uwagę, że w Dziale tym zamieszczamy tylko materiały, dokumenty, wspomnienia **czy przyczynki związane z Najnowszą Historią Polski**; lecz materiały te odzwierciedlają jedynie poglądy autorów a nie Redakcji. Dlatego też nie będziemy zamieszczać głosów dyskusyjnych, chyba, że będą one wносиły konkretne uzupełnienia czy stwierdzenia.

REDAKTOR.

knęciem cyklu mych pamiętników za 25 lat okresu Józefa Piłsudskiego w Polsce:

"Moja Służba w Brygadzie", T. I i II	1914 - 1917;
"Beniaminów"	1917 - 1918;
"Strzępy Meldunków"	1918 - 1935;
"Opowieści Administracyjne"	1936 - 1939;
"Zarys Czynności Rządu"	wrzesień 1939"

W myśl powiedzianego: "Opowieści Administracyjne" rozpoczynam od połowy maja 1936 roku i doprowadzam je do okresu września 1939, czyli ataku Hitlera na Polskę. Dalszym ciągiem i zakończeniem cyklu jest, drukowany już w "Kulturze" w 1948 roku,

— "Zarys Czynności Rządu Polskiego we wrześniu 1939 roku".



W pierwszą rocznicę śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego znalazłem się w Krakowie: na Wawelu, w krypcie Wieży Srebrnych Dzwonów i na sypianym na Sowińcu kopcu, na który dowoziłem taczkę ziemi. Byłem wtedy jeszcze Wiceministrem Spraw Wojskowych i Szefem Administracji Armii, przy czym reprezentowałem, w czasie uroczystości żałobnej rocznicy w Krakowie, generała Śmigłego-Rydza, jako Generalnego Inspektora Armii. Minister Skarbu, Eugeniusz Kwiatkowski zastępował Prezydenta Rzeczypospolitej, Ignacego Mościckiego.

Kraków, ukwiecony już kiściami bżów i świecznikami kasztanów, jak zawsze, wystąpił godnie, pięknie i dostojnie, w ciągu całego pogodnego dnia majowego tragicznej rocznicy Polski.

W krypcie Wieży Srebrnych Dzwonów byłem po raz pierwszy, gdyż rok temu nie brałem udziału w pogrzebie Komendanta w Krakowie, pozostawiony "na gospodarstwie" w Ministerstwie Spraw Wojskowych w Warszawie. Prostota i duża przestrzeń w krypcie zrobiła na mnie kojące wrażenie, ale trumna z blach srebrnych i z okienkiem do oglądania Oblicza Komendanta wydała mi się czymś małym i nie dość potężnym dla Wielkiego Zmarłego.

Po co srebro, gdy całe życie stronił od srebra i złota?

Zbudowałem trumnę-sarkofag z szlachetnej, hartowanej stali nierdzewiejącej, z której robimy pociski przeciwpancerne. Jest to współczesny nam spiż. Na stalowym wieku zamkniętej na zawsze trumny dałbym srebrny krzyżyk *Virtuti Militari*. I to wszystko...

Na Sowińcu musieli mi pomagać koledzy-legioniści, gdyż na skutek osłabienia serca nie mogłem popchnąć taczki z ziemią po stromym torze, ułożonym z desek, prowadzącym na szczyt kopca. Wieczorem, po ciężkich fizycznie i psychicznie wysiłkach, usnąłem w idącym do Warszawy pociągu, jak martwy.

Dnia następnego, 13-go maja 1936 roku, w parę chwil po wczesnym powrocie z Krakowa do Warszawy, telefonicznie

wezwany zostałem z Inspektoratu Generalnego, na godzinę jedenastą przed południem do generała Rydza-Śmigłego.

Po chwili oczekiwania w adiutanturze, punktualnie wprowadzony zostałem przez rotmistrza Mańkowskiego do gabinetu generała, który, bez żadnych wstępów, oświadczył mi, że Premier Kościółkowski podał się do dymisji i, że Pan Prezydent Rzeczypospolitej, w porozumieniu z generałem, postanowił powierzyć mi uformowanie Rządu, w charakterze premiera. Generał dodał z uśmiechem, iż kosztowało go "nieco" trudu przekonać Pana Prezydenta o celowości powołania mnie na prezesa Rady Ministrów i, że, wobec dotychczasowych prac nad życiem gospodarczym Państwa, minister Skarbu, Kwiatkowski wejdzie do mego Gabinetu jako Wicepremier Gospodarczy z zadaniem koordynowania prac finansowych i gospodarczych Rządu i prowadzenia Komitetu Ekonomicznego Ministrów. Jest to warunek postawiony przez Pana Prezydenta, wynikający z wyjątkowego zaufania, które, w sprawach gospodarczych, położyła w ministrze Kwiatkowskim oraz konieczności szybkiej poprawy życia ekonomicznego Polski. Jest również wolą Pana Prezydenta, aby do Gabinetu wszedł, jako minister, obecny Premier Kościółkowski. Poza tym, w rozmowach wstępnych, Pan Prezydent uzgodnił z generałem Śmigłym szereg kandydatur ministerialnych, tak, że nieobsadzone zostały jedynie teki ministra Spraw Wewnętrznych i ministra Pracy i Opieki Społecznej.

Byłem całkowicie zaskoczony tą nową zupełnie sytuacją. Wiedziałem o tarciach osobistych i ideowych w gronie Piłsudczyków, będących u władzy, ale, zajęty wyłącznie sprawami dozbrojenia wojska, nie brałem w nich bezpośredniego udziału. Nie rozmawialiśmy również o tych sprawach z ministrem Kwiatkowskim w czasie naszej podróży do Krakowa. Toteż sprawa natychmiastowej i nagłej zmiany Gabinetu spadła na mnie zupełnie nieprzygotowanego. Do tego dochodziła moja osobista niebagatelna sytuacja — zostanie premierem i to w rok zaledwie po śmierci Komendanta i głębokim wstrząsaniu wywołanym przez nią w życiu Polski. Dlatego milczałem i "mocowałem się" z myślami, choć czułem, iż siłą samego nawyku posłuszeństwa, potraktować powinienem propozycję generała Śmigłego jako rozkaz, który wykonać muszę, właśnie ze względu na niejasność i niepewność sytuacji politycznej i gospodarczej Polski.

"No, cóż Pan na to?" — spytał generał z uśmiechem, po dłuższej chwili wymownego milczenia.

"Rozkaz, panie generale" — "dziarsko" odpowiedziałem — "ale, czy nie mógłbym dobrać choć jednego mego ministra do tego "mego" gabinetu?"

"No, kogo pan chce?"

"Samego siebie, panie generale, i to na ważne, kluczowe stanowisko ministra Spraw Wewnętrznych. Mam doświadczenie w tej pracy przez trzy lata. Da mi to możność bezpośredniego

opanowania sprawy bezpieczeństwa w Państwie i wywierania stałego wpływu na życie wewnętrzne Polski nie tylko przez ministrów, ale również w terenie przez wojewodów".

"Może pan ma rację," — powiedział generał po chwili namysłu, "ale musi pan przekonać o tym Pana Prezydenta, gdyż już kandydatura pana na premiera przeszła z trudnościami".

"Premierowi Kościółkowskiemu proponuję w takim razie tekę ministra Pracy i Opieki Społecznej" — powiedziałem.

"Dobrze", — odpowiedział generał, żegnając się ze mną. "U Pana Prezydenta zamelduje się pan o godzinie pierwszej po południu, celem ostatecznego omówienia sprawy".

"Rozkaz, panie generale" — odpowiedziałem wychodząc oszołomiony z gabinetu Inspektora Generalnego na obramione szmaragdem trawników, zalane słońcem Aleje Ujazdowskie.

Tak, byłem rzeczywiście oszołomiony. Zda się tak niedawno, za życia Komendanta, po podobnej, krótkiej, stanowczej rozmowie jechałem tymi słonecznymi Alejami do premiera Sławka, by zostać ministrem Spraw Wewnętrznych. Ale — nie ma już Komendanta...

Nagle skręciłem samochód w stronę Belwederu, Muszę chociaż przejechać koło miejsca życia, pracy i śmierci Komendanta. Mijam ciche, samotne, białe kolumny ganku, uszeregowane za pustym dziedzińcem i zawracam samochód z powrotem ku miastu. Trzeba przecież choć coś wiedzieć o sytuacji ogólnej przed zameldowaniem się na Zamku. Nie wiadomo zupełnie, jak Pan Prezydent potraktuje w osobistej konferencji ze mną warunki kompromisu, zawartego z generałem Śmigłym w sprawie mego premierostwa. Zupełnie nie jestem przygotowany do tak decydującego momentu...

Mając jeszcze nieco czasu przed rozmową z Panem Prezydentem, postanowiłem odwiedzić na chwilę ministra Kwiatkowskiego, którego zastałem w wysokim, dwupiętrowym gabinecie Ministerstwa Skarbu. Łączyły mnie z nim życiwe stosunki koleżeńskie wspólnej pracy w Rządzie za życia Komendanta. Wiedział on już od Pana Prezydenta o zmianie, mającej nastąpić i omówiliśmy ogólne warunki naszej współpracy w Rządzie.

"Mam dla pana doskonałego kandydata na ministra Spraw Wewnętrznych" — powiedział minister Kwiatkowski.

"Ja mam już też kandydata, ale dla mnie lepszego" — odpowiedziałem.

"Jak się nazywa?" —

"Składkowski" — odpowiedziałem, śmiejąc się porozumiewawczo.

"No, wobec tego, trudno mi bronić mojego kandydata, dla pana ten na pewno jest najlepszy" — zauważył minister Kwiatkowski, zupełnie rozbrojony, żegnając się ze mną.

Pan Prezydent, po zaproponowaniu mi, bez widocznego entuzjazmu, utworzenie nowego Rządu, omówił ze mną skład gabinetu, który ma powstać, jako wynik narad i kompromisu

między Prezydentem Mościckim, a generałem Śmigłym.

Spośród tych nowych ministrów, jako "ludzie" Prezydenta Mościckiego byli przez opinię uważani:

Wice-premier i minister Skarbu, Kwiatkowski Eugeniusz.

Minister Spraw Zagranicznych, Beck Józef.

Minister Handlu i Przemysłu, Roman Antoni.

Minister Rolnictwa i Reform Rolnych, Poniatowski Juliusz.

Minister Oświaty, Świętosławski Wojciech.

Minister Poczty i Telegrafu, Kaliński Emil.

Do "ludzi generała Śmigłego Rydza, zaproponowanych na ministrów "mego" gabinetu, opinia zaliczała:

Premier i minister Spraw Wewnętrznych, Składkowski Sławoj.

Sprawy Wojskowe, minister Kasprzycki Tadeusz, generał.

Minister Sprawiedliwości, Grabowski Witold.

Minister Komunikacji, Ulrych Juliusz.

Poza ministrem Spraw Zagranicznych, "ludzie" Prezydenta Mościckiego zajmowali się przeważnie sprawami gospodarczymi, podczas, gdy "ludzie" generała Rydza Śmigłego oddawali się wojsku, administracji i polityce wewnętrznej Państwa.

Pozostawały jeszcze dwa nieobsadzone ministerstwa. Na propozycję moją powierzenia Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej premierowi Kościółkowskiemu, z pozostawieniem dla mnie resortu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Pan Prezydent odpowiedział: "Jak pan uważa", — bez widocznego angażowania się w obsadę tych resortów.

Odchodząc, podziękowałem Panu Prezydentowi za zaufanie i przyrzekłem go nie zawieść. Wypadło to raczej sucho, sztywno i formalnie.

Resztę dnia spędziłem na rozmowach z ustępującymi i nowymi ministrami. Jest to praca ciężka, przykra i delikatna. Łatwo było zapraszać do współpracy ministrów, którzy już piastowali odnośne teki za Rządu Premiera Kościółkowskiego, choć i tu były pewne trudności i różnice poglądów przy omawianiu metod współpracy i kompetencji. W wypadku ministra Romana, Grabowskiego, Kościółkowskiego i moim w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, trzeba było zwolnić i taktownie pożegnać w Imieniu Służby ministrów poprzednich i przygotować dla nich zwalniające Dekrety Pana Prezydenta Rzeczypospolitej oraz, o ile możliwości, zapewnić im powrót do dawnej pracy. Wielu ministrów chciało przeprowadzać w swych resortach od razu w pierwszych dniach urzędowania wiele radykalnych zmian personalnych, co do znaczenia i celowości których nie mogłem być jeszcze dostatecznie zorientowany. Ten nawał nowej dla mnie pracy w ciągu dwóch pierwszych dni urzędowania w Prezydium Rady Ministrów skłonił mnie do natychmiastowego przeniesienia na etat wice-ministra p. Jerzego Brzozowskiego z Sekretariatu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w stopniu Dyrektora Departamentu. Jego energia i inteligencja, dobra orientacja w sprawach państwowych, wiedza

prawnicza, wreszcie lojalność — znane mi były dobrze i wykorzystywane już od lat kilku. Zabrał się on od razu do nowej pracy w Prezydium z właściwym mu zapałem i odciążył mnie od trosk i trudności zagadnień codziennej pracy bieżącej. Wice-ministrem w Prezydium Rady Ministrów przy premierze Kościółkowskim był p. Grzybowski, ten sam, który wkrótce później został naszym ambasadorem w Moskwie i dzieinnie odmówił przyjęcia Noty Światów, szkalującej Rząd Polski, w przeddzień inwazji bolszewików na nasze kresy Wschodnie, w 1939 roku. Wice-minister Grzybowski oświadczył mi przy obejmowaniu przeze mnie służby w Prezydium, iż wyznaczony ma być przez ministra Becka do służby dyplomatycznej. Że zresztą za mało się znamy i rozstaliśmy się w zgodzie, po przekazaniu przez wice-ministra służby i pracy — dyrektorowi Brzozowskiemu. W czasie rozmów wstępnych z nowymi ministrami mego Gabinetu nastąpiło pewne zatrzymanie i zawieszenie decyzji, gdyż, mimo moich przedstawień, premier Kościółkowski zastrzegł sobie 24 godzin czasu namysłu na zgodę objęcia Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, co też nastąpiło nazajutrz, 14 maja.

W dniu 15 maja 1936 roku odbyło się na Zamku, w obecności Prezydenta Rzeczypospolitej Mościckiego, zaprzysiężenie nowego Rządu i następnie objęcie formalne służby od ustępujących ministrów.

Wieczorem, w myśl ustalonej tradycji, w sali jadalnej Prezydium odbyła się kolacja wspólna nowych i ustępujących ministrów. Pomimo wesołego dosyć nastroju, nie czułem w sobie tej radosnej energii i "twórczego" podniecenia, które obserwowałem wielokrotnie u premiera Bartla, kiedy, pełen otuchy i optymizmu, rozpoczynał nowe urzędowanie za życia Komendanta. Premier Bartel, jednak, liczył się jedynie z Komendantem i wszyscy ministrowie musieli ulegać mu i słuchać go, jako autorytatywnego i bezspornego przedstawiciela Marszałka w Rządzie. Ministrowie mego nowego Rządu mieli, każdy, swe oparcie u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, lub generała Śmigłego i stąd zależność ich ode mnie była bardzo umiarkowana i względna. Poza tym, długoletnia tradycja Komendanta i Konstytucja Kwietniowa uzależniły ministrów Spraw Zagranicznych i Wojskowych wprost od Prezydenta Rzeczypospolitej, toteż ministrowie Beck i Kasprzycki omawiać mieli ze mną sprawy ich resortów na naszych konferencjach tygodniowych, w sposób raczej informacyjny, niż decydujący.

Własna moja sytuacja, jako Premiera, była wynikiem kompromisu między Panem Prezydentem i generałem Śmigłym. Pytanie, jak długi czas ten kompromis da się utrzymać w równowadze. Wszak od czasu śmierci Komendanta odszedł już od kierownictwa Rządu premier Sławek, na skutek różnicy zdań z Panem Prezydentem, a obecnie premier Kościółkowski, z którego niezadowolony był generał Śmigły, zmuszony był podać się do dymisji. Podkopywały się przy tym pod niego pewne czynniki

legionowe, związane z prasą. Oczywiście, te same czynniki mogą usiłować wyrzucić również i mnie, gdy będę ze mnie niezadowolone. Już po paru zaledwie dniach rozchodzą się pogłoski, że nominacja moja na premiera będzie tylko chwilowa i krótkotrwała, gdyż nie mam zdolności ani zdrowia do rządzenia Państwem. Tak więc "przyjaciele czuwają", by nie "poszkodować" ani Polski, ani mnie. Ja będę szedł drogą mego obowiązku, bez względu na to, czy się to komu podoba czy nie.

Pewne pokrzepienie na duchu i zachętę do pracy odczułem, o dziwo, w czasie składania wszelkiego rodzaju bardziej lub mniej formalnych wizyt. Naprzód odmeldowałem się u mych wojskowych przełożonych, w szczególności u generała Kasprzyckiego, który był dla mnie zawsze niezwykle dobry i wyrozumiały, a obecnie wchodził do mego Gabinetu, jako już doświadczony Minister Spraw Wojskowych. Serdecznie pożegnałem również, prosząc o dalszą współpracę, Szefa Sztabu Generalnego generała Stachewicza Waława i wiceministra Głuchowskiego Janusza. Parę godzin zajęła mi konferencja z następcą mym na stanowisko Szefa Administracji Armii, generałem Aleksandrem Litwinowiczem, dotychczasowym dowódcą Okręgu Korpusu Grodno. Było o czym mówić. Jednolite uzbrojenie piechoty w polską broń, wyrób polskich haubic, działek przeciwpancernych, działek przeciwlotniczych, wreszcie mocne początki rozbudowy lotnictwa, popychane przez generała Rayskiego, wszystko to były realne osiągnięcia, zdobyte ciężką, żmudną pracą, hamowane, niestety, w swym dobrym i szybkim rozwoju przez brak pieniędzy, których nikt nie chciał nam pożyczyć na niezbędne uzbrojenia. Budżet wojskowy Polski nie mógł sprostać wymaganiom, stawianym przez obłąkany wyścig zbrojeń Niemiec i Rosji, gdy całkowity budżet naszego Państwa wynosił zaledwie część budżetu Wielkiego Berlina.

Dalsze wizyty skierowałem do Prezesa Sądu Najwyższego, Supińskiego, Prezesa Najwyższego Trybunału Administracyjnego, Hełczyńskiego i Prezesa Najwyższej Izby Kontroli — generała Krzemieńskiego. Wszyscy oni, a zwłaszcza generał Krzemieński przyjęli mnie bardzo serdecznie, z radością akceptując mój ogólny program pracy: 1) zaprowadzenie w Polsce porządku, ładu i bezpieczeństwa oraz 2) zwalczanie bezrobocia aż do jego zaniku.

Kardynał Kakowski oświadczył radość z powodu objęcia przeze mnie rządów, wyrażając nadzieję na dalsze celowe, planowe i owocne zwalczanie przeze mnie komunizmu i nieposzanowania religii. Złożyłem też wizyty byłym premierom Rządów Pomajowych. Był dawniej zwyczaj schodzenia się byłych premierów od czasu do czasu na herbatki dyskusyjne celem poruszania bieżących zagadnień politycznych i ekonomicznych. Obecnie, wobec szeregu zaistniałych rozdzwieków, np. między premierem Sławkiem i Kościałkowskim, postanowiłem poniechać tych zebrań. Mimo to, premier Sławek i Prystor dali mi swe "błogosławieństwo" i obiecali mnie popierać w mych za-

biegach o bezpieczeństwo i zniesienie bezrobocia.

Pokrzepiające przyjęcie miałem również w Sejmie i Senacie, gdzie oklaskiwano moje krótkie przemówienie, obiecując poparcie i pomoc w moim "wyjściu na patrol z rozkazu Śmigłego", jak sformułowałem moją zamierzoną pracę na czele Rządu Polski, o Jej porządek i pracę dla wszystkich obywateli bez różnicy wiary i pochodzenia. Wyraz "demokracja" nie był wtedy jeszcze panaceum, używanym i nadużywanym przez lekarzy i znachorów politycznych od radykalnego i wyłącznego leczenia wszelkich dolegliwości narodów i społeczeństw, toteż nie użyłem go w mojej dziewiczej mowie premierowskiej. Powiedziałem jasno i dobitnie, iż większość nas, posłów, pochodząc spod strzech i skromnych domostw, nie będzie pchać się do pałaców i czepiać się, ani popierać interesów możnych tego świata. Przeciwnie, dążyć będziemy do ubarwienia kolorami radości i zadowolenia życia zwykłego, tak zwanego niesłusznie, "szarego człowieka".

Sympatyczna, koleżeńska reakcja większości Izby utwierdziła mnie w pokrzepiającym przekonaniu, iż wszedłem na dobrą drogę dla Narodu i Państwa. Droga ta jednak do stabilizacji Bezpieczeństwa i Dobrobytu była trudna i długa, toteż wezwałem jeszcze raz kolegów posłów o poparcie i pomoc w jej realizacji, co z entuzjazmem jeszcze raz mi przyrzekli ogromną większością.

Nie był to słomiany ogień! Zarówno Senat z Marszałkiem Prystorem i Miedzińskim, jak i Sejm, prowadzony przez Marszałków Daszyńskiego i Makowskiego, traktowały mnie po koleżeńsku i życzliwie. Do zebrań plenarnych Sejmu i Senatu przywiązywałem wielką wagę i starałem się być na wszystkich posiedzeniach, notując w mym nieodstępnym zeszycie najważniejsze i najbardziej charakterystyczne przemówienia. Ułatwiało mi to później pracę w komisjach, gdyż najczęściej wiedziałem z góry, jakie sprawy będą zajmować danego posła lub senatora. Uważam, że obecność i natychmiastowa odpowiedź ministra, zmusza przemawiającego z trybuny do liczenia się ze słowami i ścisłością poruszanych zagadnień oraz niejednokrotnie wyjaśnia z miejsca najbardziej skandaliczne i piekące sprawy. Jest to zawsze wygodne dla zorientowanego ministra, a nie zawsze dla "koloryzującego" posła i na odwrót.

Pamiętam, w którymś z sejmów, poseł lewicowy próbował żartować, iż nie mam czasu na zagadnienia ogólnopaństwowe, gdyż muszę zajmować się śmietnikami i "sławojkami", co wywołało ogólny śmiech aprobaty dla figlarza. Wstałem z miejsca i zarzekałem:

"Panie kolego, nie dziwię się, gdy wysmiewają mnie kamienicznicy i ludzie posiadający, bo dla nich moje porządki są kosztowne, ale pan powinien zrozumieć, iż ja nie chcę, by dzieci robotników nabawiały się gruźlicy, grzebiąc wśród brudu odpadków podwórzowych. To wstyd, że pan nie zdaje sobie z tego sprawy!".

Nastała wymowna cisza w sali Wysokiego Sejmu i "opozycyjne" przemówienie zostało złamane.

Również, do przyjęć w mym biurze poszczególnych posłów i senatorów, z delegacjami lub bez, przywiązywałem wielką, istotną wagę, uważając, iż te głosy z terenu są odbiciem życia, ważniejszym od wielu teoretycznych zagadnień prawnych. Sam, będąc posem powiatów Kaliskiego i Tureckiego, nie mogłem, niestety, poświęcić zbyt dużo pracy terenowi, wyjeżdżając do mojego okręgu wyborczego zaledwie co parę miesięcy. Wtedy nawiązywałem na miejscu kontakt w sprawach potrzeb terenu nie tylko z Wojewodą z Poznania Bociąńskim oraz starostami Soboniewskim z Kalisza i Sułkowskim z Turka, ale ze wszystkimi władzami samorządowymi, duchowieństwem i działaczami społecznymi. Poza tym, powierzyłem na stałe załatwianie moich spraw poselskich w Sejmie, Senacie, Ministerstwach i terenie radcy Peżko, z Sekretariatu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Raz w tygodniu, a, w razie potrzeby częściej, odbywałem z nim konferencje, mające na celu pomoc w terenie dla dwóch, powierzonych mej opiece poselskiej, powiatów.

Nie przez fałszywą skromność, ale ze względu na sytuację polityczną Polski, nie chcę wymieniać prac i ulepszeń życia w terenie, przy których miałem zaszczyt i szczęście pomagać miejscowym czynnikom obywatelskim. W swoim czasie kosztowało to trochę pracy i mnie i ofiarnego, niezmordowanego, uzdolnionego kolegę radcę Peżko.

W ogóle, pracy mi nie brakło. Anim się obejrzał, jak przyniatać mnie zaczęły obowiązki trzech wziętych na siebie "urzędów" i to nie bylejakich, bo premiera, ministra Spraw Wewnętrznych i posła na Sejm. Każdy z nich, wzięty pojedynczo, mógł zaabsorbować cały czas i energię, a coś dopiero mówić o wszystkich razem na jednego człowieka. Postanowiłem rozłożyć czas i pracę możliwie celowo i ekonomicznie, tak, by sprostać zadaniu. Wspominałem już o wykonywaniu moich obowiązków jako posła.

Celem utrzymania stałej możności pracy mieszkałem w gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Pokoje tu były średniej wielkości i bardziej przytulne niż ogromne, wysokie, pałacowe komnaty Prezydium Rady Ministrów, onieśmielające swymi rozmiarami i urządzeniem. Poza tym, w Sekretariacie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych był stały dyżur urzędnika i przodownika policji, do których miałem z sypialni połączenie telefoniczne, tak, że każdej chwili mogłem być wezwany do telefonu, w razie pilnej potrzeby. Bezpośrednich połączeń telefonicznych z miasta w nocy nie przyjmowałem, gdyż Polacy umieli bawić się nad ranem w dowcipy, które przeszkadzają spać. Pare razy, koło trzeciej, czwartej nad ranem uprzejmy głos, pokryty tuszem rozbawionych, różnopiciowych okrzyków i chichotów proponował mi niezwłoczny przyjazd do restauracji, celem wypicia kieliszka wina i obejrzenia ubikacji, które nie są w porządku. To były telefony optymistów. Pesymiści, lub rozzarzo-

wani do życia, pod wpływem większej dawki alkoholu, w przerwach od ataku czkawki, mówili do słuchawki grubym głosem, mniej więcej: "Sławoju, bodaj cię cholera jasna trzęsła z tym twoim "Byczo jest". Teraz opadała słuchawka, lub wśród nowego ataku czkawki szemrało bolesne: "Mnie tu wcale byczo nie jest!!".

Najczęściej spałem spokojnie bez budzenia mnie przez dyżurnych w nocy. Urzędowanie zaczynałem od ósmej rano, sprawdzając punktualne przychodzenie do biura urzędników mego i innych ministerstw, przez telefonowanie do nich lub odwiedzanie ich w biurach, celem omówienia zajmujących mnie zagadnień i spraw urzędowych. Często załatwiałem bieżące sprawy Sekretariatu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z naczelnikiem Stawickim do godziny dziewiątej rano. Punktualnie o dziewiątej rozpoczynał się Referat Polityczny i Bezpieczeństwa. Prowadził go dyrektor Departamentu Politycznego Żyborski w obecności wiceministrów Klukowskiego i Korsaka oraz Komendanta Głównego Policji, gen. Zamorskiego. Po referacie dyrektora Żyborskiego odbywała się krótka dyskusja i uzupełnienia. Kwadrans czasu zajmował treściwy i zwięzły referat prasowy, prowadzony przez radcę Piotrowicza.

Po referacie politycznym, koło 10,30 — 11 godziny, podpisywałem akty, wychodzące z Ministerstwa, przedkładane przez Dyrektorów Departamentów. Najwięcej aktów miał zwykle do podpisu Dyrektor — Szef Gabinetu Ministra — Hausner. Dociągał on zwykle moje projekty i pomysły do norm prawnych, czym imponował mi, a nawet terroryzował nieco. Niezwykłą ścisłością prawniczą odznaczał się również Dyrektor Departamentu Administracyjnego Godlewski. Bardziej liberalny i humanitarny dla mych zamierzeń był Dyrektor Departamentu Samorządowego Podwiński. Wreszcie, najmniej tarć i nieporozumień miałem z Dyrektorem Głównego Urzędu Statystycznego, cierpliwym i systematycznym Sturm de Stremem, oraz inspektorem, generałem Paślawskim. Podpisy zajmowały niewiele czasu, gdyż kładłem je, nie czytając aktu, na odpowiedzialność dyrektora Departamentu, co do jego formy. Treść aktu omawialiśmy uprzednio zwykle w godzinach popołudniowych, a parafa wice-ministra była dla mnie rekojmią, iż forma i wykończenie aktu odpowiada zamierzonej jego treści i wytyczonemu celowi.

Po załatwieniu jeszcze jednego lub dwóch interesantów postronnych siadałem do, oczekującego mnie z szoferem Króla-kiem, samochodu i jechałem do Prez. Rady Ministrów. Starając się skutecznie ten krótki przejazd możliwie w różnych porach, między godzinami jedenastą a dwunastą, gdyż uważałem, iż niepunktualne zjawianie się na ulicy jest najlepszą, a może jedyną ochroną ministra Spraw Wewnętrznych, który w dodatku miał porachunki z Ukraińską Organizacją Wojskową za, bezkrawawą zresztą, pacyfikację Małopolski Wschodniej w roku 1930.

Zdaniem moim, śp. Minister Pieracki ułatwił zamachowcom wykonanie zbrodni przez codzienne, systematyczne chodzenie o tej samej porze na obiad do Klubu przy ulicy Foksal, przemianowanej później na ulicę Jęgo imienia.

Do Prezydium starałem się jeździć różnymi drogami, choć to nie było już tak pomocne dla bezpieczeństwa, ze względu na bliskość od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

W Prezydium Rady Ministrów czekał na mnie wiceminister Brzozowski i sekretarz radca Karwowski z listą przyjęć ministrów, dyrektorów i osób postronnych, zamówionych na dany dzień. Przyjęcia te trwały zwykle około półtorej godziny. Ponieważ ministrów było w tym Gabinetcie dwunastu, więc konferencje z nimi przypadły po dwie dziennie, w stałych dniach tygodnia. Niektórzy ministrowie, jak minister Sprawiedliwości Grabowski, lub Spraw Wojskowych Kasprzycki oraz Poczty i Telegrafu Kaliński mieli do poruszenia jedynie sprawy ogólne, bez wchodzenia w szczegóły. Za to minister Skarbu Kwiatkowski, Oświaty Świętosławski i Rolnictwa Poniatowski mieli zawsze wiele palących zagadnień, nie cierpiących zwłoki i wymagających szczegółowego uzgodnienia ze mną, przed wprowadzeniem ich na Radę Ministrów lub w życie bieżące. Najbardziej atakowany byłem zwykle przez Ministra Rolnictwa Poniatowskiego, który stale dusił się brakiem pieniędzy na szybkie i celowe wykonywanie Reformy Rolnej i, wykorzystując moje miękkie serce i sympatię dla Reformy, często oddziaływał przeze mnie na "ściskliwość" grosza ze strony wicepremiera i ministra Skarbu Kwiatkowskiego. Niestety, nie zawsze zdołałem i ja zadowolnić energicznego i wymagającego ministra Rolnictwa, mimo najlepszych chęci z mej strony.

Po załatwieniu bieżących spraw prezydalnych z wiceministrem Brzozowskim i przyjęciu osób postronnych wracałem koło godz. 2 popołudniu do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie jadłem obiad z naczelnikiem Stawickim. "Bawił" mnie on rozmową, opowiadając, na me żądanie, wszystkie plotki i kawały kawiarniane, które były dla mnie niedostępne, gdyż nie bywałem zupełnie w lokalach publicznych. Po obiedzie przeglądałem całą prasę, dwadzieścia kilka dzienników, przy czym nie były one pozakreślane, bym, nie ulegając sugestii radcy Piotrowicza, sam dobiegał do czytania rzeczy mnie zajmujące, pozycyjnając od odcinków powieściowych aż do ogłoszeń włącznie.

Od godziny czwartej do siódmej popołudniu pracowałem czasem z dyrektorami departamentów w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, ale częściej w Prezydium Rady Ministrów. Najwięcej pracy dawały sprawy personalne urzędników wszystkich ministerstw, referowane elastycznie, lecz sprawiedliwie przez dyrektora Jagiełłę. Dyrektor Paprocki omawiał szczegółowo sprawy mniejszości narodowych. Dalej, szli dyrektorzy Olpiński i Kucharski, wreszcie dyrektor Józef Poniatowski miał najcięższe zadanie, gdyż ze sprawami ekonomicznymi "służył dwu

panom", referując je wicepremierowi Kwiatkowskiemu i mnie. Był on jednocześnie sekretarzem Komitetu Ekonomicznego Ministrów.

Co parę dni sporo czasu zajmowała mi współpraca z majorem Idzikiem. Był on dyrektorem, przydzielonego do Prezydium, specjalnego Biura Pomocy dla Uczestników Walk o Niepodległość. Zadaniem Biura było niesienie pomocy doraźnej i wyszukiwanie pracy dla zdrowych, oraz zapewnienie opieki dla chorych, inwalidów i starców wśród b. Uczestników Walk o Niepodległość Polski. Pomoc ta udzielana była jednakowo członkom wszystkich formacji wojskowych, walczących o Polskę. Zasadą było, łączące b. wojskowych hasło:

"Powinniśmy się kochać i szanować nie mimo to, ale właśnie dlatego, żeśmy różnymi drogami szli do wspólnego celu — Polski Niepodległej".

Udzielenie opieki potrzebującym kolegom wymagało kontaktu ze wszystkimi ministerstwami i władzami samorządowymi, co powodowało obszerną i ważną, a często pilną korespondencję. Większość pism podpisywał w tym imieniu, major Idzik. Mimo to jednak, parę razy w tygodniu było do omówienia sporo spraw ogólniejszej natury, wymagających mej ingerencji.

Normalnie, koło godziny siódmej wieczorem kończył się mój dzień roboczy. To jednak, nad tym "normalnym" dniem istniały, występujące okresowo, dobudówki, bynajmniej nie do pogardzenia z punktu widzenia absorbowania czasu i energii. Były nimi, biorąc ogólnie:

- 1) Okresowe meldunki u gen. Śmigłego;
- 2) Tygodniowe meldunki u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej;
- 3) Rady Ministrów;
- 4) Plenum i Komisje Sejmu i Senatu;
- 5) Wyjazdy inspekcyjne;
- 6) Zjazdy wojewodów;
- 7) Wystąpienia reprezentacyjne.

Meldunki u generała Śmigłego miałem mniej więcej raz na tydzień, ale nieraz częściej, w razie pilnych spraw. Referowałem sytuację polityczną, bezpieczeństwa i ekonomiczną Państwa, dalej, sprawy Izb Ustawodawczych, wreszcie sprawy personalnej obsady wyższych stanowisk rządowych. Generał Śmigły wysłuchiwał zawsze cierpliwie całości mego meldunku, po czym wypowiadał swoje uwagi i znów uważnie i z dobrą wolą wysłuchiwał odpowiedzi. Unosił się czasem jedynie, gdy chodziło o wymuszenie zwiększenia kredytów na naglące potrzeby wojska. Był wymagający i krytycznie usposobiony, nie tylko co do innych, ale również co do siebie, tak że, na przykład, po powrocie w 1936 roku z Rambouillet, bynajmniej nie podzielał optymizmu i zadowolenia ogólnego z powodu zawarcia pożyczki wojennej z Francją.

Sprawy awansu generała Śmigłego na Marszałka, uroczyste wręczenie mu buławy na Dziedzińcu Zamkowym przez Pana

Prezydenta, wreszcie wydanie dekretu o traktowaniu marszałka Śmigłego, jako drugiej osoby w Państwie pochodziły z inicjatywy Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i mojej, jako premiera. Udało mi się, po uzyskaniu zaufania Pana Prezydenta, przekonać go, iż drogą najmniejszego wstrząsu dla Polski, w przede dniu czekających ją ciężkich prób i zadań, będzie objęcie w 1940 roku godności Prezydenta Rzeczypospolitej przez Marszałka Śmigłego Rydza, umożliwiając zharmonizowanie i uzgodnienie władzy cywilnej i wojskowej. Nominacja na Marszałka i Dekrety były więc stopniowym przygotowaniem do objęcia przez Śmigłego najwyższej godności w Państwie. Pan Prezydent, z początku oporny i nieufny, poszedł na tę koncepcję, gdyż szanował, chociaż nie bardzo lubił, marszałka Śmigłego.

Co do mnie, to również nie cieszyłem się ze strony Pana Prezydenta zbytnią sympatią, ale drogą żmudnej, lojalnej pracy zdobywałem powoli jego zaufanie.

Meldunki moje u Prezydenta Mościckiego odbywały się, w zasadzie, raz w tygodniu, w towarzystwie wicepremiera Kwiatkowskiego. Po omówieniu wszechstronnym sytuacji ekonomicznej przez ministra Kwiatkowskiego i przedyskutowaniu jej z Panem Prezydentem, następował mój referat o sytuacji politycznej i bezpieczeństwa Państwa. Referat wicepremiera gospodarczego przebiegał zwykle harmonijnie i w zgodzie. Minister Kwiatkowski znał poglądy ekonomiczne Prezydenta Mościckiego z długoletniej współpracy w fabryce w Mościcach i dostosowywał do nich swe pociągnięcia gospodarcze.

Dopiero przy mym referacie Pan Prezydent słuchał w krytycznym napięciu uwagi i z pewną nieufnością. W początku mego urzędowania Pan Prezydent niejednokrotnie zaczynał od razu smutnym stwierdzeniem: "A co, znowu policja strzelała, panie premierze" — i patrzył na mnie jak na szarlatana, któremu nie udało się od razu uleczyć choroby. To, jednak, w miarę wzrostu bezpieczeństwa i spokoju w Kraju, Pan Prezydent nabierał stopniowo zaufania. Wreszcie, jednego razu, wyjeżdżając na tygodniowy wypoczynek do Spały, powiedział: "Panie, pan sprawił, że wyjeżdżam spokojny, iż nie przyjdą za mną telefony o nowych rozruchach i strzelaniach do ludności. W Polsce jest obecnie spokój i ja mogę spać spokojnie, bez obawy o najbliższe, przynajmniej, dni i noc".

Po pewnym czasie, przy tygodniowym meldunku, gdy wyjątkowo byliśmy sami, Pan Prezydent spytał mnie, co robi mi największe trudności w pracy codziennej przy sprawowaniu rządów. Pomyślałem chwilę i powiedziałem: "Moim zdaniem, Panie Prezydencie, największe trudności i osłabienie wyników mej pracy napotykam zawsze, gdy przedostają się do wiadomości publicznej różnice zdań na zagadnienia polityczne, między Panem Prezydentem a panem Marszałkiem Śmigłym. Te różnice zdań, rozdmuchiwane są przez najbliższe otoczenie Panów i sprawiają wrażenie rozdźwięku i rozbicia w sferach rządowych, ku wielkiej ucieście, radości i nieuzasadnionym nadzie-

jom na przyszłość w sferach opozycji. Celem przeciwdziałania tym nastrojom opozycji i wykazania jednolitości władzy zmuszony jestem "przykręcać śrubę" i wychodzę na "stupajkę", co nie podnosi mego autorytetu, a, co ważniejsze autorytetu Premiera Polski".

Pan Prezydent słuchał uważnie, po czym powiedział: "Ma pan dużo racji, to nie jest zdrowa atmosfera. Dlatego z mej strony zrobię wszystko, by panu ułatwić pańskie zadanie".

W trzecim roku urzędowania mego, otrzymałem pewnego popołudnia ściśle poufną wiadomość od niezawodnego dyrektora Żybskiego, iż Pan Prezydent jest ciężko, prawie śmiertelnie, chory, lecz, że otoczenie jego ukrywa to starannie, tak, że tylko przypadkowo dyrektor dowiedział się o tym. Postanowiłem rzecz sprawdzić. Zadzwoiłem przez wewnętrzny, tajny telefon do wicepremiera Kwiatkowskiego i spytałem go, ile jest prawdy w pogłoskach o ciężkiej chorobie Pana Prezydenta. Odpowiedział w sposób wymijający, który pośrednio potwierdził prawdziwość wiadomości, przyniesionej przez dyrektora Żybskiego. Wieczorem tegoż dnia przyjechał do mnie minister Kwiatkowski błądliwy i zdenerwowany, mówiąc bez ogródek, iż Pan Prezydent chory jest na skręt kiszki i, że lekarze nie doradzają operacji, ze względu na sędziwy wiek i ciężki stan chorego. O godzinie dziewiętej wieczorem ma odbyć się na Zamku rada familijna, na którą jestem zaproszony. Zameldowałem telefonicznie sprawę marszałkowi Śmigłemu i zarządziłem pogotowie w Komisariacie Rządu i Policji Miasta Stołecznego Warszawy, wtajemniczając w sytuację wojewodę Jaroszewicza, oraz część Departamentu Politycznego dyrektora Żybskiego.

O godzinie dziewiętej wieczorem na radzie familijnej, wobec pani Bobkowskiej córki Pana Prezydenta i jej męża, wiceministra Komunikacji, postawiłem sprawę jasno, iż mamy broń wszelkimi środkami Pana Prezydenta i operować go, choćby szanse operacji nie były świetne, gdyż nie ma innego wyjścia. Obecny na radzie, profesor chirurgii Glatzel z Krakowa, którego znałem bliżej jeszcze z Uniwersytetu, zgodził się operować nazajutrz wczesnym rankiem, a przez noc przygotować wszystko na Zamku do operacji oraz zaangażować lekarzy asystentów.

Całą noc urzędowałem w mym gabinecie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, tak by być gotowym na wypadek katastrofy. Nad ranem otrzymałem telefon radosny od Dyrektora Kancelarii Cywilnej Łepkowskiego, iż, zdaniem lekarzy, jelito odcięło się i wróciło do normy, już w czasie przygotowań przedoperacyjnych. Zawiadomiłem telefonicznie Marszałka Śmigłego o nagłej poprawie w zdrowiu Pana Prezydenta i... poszedłem spać! Koło godziny jedenastej rano minister Kwiatkowski zadzwonił, iż Pan Prezydent nie śpi i chciałby mnie zobaczyć. Pana Prezydenta zastałem leżącego w sypialni, wyczerpanego, ale spokojnego. Uścisnął mi rękę i na moje wyrażenie radości z poprawy jego zdrowia, powiedział: "Dziękuję

panu za wszystko". Odpowiedziałem, że powrót do zdrowia Pana Prezydenta jest zbawienny dla spokoju nastrojów, którego tak potrzebuje Polska, oraz, że cieszę się, również jako zwyczajny, uczciwy człowiek. Zapytałem, czy Marszałek Śmigły mógłby również odwiedzić Pana Prezydenta. Tegoż popołudnia nastąpiła serdeczna, przyjacielska rozmowa między Prezydentem Mościckim i Marszałkiem Śmigłym, ku wielkiej mej radości, jako "polityka" i człowieka. W ciągu paru tygodni Pan Prezydent wrócił do zdrowia. Stosunek jego do mnie stał się przyjacielski i serdeczny, zbliżyłem się również z wicepremierem Kwiatkowskim. Cały Dom Cywilny i Wojskowy na Zamku, a przede wszystkim major Hartman i jego koledzy adiutanci patrzyli na mnie obecnie, jak na swego człowieka. Jednym słowem, atmosfera na Zamku zmieniła się dla mnie do niepoznania. Również ustaliły się pogodne, życzliwe stosunki między Panem Prezydentem i Marszałkiem, a nawet tzw. "ich ludźmi". Zdawało się więc, że wszystko idzie ku lepszemu.

Wpływy moje wzrosły również wśród ministrów mego Gabinetu. Na pierwsze posiedzenie Rady Ministrów, w porozumieniu z Panem Prezydentem Rzeczypospolitej, jeszcze w maju roku 1936, przybył generał Śmigły Rydz i wygłosił przemówienie o specjalnym, wzrastającym zagrożeniu Polski przez dwóch potężnych sąsiadów, zagrożeniu, wymagającym użycia wszelkich możliwych środków moralnych i materialnych, celem obrony Ojczyzny. Apelował do ministrów o pomoc w tej sprawie. Przemówienie to wywołało duże wrażenie i komentarze wśród kolegów. Dyskusji jednak nad przemówieniem generała Śmigłego nie było. Punkty porządku dziennego Rad Ministrów, odbywanych, mniej więcej, co dwa tygodnie, przechodziły, na ogół biorąc gładko i przeważnie zgodnie z moją opinią. Staralem się nigdy nie forsować z góry uchwał i nawet, z reguły, nie doprowadzać do głosowania, chyba w bardzo formalnych wypadkach i na żądanie któregoś z kolegów. Chodziło mi o to, by Rady Ministrów zbliżały opinie i światopoglądy kolegów, a nie odalały, albo dzieliły ich od siebie.

Wzorowałem się na doskonałym, spokojnym, pogodnym prowadzeniu narad i dyskusji przez premiera Bartla, w czasie jego urzędowania. Mimo gwałtowności usposobienia, nigdy nie wypowiadał on a priori swego zdania przed omówieniem subiektywnym i obiektywnym sprawy przez zainteresowanych i obojętnych ministrów.

Też samą cierpliwość, uwagę i szacunek dla odmiennej opinii starałem się zachować w czasie obrad komisyjnych Sejmu i Senatu. Dzięki sumiennemu asystowaniu obradom Plenum, zapisywaniu opinii poszczególnych posłów oraz wyjazdom w teren byłem dosyć dobrze przygotowany do dyskusji. Zwykle odpowiadałem po całkowitym wyczerpaniu listy mówców, by nie powtarzać argumentów. Czasem jednak "ponosiło mnie", być dać natychmiastową odpowiedź na frapujące, nieraz nieuzasadnione argumenty krytyki poselskiej. Czasami dawało to

dobrze wyniki, ucinając niepożądaną dyskusję, czasami jednak właśnie podniecało licznych przeciwników, stwarzając zorganizowaną koalicję wokół posła, który zainicjował dyskusję na "bolesny" dla Rządu temat.

Na ogół biorąc, dzięki szybkości i zmienności zainteresowań życia współczesnego, wrażenia dyskusji parlamentarnych, trwały krócej, niż to wydawało się w chwili ich wygłaszania. Toż samo można powiedzieć o artykułach, ukazujących się nieraz z gwałtowną krytyką rządu w prasie codziennej i periodycznej. Uważałem, że najlepiej, najrozsądniej i najbezpieczniej jest nie reagować na nie wcale. Wtedy ustaje ich jadowitość już po kilku dniach. Toteż, w ciągu trzynastu lat pracy mej w Rządzie, nie miałem ani jednego osobistego procesu prasowego, nawet nie umieszczałem tak zwanych "sprostowań", które nigdy niczego jeszcze nie sprostowały.

Przeciwnie, na zebraniach przedstawicieli prasy, z którymi stykałem się nie często, prosiłem ich, by o mnie pisali wszystko, co uznają za stosowne, gdyż człowiek pracujący w polityce powinien być przygotowany, tak jak baletnica, na dodatnią i ujemną reakcję i krytykę publiczności.

Nie powiem, by mnie zjadliwa krytyka prasy nigdy nie bolała, ale ukrywałem to zawsze i po kilku dniach... przechodziło.

Od chwili zostania premierem nie mogłem pozwalać sobie na parodniowe wyjazdy w teren, celem gruntownego przestudiowania życia danego województwa. Nie chcąc jednak tracić kontaktu z terenem, wyjeżdżałem co drugi tydzień na jeden dzień. Zwykle w czwartek wieczorem, wagon, tak zwany salony, był przyczepiany do pociągu razem z platformą, na której stał samochód. W ciągu nocy dojeżdżałem do wyznaczonej stacji np. Worochta, w województwie Stanisławowskim, na której czekał na mnie o godz. 8-iej rano wojewoda Jarecki. Nikt nie wiedział, jakimi drogami pojedziemy i co będziemy zwiedzać, toteż swobodnie, bez ochrony policji, poruszałem się po terenie województwa przez cały piątkowy dzień, mając w samochodzie wojewodę i starostę odnośnego powiatu. W godzinach popołudniowych wagon kolejowy został dyrygowany na stację, do której zamierzałem dojechać wieczorem, np. do Stryja. Pozwalało mi to na zwiedzenie samochodem terenu na przestrzeni około 500 kilometrów. Wieczorem na stacji Stryj jedliśmy w wagonie z wojewodą obiad z bufetu kolejowego i pisaliśmy protokół z inspekcji, najczęściej z naczelnikiem Stawickim lub radcą Karwowskim. Przyczepiony do pociągu, idącego do Warszawy, wagon dowoził nas, strzęsionych ale wyspanych, w sobotę rano na jeden z dworców stolicy i mogłem iść do biura, do normalnego urzędowania po odwołaniu w ciągu jednego dnia i dwóch nocy około tysiąca kilometrów. Naturalnie, tego rodzaju forsowne inspekcje nie przynosiły mi tej cennej szczegółowej znajomości terenu i ludzi, co kilkudniowe moje inspekcje z czasów pierwszych lat urzędowania, jako ministra Spraw Wewnętrznych. Pamiętam, koło roku 1927, w Małopolsce

zajechaliśmy z sekretarzem Stawickim do hoteliku w miasteczku powiatowym. Było już dobrze po północy i, zdrożeni, poszliśmy spać. Rano, szukając naczelnika Stawickiego, spytałem na korytarzu numerowego, gdzie śpi sekretarz. Numerowy, który mnie nie znał, powiedział, że nie wie, kto jest pan sekretarz Stawicki. Kiedy chciałem wejść do pokoju, gdzie spał naczelnik, numerowy zasłonił mi sobą drogę, szepcząc błagalnie: "Proszę nie budzić tego pana, co tu śpi: on wszystko zamawia i za wszystko płaci!".

Takie były pierwsze kontakty z terenem i ludnością, nim wyjazdy moje stały się ogólnie znane i wiadome, a "Pan Minister" był jeszcze świetną Excellencją, spadłą z Olimpu Stołecznego, dla której należało obowiązkowo budować bramy triumfalne i szykować przyjęcie, "umożliwiające Excellencji nawiązanie kontaktu z czołowymi przedstawicielami miejscowego społeczeństwa i zapoznanie się z jego najważniejszymi postulatami".

Zakazałem bram triumfalnych, przyjęć, rautów i obiadów, chcąc poznawać teren w warunkach życia codziennego. Nocowałem w przygodnych hotelach i zajazdach, żądając podniesienia ich czystości i warunków sanitarnych. Posiłki w drodze zjadałem również w restauracjach, gdzie wypadło, zapraszając na nie starostów i wojewodów, w myśl zasady, iż minister Spraw Wewnętrznych powinien wszędzie być gospodarzem i czuć się wszędzie w Polsce, jak u siebie. Tym sposobem, mogłem, w razie potrzeby, powtarzać me inspekcje nawet w odstępach tygodniowych, bez obciążania budżetu i życia rodzinnego inspekcjonowanych wojewodów, starostów, prezydentów i burmistrzów po miastach. Wrażenia i uwagi z inspekcji były wysyłane do odnośnych wojewodów i starostów w specjalnych protokołach, w których były zaznaczone do meldowania terminy poprawionych, lub usuniętych braków w terenie.

Celem poprawy zagadnień natury bardziej ogólnej, wdrożenia jednolitego kierunku i wymagań administracji, zwoływałem w okresach kilkumiesięcznych do Warszawy wszystkich wojewodów na tzw. Zjazdy Wojewodów. Jednym z najważniejszych tematów, poruszanych w czasie Zjazdów Wojewodów była Zmiana Granic Województw.

Celem jej było:

- 1) Zatarcie granic dawnych zaborów;
- 2) Skierowanie interesów i potrzeb ludności w kierunku naturalnych centrów terenowych;
- 3) Połączenie obszarów, jednolitych pod względem bogactw naturalnych i zajęcia ludności.

Przykładem pierwszej koncepcji może służyć przyłączenie do Województwa Toruńskiego powiatów: Włocławek, Lipno, Rypin, z równoczesnym odejściem do Warszawy powiatu Działdowo. Przyłączenie do Województwa Warszawskiego, będących przedmieściami stolicy, powiatów Gawrolin i Węgrów, skierowało ludność ich do naturalnego centrum dochodów, wymiany

handlowej i zainteresowań — miasta Warszawy, bez potrzeby jeżdżenia do dalszego Lublina, w sprawach administracyjnych. Wreszcie, połączenie Województwa Śląskiego z Zagłębiem Dąbrowsko-Częstochowskim i powiatem Chrzanowskim dawało możliwość skoncentrowania całego naszego przemysłu węglowego i żelaznego pod jednym kierownictwem i nadzorem władz w Katowicach. Szczególne dyskutowanie tych spraw, przed ostatecznym ich załatwieniem i zatwierdzeniem, przez kompetentne czynniki terenowe — wojewodów wykluczało błędy i niedociągnięcia typowe dla załatwiania spraw "przy zielonym stoliku". Oczywiście, w czasie obrad uzewnętrzniały się apetyty i aspiracje panów wojewodów. Na przykład, obiegała wśród obradujących uspokajająca wersja, iż wojewoda Śląski Grażyński "zadowolni się" przeniesieniem granic swego województwa do linii bieżącej" przez przedmieścia miasta Białystok. Inni panowie wojewodowie nie rzadko byli niemniej zachłanni i zaborczy, kosztem terenów wojewodów, sąsiadujących z ich domenami.

Zjazdy prowadzone w swobodnej koleżeńskej atmosferze, przyczyniały się również do wymiany myśli i poglądów wojewodów, pochodzących mniej więcej po połowie z wojska i administracji.

Od wojewodów wymagałem:

- 1) Lojalności wobec władz centralnych;
- 2) dokładnej znajomości terenu województwa;
- 3) znajomości potrzeb, nastrojów i dążeń ludności;
- 4) uzgadniania pracy administracji i samorządu;
- 5) stałego dążenia do podniesienia poziomu życia i bezpieczeństwa ludności, powierzonego im województwa.

W wykonaniu tych zadań pozostawiałem wojewodom pewną swobodę, wskutek czego wyłoniły się dwie główne, zasadnicze metody ich pracy.

1. Droga uzgadniania i współpracy, głównie Urzędu Wojewódzkiego z czynnikami samorządowymi i społecznymi w terenie Województwa.

Ten sposób pracy, powolny lecz pewny, stosowało z mniejszym lub większym powodzeniem kilku wojewodów. Wyliczę tu najbardziej typowych: wojewoda Pomorski minister Raczkiewicz, wojewoda Łódzki minister Józewski, wojewoda Kielecki Dziadosz, wojewoda Krakowski Tymiński, wojewoda Lwowski Biłyk, wojewoda Wileński Maruszewski, wojewoda Tarnopolski Malicki, wreszcie wojewoda Lubelski Tramencourt.

Niewątpliwie, minister-wojewoda Raczkiewicz był najbardziej typowym i najmocniej wyrażonym przedstawicielem tego systemu rządzenia. Wielokrotny minister Spraw Wewnętrznych, były Komisarz Generalny Ziem Wschodnich, wreszcie Prezes Związku Polaków Zagranicą posiadał wielkie doświadczenie osobiste, znajomość terenu województw i wpływający stąd autorytet u władz i ludności. Toteż sprawy załatwiał najczęściej drogą konferencji w Urzędzie Wojewódzkim, gdzie umiał

przeprowadzić swoje zdanie i opinię. W teren województw wyjeżdżał najczęściej w celach reprezentacyjnych. Wyniki pracy miał dobre i ugruntowane przez życie, bez wywoływania wstrząsów i krzykliwej opozycji. Minister Raczkiewicz, jako wojewoda Wileński wyprawił na moją cześć, w czasie mej inspekcji, raut, jedyny, pierwszy i ostatni, który przeszedłem w czasie mej kariery. Było to na początku mego urzędowania. Zjechałem do Wilna i obejrzałem z wojewodą Raczkiewiczem urzędy i instytucje samorządowe miasta i okolic, gdy wojewoda oświadczył w drugim dniu inspekcji, iż, jego zdaniem, powinien zetknąć się z przedstawicielami miejscowych władz i społeczeństwa, celem wysłuchania ich poglądów, potrzeb i postulatów. Gdy się opierałem, twierdząc, iż nigdzie tego nie robię, wyraził obawę, iż cała Wileńszczyzna będzie czuła się dotknięta, jeżeli minister z Warszawy wyjedzie, nie porozmawiawszy nawet o potrzebach Dzielnicy.

Ustąpiłem i trzeciego dnia inspekcji odbył się w salach Województwa wspaniały raut, z udziałem paruset osób ze wszystkich warstw społeczeństwa Wileńszczyzny.

Podobnie dostojne i piękne zebranie widziałem chyba tylko na Wawelu w czasie pogrzebu Słowackiego. Jużto Kraków i Wilno mają przewagę przed Warszawą pod względem tradycji i dostojnej wystawy przyjęcia.

Minister Raczkiewicz robił wszystko możliwe, by ułatwić mi orientację i rozmowy z uczestnikami rautu. Mimo to, czułem się jak złapany, nie wiedząc dobrze z kim rozmawiam i zmuszony co chwila odpowiadać na pytania w rodzaju: "Jak pan minister znajduje nasze...?".

W rezultacie dowiedziałem się bardzo mało o potrzebach i życzeniach ogólnych, a zobowiązałem się do rozpatrzenia wielu podsuwanych mi spraw drugo- i trzeciorzędnych. Mimo, iż zaraz po raucie usiłowałem z dwoma przydzielonymi mi urzędnikami odtworzyć sobie najważniejsze rozmowy i zobowiązania, udało się to tylko częściowo. Do zorientowania się w rozmowach w czasie podobnego zebrania, jak raut, trzeba dobrze znać najważniejszych uczestników, orientować się w ich możliwościach, nastawieniach politycznych i społecznych, wreszcie, posiadać dar umiejętności obcowania towarzyskiego, którego mi brakło zupełnie, a którego tak wiele posiadał minister Raczkiewicz. Odtąd, nigdy już nie pozwoliłem sobie na luksus asystowania na rautach w czasie mych inspekcji. Uznałem za bardziej pożyteczne i wyczerpujące spokojne omawianie interesujących mnie kwestii w biurach, urzędach i instytucjach, dokąd zapraszałem kompetentne osoby, lub odwiedzałem je na miejscu ich pracy. Kontakt, nawiązany w ten sposób dawał mi zawsze pomyślne lub niepomyślne, ale umotywowane i starannie przepracowane rezultaty, poza tym bardziej odpowiadał moim zdolnościom i metodzie mej pracy. Tej ruchliwej, terenowej, stosowanej przeze mnie pracy używali głównie następujący wojewodowie: wojewoda Śląski — Grażyński, wojewoda Poznański — Bociański, woje-

woda Stanisławowski — Jarecki, wojewoda Wołyński — Hauke-Nowak, wojewoda Nowogrodzki — Sokołowski, wojewoda Białostocki — Ostaszewski i wojewoda Poleski — Kostek-Biernacki.

Najbardziej typowy, wojewoda Grażyński, sam wyrósł ze Śląska, brał żywy udział w powstaniach, toteż znał tam wszystkich i wszystko. Mowy nie było, by sprawy terenowe rozstrzygane były w pięknych salonach nowowzniesionego gmachu Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach. Prowadził tam techniczne i codzienne sprawy pracowity, lojalny i zdolny wicewojewoda Saloni, oraz kierował szkoleniem specjalnej Policji Śląskiej, inspektor Zóltaszek.

Wojewoda Grażyński pracował i działał głównie w terenie. Czuł się jednakowo u siebie w halach Królewskiej Huty, w korytarzach kopalnianych i w wielkich lasach w okolicach Rybnika. Pozdrowiał każdego i każdą lekkim dotknięciem ręki do kapelusza i od razu zadawał jakieś rzeczowe, treściwe pytanie. Dopiero po paru zdaniach urywanej rozmowy, kąty ust rozmówców unosiły się wyżej, odsłaniając mocne kły, co w innych województwach Polski nazywało by się przyjazną i wesołą rozmową uprzejmego pana wojewody ze znajomym robotnikiem lub rolnikiem.

Mowy nie było o zabłądzeniu lub choćby pomyleniu się wojewody w labiryncie asfaltowych dróg śląskich. Często skracał drogę jakimis podwórzami i przejściami wśród kamiennych, zakopconych domów, za którymi była tuż granica niemiecka, ale nie omylił się ani razu.

Wreszcie, zapowiedział obiad u kolegów-powstańców, mieszkających nad brzegiem Odry. Dom stał na wysokim wzgórzu, otoczony ogrodem, schodzącym do rzeki. Bracia-powstańcy wprowadzili mnie do saloniku, gdzie na dywanach stały rozkraszone na uniesionych podstawach dwa ciężkie karabiny maszynowe Maxima, obok nich skrzynki z zafaśmowaną amunicją.

"Zdobyliśmy je tam za rzeką, w powstaniu" — powiedział jeden z braci — "nim nie usunęli nas stamtąd orzeczeniem Komisji Międzypolnackiej. Kiedyś jeszcze, może się je zafaśmuje, gdy pójdziemy na Śląsk Dolny... Ale proszę już na obiad, bo barszcz wystygnie".

Obiad powstańcy nie należał do tzw. lekkich i nie był przeznaczony na pewno dla starych, anemicznych, oddających się pracy biurowej jednostek. Toteż z ulgą poświęciłem resztę dnia badaniu papierów administracyjnych w zacisznych, ciepłych salach Urzędu Wojewódzkiego. Tylko wojewoda, pan Michał Grażyński nie czuł się wcale zmęczony, proponował zwiedzenie nocnej szczyty w Hucie Pokój, z tak radosnym zapałem, jakby chodziło o rewiew w "Folies-Bergere".

Podobną ruchliwość w terenie wykazywał wojewoda Poznański Bociański. Urodzony w Poznaniu znał również wszystkich współobywateli, ich troski i potrzeby.

Wojewoda Wołyński Hauke-Nowak orientował się świetnie w potrzebach terenowych nie tylko własnego województwa, ale

również sąsiednich, a nawet szerokiego pasa pogranicznego po stronie Sowietów.

W specjalnych warunkach pracowali dwaj wojewodowie Warszawscy, ze względu na urzędowanie w Warszawie, tuż pod botkiem władz centralnych. Wojewoda Warszawski Paciorkowski, były minister Pracy i Opieki Społecznej, wykorzystywał swe znajomości i stosunki wśród ministrów i w ministerstwach, by tą drogą zdobywać szereg udogodnień dla swego województwa.

Wojewoda Grodzki miasta stołecznego Warszawy Jaroszewicz pracował raczej "na mieście" niż w biurze, znał wszystkich wpływowość ludzi, zarówno z opozycji, jak i zwolenników rządu. Na wyraźny plus jego zapisać należy, iż w ciągu trzynastu lat urzędowania w stolicy, mimo szeregu napiętych sytuacji i krewkości Warszawiaków, ani razu nie dopuścił do większego strzelania przez policję i do groźnego krwi rozlewu. Przypisać to należy wielkiej zdolności Jaroszewicza do konferowania i przekonywania ludzi, często podnieconych i źle usposobionych do Rządu.

Mniej dyplomatycznie i mniej "po kumotersku" nastawiony był prezydent miasta Warszawy, z nominacji, Stefan Starzyński. Jego praca i bezwzględna walka o szybkie podniesienie wyglądu stolicy wywoływały często gwałtowną krytykę w kołach opozycyjnych. Krzyczano i pisano, kiedy odejdzie wreszcie ten tępy, stroniczy, sanacyjny "Mianowaniec". Dochodziło do mocnych zadrażnień, kończących się kilkakrotnie przed kratkami sądowymi. Gdy w jednym z procesów, wezwany jako świadek, podniosłem między innymi zasługami prezydenta Starzyńskiego, uporządkowanie, odwodnienie i przystosowanie do ruchu pojazdów tzw. Drogi Czerwonej, za Parkiem Skaryszewskim, jedno z pism opozycyjnych dowcipnie streściło moje zeznanie przed sądem, o nieporządkach panujących przed działalnością prezydenta Starzyńskiego słowami:

"Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze!".

Wojewodów, starostów, funkcjonariuszy administracji i policji broniłem wszędzie, gdzie mogłem, gdyż pracowali oni naprawdę "na umór" — ze wszystkich sił.

Wreszcie, z obowiązków moich, jako premiera, wynikały pewne wystąpienia reprezentacyjne. Zredukowałem je do minimum. Nie bywałem oficjalnie nigdzie, ani też nie przyjmowałem wizyt. Nie brałem również udziału w polowaniach. W teatrze bywałem dwa razy do roku: 3 maja i 11 listopada. Brałem regularny udział w przyjęciach noworocznych na Zamku, poza tym stykałem się bardzo mało z członkami Korpusu Dyplomatycznego. Nie miałem na to czasu, ani chęci, ani pieniędzy, niezbędnych do reprezentacji godnej Szefa Rządu. Zresztą nie chciałem krzyżować stosunku do poszczególnych dyplomatów ze strony ministra Becka, oraz odpowiadać na nieuniknione in-

terwencje, szczególnie w sprawach związanych z kapitałami, ulokowanymi w górnośląskim przemyśle. Tu już łamał sobie głowę wicepremier Kwiatkowski. Tak, że widywałem się z dyplomatami rzadko i w okolicznościach ściśle określonych przepisami wizytami lub przyjęciami na Zamku.

Reasumując wyżej podane warunki i zakres mej pracy, jako premiera Rządu Rzeczypospolitej, musimy przyjąć, iż były one raczej natury koordynacyjnej, niż kierowniczej i odbiegały bardzo od ideału, do którego dążył celowo i konsekwentnie w swych rządach premier Bartel: Kanclerza Rzeczypospolitej.

Za to posiadałem więcej swobodnego czasu i mogłem użyć go z pożytkiem, jako minister Spraw Wewnętrznych, do zajęcia się ciężkim problemem ustalenia bezpieczeństwa Państwa od wewnątrz. Problem ten, tak żywotny, stał się główną troską, przedmiotem studiów i ingerencji mej, zarówno w Centrali Rządu, jak i w czasie wyjazdów mych w teren. Uważam, iż dopiero po całkowitym opanowaniu zagadnienia bezpieczeństwa Państwa, można było przystąpić do celowego i owocnego kierowania jego sprawami, zarówno politycznymi i samorządowymi, jak czysto gospodarczymi.

Zadanie bynajmniej nie było łatwe.

To bezpieczeństwo wewnętrzne Polski nie było w stanie świetnym, w maju 1936 roku, gdy rozpoczynałem pracę, jako pierwszy "sluga" Państwa, znany z łaciny, ministrem.

Przyczyny tego stanu były liczne i ważne dla życia kraju. Jeszcze przed śmiercią Marszałka Piłsudskiego rozpoczęli Niemcy i bolszewicy swą destrukcyjną robotę w życiu wewnętrznym Polski. Rozumieli oni, widocznie, Pakty Nieagresji z Polską, jako środki, służące do ośpienia Jej czujności od zewnątrz, od strony sąsiadów, aż do czasu, gdy ich destrukcyjna robota od wewnątrz osłabi nasze siły i spójność Państwa.

Niemcy od razu zwrócili główną uwagę na problem mniejszościowy w Polsce. Mając trzy razy więcej Polaków w Rzeszy, niż Polska miała Niemców i to Polaków, uciskanych legalnymi i nielegalnymi środkami, rozpoczęli Niemcy mocną propagandę, usiłującą udowodnić światu ciężkie położenie mniejszości niemieckiej w Państwie Polskim. Uniemożliwiając powstanie nawet prywatnego szkolnictwa polskiego w Rzeszy, żądali Niemcy szerokich praw dla niemieckich początkowych i średnich szkół w Polsce. Zamykając pod jakimkolwiek pozorem legalne i lojalne stowarzyszenia polskie, rozdmuchiwali do rozmiarów celowego i planowego ucisku narodowości niemieckiej w Polsce każde porządkowe zarządzenie administracji polskiej, ograniczające wzrastającą samowolę mniejszości niemieckiej. Nawet kary sądowe, wymierzane w sprawach zupełnie nie politycznych obywatelom polskim narodowości niemieckiej, wywoływały obszerne, tendencyjne opisy, krytykę i sprzeciwy prasy w Niemczech. Krzycząc na cały świat o ucisku mniejszości niemieckiej w Polsce jednocześnie, po cichu i w sposób tajny, roztoczyli Niemcy czujną, stałą i nieprzebierającą w środkach

“opiekę” nad mniejszością ukraińską w Polsce, a to celem rozdmuchania różnic narodowościowych i możliwie wydatnego osłabienia spójności i jednolitości Państwa Polskiego. Chłop ukraiński, podburzany uprzednio przez Austriaków, a w Polsce Niepodległej przez agitatorów, płatnych niemieckimi pieniędzmi, rozpoczął systematyczne palenie polskich stogów zboża, dworów, oraz niszczenie mienia i życia sąsiadów — Polaków i nauczycieli polskich w myśl hasła: “Lachi za San!”.

Trzeba było, bezkrwawej zresztą, choć uciążliwej i dokuczliwej, pacyfikacji Małopolski Wschodniej, by wykazać ludności ukraińskiej, iż państwo Polskie wbrew zapewnieniom płatnych przez Niemców agitatorów, jest dość silne, jednolite, zwarte i zorganizowane, by utrzymać ład i porządek na wszystkich swych ziemiach. Po pacyfikacji, przez którą, w sposób bezkrwawy, udało się w porę uprzedzić, przygotowywane przy pomocy propagandowej i finansowej Niemców, powstanie w Małopolsce Wschodniej, większość ludności ukraińskiej oddała się “pracy organicznej”, wykorzystując duże możliwości swobodnej, owocnej i popieranej przez Państwo, działalności samorządowej, społecznej i spółdzielczej w Polsce. Sieć bogatych spółdzielni ogólno-rolniczych, a specjalnie mleczarskich, wysyłających swobodnie swe produkty zagranicę, pokryła wsie i osady Małopolski Wschodniej, podnosząc jeszcze bardziej przyrodzone, na czarnoziemie oparte, bogactwo kraju. Wszystkie piękne, dostatecznie, nowowzniesione budynki po wsiach były ukraińskimi spółdzielniami, szkołami lub czytelniami.

Ruch spółdzielczy ukraiński zatoczył tak szerokie kręgi i stał się tak bogaty i wpływowy, iż mógł służyć już łatwo, jako bezpieczne schronienie dla członków tajnej Ukraińskiej Organizacji Wojskowej, wspomaganej przez Niemcy. Ruch ten spółdzielczy pomagał poza tym utrzymywać liczne zakłady wychowawcze ukraińskie, organizacje kulturalno-oświatowe, jak Proswita, Sokił itp. Dzięki finansowej i moralnej pomocy Niemiec, Ukraińska Organizacja Wojskowa posiadała swą centralę w Genewie, Szkołę w Berlinie oraz oddziały w Rzymie, Paryżu, Brukseli, Amsterdamie, Pradze, Sofii, Gdańsku, Morawskiej Ostrawie, Koszycach, Użhorodzie, czyli wszędzie, gdzie istniały i docierały większe skupienia młodzieży ukraińskiej. Gdańsk stał się ważnym, tranzytowym miejscem w naszej granicy, działającym na obydwie strony, przez które przenikali z Polski kandydaci na kursy wojskowe, urządzone w Niemczech i innych krajach, a skąd wracali, już jako wyszkoleni przywódcy Ukraińskiej Organizacji Wojskowej. Toteż, zabójca ministra Pierackiego uchodzi w biały dzień ze stolicy, przez Gdańsk, zagranicę, zwykłą, dobrze obstawioną drogą bojowców, podtrzymywanej i wspomaganej przez Niemcy, Ukraińskiej Organizacji Wojskowej.

Bezpieczeństwo całej Małopolski Wschodniej było stale zagrożone przez tę uzbrojoną Organizację Wojskową, która później dała kadry policjantów ukraińskich, gnębiących pod nie-

miecką komendą, ludność polską, od początku wojny ostatniej aż do końca panowania Niemców.

W chwili objęcia przeze mnie premierostwa, zagadnienie mniejszości było palące, gdyż wpływy Niemiec wśród mniejszości niemieckiej w Polsce i w Ukraińskiej Organizacji Wojskowej były bardzo znaczne i doskonale zorganizowane.

Innymi drogami w podkopywaniu wewnętrznej spójności mocy Państwa Polskiego poszły Sowiety. Gdy napady na wschodnie pogranicze Polski przez bandy bolszewickie, zbrojne w granaty i karabiny maszynowe, nie osiągnęły swego skutku, a to dzięki przeciwdziałaniu czujnego Korpusu Ochrony Pogranicza, bolszewicy zmienili radykalnie taktykę i działanie na szkodę Polski. Rozpoczęli oni powolną, stałą i konsekwentną pracę wnikania do wszystkich warstw społeczeństwa polskiego, wykorzystując w swej propagandzie trudności powojenne, bezrobocie, małe wyrobienie państwowe i zapalczywość naszej ludności. Nie zaniedbali również i problemu mniejszościowego. Wobec zajęcia się Ukraińcami przez Niemcy, zwrócili główną uwagę na mniejszość białoruską, tworząc komunistyczną “Gromadę”, mającą na celu, ze względów narodowościowych, oderwanie się od Polski ludzi, do niedawna Jej przyjaznych, uważających się dotychczas prawie za Polaków, tylko że za “tutejszych”.

Partia komunistyczna Polski szybko rosła w sile. W 1928 r. komuniści polscy wprowadzili już swych posłów do Sejmu, którzy jeszcze przed ich zaprzysiężeniem, rozpoczęli w obecności otwierającego Sesję Marszałka Piłsudskiego, programowe okrzyki: “Precz z faszystowskim rządem Piłsudskiego!”. Na wiecach nawoływali otwarcie do przewrotu komunistycznego. Ci posłowie komunistyczni, krzyczący w Polsce na wszystko, co nie odpowiadało ich poglądom i potrzebom Sowietów, kończyli szybko swą karierę, gdy w sposób legalny lub nielegalny, udało im się dostać do “raju sowieckiego”. Tam szybko wyjaśniano im, że tu nie Polska, że krytyka wszystkiego, co dzieje się w państwie, to “wrednicestwo”, a gdy tego nie rozumieli, szli “pod stienku”.

Felicjan SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI.

(Dok. nastąpi).

Kronika kulturalna

Wystawa mozaik z Rawenny

Od końca wojny Paryż gości co roku co najmniej jedną lub dwie wielkie wystawy międzynarodowe. W ciągu ostatnich dwu lat widzieliśmy tu wybór obrazów z Pinakoteki w Monachium, znakomitą wystawę rysunku flamandzkiego XV—XVII wieku, olbrzymią wystawę jugosłowiańską w kwietniu - czerwcu 1950, przegląd miniatur z bibliotek włoskich (od IV wieku począwszy), pejzaż holenderski XVI i XVII w., wielki wybór obrazów z muzeów Berlina (w marcu - maju br.), a wreszcie mozaiki z kościołów Rawenny.

Wystawa ta ma jedną cechę wspólną z jugosłowiańską wystawą średniowiecznych fresków i rzeźby monumentalnej: mianowicie, o ile większość obrazów daje się stosunkowo łatwo przewieźć z miejsca na miejsce, o tyle trudno byłoby zdjąć freski namalowane na murze, lub przewieźć 5-metrowej wysokości kamienne nagrobki bogomilskich heretyków (znajdujące się zresztą w niedostępnych wysokogórskich połoninach Bośni). Trudno też byłoby zdjąć ze ścian kościołów w Rawennie mozaiki, którymi są one wyłożone. W jednym i drugim wypadku organizatorzy zmuszeni więc byli uciec się do kopii. Z freskami jest stosunkowo "najłatwiej" — kopiuje się je na odpowiednio spreparowanym płótnie, po czym płótna się zwija i przewozi wagonem z Jugosławii do Paryża, gdzie rozwiesza się je na murze tak, aby robiły wrażenie rzeczywistego fresku. W dziedzinie tej specjaliści francuscy z paryskiego Musée des Monuments Français porobili olbrzymie postępy i całe pierwsze piętro tego muzeum wypełnione jest dziś kopiami fresków przeważnie romańskich z kościołów całej Francji, nieraz trudno dostępnych dla zwykłego śmiertelnika (przede wszystkim ze względu na trudności komunikacyjne; nieraz trzeba do takiego kościoła dojść z 5 — 10 km na piechotę od najbliższej stacji).

Toteż pomysł zgromadzenia w jednym muzeum reprodukcji

fresków z całej Francji umożliwił po raz pierwszy ich studium porównawcze każdemu, kto ma w kieszeni 30 franków. Freski jugosłowiańskie zostały skopiowane w dużej mierze przez tychże francuskich specjalistów, częściowo też przez ich jugosłowiańskich uczniów. Niewątpliwie, można się zapytać jak dalece takie kopie są wierne. Przecież nawet kopia obrazu nie jest już tym samym obrazem, a cóż dopiero kopia fresku wykonanego zupełnie inną techniką. Na szczęście (dla widzów, a nieszczęście dla jugosłowiańskich kościołów), pewna ilość resztek fresków ze zburzonych kościołów nie znajduje się już na ich ścianach, lecz — odpowiednio zabezpieczona — w muzeach Zagrzebia i Belgradu. Kilka takich fragmentów, małych stosunkowo (maksimum 2 metry wysokości), pozwala na porównanie techniki oryginału z techniką i wiernością kopii.

Tego porównania brak jest niestety na pasjonującej zresztą wystawie mozaik z Rawenny, którą otwarto przed miesiącem w tymże Musée des Monuments Français. Ale przede wszystkim kilka słów o samym sposobie reprodukcji. Aby odtworzyć mozaiki — "obrazy" ściennie ułożone z drobnych kamyków — nie można uciec się do kopii malowanej. Przy akademii w Rawennie istnieje szkoła mozaiki oraz pracownia, w której dojrzały już artyści pracują nad kopiami mozaik. Trudno było rzeczywiście o lepsze miejsce. Rawenna, długoletnie centrum polityczne i kulturalne wczesnego średniowiecza, zawiera dziś siedem kościołów, zbudowanych między V a VII wiekiem, a wypełnionych po brzegi mozaiką. Ostatnie mozaiki datują się z XI—XII wieku.

Wystawa daje ogólne wyobrażenie o zaletach "malarskich" dekoracji raweńskich kościołów. Artyści raweńscy posługiwali się bardzo ostro skonstrastowanymi kolorami (prawdopodobnie ze względu na półmrok panujący wewnątrz) oraz bardzo zdecydowaną konstrukcją rysunku wynikającą z charakteru dekoracyjnego ich sztuki i środków technicznych jakich używali (kamyki). Twórcy mozaik budują swoją kompozycję z doskonałą znajomością rzemiosła artystycznego; szerokie przestrzenie rozbijają kolorem utrzymanym w tonie całości, umiejętnie różnicując odcienie kolorystyczne kamyków celem uniknięcia monotonii i uzyskania bogactwa wibracji płaszczyzny (np. wielki trawnik, na całą ścianę, otaczający św. Apolinarego, złożony z kamyków zielonych, aby nie nużył jednostajnością, urozmaicono drobnymi kamykami zieleni cieplej). W płaszczyzny te wprowadzają oni arabeskę linearną postaci, zwierząt, przedmiotów martwych, o pierwszorzędnej jakości rysunku. Posługując się kamykami o przekroju kwadratowym (10 na 14 mm) rysunek raweński z konieczności jest w formach małych (np. oko), kańciasty, toteż dla uwydatnienia kształtu artysta posługuje się ciemnym kolorem kamyka, wywołując pewną konturowość linii (oko więc jest "podbite", podkreślone ciemną obwódką). Żeby podkreślić ten rysunek wykorzystuje on kierunek prowadzenia kamyków (np. otaczając postać dwo-

ma: rzędami kamyków ułożonych "równolegle" do jej konturu).

Wykorzystuje on też działanie faktury powierzchni dekoracyjnej. Dla uniknięcia monotonii i wywołania wibracji powierzchni nie układa kamyków na "gładko" (Ciekawe, że mozaiki ściennie w Pompei są gładkie. Widocznie artyści byli przyzwyczajeni do mozaik układanych na podłodze, po których można było chodzić bosą). Mozaiki raweńskie są "szorstkie", "chropowate", jeden kamyk wystaje bardziej, drugi mniej.

Rozwodzimy się tutaj sucho o stronie formalnej, ale nie należy zapominać, że za pomocą owego rysunku i koloru przemawia do nas przede wszystkim treść — strona ideowa. Artysta raweński jest obserwatorem wszechstronnym i człowiekiem bardzo dojrzałym, jest głęboko wierzący, toteż posiada stosunek bardzo ludzki do tych drobnych zdarzeń, jakimi w życiu człowieka mogą być stworzenia Boskie, zwierzęta, kwiaty, przyroda.

Gdy wchodzimy na wystawę, to przede wszystkim uderza nas jej "współczesność" — na pierwszej zaraz ścianie zauważamy trzy okręty umieszczone jeden nad drugim bez najmniejszej troski o to, co dziś nazywamy perspektywą, dalej pejzaż skał — piaski i dekoracyjny, owale twarzy i postaci mocno otoczone konturem, wszystko to przywołuje nam na myśl dzisiejsze malarstwo — Rouault, Matisse'a, Braque'a. Także kolor w pewnych momentach przypomina doświadczenia fauvistów. Albo też ten pulpit z kałamarnicami i piórami, który oprawiony w ramkę, robi wrażenie współczesnej martwej natury. No i tutaj docieramy do sedna sprawy. Na 58 obiektów wystawionych, trzydziestu to najrozmaitsze martwe natury, ptaszki i kwiaty, otoczone ramką i powieszony na ścianie jako obraz, dalszych dwadzieścia, to głowy lub fragmenty postaci (albo scen), również jako obraz potraktowane. Mamy więc tylko siedem czy osiem scen, które można by mniej więcej uważać za kompletne, nie fragmentaryczne. A przecież ściany kościołów Rawenny pokryte są właśnie *scenami* z życia lub śmierci Chrystusa, świętych i apostołów, względnie z życia dworu. O tym wszystkim nie da nam pojęcia wystawa. Organizatorzy jej kierowali się w wyborze przede wszystkim smakiem estetycznym, chęcią spodobać się odbiorcom XX wieku, przyzwyczajonym do galerii i muzeów. Toteż pokazano pikantne drobiazgi, oprawione w ramki, tak jakby ta martwa natura była w Rawennie martwą naturą, a przecież dla twórców była ona tylko drobnym i nic nie znaczącym szczegółem wobec postaci Chrystusa czy świętych (np. kwiatki, które oglądamy, są wielkości jednego palca św. Apolinarego). Ale o stronie ideowej tej sztuki, o wielkim technieniu wiary, które ją ożywia, nie dowiemy się prawie nic; jeżeli się czegoś dowiemy, to przypadkiem, nawiasem niejako, na marginesie zainteresowań czysto estetycznych. Wydaje się, że organizatorzy wystawy nie mieli żadnego zrozumienia dla strony ideowej, nie interesowała ich ona wcale, być może nie mogła ich zainteresować. Interesowała

ich jedynie strona estetyczna, "smaczki" jakie można wyciągnąć i jakie mogą polecać współczesnego estety.

Nasuwa się tutaj porównanie z wystawą fresków jugosłowiańskich. Organizatorzy tamtej też mogli przecież pokazać wyłącznie martwe natury, wyłącznie walory estetyczne. A jednak wybrali oni drogę odmienną, pokazywali całości, niemal ściany całe klasztorów wymalowane freskami, dali nawet naturalnej wielkości reprodukcję kaplicy o szafirowym wnętrzu, które wiernym przywołać musiało na myśl niebo. Toteż z wystawy wychodziło się z głębokim wzruszeniem religijnym, podobnie jak z kościołów Rawenny — ale nie jak z wystawy mozaik raweńskich. No, a dla Francuzów, zawsze trochę skłonnych do ignorowania "dzikiego Wschodu", wystawa jugosłowiańska była prawdziwym objawieniem.

Wydaje się może paradoksem, że organizatorzy komunistycznej Jugosławii lepiej umieli oddać duch sztuki chrześcijańskiej niż specjaliści z Włoch. Da się to być może wytłumaczyć. Oczywiście trudno twierdzić, że stało się tak dlatego, że komunizm (choćby i titowski) bliższy jest chrześcijaństwu. Raczej odwrotnie — to wyrafinowani esteci włoscy tak dalece odbiegli od chrześcijaństwa, że nie są w stanie go zrozumieć. A Jugosławianie może po prostu nie zdążyli jeszcze odejść, wyróśli z gleby jeszcze chrześcijańskiej, byli "prości" w jak najlepszym znaczeniu tego słowa. Bo nie należy zapominać, że Jugosławia była do niedawna krajem chłopskim, "zacofanym", którego struktura religijna nie została jeszcze przeżarta przez współczesny kapitalizm.

"Trudności techniczne" — powiedzą może obrońcy wystawy raweńskiej. — "Nie da się pokryć mozaiką całych ścian muzeum, nie w tym celu zbudowanych, bo by się pozawałały. A i reprodukcja i transport były trudniejsze niż namalowanie fresku". Oczywiście jest to prawda. Aby zrobić reprodukcję mozaiki trzeba najpierw mieć dokładną kopię malowaną, z zaznaczeniem każdego kamyka (kilka takich kopii pokazano na wystawie, w dziale poświęconym technice reprodukcji). I kto wie czy tu właśnie nie leżało rozwiązanie problemu — jeśli nie można było dać większych całości (ale przecież mozaika przedstawiająca cesarżową Teodorę ze świtą zajmuje przeszło cztery metry na blisko trzy), no to należało pokazać przynajmniej skąd dany fragment pochodzi: czy dany kogut jest kogutem czysto ozdobnym czy też na przykład jest tym kurem co pieje po zaparciu się św. Piotra. Należało też, tak jak na wystawie jugosłowiańskiej, dać przynajmniej małe modeliki kościołów, aby każdy sam mógł sobie mozaikę na ścianie odnaleźć. Trzeba było dać też fotografie (czego Jugosłowianie nie zrobili), czy też właśnie kopie malowane, a imitujące mozaikę, obok reprodukcji mozaikowej oczywiście. Tylko że w tym celu należało inaczej podejść do wystawy, i do Rawenny.

Dwie wystawy Corota

Wystawa Corota w galerii Alfreda Daber (103, bd Hausmann w Paryżu) oraz obrazy pokazane w zamku Sceaux pozwalają bliżej poznać jednego z najwspanialszych reżyserów widowiska wzrokowego.

Człowiek ten, niebywale skromny i pracowity, mądry w wyborze, subtelny i zmienny w sensacji widzenia, dochodzi do szczytów harmonii koloru i kształtu, o czym ze wzruszeniem wspomina Baudelaire w "Krytykach z Salonu". Mądry w wyborze, bo Corot buduje swoje obrazy z pełną świadomością, wybiera z natury przedmioty potrzebne, odrzuca te, które nie służą kompozycji i nie potęgują emocji przeżycia. Subtelny i zmienny w sensacji widzenia, bo reaguje w granicach bardzo drobnych zdarzeń i stale jest inny i nowy. Posiada niebywałą skalę wzruszeń. Nie wystrzał armatni, ale śpiew ptaka wyzwala w nim konieczność tworzenia. Jest zakochany, ale opanowany, więc kocha spokojnie. Ta właśnie opanowana miłość przyrody pozwala mu malować obrazy pełne uczucia, a równocześnie bezbłędne w ułożeniu szczegółów.

Corot to namiętny badacz natury. Zna wszystkie tajemnice pejzażu. Z pasją harmonizuje kolor mocno naświetlonego krajobrazu włoskiego, dochodząc do karkołomnych zestawień barwnych. Kolor "czekolady", którym często posługują się mierni malarze dla określenia cienia, staje się szlachetny u Corota, dzięki tonom niebieskim, położonym obok i oczywiście dzięki świetnej równowadze rysunku. Z równą pasją maluje zimny pejzaż północnej Francji, o intensywnej zieleni trawy, mocno niebieskim niebie, poprzecinanym szarymi lub białymi chmurami i silnie odcinającym się jakimś jednym drzewem, lub opar unoszący się wczesnym porankiem nad brzegiem rzeki.

Z mistrzostwem posługuje się przedmiotem, podkreślając nim prawdę przeżywaną sytuacji. Często w zielonej przestrzeni łąki umieszcza zwierzęta, gdzie indziej znowu człowieka kopiącego rów lub grupę rozmawiających kobiet. Owo mistrzostwo polega na tym, że Corot bardzo oszczędnie operuje przedmiotami, wybierając te, które uważa za najistotniejsze i podporządkowując je ogólnej koncepcji światła i koloru. Potęguje tym, już poza wartością estetyczną, społeczną pełnię rozwiązywanego problemu.

Technika tego malarza jest ściśle związana z przedmiotem zainteresowania i zmienna w zależności od niego. Obiekty nie są traktowane drobiazgowo. Nie ma w Corocie niczego z suchego kaligrafa. Jest tak samo wrażliwy w technice malowania jak i w wyborze sytuacji, czy jej szczegółów. Posiada ową, tylko największym artystom znaną, umiejętność operowania

fikcją, aby otrzymać efekt w postaci najbardziej realnego wzruszenia. Potrafi przemówić chyba do wszystkich, bo estete zachwyci bogactwem palety i różnorodnością form; abstrakcjonista zainteresuje się może fikcyjnością podziałów powierzchni, a może przedmiotami, które nic nie mają wspólnego z obiektami prawdziwymi; człowieka żmudnej pracy codziennej zainteresuje szacunkiem w stosunku do tej pracy.

Obrazy Corota są dowodem całkowitej wiedzy o życiu i malarstwie i zamiłowania do tych dwu spraw.

W galerii A. Daber wystawiono autoportret Corota w berecie. Patrzy z tego obrazu człowiek mający pełną świadomość swojej wielkości, ale niemal zażenowany stwierdzeniem tego faktu.

E. S.

PREUVES

Cahiers Mensuels du Congrès
pour la Liberté de la Culture

*défend l'indépendance spirituelle de l'homme
partout où elle est menacée.*

Le numéro de 32 pages, illustré 30 fr.
Abonnement annuel : France 300 fr.
Etranger 450 fr.

PREUVES : 41, avenue Montaigne — PARIS (8^e)

Téléphone : ELY 56-61 et 63 — C.C.P. : 17.800 Paris.

NUMÉRO SPÉCIMEN SUR DEMANDE.

Książki

Kościół walczący

Najbardziej rzucającym się w oczy brakiem w postawie katolickiej inteligenta polskiego jest silne przytłumienie zmysłu powszechności Kościoła. Ten jakby niedorozwój wykazujemy nie tylko my, katolicy świeccy, ale nie jest od niego wolna także część naszych duchownych. Kiedy wypada wypowiedzieć się na temat uniwersalności Kościoła, niemal z reguły spotykamy stereotypowy argument — że pozwolę go sobie tak nazwać — „sentymentalno pocztówkowy”: Nawiązuje się wtedy do wspomnień Roku Jubileuszowego czy znaczniejszej uroczystości w Rzymie i mówi z emfazą o murzynach i Chińczykach, Japończykach i Polakach, Niemcach i Hindusach, etc., o przedstawicielach „wszystkich” ras i narodów modlących się do jednego Boga pod okiem jednego Ojca — papieża.

Mimo swej naiwności w ograniczaniu powszechności Kościoła do różnych kolorów skóry ludzkiej, mimo nie trafiania w istotę samego pojęcia, argument ten ma jednak to do siebie, że przynajmniej z zasadą uniwersalności nie jest sprzeczny.

Ale jest jeszcze jeden argument, ulubiony przez Polaków — tak zwany argument „turystyczny”: Najwymowniejszym znakiem powszechności Kościoła ma być to, że gdziekolwiek taki katolicki „turysta” zawędruje, do Maroku czy Ugandy, do Pekinu, Manilli, Nagasaki czy Aleksandrii, kapłan przy ołtarzu odmawia te same słowa łacińskie, które się słyszy u siebie w Warszawie, Paryżu, Armagh, Rzymie, Monachium. — Ten argument mający dowodzić powszechności Kościoła, w istocie dowodzi czegoś wręcz przeciwnego: braku materialnej powszechności, bo z Kościoła utworzonego dla wszystkich ras, języków i kultur czyni jakby wielką „sektę” europejską, zachodnią, łacińską; brak bierze za pełnię, cechę akcydentalną za istotę. Alę bo też jest to argument ludzi, którzy nad zagadnieniem uniwersalizmu nigdy się nie zastanowili, bynajmniej zaś nie jest

to argument samego Kościoła. Kościół bowiem w wypowiedziach papieży twierdzi, że pragnie, by wszyscy ludzie zostali katolikami, ale nie, aby wszyscy byli łacinnikami (Benedykt XIV). Twierdzi, że łacińskość bynajmniej nie należy do jego istoty, ale katolickość (Benedykt XV). Do jego istoty należy bogactwo różnorodnych obrządków (Pius XI), ponieważ „Kościół Chrystusa wierny strażnik boskiej mądrości wychowawczej, nigdy nie zamierzał a również obecnie nie zamierza, krępować lub niedoceńnić charakterystycznych właściwości każdego narodu, których narody z religijną mocą strzegą jako swego bezcennego dziedzictwa. Albowiem Kościół dąży do jedności przez z nieba pochodzącą miłość, która budzi i ożywia siły wszystkich do praktycznego życia nią; nie dąży zaś do zrównania wszystkich i wszystkiego do jednego standardu, a więc do uniformizmu (jedności tylko zewnętrznej) tłumiącego wrodzone siły” (Pius XII). Jest to tylko nieszczęśliwy wynik szeregu zdarzeń historycznych, iż przeważająca część Kościoła ostała się jako łacińska i że władza papieża jako głowy całego chrześcijaństwa niemal że pokrywa się z jego władzą jako Patriarchy Zachodu. Dla umysłów szczerze katolickich jest to stan zarazem żalospny i bolesny, bynajmniej nie pobudzający do fałszywego zadowolenia i do naczynym nieopartej dumy.

Do istoty Kościoła bowiem nie należy mechaniczna jedność zewnętrzna, koszarowy uniformizm, wyrażający się wszędzie w tym samym sposobie sprawowania kultu, w tym samym języku, w tych samych przepisach dyscyplinarnych. Byłoby to ubóstwem wewnętrznym, szarością, a równocześnie zaprzeczeniem samego prawa stworzenia, które polega na jedności — w różnorodności. Mówiąc słowami Psalmu, Kościół jest „odziany w roz-maitość”. Nie ma więc Kościół swego szczególnie własnego języka, mimo zrozumiałej korzyści praktycznej, jaką by taki fakt mógł nieść z sobą. Nie jest językiem Kościoła ani łacina ani greka, ani aramejski czy cerkiewnosłowiański, ani koptyjski czy ghez, ani rumuński czy sławoński; To znaczy, że żaden z języków, w których odprawia się Msza św. i takich, które jeszcze mogą wejść w służbę Kościoła jako języki liturgiczne, nie jest w jakiś sposób jego językiem uprzywilejowanym i wierny z racji obrządku, do którego należy, nie ma żadnego osobliwego przywileju w Kościele. Każdy obrządek jest religijnie i kanonicznie równy, a od czasu konstytucji Leona XIII „Orientalium dignitas” (1894), kapłan łaciński, który by namawiał chrześcijanina wschodniego na przejście na obrządek łaciński, przez ten sam fakt podlega suspensie a divinis. Garstka malankarskich wiernych Mar Ivaniosa i Mar Severiosa posiada takie same prawa w Kościele, jak ponad 300 milionów członków Kościoła zachodniego. Prawda bowiem nie zależy od ilości głów, które się do niej przyznają. Tak zwani — niezbyt zresztą trafnie — greko katolicycy Ukraińcy jak i chaldejscy Malabarczycy, aleksan-

dryjscy Koptowie czy bizantyńscy Rumuni są w równym nam stopniu Kościołem rzymsko katolickim, bez względu na to, co sobie polscy szowiniści, zwłaszcza wychowani w oparach rosyjskiej nienawiści do wschodnich form chrześcijaństwa, wypisują pod ich adresem, jako o "przedsionku do prawdziwego Kościoła" (Kościół "prawdziwy" zaś to, ich zdaniem oczywiście, obrządek rzymski z językiem łacińskim), czy też, gdy mowa o Unii Brzeskiej — o "zatrzymaniu się w pół drogi", itp.

Słabą jest pociecha, że podobny faszyzm łaciński, podobne łacińskie "prawosławie", obserwuje się nie tylko w Polsce; że nie brak go również na Zachodzie, a zwłaszcza w krajach Ameryki łacińskiej. W Argentynie np., dokąd trafiło pięciu żonatych księży ukraińskich, ordynariusze zabronili im sprawowania N. Ofiary nawet prywatnie, a gdy papież chciał tym kapłanom udzielić przywileju birtualizmu (to jest prawa odprawiania wedle potrzeby Mszy św., albo w obrządku bizatyńskim po słowiańsku, albo w rzymskim po łacinie), biskupi argentyńscy podnieśli tak gwałtowny protest, że, za wdaniem się Sekretariatu Stanu, Pius XII wspomnianego przywileju udzielić nie mógł!

A przecież są to równie prawdziwi kapłani jak nasi, którzy żyją w celibacie! Katolicy wschodni zaś są tak samo autentycznie pełnowartościowymi katolikami rzymskimi, jak my jesteśmy i takimi, jakimi byli św. Atanazy i św. Jan Chryzostom, św. Bazyli i św. Grzegorz z Nazjansu, św. Grzegorz z Nyssy i św. Ignacy antiocheński, św. Cyryl jerozolimski i św. Cyryl aleksandryjski, św. Jan damasceński i św. Efrem Syryjczyk, św. Grzegorz Cudotwórca i św. Grzegorz Oświeciciel, św. Teodor Studyta i św. Antoni Opat zwany Wielkim. A nikt z nich nie odprawiał Mszy rzymskiej i nikt nie modlił się po łacinie.

Kiedy wyszła encyklika "Orientales omnes Ecclesias" na 350 lecie Unii Brzeskiej okrutnie likwidowanej przez Sowiety, jeden z wysoko w hierarchii postawionych duchownych polskich w kraju miał się wyrazić: "Czy doprawdy ten Pius XII nie ma już innych kłopotów"? Jest to wymowny przykład niezrozumienia zagadnienia, a przy tym co za dowód kamiennej obojętności na to, co się dziś dzieje z najbardziej dotkniętą i najboleśniej cierpiącą częścią Kościoła rzymskiego: z katolikami obrządków wschodnich, którzy się znaleźli pod bezpośrednim panowaniem Rosji. Bolszewicy wiernie i konsekwentnie prowadzą dalej politykę żywiołowej nienawiści, przejętą po Rosji carskiej, wobec tej formy katolicyzmu, która jest najbliższa duszom ludzkom na tamtych obszarach. Ich nienawiść względem katolicyzmu zachodniego, dalekiego od tradycji, nastawień i naturalnych umiłowañ ludności, nie jest tak spontaniczna. Jest w tej brutalności względem katolicyzmu wschodniego dobrze wyrozumowany i uzasadniony strach, tłumaczący tę piekielną zjadłość z jaką Sowiety wszędzie niszczą Kościół Wschodni. Walka z wszelkimi formami religii, tak z katolicyzmem jak z islamem i szamaniz-

mem, wynika z samych założeń bolszewizmu, o czym wszyscy dobrze wiemy i o czym nie omieszkuje szczerze przypominać zarówno teoretycy leninizmu-stalinizmu jak i władze Partii. Musi jednak Sowiety zastosowały jawne prześladowanie, wyniszczenie całkowite, gdy wobec katolicyzmu zachodniego, wobec innych religii, faktyczne prześladowanie maskowane jest różnymi pozorami. Kto wie, czy jednym z powodów zgody Sowieców na reaktywowanie powolnego państwa prawosławia, nie było przygotowanie grobu dla katolicyzmu wschodniego, w przewidywaniu zajęcia krajów, na których terenie żyła i kwitła Unia? Przyszłość to pokaże, jak pokaże również, ile wbrew swej woli przyczynili się bolszewicy przez prześladowania i zsyłki kapłanów i katolików wschodnich, do propagandy i rozkrzewienia tej formy chrześcijaństwa rzymskiego. Tertulianowskie "semen est sanguis christianorum" nigdy nie przestaje być prawdą, a tym nasieniem jest nie tylko krew, ale każda forma cierpienia. — Po "likwidacji" Unii w Rumunii w czasie przesłuchiwania jednej z grup, pewna chłopka odpowiedziała policjantowi, "dowodzącemu", że unicki Kościół rumuński już nie istnieje: "Dopóki ja żyję, ten Kościół będzie istniał".

Są to uwagi na marginesie książki Sekretarza Kongregacji Wschodniej, J. Em. ks. kard. Eugeniusza Tisserant¹⁾. W tej Kongregacji założonej przez Benedykta XV w 1917 roku, zbiegają się wszystkie autentyczne fakty i dowody prześladowania Kościoła, wszystkie potworne akty skierowane przeciwko samej idei religii przez krwawą religię materializmu i ateizmu. I nie ma bardziej powołanej osobistości w całym Kościele do wykazania światu, co się dzieje z podstawową wolnością człowieka do prywatnej i publicznej wiary w Boga na wielkich przestrzeniach, opanowanych przez komunizm, nad tego kardynała, który dzięki swemu urzędowi, swej roli i osobistym kwalifikacjom jest żywym symbolem uniwersalizmu katolickiego.

Światowej sławy orientalista, poliglota, władający biegle kilkunastu językami, znający wszystkie główne języki Wschodu, starożytne i współczesne, Francuz z pochodzenia, Włoch z biskupstwa, Słowianin z rozległej wiedzy skomplikowanych spraw tej części Europy i z całym sercem przeżywanego cierpienia nad losem narodów słowiańskich dziś tak tragicznie dotkniętych, głęboki znawca i miłośnik kultur wschodnich, jest równocześnie żarliwym patriotą autentycznie katolickich wartości Zachodu. Nie ma w swej umysłowości czujnie otwartej na prądy współczesne nic z ekskluzywnego partykularyzmu i jednostronności specjalisty, co niestety obserwuje się przecież u większości wybitnych orientalistów świeckich i duchownych, wierzących czy niewierzących, katolików jak i protestantów, którzy swoją spe-

1) S. E. le Cardinal Tisserant: *L'Eglise militante*. Librairie Bloud & Gay. Stron 160. Bez roku wydania.

ejalność przemieniają jakby na twierdzą generalnego ataku na same podstawy Zachodu.

Z wysokości swego stanowiska w Kościele i rozległej wiedzy kard. Tisserant spogląda na rasy i kultury, na cywilizacje i prądy, wierzenia i obrządki z wszystko obejmującą miłością św. Augustyna, a na Kościół, podobnie jak wielki biskup Hipponu, patrzy jako na Arkę jedyłą, na której pokładzie znajduje nie tylko schronienie ale i najlepsze warunki rozwoju wszystko, co w wierzeniach i kulturach nawet od chrześcijaństwa dalekich jest zgodne z naturą ludzką.

We wspomnianej książce "L'Eglise militante", która wyszła z druku kilka miesięcy temu, autor zgrupował siedem konferencji, wygłoszonych przed różnym audytorium w latach 1949 i 1950 w Italii, Francji i Afryce, oraz list pasterski do wiernych Porto i św. Rufiny, małej diecezji suburbikalnej, której kardynał jest ordynariuszem (ostatnio mianowany również biskupem Ostii). Mimo z natury rzeczy przygodnego charakteru konferencji, książkę cechuje organiczna jednorodność: Pomiedzy jej obu wyraźnie zaznaczonymi częściami zachodzi związek, jaki jest między zespołem faktów a wnioskami natury ogólnej, które z faktów wynikają. Jest to jakby 8 rozdziałów znakomicie udokumentowanych, z których początkowe po raz pierwszy podają nieznanne dotąd okoliczności i chronologiczne przedstawienie przebiegu prześladowania Kościoła na wschód od żelaznej kurtyny — w Rosji, Polsce, na Ukrainie, Białej Rusi, Rusi Podkarpackiej, w Czechosłowacji, Rumunii, Jugosławii, na Węgrzech, w Bułgarii i w Państwach Bałtyckich. Prześladowanie to mające na celu w pierwszym rzędzie zniszczenie Kościoła Wschodniego, prowadzone jest w imię "nauki i postępu" przez nową cywilizację, która postawiła sobie za jedno z zadań całkowite zlikwidowanie Boga i religii jako fikcyj i przesądów z istoty swej z pojęciami nauki i postępu (w marksistowskim rozumieniu tych pojęć) sprzecznych.

Z faktu tych założeń materialistycznego ateizmu usiłującego przy pomocy terroru zbudować nowy kształt ludzkości, wolnej, w imię szczęścia na ziemi, od wszelkiego wspomnienia o Bogu i religii, rodzi się pytanie, jaki jest stosunek religii do cywilizacji, co zawdzięczają religii cywilizacja zachodnia i takie podstawowe dobra ludzkości jak pokój i wolność. W ostatnich więc dwu rozdziałach autor wykazuje, iż we wszystkich dotąd znanych typach cywilizacji religie — a od 20 wieków zwłaszcza chrześcijaństwo przez ustanowienie nierozzerwalnego związku między moralnością a religią, między obowiązkiem określonego typu życia a względem na Boga i religijną odpowiedzialnością za kształt świata — decydowały i decydują o rodzaju i charakterze cywilizacji i kultur. "Wszystkie nasze wartości zależą od natury naszego Boga", powiada Maritain, a więc i cała nasza cywilizacja. Religijny rodowód cywilizacji jest tak dalece faktem naturalnym potwierdzanym bez przerwy w czasie i prze-

strzeni przez cały ciąg dziejów człowieka, że nawet komunizm, który przecież wystąpił i występuje jako antyreligia, nie uszedł powszechnemu prawu — wbrew swym pierwotnym zamierzeniom i w sprzeczności z nadal głoszoną teorią "naukową" — kształtowania swej cywilizacji w kilku istotnych punktach w surowej zgodzie z prawem naturalnym, a w swej całości — w formach religijnych, nieraz branych jako równie mimowolne naśladownictwa, nieraz znów jako również nieświadoma parodia schematu religij teistycznych. Posługuje się więc komunizm systemem nakazów i zakazów łącznie z formą kławy, swoistą liturgią planów, mistyką pięcio — i więcej — latek, osobliwą repliką trzech cnót teologicznych, kultem, etc.

To zagadnienie, rozpatrzone przez kard. Tisserant w końcowej części ostatniego rozdziału zatytułowanej "La tentative marxiste", a zastanawiające od dawna wielu pisarzy katolickich i niekatolickich, żeby choć wskazać na O. Sertillanges O.P. ("Le christianisme et les philosophies"), niektóre studia, zamieszczone w amerykańskim "Catholic World" (m. in. pióra słynnego ministra metodystycznego dr Soper'a), na rozdział o Marxie w "Petite histoire des grandes doctrines économiques" D. Villety'a, na liczne konferencje głośnego biskupa Fultona J. Sheena, na "Communism and Man" F. J. Sheed'a, etc. — wymaga osobnego omówienia. Tu bowiem jest punkt węzłowy stosunku katolika do komunizmu, a słynny dekret św. Oficjum sprzed dwu lat zastosował przeciw w stosunku do ateistycznego materializmu bolszewickiego te sankcje, które zawsze Kościół kieruje przeciw herezjom.

W swej pierwszej części "L'Eglise militante" porusza czytelnika do głębi obiektywnym zestawieniem tragicznych faktów prześladowania Kościoła podawanych bez żadnego wielokowite zlikwidowanie Boga i religii jako fikcyj i przesądów z istoty swej z pojęciami nauki i postępu (w marksistowskim rozumieniu tych pojęć) sprzecznych. W części drugiej mamy ogromne panoramy cywilizacyjne, w których mimo skrótowych rzutów nie tylko nie ma zmieszania poręcy, ale jest otwarcie na rozległe horyzonty, kuszące do amplifikacji i "dalszych ciągów". A równocześnie rzucają one nowe światła na główne zagadnienia, z którymi biedzi się dziś każdy myślący człowiek.

Jan TOKARSKI.

2) N. Grifone w art. pt.: *La passione che continua*, z 15. 2. 1951.

Botteghe Oscure

Na pozór wydawać by się mogło (sądząc po kioskach ulicznych i stacyjnych) że w Europie istnieje aż za wiele czasopism literackich. Ile z nich jednak daje jakiegokolwiek pojęcie o zachodnim (europejskim i amerykańskim) życiu literackim i artystycznym? Najlepszy miesięcznik tego rodzaju, angielski "Horizon", przestał wychodzić przed rokiem z braku funduszy. Pozostała francuska "Table Ronde", ale dla Francuzów Europa to zawsze Francja, a właściwie Paryż, toteż uwaga poświęcona reszcie świata ogranicza się do tych pisarzy, którzy jak Graham Greene, Evelyn Waugh, Steinbeck, mieli sukces "paryski". Pozostała amerykańska "Partisan Review", której materiały jest najbardziej intelektualnie błyskotliwy, ale istotnie "partyzancki": jest to Parnas 'trockistów. Można jeszcze dorzucić do tego "Cornhill" i komunizujące "Nouvelles Littéraires" — i na tym właściwie koniec. Ta, garstka literackich czasopism, to przy tym wszystko wydawnictwa krytyczne, gdzie twórczość oryginalna traktowana jest po macoszemu: na dzieśnię esseyów i sto krytyk — parę wierszy i jedna nowelka.

Nadprodukcja krytyki nie służy rozwojowi życia literackiego. Współczesny czytelnik woli krytyki książek których nie zna i znać nie będzie od lektury dzieł oryginalnych i twórczych. Co pisarzom ułatwia twórczość, co wyławia talenty, które mogłyby zawsze pozostać ukryte, to nie czasopisma krytyczne, ale inteligentnie, z pasją redagowane wydawnictwo, poświęcone wyłącznie, lub przeważnie utworom oryginalnym pisarzy których coś łączy między sobą: "szkoła", nastawienie do sztuki i literatury, pewna rewolucyjność czy po prostu młodość. Takimi wydawnictwami było w Anglii "The Yellow Book", we Francji "Les Cahiers de la Nouvelle Revue Française" za czasów Prousta i młodości Gide'a, w Polsce "Chimera" Miłkowska.

Niewielu kulturalnych europejskich czytelników wie, że istnieje dziś w Europie takie wydawnictwo, że ukazuje się od dwóch lat w Rzymie pod tytułem "Botteghe Oscure". Dziwna ta nazwa — "Ciemnych Sklepów" — pochodzi od rzymskiej ulicy, gdzie mieści się Palazzo Gaetani. Księżna Marguerite Gaetani, Amerykanka z urodzenia, przyjaciółka artystów i pisarzy, swe wielkie wyrobienie literackie zawdzięcza między innymi temu, że w Paryżu przed dwudziestu laty wydawała słynne "Commerce". "Botteghe Oscure", chyba jeden z ostatnich przejawów prywatnego mecenatu literatury, umieszcza wyłącznie utwory oryginalne — wiersze, fantazje, nowele i krótkie powieści — w trzech językach: włoskim, francuskim i angielskim. Dział włoski redagowany jest przez Giorgio Bassani mło-

*) "Botteghe Oscure", a cura di Marguerite Gaetani, Redattore: Giorgio Bassani. Arnaldo Mondadori Editore, Roma.

dego pisarza włoskiego, którego świetna nowela "Una Passeggiata Prima di Cena", obraz żydowskiego ghetta Ferrary na początku dwudziestego wieku, ujęty jako żywy moment historyczny, ukazała się w ostatnim (siódmym) numerze pisma. Dział francuski i angielski redagowany jest przez księżnę Gaetani.

"Botteghe Oscure" zamieszcza oczywiście utwory pisarzy znanych na miarę europejską, jak Camus, Char, Michaux, Brecht, Mac Neice, Spender, Elsa Morante, choć i oni wszyscy zaliczali się do niedawna bądź do "młodej" generacji, bądź też do pisarzy "rewolucyjnych". To jest "stara gwardia" wydawnictwa. Potem przychodzi średnie pokolenie, pisarzy młodych, którzy pozyskali sobie już jednak szeroki rozgłos, jak Tennessee Williams, Truman Capote, Dylan Thomas, Angus Wilson, David Gascoyne. Ale największą bodaj zasługą "Botteghe Oscure", to umiejętność odkrywania talentów nowych. W każdym numerze pisma znajdujemy nazwiska całkowicie nam nieznane — nieraz autorów najlepszych nowel czy wierszy — jak James Lord czy Peter Viereck. Uderza wysoki poziom twórczości młodych pisarzy włoskich.

"Botteghe Oscure", to oczywiście "wieża z kości słoniowej". W dzisiejszych czasach rozterki narodów, wśród roztrzaskanych zewsząd apokaliptycznych wizji, dziwne wydają nam się te grube tomy, drukowane na wspaniałym welinowym papierze, z których przemawiają do nas głosy rozprawiające o zakamkach ludzkiej duszy, lub czarującej magią słów. Ale właśnie teraz, gdy tyle się mówi o "obronie kultury", warto się zastanowić czy nie najlepszą obroną jest po prostu jej kontynuacja.

Na zakończenie, uwaga dla czytelników "Kultury" w Ameryce: w Nowym Jorku ukazała się przed paroma miesiącami książka pt.: "Botteghe Oscure — An Anthology", zawierająca wybór spośród utworów zamieszczonych w pierwszych sześciu numerach wydawnictwa.

KAJ.

Dialektologia i lingwistyka

Da zwykłego czytelnika słowo dialektologia, o ile nie jest całkiem niezrozumiałe, to łączy się chyba raczej z dialektyką niż z dialektem. W rzeczywistości jednak ta młoda stosunkowo gałąź językoznawstwa zajmuje się badaniem gwar (dialektów). Nowo-

Sever POP, *La Dialectologie*. Aperçu historique et méthodes d'enquêtes linguistiques. Louvain (1950). Str. LV i 1334 (w dwóch tomach), 77 ilustracji.

czesna dialektologia datuje się od lat około 50, to jest od czasu wydania przez uczonego szwajcarskiego, Gilliérona, atlasu językowego Francji. Gilliéron, chcąc dać jednoczesny obraz gwar, którymi mówiono we Francji, uciekł się do przedstawienia ich na mapie, — a raczej na 1920 mapach, jako że jedna mapa poświęcona być mogła jednemu tylko słowu lub zdaniu. Dla uzyskania materiałów wiarygodnych i jednolitych publikację atlasu poprzedziły czteroletnie badania w terenie. Zbadano na podstawie uprzednio ustalonego kwestionariusza mowę 639 wsi rozrzuconych po całym kraju (na ogólną liczbę 37.000 gmin) i zapisano około miliona odpowiedzi. Uzyskane materiały trzeba było nanieść na mapę! co dopiero pozwala na zorientowanie się jakie są granice wymowy, faktów gramatycznych lub znaczenia (czy w ogóle istnienia) słów itp. Atlas ten (mimo, że już przed nim ukazało się kilka podobnych prób) pchnął dialektologię na drogę badań w terenie i ogłaszania wyników w formie map. Dość wspomnieć, że od tego czasu ogłoszono około 60 atlasów, oczywiście ulepszając wciąż metody badań i prezentacji.

Profesor Pop, który wykładał przed wojną na uniwersytecie w Cluj w Siedmiogrodzie, jest sam wybitnym dialektologiem i autorem atlasu rumuńskiego, wydanego częściowo w latach 1938-1942. W swym potężnym dziele autor chciał przedstawić w pierwszym rzędzie rozwój (a więc historię) dialektologii w poszczególnych krajach, a następnie jej współczesne osiągnięcia, ze szczególnym uwzględnieniem badań w terenie, a zwłaszcza metod, jakimi te badania należy przeprowadzać. Rozmiary książki sprawiły, że autor wykluczył celowo "rezultaty" to jest wnioski, jakie językoznawca wyciąga z map i innych materiałów ogłoszonych. Nie należy bowiem zapominać, że wszystkie zebrane dane są jedynie materiałami czekającymi na interpretację, która dopiero pozwala na określenie granic dialektów, rozwoju językowego a nieraz i historycznego itd.

Również celowo prof. Pop poświęcił cały pierwszy tom (733 strony) dialektologii romańskiej, od Francji poczynając a na Rumunii kończąc. Dialektologia romańska przoduje niewątpliwie dziś jeszcze, no i oprócz tego autor zna ją z osobistego doświadczenia. Część druga zawiera 400 stron²⁾ i poświęcona jest językom "nieromańskim", do koreańskiego włącznie. Z konieczności jest więc ona bardziej zwięzła i mniej dokładna być może, jako że czym egzotyczniejsza dla niego dziedzina, tym bardziej autor musiał czerpać z drugiej ręki. Warto nadmienić, że językiem germańskim poświęcono tu pierwszych 200 stron (ale Anglii zaledwie 4). Inne kraje uwzględniono głównie o tyle o ile zdobyły się już na atlas językowy.

Trudno oczywiście ocenić jak dalece dokładne i wyczerpujące są informacje tej prawdziwej encyklopedii dialektologicznej.

1) Zajęło to Gilliéronowi dziesięć lat: 1902-1912.

2) Ostatnie 200 stron to wnioski ogólne oraz szereg doskonałych indeksów.

Druga część jest oczywiście niekompletna już z samego założenia, razi jednak nieuwzględnienie w Europie języka Basków, ani też języków bałtyckich (litewskiego i łotewskiego). Być może autor miał trudności z informacjami o językoznawstwie tych włączonych do Rosji krajów, ale jednak poświęcił 12 stron atlasowi Estonii, którego ukazało się wszystkiego 66 map.

Polski atlas językowy Podkarpacia profesorów Nitscha i Małeckiego (składający się z 500 map) omówiony jest z dużym uznaniem na 9 stronach. Autorowi nie udało się uniknąć kilku drobnych zresztą pomyłek, ciekawych o tyle tylko, że być może i w innych działach, znanych mu z drugiej ręki, się spotykają. Prof. Pop na przykład twierdzi, że jedno z pytań (39) kwestionariusza odnosiło się "do piwnicy, bez sprecyzowania czy chodziło o prawdziwą piwnicę w ziemi, czy o zwykłą dziurę w ścianie" (un simple trou dans le mur). Zaintrygowany tą dziurą w podkarpackiej chacie sprawdziłem, że w polskim tekście chodzi o "piwnicę murowaną czy tylko wykopaną w ziemi" (zresztą jest to pytanie nr 28, zaś nr 39 omówiony jest tuż przedtem, stąd pomyłka). Takich drobiazgów jest kilka. Poważniejszy może jest błąd "zasadniczy" odnoszący się do terytorium języka ukraińskiego. Oto cytując wybitnego sławistę francuskiego, Tesnière, który badał gwary Słowenii, prof. Pop pisze słusznie, że choć terytorium jęz. słoweńskiego podzielone było między trzy państwa: Jugosławię, Austrię, Włochy, to jednak należy je traktować jako całość z punktu widzenia językoznawstwa. Ta sama zasada odnosi się chyba i do gwar ukraińskich, używanych przed r. 1939 w Sowietach, Polsce, Czechosłowacji i Rumunii. Jednakże prof. Pop omawia osobno język "ruski" (ruthène) w Czechosłowacji¹⁾ dodając w uwadze rewelacyjną wiadomość, że małorosyjski (!) czyli ruski (le petit-russe ou ruthène) jest językiem całkiem odrębnym od wielkoruskiego. Następnie zaś pod tytułem "Badania gwarowe w ZSSR" (bo atlasu sowieckiego jeszcze nie ma) omawia też i centrum kijowskie, gdzie podaje zresztą wystarczającą bibliografię i wzmiankuje, że na skutek rusyfikacji na Ukrainie studia dialektologiczne odbywać się mogły tylko na: Zachodzie, we Lwowie, Užhorodzie, Krakowie, Warszawie itd. Jednakże nic bliższego o pracach nad gwarami ukraińskimi w przedwojennej Polsce się nie dowiadujemy. A przecież i greko-katolicka Akademia Teologiczna i UJK prace takie prowadziły. Wystarczy wspomnieć, że do dziś wyniki ich drukuje się w Krakowie i Łodzi.

Oczywiście są to wszystko drobiazgi i czytelnik, który się orientuje w danej dziedzinie, poprawi je czy uzupełni bez trudu. Główną wartością dzieła prof. Popa jest zaś z jednej strony olbrzymia ilość materiału dająca wgląd specjalistom czy laikowi w nieznane mu dziedziny, no a przede wszystkim staranność z jaką autor przedstawia metodę badań w terenie, którą uważa

1) Mimo, że jedyna praca, którą cytuje i omawia, nosi tytuł: "Gwary ukraińskie".

za najlepszą i której sam używał, oraz z jaką pokazuje różnicę z metodami używanymi na innych terytoriach.

Nowa interwencja władz sowieckich w dziedzinę nauki, tym razem w osobie samego Stalina, nie wywołała zbyt wielkiego echa na Zachodzie. L. Laurat, który jest raczej marksistą niż lingwistą, stara się w swej broszurce przedstawić sytuację, która doprowadziła do tej interwencji. Od 25 lat w językoznawstwie sowieckim panowała niepodzielnie i tyrańsko doktryna pseudonaukowa wybitnego zresztą specjalisty od języków kaukaskich, N. J. Marra, który doprowadzając do absurdu marksizm twierdził, że rozwój ekonomiczny społeczeństwa odbija się ściśle w strukturze języka. Teoria sama byłaby częściowo słuszna, gdyby nie wyciągać z niej dogmatycznych wniosków, jak to robi Marr, że np. języki jednozgłoskowe (chiński itp) odpowiadają prymitywnej gospodarce, a posiadające odmianę (np. łacina czy słowiańskie) wyższej. Ale jak tu wytłumaczyć, że np. angielski stracił całą odmianę, a przecież ekonomia Anglii stoi chyba wyżej od ekonomii Bułgarii. To zdaje się kazało Marrowi wprowadzić czynnik "krzyżowania" się języków będących na różnych stadiach rozwoju, i z kolei twierdzić, że "rodziny" języków to jest języki o wspólnym pochodzeniu (np. słowiańskie czy romańskie) nie istnieją. To ostatnie niestety jest w sprzeczności z wszystkimi osiągnięciami językoznawstwa w ciągu ostatnich stu lat.

Lecz — zdaniem Laurata — nie względy naukowe kazały Stalinowi interweniować przeciw doktrynie Marra, a względy czysto praktyczne. Uczniowie Marra, wychowani w proletariackim internacjonalizmie pierwszej epoki rewolucji, nie umieli się nagiąć mimo najlepszych chęci, do zadań praktycznych: dostosowanie języków Związku do potrzeb gospodarczych (podręczniki rolnicze czy techniczne), no i rusyfikacji kulturalnej tych języków.

Książeczka może też zainteresować czytelnika polskiego, ponieważ autor podkreśla wielokrotnie ignorancję Stalina, jeśli chodzi o klasyków marksizmu, jak również jego niemarksistowską tezę, że język nie jest fenomenem klasowym. Byłoby dobrze, gdyby czytelnicy w Polsce, w których wzmawia się bezustannie "naukowość" stalinizmu mogli się zapoznać z argumentami p. Laurata, których wykładowi szkodzi niestety gwałtowny ton, którym odznaczają się — za przykładem stalinistów — nieraz antystalinieści.

J. TOROSIEWICZ

Czarne Gabinety

Kogóż z nas w dzieciństwie nie uczono by nie otwierać listów? Gdzie zaglądnąć do cudzej korespondencji nie uchodzi za niewybaczalny występek wobec nawet najbardziej prymitywnych kodeksów manier? A jednocześnie gdzie są rządy, które by się nie oddawały nałogowi odpieczętowywania listów prywatnych — potencjalnych wrogów, spiskowców, ambasadorów a nieraz i własnych dygnitarzy i zwolenników?

Metody zdejmowania pieczęci, używanie szyfru były już znane w głębokiej starożytności. Korzystał z nich już Alexander Abnotichos, fałszywy prorok starożytności, który kazał swym wyznawcom składać opieczętowane tabliczki na ołtarzu bogów, z wypisanymi życzeniami i pytaniami, po czym zamykał się w świątyni, niby to czekając na natchnienie bogów a w rzeczy samej zdejmując pieczęcie przy pomocy trzech sposobów dokładnie opisanych przez Lucianusa. Cycero ostrzegał swego przyjaciela Atticusa, że odkłada swą korespondencję do chwili gdy znajdzie "tabellarios certos", pewnych posłańców — tak nie do wierzał ówczesnej poczcie. Sam zresztą jako legalista przyłapał korespondencję Katyliny, ale jako legalista, stworzył ją, i odczytał dopiero na posiedzeniu Senatu. Gdyby dzisiejsze rządy stosowały tę metodę, nieszczęsne izby musiałyby zasiadać w permanencji, a ministrowie z powodu samego odczytywania umarliby z wycieńczenia.

Wielki Cezar w swej korespondencji z powiernikami w Rzymie używał skomplikowanego szyfru. Podobno jeszcze lepszy i bardziej wyszukany mieli Lacedemończycy. Za cesarstwa w powszechnym użyciu było pisanie mlekiem: litery ukazywały się dopiero gdy papier był pokryty ciepłym popiołem.

Ludy okazywały zawsze wstręt i niechęć do tej cenzury. Historia zanotowała z uznaniem, iż Marek Aureli rzucił w ogień przyłapaną korespondencję pretendenta Cassiusza z jego adherentami, mówiąc, że nie chce znać nazwisk spiskowców tak by móc uniknąć karanja ich. Ale takich wypadków było mało.

"Czarnych gabinetów" nie znało średniowiecze — w tych anarchicznych czasach posłańców, gońców często zabijano, raczej jednak dla rabunku, niż dla czytania listów, których znaczenie i wartość przeważnie uchodziły uwadze ludzi, nie umiających z reguły czytać i pisać.

W XVI wieku wszędzie zorganizowano poczty, początkowo jako przedsiębiorstwa prywatne. Ponieważ były to pierwsze na świecie monopole, przeto dawały olbrzymie zyski (Fuggerzy w Niemczech). We Francji była poczta wydzierżawiona dwóm rodzinom, wcześniej jednak stała się częścią administracji państwowej, choć jej dochody szły do kieszeni prywatnej. Już za

Henryka IV i Richelieu powstały pierwsze, niedołążne próby perlustracji listów, naprawdę jednak twórcą Cabinet Noir był Mazarin, potem udoskonalili go Louvois. Do największych wpływów Cabinet Noir doszedł za Ludwika XV, pod zarządem obskurnego poczciarza Jannel — był on tak potężny, że nawet premier, ks. de Choiseul, musiał się przed nim ukorzyć. Przy pomocy Jannela Ludwik XV prowadził swą osobistą dyplomację, tzw. le secret du Roi, ale lubował się ten monarcha przede wszystkim w plotkach, intrygach dworskich, romansach i informacjach o stanie finansowym swych ministrów i dworaków. Rzecz jasna, korespondencja obcych posłów była przedmiotem szczególnej opieki. Z książki Vaillé dowiadujemy się, że już za Jana Kazimierza agent francuski w Warszawie przekupywał gońców ambasadora cesarskiego, barona Lisoli i przepisywał jego korespondencje; na większą skalę powtarzali ten proceder wysłannicy Ludwika XV w Warszawie za Augusta III i Stanisława Augusta. Poza Francją system nadzoru poczty najbardziej rozwinął się w Austrii za Marii Teresy i Metternicha, a dalej w Anglii. Należy żałować, że, o ile mi wiadomo, nie mamy żadnych sprawozdań o pocście i Cabinet Noir w dawnej Polsce: przypuszczam, że działać u nas musiały obce dwory, ale sam rząd polski był zbyt ubogi i zbyt słaby, by móc się tej drogiej zabawie oddawać.

Rewolucja francuska zapewniła uroczyscie tajemnicę korespondencji, ale już w miesiąc po wzięciu Bastylli zdarzyły się ponownie wypadki otwierania listów osób podejrzanych o chęć przywrócenia ancien régime'u, wbrew namiętnym protestom Mirabeau. Cenzurę i otwieranie listów przywróciły na olbrzymią skalę lokalne komitety patriotów, czyli impuls w tym kierunku dały doły: dopiero później za Terroru, Komitet Ocalenia Publicznego scentralizował te wysiłki. Szły one niemal wyłącznie w kierunku zdemaskowania "zdrajców", wrogów wewnętrznych reżimu: natomiast wysoce rozwinięta sztuka interceptowania korespondencji obcych dworów tak dalece została zaniedbana, że gdy za Dyrektoriatu sprawy zagraniczne objął Talleyrand nie było ani jednego wprawnego deszyfranta: musiano z powrotem zaangażować żyjących pracowników królewskiego Cabinet Noir. Lecz postęp w rozbudowaniu instytucji policyjnych jest zawsze piorunujący i już za Konsulatu Cabinet Noir funkcjonował sprawniej niż kiedykolwiek przedtem, a jego szef hr. Lavalette miał zawsze osobisty dostęp do Napoleona. Bonaparte nigdy nie oddał tej kontroli poczty ministerstwu policji — i Fouché się wiecznie na to skarżył — zajmował się nią osobiście z Lavalettem. Rozrost cesarstwa sprawił, że maszynaria stała się w końcu mniej sprawna i biura Cabinet Noir musiały utworzyć od Warszawy i Gdańska aż do Rzymu, Neapolu i Madrytu; moc kłopotów sprawiała inwigilacja coraz liczniejszej rodziny cesarskiej (podobno perlustracja niezbitnie stwierdzała kazirodzkie stosunki Pauliny Borghese ze swym cesarskim bratem); jeszcze trudniejsza była kontrola korespondencji Piusa

VII więzionego w Sawonie; wreszcie podejrzliwość Napoleona i prześladowanie biur doprowadziło do tego, że po jego detronizacji w 1814 r. znaleziono na pocście aż 300 tysięcy listów niedoreczonych — na owe czasy ilość fenomenalna — które Ludwik XVIII kazał doręczyć adresatom, by zdobyć sobie popularność. A jednak Napoleon, tak doświadczony w tych sprawach, opinię swoją ujął w zdaniach następujących, podyktowanych co prawda już na św. Helenie, gdy mu już cudzej korespondencji nikt nie przedkładał, jego własna zaś była starannie przeglądana:

"Jest to instytucja (Cabinet noir), która robi więcej złego niż dobrego. Rzadko spiski są omawiane drogą listowną, a co do opinii osobistych wyrażanych drogą epistolarną, mogą się one stać dla czytającego bardziej zgubne niż pożyteczne. Monarsze zdarza się tak często być w złym humorze, zmęczonym, pod wpływem myśli zgoła odmiennych od tematu, który mu właśnie przedłożono do decyzji; a nadto Francuzi są tak lekkomyślni, tak niepoważni w swej korespondencji, tak samo zresztą jak w swych rozmowach. O cóż się nie skarżymy, mając tyle zmienności w naszym charakterze narodowym? Ten na przykład, którego rano skarciłem napisze tegoż dnia że jestem tyranem. Poprzedniego dnia mógł być wypisać wszelkie pochwały na moją cześć a nazajutrz mógłby za mnie oddać życie. Pogwałcenie tajemnicy listowej może więc sprawić, że władza straci swych najlepszych przyjaciół, wywołując w nich niesłuszne podejrzania i uprzedzenia, a to tym bardziej, że jego naprawdę niebezpieczni nieprzyjaciele będą zawsze dość przebiegli, by się nie narażać na tego rodzaju niebezpieczeństwo".

Tym niemniej Cabinet Noir odegrał znowu wielką rolę za Restauracji. Co prawda nie zdołał on przejąć ani jednego listu w sprawie planów ucieczki Napoleona z Elby i przygotowań na jego przyjęcie w Fréjus, ale za to dostarczał on sporo plotasów i komeraży Ludwikowi XVIII, który wzorem swego dziadka się w nich lubował. To połączenie intryg miłosnych z pracą policyjną ma zawsze dla historyków obyczajowości urok, choć praca policyjna na tym cierpi. Ale za to te połączenia policji z alkowami (ostatnie echo uroczego XVIII-go wieku z prozaicznym XX-tym) dało światu powieści Balzaca.

Za Ludwika Filipa i II-go cesarstwa znaczenie Cabinet Noir jako instytucji czysto pocztowej, niezależnej od policji, zmalało. Autor — kustosz paryskiego muzeum pocztowego — przeczornie wstrzymał się od poruszenia rozwoju tej instytucji za III-ej republiki, zastaniając się brakiem źródeł: IV republika jest tak blisko związana z III-cią — policją, sądownictwem, układem partyjnym, personelem politycznym i administracyjnym a przede wszystkim fartuszkami, kielniami i trójkątami — że dobry urzędnik, dbający o skromną ale pewną posadę postąpi przeczorniej, udając że po 1870 r. konstytucyjne zagwarantowanie tajemnicy pocztowej było w pełni przestrzegane.

Dzisiejsze problemy cenzury pocztowej są zgoła innej natury. Liczba listów idzie dzisiaj w miliardy. Trzeba by inwigilować nie tylko listy dostojników, ale i wszystkich komunistów, cudzoziemców, uczonych (atomy!), z zagranicą, (kontrola dewizowa) itd. Jak sobie władze mogą z tym poradzić? Tajemnicę korespondencji gwarantuje dzisiaj jej masowość.

Z.

Wspomnienia tłumacza

Oddając hołd genialnym talentom tłumacza Hitlera, wyrazić trzeba natychmiast głęboki żal, że jego niepospolitym zdolnościom językowym nie towarzyszyły różne uzdolnienia literackie czy psychologiczne. Jakżeż niewiele "wiedzieli" nie tylko agenci wywiadu, jak Hagen, ale nawet ambasadorzy jak Rahn, w porównaniu z tym skromnym urzędnikiem Wilhelmstrasse, który brał bezpośredni udział we wszystkich prawie ważniejszych rozmowach międzynarodowych Hitlera, Ribbentropa, Goeringa! On jeden był świadkiem spotkań Hitlera z Chamberlainem, Edenem, Halifaxem, Mussolinim, Ciano, Franco, Pétainem, Lavalem, Darlanem, Antonescu, Hachą, Matsuoką i Mołotowem, nie licząc pomniejszych płotek jak Edda Ciano, księżna Piemontu, Windsorowie, ks. Tiso, François-Poncet, Henderson, Attolico i tylu, tylu innych. Nie brał natomiast udziału w rozmowach z Polakami, bo i Beck i Lipski mówili doskonale po niemiecku, tak samo Horthy nigdy go nie potrzebował, a także car Borys bułgarski. Wreszcie, choć był w świecie Ribbentropa w Moskwie, nie był u Stalina, bo jego usług tam nie żądano, albowiem nie mówił po rosyjsku.

Pamięć Schmidta zawodzi go niekiedy — widać to z cytowanych dat — a budzi to podejrzenie czy przytoczone przez niego rozmowy są zawsze dokładne, a przede wszystkim wyczerpujące. Optuje jednak za ogólną prawdomównością z nielicznymi zastrzeżeniami. I tak Schmidt powiada, że kwestię Gdańska i Korytarza Hitler poruszał z rozmaitymi Anglikami już w r. 1937, co sądzą, musiałyby być sprawdzone.

Schmidt wysoko ceni talenty dyplomatyczne Hitlera, podkreśla m. in. jego wiedeńską "Höflichkeit", ilekroć mu na kimś zależało. Zaprzecza stanowczo legendom jakoby w czasie rozmów wpadał w stan hysterii i robił nieprzytomne sceny, twierdzi, że jedyny raz, kiedy stał się naprawdę gwałtowny — było to w rozmowie z doradcą Chamberlaina — Sir Horace Wilsonem, 26 sierpnia 1939 roku. Podobnie Ribbentrop tylko raz się naprawdę uniósł w rozmowie z Hendersonem 29 sierpnia 1939,

kiedy już mu (Schmidtowi) się zdawało, że minister i ambasador rzucają się na siebie z pięściami. Rozmowa z Hachą i Chwałkowskim odbyła się — wg Schmidta — bez akompaniamentu scen i awantur, które weszły do ogólnie przyjętego obrazu tych czasów.

Podobnie Schmidt ma dużo uznania dla talentów Goeringa, a nawet Ribbentropa, przynajmniej w okresie przedwojennym: złote ostrogi przypięli mu sami Anglicy godząc się natychmiast na jego propozycje paktu morskiego w 1936 r.; propozycje sformułowane out-out i to tak brutalnie, że tłumaczowi się zdawało, iż Anglicy je natychmiast odrzucają. I w ogóle Anglicy wyglądają, pomimo wyraźnych retuszy i licznych reweransów na słabych negocjatorów. W uprzejmościach wobec Niemców prześcigali się Simon i Halifax, ks. Windsoru i Landsbury, a przede wszystkim Lloyd George, który posunął się aż do dziękowania Hitlerowi za wysiłki w obronie pokoju, a winę za ich niepowodzenie zrzucał wyłącznie na rozmowy sztabowe Anglików z... Francuzami! Jeden Eden zachowywał większą rezerwę, ale poza tę rezerwę nie wyszedł, nigdy ostrzejszego tonu nie użył. Chamberlain, zdaniem autora, nie okazał lwiego pazura: w Monachium irytował Hitlera merkantylnym podejściem, podnosząc raz po raz kwestię odszkodowania Czechów za własność państwową w odstąpionych Sudetach czy prawa Czechów zabraniająca im się z Sudetów wydławać. "Z byka spadł czy co?" myślał zapewne Hitler i musiał z politowaniem patrzeć na premiera, który traktował przewrót w równowadze sił, jak tranzakcję handlową. Nie lepiej wypada Henderson, który zdaniem Schmidta, popełniał też błąd mówiąc sam po niemiecku, choć znał język ten powierzchownie. Może to zazdrość zawodowa, ale zgadzam się z nim, że jeżeli się jakiegos języka naprawdę à fond nie zna, lepiej w ważnych rozmowach posługiwać się tłumaczem.

Schmidt jest oczywiście bezapelacyjnym świadkiem jeżeli chodzi o ocenę językowych zdolności swych klientów. Powiada, że Ribbentrop mówił b. dobrze po angielsku i po francusku, że Mussolini mówił po niemiecku niezłe, a po francusku znakomicie, że Ciano wcale niemieckiego nie znał, że François-Poncet i I. Kirkpatrick (obaj dzisiaj wysocy komisarze w Niemczech) mówili po angielsku znakomicie, że Mołotow nie mówił żadnym językiem, że z Matsuoką w ogóle trudno się było dogadać.

Wracając do polityki, Schmidt wysoko ocenia François-Ponceta i Attolico, którym, a nie Chamberlainowi, przypisuje skłonienie Hitlera do zgody na Monachium; bardzo nisko ocenia Mussoliniego, który przed wojną — z powodu zbyt częstych przyjęć — prawie z Hitlerem nie rozmawiał, z chwilą jej wybuchu bardzo szybko zleciał do roli słuchacza, przedstawionego jako naiwniaka z wybałuszonymi oczami; Ciano wygląda na inteligentnego słabeusza, Laval na dość drugorzędny krętacz; Darlan na człowieka dużo większego kalibru; Pétain na wielkiego męża stanu, pełnego godności, który nawet u Hitlera potrafił wzbudzić szacunek, Franco na bardzo przebiegłego gra-

cza, który Hitlera odprawił z Hendaye z niczym, król Leopold Belgijski na złego i niezręcznego dyplomate, Horthy na wielkiego arystokratę, który Hitlera nie znosił; Matsuoka na człowieka nie całkiem przy zdrowych zmysłach; Summer-Wells na nadętą nicosć; wreszcie Mołotow na ograniczonego chama, który najniezręczniej przekonał Hitlera, że trzeba wojnę z Rosją zrobić jak najszybciej. Z dyplomatów satelickich najlepiej wychodzi rumuński conductor marszałek Antonescu: Schmidt podkreśla, że tylko w jego wypadku przypomina sobie, by Hitler się kogoś radził w sprawach wojskowych i tolerował bardzo ostre krytyki pod adresem strategii niemieckiej.

W tym zbitym tekście, tak pełnym treści, jest pełno rewelacji, które powinny być dokładnie zbadane. I tak Schmidt pisze między zdaniem, słusznie, że Hitler nie miał żadnych zobowiązań wobec Japonii wypowiedzenia wojny Stanom Zjednoczonym po Pearl Harbor: uczynił to z własnej inicjatywy z powodów zupełnie niezrozumiałych. Twierdzi on również, że w rozmowie z Mussolinim, w parę godzin po zamachu 20 lipca, Hitler głęboko wierzył, że skoro go Opatrzność ocaliła, wojny przegrać nie może. Mussolini trwożliwie przyklasnął. Apokaliptyczny charakter wojny w ostatnim jej roku należał w dużej mierze tej auto-sugestii przypisać.

Dodajmy, że we wszystkich tych rozmowach — o ile Schmidtowni wierzyć — nikt nigdy nie ujął się za Polską, za Żydami, nie poruszył w ogóle kwestii humanitaryzmu. Litość zniknęła ze świata. Nie grały również względy ideologiczne.

Książkę Schmidta gorąco polecam wszystkim, a zwłaszcza tym, którzy sądzą, że historię tworzą doktryny, nie ludzie ze swymi pasjami, błędami, krótkowzrocznością.

W. A. Z.

Nieciekawa spowiedź

Robert Aron nie jest, zdaje się, żadnym krewnym głośnego publicysty "Figaro" Raymonda Arona, ale też zajmuje dość poczesne miejsce w publicystyce francuskiej. Jest to dziwne: jego książka jest nieomal wzorem jak tego typu wspomnienie pisane być nie powinno.

Czego wymagamy od publicysty pamiętnikarza: 1) pewnej ilości faktów, a) doniosłych, b) interesujących, c) sprawdzonych, d) dokładnych, e) nowych; 2) pewnej ilości ocen, a) śmiałych, b) jasnych, c) przenikliwych, d) oryginalnych; 3) pewnej ilości sylwetek; 4) konkluzji stanowczych i wyraźnych; 5) do-

Robert ARON: *Le piège ou nous a placé l'histoire*. Ed. Albin Michel, 1947.

mieszki stylu, który w tym wypadku winien być zwięzły i przejrzysty.

Co ma autor do opowiedzenia (bo dopiero po opowiedzeniu może mieć coś do powiedzenia)? Że widział klęskę armii francuskiej w 1940 r., że widział dużo uciekających cywilów. Że był lekko ranny i leżał krótki czas w szpitalu w Vichy. Że dwa razy przekroczył linię demarkacyjną między Francją okupowaną a nieokupowaną. Że jeździł koleją z Lyonu do Vichy. Że spotkał dwóch panów Jean Rigault i Jean Jardin, którzy "organizowali" (!) wstąpienie Afryki francuskiej w wojnę" (!!!) i że jego rozmowy z nimi, gdyby je Niemcy podsłuchali zmieniliby bieg świata (!). Że uciekł przez Pireneje, trzy tygodnie siedział w Mirandzie, z Gibraltaru przejechał do Algeru — tam nudno opisuje swe mikroskopijne dygnitarstwo u Giraud, wreszcie swój powrót do Anglii po uwolnieniu Paryża, Jakaż treść banalna, uboga!

W dodatku nie chcę powiedzieć zełgana, ale przesadzona. "Wstąpienie Afryki do wojny"! Jak by nie było desantu Eisenhowera! Bezprzykładne w dziejach odbudowanie bez archiwów etc. rządu w Algerze. No jednak! Niesamowity heroizm sześciotygodniowej głodówki w Mirandzie. Tak — w okresie powstania warszawskiego, Oświęcimia, Mauthausen, łagrów, spisku 20 lipca! To są kpiny. Te rewelacje autor uzupełnia okrzykami: je suis juif. Coraz bardziej wierzę, że Żydzi są narodem istotnie wybranym, a ponieważ drugie miejsce w tej kolejce zajmują Francuzi — więc oczywiście każdy Żyd francuski jest zjawiskiem bardzo interesującym. Ale rujnuje nowoczesne piarstwo to nadużywanie pierwszej osoby liczby pojedynczej. Jestem Żydem! Jestem poetą! Jestem marksistą! Jestem intelektualistą! Wszystkie te bilety wizytowe mają jedyną cechę wspólną: są dowodem straszliwie złych manier, od których czytelnikowi robi się niedobrze. I dewaluują właścicieli bardziej niżby na to zasługiwał.

Aron robi pewien wysiłek, by zdobyć się na bezstronność; wybrania po trochu Petaina, Maurrasa, Drieu la Rochelle itd. Ale jego system jest następujący: Vichy oszczędziło Francji wielu ofiar, ludzie, którzy w r. 1943 i 1944 się go trzymali byli patriotami, bo przecież wiedzieli, że cała ta impreza skończy się dla nich osobiście fatalnie, a jednak trwali na posterunku, próbując ratować co się da — ale bla, bla, bla. Że crime de Vichy polegał na próbie przedstawienia klęski francuskiej jako początku rewolucji narodowej, to zatrało dusze Francuzów ziarnem kłamstwa, fałszu etc. Cóż za stek bredni! Gdzież jest rząd, który by nie próbował prezentować swych niepowodzeń jako epokowych sukcesów — nie szukając nawet sowieckich wzorów wspomnijmy Sikorskiego ze swym paktem z Majskim, Skrzyńskiego z Locarnem etc. Dusza Francji była od trzech pokoleń zatruta oficjalnym zakłamaniem: kraj najbardziej konserwatywny, najbardziej reakcyjny nawet, upajający się od lat

frazesami rewolucyjnymi, najbardziej kapitalistyczne stronnictwo, najbardziej namiętnie zwalczająca wszelkie próby polepszenia doli robotniczej, tytułujące się "partią radykalno-socjalistyczną". Ta przepaść między frazesem a rzeczywistością stanowi jedną z najmniej sympatycznych narodowych cech francuskich. Ten przerost gadania, niedostateczność realizacji, samobójczy maltuzjanizm — oto głębokie źródła klęski francuskiej. Jednemu tylko, jak dotąd, zaradzano — to wymieraniu rasy — i to przełamanie maltuzjanizmu jest najbardziej promiennym punktem sytuacji na przyszłość, główną sprężyną, która pozwala temu narodowi odzyskać swoją — względną jeszcze — żywotność! Kto położył fundamenty? Petain, Vichy. Jest faktem, że już w 1942 r., w rok po klęsce, pod okupacją, stopa urodzin zaczęła wzrastać i od tej chwili wzrasta nieprzerwanie.

Kuchnia polityczno-personalna w Algierze, którą autor nas obficie częstuje, jest obrzydliwa i bezdennie głupia jak wszystkie tego rodzaju koteryjno-urzędnicze intryżki o władzę i wpływy. Wyciąganie tych banialuków na wierzch ma jedną zaletę: ukazuje całą ich nicłość!

Wreszcie styl p. Arona jest tragiczny. Pretensjonalny, nudny, nadęty, napuszony, przefajnowany. Berentyzm do szczęścia, proustyzm do kwadratu. Gdzież się podziała la clarté, la précisions françaises?

W Anglii takie reportaże nie znalazłyby nakładcy.

Z.

Francuski Gombrowicz?

Któryś z naszych "filozofów kultury" (chodzi o zjawisko, nie wydawnictwo) powinien by napisać studium dlaczego w powieści współczesnej autor występuje niemal stale w postaci narratora, całe dzieło jest pisane w pierwszej osobie, podczas gdy w zeszłym wieku forma taka była tak dobrze jak nieznaną. Czy to brak wyobraźni u ludzi zmęczonych nadmiarem własnych przeżyć? Czy chorobliwy egocentryzm? Czy ekshibicjonizm? Literatura współczesna przypomina nadto scenariusze filmowe. Podczas gdy dawniejsi autorzy może zanadto wycieniowali charakter swych bohaterów, przez drobiazgowość opisu starali się wprowadzać nas w świat ich powieści, pisarze współcześni używają techniki skrótu: tłoczą sceny ze sobą niezwiązane, incydenty wyrwane jakby na chybił trafił — jednym rzutem, jedną linią, jednym rysem chcą wywołać w nas jakieś asocjacje, myśli, wrażenia: ktoś może powiedzieć, że dostarczają nam szkieletu powieści, którą czytelnik ma uzupełnić sobie sam.

Arnold MANDEL: *Les temps incertains*. Roman. Calmann-Lévy, Paris 1950, str. 238.

Jest w tym jakby analogia do współczesnego malarstwa, w którym też brak skończonego rysunku, wymodelowanej linii: karkofonia barw, płynność i urywanie rysunku ma wywołać w oczach widza skojarzenia, jakby obraz wewnętrzny; widz ma wykończyć obraz za malarza.

Każda szkoła, nawet jeżeli jej założen się nie podziela, może wydawać dzieła dobre i dzieła złe. Daleki od sympatii dla tych ultra-modernistów, nie waham się powiedzieć, że powieść Mandela "Les temps incertains" wydaje mi się jedną z najbardziej udanych próbek tego nowego, super-nowoczesnego genre'u.

Nic nie wiem o autorze, który na okładce nosi nazwisko wielkiego Georges Mandel, rozstrzelanego przez Gestapo w 1944 r., a w książce każe siebie nazywać Jacques Landau, rodem z Nancy. Pewne wydaje się tylko, że jest Żydem, w wieku lat 40. Ale czy francuskim? Jakżeż w takim razie jest odległy od zupełnie sfrancuziałych, wypranych z Żydostwa, Blochów i Swanów Prousta, a nawet od Jacques de Lacretelle'owskiego Silbermanna, którego tragedią jest odrzucenie przez otoczenie francuskie jego wysiłków w kierunku asymilacji, konflikt pomiędzy jego umysłowością czysto francuską a przekleństwem rasy, która go dzieli od tych, z którymi chciałby się jak najbardziej utożsamić. Żydzi Lacretelle'a i Prousta są Żydstwem francuskim; Mandel tkwi w ghetcie wschodnio-europejskim, polskim, rosyjskim; przypadkowo przebywający w Paryżu, ale korzeniami wciąż tkwiący w przedwojennym Wilnie, silnie muśnięty komunizmem, ale jednak znacznie bardziej żydowski niż komunistyczny; marksizm jest tylko dodatkiem do podświadomości rasowej. Silbermann nawet umierający w barłogu na poddaszu w Ile St. Louis, odtracony przez wszystkich, pielęgnowany tylko przez wierną kochankę — Żydówkę — marzy jedynie jakby wielką filiację literacką Racine'a i Montagne'a wzbogacić; krawcy żydowscy z Belleville, którym autor udziela za parę franków lekcji francuskiego (bez powodzenia) przypominają żywo tego Żydka z Ozorkowa, który zasłyszawszy, że Etna wybuchła zapytał: "Proszę pana, a dla Żydów to dobrze czy źle?".

Autor pokazuje nam Paryż widziany z metra, przygody z prostytutkami z Arts et Métiers, zdeklasowany świat Montparnassu, Rosjanki z dobrych rodzin, które z dumą głoszą, że stały się ulicznymi, je obiady w garkuchniach i wymyka się nie płacąc, naciągając przyjaciół, pasożytuje na kuzynie, pracuje w piśmie żargonowym, boi się wojny, jest monachijczykiem — powieść kończy się apokaliptyczną wizją masowego wymordowania Żydów wywiezionych z Francji "na wschód", do końca wierzących, że ujdą cało. Autor robi wrażenie zszokowanego. Tak jak malarze współcześni lubują się w konturach bab strasznych, o udach olbrzymich, tak Mandel rozkoszuje się w opisach aktów seksualnych, tak jaskrawych, że aż pornograficznych. Pornografia na zimno, bo choć z całej książki przebi-

ja wielka pasja, wielka namiętność — krzyk rozpacz i umiłowania nad dolą współwyznawców, echo szlochów przed Jerozolimskim Murem Płaczu, wielka skarga, że Naród Wybrany jest jednocześnie Narodem Prześladowanym, to właśnie w tych tak licznych — i niepotrzebnych — scenach nie ma nigdy ani miłości, ani litości, ani człowieczeństwa nawet — zwierzęcy instynkt tylko. Ciekawy to problem, dlaczego akt, który powinien być piękny, radosny, drogi, wypieszczony nabiera w literaturze współczesnej cech odrażających, czegoś ohydneho, wstrętnego, czegoś jeszcze brutalniejszego niż amory sprzedajne Soni Marmieladow? Już Gide jest monstrualny, Mandel jeszcze dużo brutalniejszy. Od Prousta przeszliśmy drogę daleką.

Jeżeli jednak "Les temps incertains" wydały mi się książką niezmiernie nieprzeciętną, to dlatego, że jej styl nerwowy ma w sobie pazur, którego próżno by szukać w chłodnym i kontemplacyjnym Gidzie. Przypomniał mi Gombrowicza, który też deklinując w scenie z JW Posłem dość oklepany epitet g...a trzysta razy potrafił jednak stworzyć obraz karykaturalny, a jednak który pozna od razu każdy, kto znał nasze przedwojenne placówki, tę mieszaninę nadętej powagi, patriotyzmu, filisterstwa, racji stanu, poczciwości i urzędolenia. W tym krecim Paryżu, ten wszawy obraz nędzarzy ryjących pod blaskiem bulwarów, z suteryn wychylających się jakby cienie niewolników starożytnego Tyburu by swymi mackami udusić stolicę świata, jest ułamek prawdy, odblask życia. Są w niej rozrzucone uwagi świadczące o niepospolitej inteligencji, spostrzegawczości: np. że przygody miłosne z komunizującymi Żydówkami z Europy Wschodniej nie są zadawałające, bo im śni się ciągle, bez przerwy marksizm i Carte d'identité w porządku.

Czytałem bardzo niedawno już wspomnianego Silbermanna Jacques de Lacretelle'a a warbą przypomnieć, że powieść tę pisaną w 1926 r. niedawny plebiscyt czytelników NRF zaliczył do 12 najlepszych powieści pierwszej połowy XX w. Lacretelle jest lepszym stylistą, jego dzieło jest znacznie bardziej skończone. Ale jego Silbermann jest głęboko fałszywy, jest obserwacją z zewnątrz, jest tanią powiastką goja o Żydach. Lacretelle to Churchill piszący o Hitlerze. Mandel — to diariusz Goebbelsa. To zdercie rąbka z asłony. Rąbka tylko. Izrael jest jedynym narodem, który ma związek bezpośredni z tajemnicami eschatologicznymi, którego istnienie wiąże się z samą tajemnicą bytu, z genezą człowieka, z jego przeznaczeniem. W tym sensie jest to naród wybrany. Tajemnicy bytu nie zganiemy nigdy: i dla tego Żydostwo, znieawidzone, pogardzane czy podziwiane pozostanie zawsze dla nas tajemnicze. Dla Żydów także.

Są w książce tej ustępy o Wilnie, ghetcie wileńskim, z których wynikałoby, że był to kraj rosyjski lub przynajmniej kulturalnie zupełnie zrusyfikowany, a także że ci Żydzi wileńscy byli przez władze polskie potężnie uciskani, co nie jest prawdą. Myślę, że p. Mandel, który może mieć dużą przyszłość, zob-

wiązały sobie swych polskich czytelników, gdyby te ustępy w dalszych — a z pewnością będą — wydaniach zechciał skorygować.

A wreszcie: książka zaginionej w 1944 r. Irène Nemirowsky "Dawid Golder" jest mniejszego kalibru niż książka Mandela. Ale o ile wdzięczniejsza! Po tamtej wojnie nawet Żydzi umieli kochać i się uśmiechać.

W. A. Z.

Komunizm autochtonów

Z powieści tej wydawało by się, że autor, Roger Vailland, nie jest komunistą ale sympatykiem. Akcja rozgrywa się współcześnie w 1948 roku. Młody urzędnik, po krótkiej "karierze" jako attaché gabinetu komunistycznego ministra, zostaje zdegradowany do referenta z pensją 22 tys. franków miesięcznie w urzędzie, na czele którego stoi jakiś niewyraźny radykał czy socjalista. Mieszka on na przedmieściu z pobożną matką, ma przyjaciela z Résistance, który, zrobiwszy sporo grosza na "przerzutach dewiz", hoduje teraz byki w Owernii. Rodrigue (tak się nazywa nasz bohater), sam syn lekarza, a więc pochodzący z burżuazji, jest przeselem jacejki partyjnej w swym ministerstwie, roznosi w niedzielę "Humanité" i inną bibułę. Na obiedzie u swego szefa, który pragnie się reasekurować zapraszając czerwonego podwładnego, poznaje kuzynkę pana domu, odprowadza ją do domu, ta bierze go do łóżka, nie wiadomo dlaczego, bo ani on się jej nie podoba, ani ona jemu — ot, tak z nudów. Ale z tej przygody dziewczyna zachodzi w ciążę. Próbuje skrobanki, nie udaje się, rodzi, dziecko podrzuca w mleczarni, odnajdują ją, aresztują. Podaje nazwisko ojca dziecka. Ten naradza się ze swoją przyjaciółką — też "partyjną": oboje decydują, że dla dobra partii Rodrigue musi się ożenić, by wrogowie klasowi nie wyszkalili tego opuszczenia matki i dziecka. Wobec tego Rodrigue poślubia Antoinette, którą widzi na ślubie (cywilnym tylko) dopiero po raz trzeci w życiu. I oboje zamieszkują u jego matki, pobożnej wdowy. To dziwne małżeństwo idzie dość dobrze, ale po paru miesiącach policja przychodzi by Rodrigue'a aresztować. Przy rewizji znajdują u niego kopię jakiegoś opracowania sztabowego o stanie zbrojeń w Hiszpanii, błahe bzdury oczywiście — ale glinom to wystarcza: Rodrigue'a biorą do mamra. Jego żona chykiem daje znać przyjacielowi z Owernii o aresztowaniu Rodrigue'a. Ten tajemniczy bogacz, flirtujący z komunistami, informuje prasę komunistyczną o aresztowaniu. Antoi-

netę policja zabiera na przesłuchanie na rue de Saussaies (siedziba policji politycznej), chce z niej wymusić zeznania w jaki sposób i przez kogo prasa czerwona została o incydencie poinformowana. Antoinetta odmawia zeznań: policjanci piorą ją po pysku, wybijają jej oko. Wypuszczają ją jednak po podpisaniu protokołu, że nie była maltretowana. Rodrigue siedzi, widuje jedynie sekretarkę swego adwokata, w której się zakochuje; więzienie daje mu czas na studia, przekabaca jednego z strażników na komunizm — właściwie jest z ulą zadowolony. Nie ma żadnych przeciwko niemu dowodów, nawet poszlak, policja trzymają Rodrigue'a tylko przez złośliwość. Antoinetta puszcza w ruch bogacza z Owernii, którego interwencja nagle wyciąga Rodrigue'a z kryminału. Nasz bohater bardzo niezadowolony wraca do domu, żonie robi awantury, ma jej dosyć, ona jego, on rozpoczyna romans z sekretarką adwokata, ona ucieka do bogacza, który skarży się, że ockąd został ranny w biodro jest impotentem. Kurtyna zapada. Możemy się spodziewać dalszego ciągu, choćby w dziesięciu tomach.

Ta powieść, poniekąd kretynska, jest napisana z talentem. Jej układ jest dziewiętnastowieczny. Dialogi, monologi, nawet staroświeckie wymiany listów. Sylwetki są silnie zarysowane. Modernizm przewija się głównie w brutalnej erotyce, którą w mniej postępowej epoce nazwano by pornografią. Lecz ta erotyka jest dziwna.

W 1938 roku Somerset Maugham napisał zwięzłą ale doskonałą powieść "Willa pod Florencją", w której cudna angielska lordówna puszcza się z litości z austriackim refugiantem, którego tegoż wieczoru poznała w knajpie gdzie był za grajka: biedny idiota myśli naiwnie, że piękna dziewczyna się w nim zakochała i dalej ją nawiedza; ta ze swym amantem, też oczywiście lordem, nie wie jak się go pozbyć, i oboje wpadają na doskonały pomysł ukatrupienia nudziarza: operacja udaje się doskonale: trupka zgrabnie sprzątnięto, piękność nie ma żadnych wyrzutów sumienia — i tak zrobiłam dla tego nędzarza więcej niż zrobiłaby każda inna — powiada. W cynizmie Maughama jest jakaś radość, jest miłość życia, jest przeświadczenie, że akty pćciowe mają sprawiać przyjemność. U Vaillanda tak jak i u Mandela spółkowanie jest zmorą, perwersją. Literatura powojenna jest jakby pisana przez rozpustnych purytanów, przez rzezańców, którzy zazdroszczą ludziom normalnym.

Inna kwestia — to sprawa używania i nadużywania terminów "ludowych" w opisach aktów erotycznych. Wypowiadam się za złotym środkiem. Dosadny wyraz "kurwa" nie powinien pojawiać się na łamach książek równie często jak używają go nasze żołnierzyki, ale jego zupełna banicja jest afektacją.

Książka Vaillanda, jak wszystkie rzeczy ściśle współczesne, jest zbyt aktualna by mogła mieć większą i trwalszą wartość artystyczną: publicystyka nigdy nie jest wielką literaturą. Najbardziej mnie interesuje, czy jego obraz Francji jest prawdziwy. Obawiam się, że pod pewnymi względami jest trafny. Traf-

ne musi być ujęcie światka komunistycznego jako zjawiska czysto francuskiego, wrośniętego we francuską garkuchnię polityczną, w stosunki lokalne, w warunki społeczne: nikogo w powieści nie interesuje światowy problem komunizmu, los satelitów, zdeptanie wolności w jednej trzeciej globu, nawet sam Stalin. To jest świat autonomiczny, autochtoniczny, to krzywdą robotnika, fatalne warunki mieszkaniowe, jeszcze bardziej nienawiść do rodzimej burżuazji, a przede wszystkim powstanie i skostnienie środowiska — "les copins", ghetta, które już żyje własnymi prawami — takiego, jak inne światki, które odmalaował Proust w swych salonach, Mandel u swych Żydów, stu innych w środowisku burżuazji. Ten światek komunistyczny Vaillanda nie jest światem robotniczym: mówi się o "metalos" — ale nie zjawiają się na scenie, wszyscy bohaterzy pochodzą z burżuazji, z biedniejszej, zgorzkniałej, sproletaryzowanej, zdeklasowanej. Rodrigue'a nudzi roznoszenie bibuły, nie zna Marksa, nie rozumie żadnych problemów gospodarczych: jego argumenty to to, że wszyscy "les copins" są porządni, że tylko oni porządnie się zachowywali podczas Résistance a inni to świnię; nad argumentami góruje nienawiść: nienawiść do flicków przede wszystkim, do dawnych polityków, do kolaborantów, do bogatych, do szczęścia, do ludzi zadowolonych, do ludzi normalnych. Komunizm Rodrigue'a rodzi się z tradycji St. Justa: z umiłowania abstrakcyjnej la vertue, cnoty, która płodzi tylko terror, zbroczenia i zbrodnie. Jest to bunt synów burżuazji przeciw własnemu uśrodkowi, jest to kompleks nienawiści do rodziców, jest to pasja nie program. Problem "Bon Pied Bon Oeil" (niezrozumiały to dla mnie tytuł) jest problemem raczej dla psychiatrów niż dla polityków. Z tym wszystkim rzemiosło autora jest zawsze wysokie, umysł zawsze żywy.

Pozostaję materialistą: komunizm we Francji zwalczałbym nie propagandą, w którą nie wierzę; nie policją, którą gardzę; nie psychiatrą, którą uważam za szarlatanerię; nie antymarksizmem, który jest tylko zabójczą piłą; ale zbudowaniem w paryskim banlieu miliona domków z ogródkami. Kto sadi własną sałatę, podlewa własne kwiatki staje się szybko konserwatystą o czarnym podniebieniu.

Zb.

«Le Potache»

"Sztubak" nie oddaje dokładnie terminu francuskiego "Le Potache", który implikuje niezgrabę, niezgułę, naiwniaka, głup-taka. Osiemnastoletni Dominique Lapiere, dostawszy od jakiegoś przedsiębiorstwa 10.000 franków pod warunkiem, że

Dominique LAPIERRE, *Un dollar, le mille kilomètres*. Ed. B. Grasset, Paryż 1950.

resztę kosztów podróży pokryje z własnej pracy, wybrał się do Meksyku. Dodatkowy zarobek polegał głównie na karotowaniu kolonii francuskich, niekiedy i konsulatów. Los mu nie skąpił silnych wrażeń: na brzegu Pacyfiku autora omaloby nie poślubił rekin, w świątyniach Azteków nie ugryził jadowity grzechotnik, w Chicago nie zamordował gangster; i jeszcze biedak musiał wpaść w New Yorku na Piątą Avenue na defiladę Polaków demonstrowujących "przeciw ujarzmieniu ich ojczyzny". — "Bóg mi niczego nie oszczędził" mógłby zawołać nasz Potache.

Podróże kształcą. Jak najbardziej popieram wysyłanie sztabów na dalekie ekspedycje na rowerze czy na piechotę, z plecakiem i paru frankami w kieszeni. Z Anglii wyrusza w ten sposób 100.000 młoców rok rocznie czy to na kontynent, czy na dalekie morza. Znam i polskich smarkaczy w Anglii, którzy w ten sposób zwiedzili Francję. Ale na szczęście o tych swych wycieczkach nie napisali książek. We Francji, rutyniarzkiej, bojaźliwej, gdzie maminsynki są dotąd regułą, takie wypadki są widocznie rzadkie, skoro wielka firma wydawnicza ogłasza takie wspomnienia. Ta grafomania młodych jest niebezpieczna. Dla kogo jak dla kogo, ale dla pisarzy życie powinno się zaczynać po czterdziestce.

Zb.

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

- CZUCHNOWSKI (M.). Tyfus, te-
raz słowiki. Str. 151. (Wyd.
Modern Writing Ltd., Londyn,
1951. Cena 10 sh 6 d.)
KEMP (R.). Edwige Feuillère. Pp.
130. (Ed. Calmann-Lévy, Paris,
1951).
FANGEAT (J.). Cézigue. Pp. 229.
(Ed. Calmann-Lévy, Paris,
1951).
REGLER (G.). Les Manants du
Christ. Pp. 304. (Ed. Calmann-
Lévy, Paris, 1951. 630 fr.).
TRAVEN (B.). Le trésor de la
Sierra Madre. Pp. 288. (Ed.
Calmann-Lévy, Paris, 1951, 480
fr.).
SACHS (M.). La décade de l'il-
lusion. Pp. 252. (Ed. Gallimard,
Paris, 1951, 350 fr.).
HAECKER (T.). Le livre des jours
et des nuits. Pp. 254. (Ed. Plon,
Paris, 1951, 300 fr.).
KOESTLER (A.). Les hommes
ont soif. Pp. 424. (Ed. Calmann-
Lévy, Paris, 1951. 780 fr.).

DOKUMENTY CHWILI

- Zbrodnia Katyńska w świetle do-
kumentów z przedmową gen.
Władysława Andersa, Wydanie
II-e. Str. 455. (Wyd. Gryf Pu-
blications, Ltd., Londyn 1950.
Cena 15 sh.).
POLIAKOV (L.). Bréviaire de la
haine. Pp. 404. (Ed. Calmann-
Lévy, Paris, 1951. 780 fr.).
CAILLOIS (R.). Description du
Marxisme. Pp. 60. (Ed. Galli-
mard, Paris, 1951, 100 fr.).
AVELINE (C.), CASSOU (J.),
MARTIN-CHAUFFIER (L.),
VERCORS. La voie libre. Pp.
184. (Ed. Flammarion, Paris,
1951. 325 fr.).
JENS (W.). Le monde des ac-
cusés, Pp. 269. (Ed. Plon, Paris,
1951. 300 fr.).
ROMAINS (J.). Violation de fron-
tières. Pp. 279. (Ed. Flamma-
rion, Paris, 1951. 350 fr.).
LAGOR (J.-L.). Rappelle-toi Bar-
bara... Pp. 218. (Ed. du Con-
quistador, Paris, 1951).

- STEINÜCHEL (T.). Sozialismus.
Str. 337. (Wyd. J.C.B. Mohr
(Paul Siebeck), Tübingen, 1950.
DM 15,13 w oprawie).
LIBRACH (J.). Europe's forgot-
ten area. Str. 7. (Przedruk z
"The Eastern Quarterly", T.
IV, Nr 1, 1951 r. Londyn).

RÓŻNE

- JASINSKI (W. J. Ks.). Polonia
Amerykańska. Str. 43. (Wyd.
przez Fundację im. Ks. Józefa
Dąbrowskiego, Orchard Lake,
Mich., 1951).
Roczniki Filozoficzne. Str. 474.
(Wyd. Twa Naukowego Kato-
lickiego Uniwersytetu Lubel-
skiego, Lublin 1951. Cena zł. 45).
LEWANSKI (R.). Storia delle re-
lazioni fra la Polonia e Bolo-
gna. Str. 67. (Ed. Dott. Cesare
Zuffi, Bologna, 1951, cena 600
lir).
Botteghe Oscure, Zeszyt VII, str.
475. (Ed. Arnoldo Mondadori,
Roma, 1951).

HISTORIA

- Samodzielną Brygadą Strzelców
Karpackich. Praca Zbiorowa
żołnierzy S.B.S.K. Str. 278 plus
LV. (Nakładem Zw. B. Żołnie-
rzy S.B.S.K., Londyn, 1951. Ce-
na 30 sh.).
SOBIESKI (J.). Jean de Pologne
à Louvain (1253). Pp. 63. (Ed.
de l'Institut d'Etudes Polonai-
ses en Belgique, 1950).

- KESTEN (H.). Copernic et son
temps. Pp. 427. (Ed. Calmann-
Lévy, Paris 1951).

RELIGIA

- DOŁĘGA (W.). Obecność Wnie-
bowzięcia w Polsce. Str. 159.
(Nakładem Katolickiego Ośrodka
Wyd. "Veritas", Londyn,
1951. Cena 10 sh. 6 d.).
PROUDHON (P.-J.). Portrait de
Jésus. Pp. 245. (Ed. Pierre Ho-
ray "Flore", Paris 1951).

Dnia 15 czerwca br. ukazało się nowe wydawnictwo

STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH

IGNACY WIENIEWSKI

POWRÓT NA VIA APPIA

Przedmowa TYMONA TERLECKIEGO

T r e ś ć: U źródeł demokracji. — Z dziejów Uebermenscha
i Herrenvolku. — O stosunku humanizmu do huma-
nitaryzmu. — Najstarsza utopia. — Melbeuszowym
szlakiem. Powrót na Via Appia. — Spadek ideowy
po Grecji i Rzymie. — Poświęcie.

CENA 5/6

Skład główny: Veritas Foundation Publication Centre,
12 Praed Mews, London W.2.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Recenzja p. W. A. Zbyszewskiego o wspomnieniach watykańskich ambasadora Charles Roux ("Kultura" Nr. 5/43) przypominała mi scenę, jakiej byłem uczestnikiem przed szeregiem lat. Scenę tę spisuję obecnie nie tylko na podstawie żywej jeszcze pamięci tamtych chwil, ale z pomocą spisywanych wówczas, bezpośrednio, notatek.

W sierpniu 1932 odbywał się w Kopenhadze Kongres Eucharystyczny, na którym Prymas Polski, Kardynał Hlond, godnie reprezentował Kościół i Polskę. Na własne życzenie zamieszkał on wówczas u nas w Poselstwie, przez co okazał, że staje po mojej stronie w trudnych stosunkach z episkopatem duńskim, a raczej z rządzącymi nim zakonnikami flamandzkimi, dążącymi do wynarodowienia naszej wielotysięcznej emigracji rolnej.

W czasie więc tego Kongresu odbyło się u miejscowego biskupa śniadanie, gdzie obok wyższych dostojników kościelnych obecni byli posłowie-katolicy, między innymi poseł francuski p. Hermite i ja. Był tam również znany historyk i mówca, członek Akademii Francuskiej, Arcybiskup Baudrillard. W żywej rozmowie przy stole ks. Baudrillard, człowiek ognistego temperamentu i niepohamowanej wymowy, zwrócił się niespodziewanie do siedzącego obok posła Hermite i do mnie i wskazując Kardynała-Prymasa powiedział: "Eminence sera le premier Pape non italien". Prymas stał się purpurowy — nie mniej niż jego dostojne szaty i gdy Baudrillard coś obstawał, odparł surowo: "Il n'est point permis de dire de telles choses". Wszyscy wtedy zamilkli i Baudrillard, odczuwszy własny nietakt, nie dorzucił już ani słowa.

Nie mam tutaj książki p. Charles-Roux i nie wiem, w jakim dokładnie formie wspominał on o tej scenie. Musiał on o niej zasłyszeć od swego kolegi, p. Hermite, późniejszego ambasadora w Rio. W każdym razie powtórzył te słuchy fałszywie i nie wiadomo po co złośliwie. W każdym razie nie był to "dowcip" ze strony Arcybiskupa Baudrillard'a, ani tym mniej "zabawienie się kosztem Hlonda". Zbyt wysoko stał Prymas w hierarchii kościelnej, aby można było na to sobie pozwolić, a poza tym, na Kongresie reprezentował on Kościół i był otoczony powszechnym szacunkiem i należąca wysokiemu dostojnikowi czcią. Jeżeli potrzeba dalszych na to dowodów, wspomnę, że sam poseł Hermite, bez związku z opisaną tu sceną przy stole, poruszył z nami obojgiem, moją żoną i mną, ten sam temat. "Ce sera un Pape de l'avenir", powiedział on wówczas z całą powagą o Hlondzie i wywiała się stąd, przy współudziale posła belgijskiego, Robyns de Schneidauer'a, dyskusja na temat, czy nie-Włoch mógłby zostać Papieżem. Oczywiście, Prymas nie powrócił do tej kwestii i nigdy nie był "ośmieszony wzięciem na serio" rzekomego "dowcipu". Gdy zaś żona moja poruszyła w późniejszej z nim rozmowie teoretyczną kwestię, czy wybór Polaka na tron papieski byłby dla naszego kraju pożądanym, Kardynał Hlond z całą stanowczością odpowiedział: "na stanowisku Prymasa więcej dla Polski zdziałać można".

Nie wiem, co miał na celu p. Charles-Roux w swojej niewczesnej krytyce Hlonda: może chciał dorzucić jeszcze jedną uszczypliwość o Polsce i Polakach; może po prostu poszedł śladem innych pamiętnikarzy-dyplomatów francuskich, bardzo dyskretnych co do błędów własnych i polityki Francji, lecz za to chętnych i bez wyboru plotkujących, gdy chodzi o sprawy cudze. W każdym razie, odnośnie do Kardynała Hlonda, obyczaj ten znalazł zastosowanie błędne. Prymas Polski pozostał w pamięci tych, co się z nim zetknęli nie tylko wybitnym księciem Kościoła i patriotą polskim, lecz także umiętnym

dyplomata, godnie reprezentującym nasz kraj wobec obcych. Dlaczego nie pisze się dotychczas jego biografii?

Ankara, w maju 1951.

Z prawdziwym poważaniem

Michał SOKOLNICKI

W nrze 5/43 "Kultury" została zamieszczona notatka p. ERKA o ostatnim rozkazie marsz. Śmigłego-Rydza, który był skierowany do gen. Rommła, dcy obrony Warszawy we wrześniu 1939 roku. Rozkaz ten czytałem w oryginale u ppulk. dypl. T. Zakrzewskiego, gdy po ucieczce z obozu w Calimanesti, zgłosiłem się u niego. Miało to miejsce w tymże dniu 26. IX. 39, w którym czytał go p. ERKA. Na tej podstawie pragnę dodać kilka następujących sprostowań i uzupełnień:

Rozkaz składał się nie z dwóch (jak podaje p. ERKA) lecz z trzech ustępów. Dosłownie już ich sobie nie przypominam, ale pamiętam, że w pierwszym ustępie Marszałek mówi, iż uderzenie sowieckie odcięło go od wojsk i zmusiło do wyjścia za granicę. Drugi ustęp nakazuje Warszawie dalszą obronę. W trzecim ustępie Marszałek dziękuje gen. Rommlowi, wojsku i ludności stolicy za bohaterką walkę. Pamiętam dokładnie, że w podziękowaniu rozkaz wymieniał także ludność stolicy, o czym p. ERKA nie wspomina. Natomiast możliwe, że ustęp, nakazujący dalszą obronę, był podany jako trzeci, a nie drugi.

Rozkaz był podpisany przez marsz. Śmigłego-Rydza, ale pisany był nie jego ręką, jak podaje p. ERKA, tylko ręką płk. Wendy. Oba charakterystyki pisma znamem, a ppłk. Zakrzewski potwierdził mi, że pisany był przez Wendy.

Ppłk. Zakrzewski powiedział mi wówczas, że w Craiowej zameldował się nad ranem i rozmawiał najpierw z płk. Wendą, po czym wyszedł marsz. Śmigły-Rydz jeszcze w szlafroku.

St. PSTROKONSKI, ppłk. dypl.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z uwagami p. J. Barańskiego, opublikowanymi w "Kulturze", Nr 5/43 z maja 1951 pt. "Jeszcze o Komitecie Siedmiu", proszę Pana Redaktora o zamieszczenie mojego następującego oświadczenia:

1. Nigdy nie twierdziłem, by p. Barański żywił "chęć sprzeniewierzenia czeków, które stanowiły własność państwa", a więc, by p. Barański usiłował przeprowadzić manipulacje finansowe dla własnej korzyści.

2. Twierdziłem natomiast w "Kulturze" Nr 12, 1948, strony 117 i 118, że próbował użyć pomocy attaché wojskowego w Belgradzie do zrealizowania czeków, będących własnością rządową, na rzecz konspiracyjnej działalności politycznej grupy osób prywatnych, złożonej z byłego ministra Spraw Zagranicznych płk. Becka i kilku byłych urzędników M.S. Zagr. Wykazałem tamże, w oparciu o relację p. W. Pobóg-Malinowskiego, zamieszczoną w "Kulturze" Nr 9-10, 1948, że działalność ta nie miała aprobaty ówczesnego Rządu R. P. Twierdzenia tego p. Barański nie obalił i podtrzymuje je nadal.

3. Zaprzeczam, abym miał uwłaczająco wyrazić się o marszałku Piłsudskim, jak mi to imputuje p. Barański, "nie lubiący — jak pisze na wstępie — wzajemnego szkalowania się". Nie mogłem powie-

dzień, że "Piłsudski to po prostu zdrajca", bo nigdy mi w myślach nie powstał taki nonsens. Walczyłem przeciw marszałkowi Piłsudskiemu w roku 1926 i zawsze byłem doń krytycznie ustosunkowany, o czym w wojsku wiedziano, ale byłem i jestem jak najdalszy od przypisywane go mi posądzenia. Zresztą pozwalałam sobie wątpić, aby w ogóle była wówczas mowa o marsz. Piłsudskim i aby jej to konsekwencje były powodem opuszczenia gabinetu attaché wojskowego przez p. Barańskiego bez pożegnania się. Utrzymuję po dawnemu, że p. Barański obraził się na mnie za odmowę upłynienia czeków.

Proszę Pana Redaktora o przyjęcie wyrazów mojego głębokiego poważania

Tadeusz WASILEWSKI, płk. dypl.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. kapitan Jan Barański, odpierając ostatnio, na łamach "KULTURY" zarzuty pułk. T. Wasilewskiego, dotyczące jego poczyniń w Rumunii i Jugosławii po klęsce wrześniowej 1939 r., uznał za stosowne ubarwić swą fantazyjną wersję ówczesnych tragicznych wydarzeń kolumniami na temat mego urzędowania w Ambasadzie R. P. w Bukareszcie.

Ponieważ ówczesny Ambasador R. P. w Bukareszcie, śp. Roger Raczynski, niestety już nie żyje, poczuwam się do obowiązku napiętnowania bezzasadnych twierdzeń p. Barańskiego, będących spóźnioną próbą fałszowania znanych ogólnie i dokumentami udowodnionych faktów.

Należy, przede wszystkim, przypomnieć, że Rząd Rumuński, wkrótce po napaści Hitlera na Polskę, ogłosił neutralność w wojnie polsko-niemieckiej, a Rząd Polski przyjął odnośną notyfikację rumuńską bez zastrzeżeń.

Takie obustronne postawienie sprawy wykluczało z góry ewentualność urzędowania Rządu Polskiego na terenie Rumunii lub prowadzenia stamtąd jakiegokolwiek akcji wojenno-politycznej.

Przechodzę więc do porządku dziennego nad insynuacją, jakoby swoboda działania Rządu R. P. po przejściu granicy rumuńskiej udaremniiona została intrygami zwykłego radcy Ambasady, jakim wówczas byłem, w celu przysłużenia się polityce Króla Karola, wbrew stanowisku jego własnego rządu!...

Zatrzymanie przedstawicieli najwyższych władz Rzeczypospolitej w Rumunii nastąpiło na skutek skombinowanej presji niemiecko-sowieckiej, mimo stanowczych protestów Ambasady, niedostatecznie jednak popartych przez naszych Zachodnich Aliantów.

W niezwykle trudnych i ciężkich warunkach, Ambasada w Bukareszcie spełniła podstawowe swe zadania, przyczyniając się wydatnie do uratowania ciągłości konstytucyjnej Państwa Polskiego i dalszego prowadzenia na obczyźnie walki o wyzwolenie i niepodległość Polski. Dzięki staraniom i pomocy Ambasady, śp. Władysław Raczekiewicz i śp. gen. Władysław Sikorski, oraz cała plejada wybitnych osobistości politycznych, działaczy społecznych, uczonych i fachowców dotarła szybko do Francji, unikając szczęśliwie zasadzek czających się na Bałkanach, V-tej kolumny hitlerowskiej i sowieckiej. W okresie 1939-40 Ambasada przeprowadziła planowo, choć poniekąd nielegalnie, ewakuację znacznej większości internowanych polskich wojskowych i rzeszy wojennego uchodźstwa, oraz umożliwiła wyjazd byłego Prezydenta R. P. śp. prof. I. Mościckiego i większości przedwrześniowego zespołu rządzącego, z Premierem gen. Sławoj-Składkowskim na czele.

Nieprawdą jest, jakoby były premier opuścił Rumunię na własną rękę, w tajemnicy przed Ambasadą. Stwierdzam, że uzgadniał on osobiście ze mną, w Ambasadzie, zarówno moment jak i szczegóły swej "ucieczki", a następnie, będąc na wolności w Turcji, nieraz o do-

znanej z mej strony pomocy wspominał. Natomiast wielokrotne próby wyzwolenia śp. Ministra Józefa Becka nie powiodły się z różnych względów, choć Rząd gen. Sikorskiego wydał na ten cel znaczne fundusze i ułatwił wskazanym przez śp. Min. Becka osobom jego zaufania wszelkie w tym kierunku poczynania. Niestety, niewczesne inicjatywy w rodzaju eskapady do Jugosławii, opisywanej przez kpt. Barańskiego, wznęwały tylko czujność czynników niemiecko-sowieckich i ich satelitów, powodując obostrzenie kontroli ze strony rumuńskiej stawiając, w końcu, byłego ministra Spraw Zagranicznych w położeniu więźnia stanu.

Niedorzeczna wzmianka p. Barańskiego, jakoby opłacani przeze mnie specjaliści agencji mieli uniemożliwić wyjazd Min. Becka, charakteryzuje dosadnie nastroje chorobliwej psychozy dwójkarskiej, panującej wśród ówczesnego otoczenia Ministra.

Publikowanie po 11-tu latach tego rodzaju oskarżeń zasługuje na przywołanie jako chwyt, zmierzający do przerzucenia na osoby postronne odpowiedzialności za własne niepowodzenia i przewiny.

Uwikławszy się w konspiracyjnej swej robocie w niemłą aferę czekową, kpt. Barański próbuje wywołać wrażenie, jakoby moje zainteresowanie rozliczeniami z funduszu specjalnego M. S. Z. wykraczało poza normalne, poniekąd rutynowe, ówczesne me obowiązki.

Otóż z chwilą powstania Rządu gen. Sikorskiego we Francji, na rzecz którego ustępujący gabinet gen. Sławoj-Składkowskiego postanowił lojalnie przekazać wszelkie atrybuty władzy, musiało również nastąpić jak najszybsze zabezpieczenie własności Skarbu Państwa, będącej w dyspozycji poszczególnych ministrów resortowych i ich współpracowników. Dla załatwienia tych spraw nowy Rząd wydelegował kolejno z Paryża pp. Min. Pełn. Szumłakowskiego i radcę finansowego Stebelskiego, polecając zarazem Ambasadzie, a w szczególności radcy finansowemu, p. Sadowskiemu, i mnie, współdziałanie w wykonaniu powierzonych im zadań. Na tej podstawie brałem udział w przesłuchaniu p. Barańskiego i żądałem odeń kategorycznie udzielenia służbowych wyjaśnień, od czego jednak się uchylił, stosując różne wykręty, a nawet pozorując zasłabnięcie. Spowodowało to w rezultacie, że przerwałem dalsze dochodzenie i opuściłem zebranie.

Sprawa tych czeków została zresztą wyjaśniona wkrótce potem przez ptk. Tadeusza Schaezla, w osobistej rozmowie z śp. Ambasadorem Raczynskim.

Tyle dla wyswietlenia prawdy, bez wdawania się w jałowe polemiki. W naszej smutnej rzeczywistości emigracyjnej uważam za wielce szkodliwe zagłębianie się w kłeszkowych kompleksach wrześniowych i rozniecanie na tym tle zadawnionych nienawiści osobistych czy politycznych. Miał oglądać się z uporem wstecz, skupiajmy uwagę i siły na zagadnieniach teraźniejszości, z myślą o przyszłości Narodu. Trochę odpowiedzialnych obywateli, zwłaszcza zaś tych, którzy bądź w wojsku bądź w administracji państwowej nabyli większego doświadczenia, winno być zespalenie wysiłków Polaków na wychodźctwie w imię wyzwolenia kraju, przekreślenia zaborów i urzeczywistnienia prawdziwej wolności i niepodległości Polski.

Alfred PONIŃSKI.

Sydney (Australia), czerwiec 1951 r.

Drogi Panie Redaktorze,

W ostatnim nrze "Kultury" przeczytałem list prof. Strońskiego. Robi mi w nim p. Stroński dwa "zarzuty".

Pierwszy dotyczy wyjątku z jego artykułu o "Amnestii", przytoczonego przeze mnie w moim szkicu w kwietniowym zeszyście "Kultury" na str. 132. P. Stroński ma pretensje do mnie o to, że macytował go w mniejszej rozciągłości, niż on pragnąłby tego. Nie ma dla nikogo

takiego obowiązku. Co do "przytaczania cudzych poglądów" — to istotnie, skracając wywody p. Strońskiego, opuściłem nawiasową uwagę p. Strońskiego: "jak wówczas mówili niektórzy przeciwnicy umowy". Opuszczenie tych kilku nawiasowych słów nie ma według mnie żadnego znaczenia, w artykule swoim bowiem polemizowałem nie z tym, co mówili "niektórzy przeciwnicy umowy", lecz tylko z tym, co pisał p. Stroński najwyraźniej i wyłącznie w imieniu własnym, a mianowicie, że użyte w układzie lipcowym wyrażenie "amnestia" nigdy w postępowaniu sowieckim "nie zagrało", ani "nawet łej nie brzdękło". O tym, jak mocno "zagrało" i jak straszliwie brzdękło — wykazałem w swoim artykule i nie sądzę, by trzeba było do tego wracać. Że opuszczona przez mnie nawiasowa uwaga p. Strońskiego nie ma najmniejszego znaczenia świadczy "Silva rerum" w londyńskich "Wiadomościach" (nr 271/1951), gdzie niepodpisany autor — w związku z moim artykułem w "Kulturze" cytując p. Strońskiego w większej niż u mnie rozciągłości, — również opuszcza tę nawiasową uwagę. A nie umawialiśmy się przecież.

P. Stroński — pochwywszy oburacz tak nieistotne opuszczenie — pozwala sobie na pisanie, że "nie mogąc krok za krokiem" pogodzić się z moim "powoływaniem się na źródła" — ogranicza się do tego tylko "jednego przykładu". Określić to mogę jako próbę podważenia zaufania czytelnika do rzetelności całego mego opracowania. Fair play? Nie sądzę. To tylko p. Stroński sądzi, że publicystyka to nie sport, gdzie niedozwolone chwytów mają ściśle określenia i gdzie dla takich chwytów przewidziane są wyraźne sankcje. Muszę tedy — "na półgębkiem, lecz bardzo natarczywie" domagać się, by p. Stroński uzasadnił to swoje "krok za krokiem". Żądam na to konkretnych faktów, a nie jakiegos tam: "nie mogąc"...

Twierdzi p. Stroński w swoim liście, że noty sowieckiej z 16. I. 1943 w przytoczonym przeze mnie brzmieniu nie ma w znanych mu wydawnictwach, i że — "sam pracując w źródłach" nigdy o niej nie słyszał, ani nigdzie się na nią "nie natknął". Wiemy wszyscy, jak długo i jak starannie rząd gen. Sikorskiego ukrywał przed społeczeństwem prawdę o polipcowych stosunkach z Moskwą — jak zatajał przed opinią fakty i dokumenty i jakimi drogami ta zatroskana i zaniepokojona opinia dowiadywała się stopniowo o fragmentach prawdy. Czyż trzeba przypominać tu tak głośny w swoim czasie "skandal" z odważnym wystąpieniem Adama Doboszyńskiego z jego "listem otwartym" w londyńskiej "Walce" w lutym r. 1943?... Zacytowaną w moim artykule notę sowiecką z 16. I. 1943 znaleźć może p. Stroński w niezależnych od rządu polskich wydawnictwach w Ameryce. Ogłosił ją po raz pierwszy "Biuletyn Organizacyjny" K. N. A. P. P. w nr 5 z marca 1943 r., w dziale "Fakty i dokumenty" na str. 13. Ta sama nota w jej pełnym — jak u mnie — brzmieniu przytoczona została wśród wielu innych dokumentów nie byle gdzie, tylko w zbiorze "Od apelu do kongresu", (National Committee of Americans of Polish Descent, New York, 1944, na str. 27-30) — w bezpośrednim związku z podpisaną przez dwunastu najwybitniejszych działaczy depeşą do Prezydenta Roosevelta w przeciwstawieniu się do niepoprawnie optymistycznych deklaracji Sikorskiego o stosunkach polsko-sowieckich z okresu ostatniej jego wizyty w Stanach Zjednoczonych i rozmów jego z Rooseveltem.

Niepotrzebnie się p. Stroński trudził w swoim liście, by wykazać, że ta nota sowiecka fałszowała protokół, dodany do układu lipcowego, przez zmianę słów: "wszystkich obywateli polskich" na "byłych obywateli polskich". To było dla każdego jasne i bez wysiłków p. Strońskiego. Jednakże niewątpliwe to fałszerstwo w najmniejszym nawet stopniu nie usprawiedliwia ślepej i bezrozumnej zgody polskiej na wprowadzenie do układu tego nikczemnego wyrazu "amnestia". Jeśli instynkt polityczny twórców paktu nie ostrzegł ich przed możliwymi skutkami tego — na żądanie Moskwy — przyjętego terminu, to jak ich instynkt narodowy, polski nie wytrącił im pióra z ręki w momencie składania podpisów?... P. Stroński w związku z tym fałszerstwem

moskiewskim pozwala sobie na uwagę, jakoby przyjmował je za "dobrą monetę" i powoływał się na nie "dla uzasadnienia stanowiska rosyjskiego". Dziękuję Bogu, że tylko tyle. Bo mógł przecież p. Stroński sięgnąć do swoich dawnych przemówień w B.B.C., gdzie — walcząc z przeciwnikami układu (zob. dla przykładu "Dziennik Polski" nr 552 z 28. IV. 1942 lub nr 563 z 11. V. 1942) — robił im zarzuty chodzenia "krętymi drogami" i — tworzenia "czarnych plam w polskim dziennikarstwie" — zarzucał im też "kręactwo", "głupotę" i nawet "obłąd"... Mógł też sięgnąć do przemówień gen. Sikorskiego — np. do wygłoszonego w Detroit w grudniu r. 1942 — i powtórzyć za nim: Kto krytykuje moje porozumienie z Rosją jest agentem Goebbelsa i powinien być odznaczony niemieckim Krzyżem Żelaznym"...

Kończąc swoją uwagę o tym: "dokąd wiedzie nieprzytomna zapalczywość w szatkach niby źródłowego dziejopisarstwa" zechce p. Stroński przyjąć pod własnym adresem, dotyczy ona bowiem tylko jego metod pisarskich.

Przy okazji chciałbym wyjaśnić jedno nieporozumienie. Na skutek nieoczekiwanego sąsiedztwa mego artykułu o Układzie polsko-rosyjskim ("Kultura" nr 4/42) z artykułem p. Strońskiego na ten sam temat u wielu czytelników powstało wrażenie, jak gdyby artykuł mój — umieszczony na drugim miejscu — był już odpowiedzią na jego rozważania. Spotkałem się nawet z wielu stron z pytaniami czyżbym się godził ze stanowiskiem p. Strońskiego w tych kwestiach na które mu w swoim artykule "nie odpowiadam". Pragnę wyraźnie stwierdzić, że z artykułem p. Strońskiego zapoznałem się dopiero po wydrukowaniu numeru.

Z całym szeregiem stwierdzeń p. Strońskiego całkowicie się nie zgadzam — polemika wymagałaby jednak już nie listu, ale specjalnego artykułu. Mam nadzieję, że do tego tematu będę mógł powrócić w niedługiej przyszłości.

Paryż, czerwiec 1951.

WL. POBÓG-MALINOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

W nrze 12/13 **Orla Białego** podałem krytyce postawę **Dziennika Polskiego** i p. Juliusza Sakowskiego wobec kilku spraw, m. in. wobec projektu związku narodów Międzylimnia, który p. Sakowski wyśmiewał. Z tej okazji Kronika Angielska **Kultury**, nr 5/43, wytyka mi megalomanię graniczącą z obłąkaniem, dogmatyzm, ekskomunikowanie przeciwników i inne grzechy główne. Za nowy objaw owej megalomanii niech mi Pan nie pocztyta prośby o zamieszczenie paru wyjaśnień: p. Londyńczyk, anonimowy autor Kroniki, stawia rzecz na gruncie "klimatu" dyskusji, a to jest właśnie zagadnienie stokroć ważniejsze od mojej osoby. Gdybyśmy potrafilili klimat naszych dyskusji uczynić zdrowszym — byłoby to duże osiągnięcie.

Warunkiem zdrowego klimatu wydaje mi się rzetelność. Przyjmowanie odpowiedzialności za to, co się pisze, zwłaszcza w sprawach spornych, rzetelność w niedwuznacznym formułowaniu sądów, rzetelność w cytatach, w referowaniu cudzych myśli.

Litanie moich grzechów opiera autor na przytoczeniu jednego tylko mego zdania, że p. Sakowski "radzi się wyrzec czujności wobec obcej dywersji, wobec pomysłów szafowania krwią polską, wobec działania obcego pieniądza". Te "absurdalne zarzuty" wyjął p. Londyńczyk z pierwszej części mego artykułu, gdzie nie zajmowałem się oceną (tę podałem i uzasadniłem później), a tylko streszczałem poglądy p. Sakowskiego, m. in. jego artykułu "Bezpieczne złudzenia i troski urojone" poświęconego właśnie bagatelizowaniu potrzeby czujności. Oddaję głos p. Sakowskiemu:

“tylko że Zachód nie myśli na razie wcale o wyręczeniu się w przyszłym starciu polskim żołnierzem”. “Przestrzeżenie, by nie dali się użyć jako “mięso armatnie” jest równie znaczne i chwalebne jak dalekie od rzeczywistości, bo wcale się na to nie zanoszą. Chęć użycia polskich sił zbrojnych (jakby tylko o to chodziło — J. P.) przez świat zachodni jest złudzeniem”. A dalej: “Nie ma więc powodu do obaw, jak nie trzeba również bać się dywersyjnych posunięć obcych wywiadów, przed którymi stale ostrzegają i wciąż nas bronią przeważliwieni znawcy i czujni odkrywcy”.

Może wystarczy, by czytelnik mógł osądzić, czy moje streszczenie było nierzetelne. Tego zresztą zarzutu nie postawił sam p. Sakowski, gdy polemizował później z moimi wywodami na temat Międzymorza. Uznanie obiektywnego streszczenia poglądu drugiej strony za prawie ekskomunikę dowodzi, że p. Londyńczyk bądź nie czytał rzeczy, o których pisze, bądź też przedstawia je nierzetelnie, wbrew dobremu obyczajom.

Wątpię także, by sprzyjało klimatowi naszych dyskusji upatrywanie w każdym poglądzie, który nam nie dogadza, wyrazu jakiejś grupy politycznej, znowu bez cienia dowodu. Publicyści, którzy nie umieją już być niczym więcej, jak narzędziem swych grup, to na szczęście, wyjątki. Nauczmy się z poglądami polemizować na zasadzie ich treści, nie posługując się insynuacjami, a poczuwamy się w zdrowszym klimacie.

Nie podejmuję próby dowodu, że nie jestem megalomanem (“do-każi, czto ty nie wierblud”), ale czy nie byłoby lepiej niepoehlebne kwalifikacje w jakikolwiek sposób uzasadniać? Podobna uwaga nasuwa się, gdy surowy wyrok, jakobyśmy propagandę federacyjną zaczęli “od serii zasadniczych i megalomańskich błędów” popiera autor Kroniki jedynie faktem, że książka Jana Szuldrzyńskiego pochwała ideę jagiellońską. Jeden z nas najwidoczniej przypisuje sobie “finalny autorytet w wyrokowaniu”, “karci”, “poucza”, “zna odpowiedzi na wszystkie pytania” sądy swe podaje dogmatycznie, bez dowodów. Swoje — próbowałem uzasadnić.

Józef PONIATOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Drukując w Numerze 5/43 “Kultury” fragment mego “Trans-Atlantyku”, zapomniała Szanowna Redakcja uwzględnić zmian i poprawek (niektóre z nich istotne) przesłanych przeze mnie jako uzupełnienie pierwotnego tekstu. Wkradły się również w tekst błędy drukarskie, które w kilku wypadkach zniekształcają sens zdań (dotyczy to również przedmowy). Głównym winowajcą jest dystans, jaki nas dzieli tych kilkanaście tysięcy kilometrów uniemożliwiających bezpośrednią styczność autora z Redakcją — ale i ja ponoszę część winy, gdyż nie mogłem od razu złożyć Panu całkowicie wykończonego tekstu.

Łączę wyrazy wysokiego poważania i wiele pozdrowień

Argentyna, 6. VI. 51.

Witold GOMBROWICZ.

Résumé des principaux articles parus dans ce numéro :

CZ. MIŁOSZ: — LE KETMAN

L'auteur s'efforce de décrire un phénomène singulier qui se manifeste dans les démocraties populaires : la dissimulation générale des pensées. C'est là un jeu d'acteurs que les citoyens pratiquent en masse. Il ne s'agit pas seulement de masquer vos propres convictions mais de faire publiquement étalage d'opinions qui ne sont pas les vôtres. Vous arrivez à vous pénétrer de votre rôle à un tel degré que toute limite s'efface entre le jeu et la vérité.

Cette pratique était connue en Islam, on l'appelait le Ketman. Elle était surtout répandue en Perse où le nombre des sectes secrètes était si grand qu'il y avait, en fait, peu de bons Musulmans. L'homme qui pratiquait le Ketman tirait un véritable titre de gloire de l'adresse qu'il mettait à dissimuler ses convictions intimes.

Dans les « démocraties populaires », le terrain est particulièrement propice au développement du Ketman. Quant on démasque un citoyen qui pratique le Ketman, on crie à la « déviation ». Et pourtant le Ketman n'est pas synonyme de « déviationisme » puisque les réserves que l'on formule à l'intérieur de soi-même et qui sont la source du Ketman, ne sont pas obligatoirement des divergences de doctrines.

L'auteur décrit les principales variantes de Ketman que l'on remarque dans les « démocraties populaires ». Il y a le Ketman national, le Ketman de la pureté révolutionnaire, le Ketman esthétique, le Ketman professionnel, le Ketman philosophique, le Ketman métaphysique et le Ketman éthique.

L'analyse psychologique du Ketman démontre que l'intellectuel qui est obligé de pratiquer le Ketman y trouve des délices que ne connaissent pas les intellectuels de l'occident. L'on pourrait croire que l'homme moderne qui est privé de son centre de gravité intérieur ressent le besoin d'une pression extérieure. Se révoltant dans son âme contre cette contrainte, il prend conscience de sa propre personnalité qui risquerait de se disperser sans la pression de la doctrine officielle. Les intellectuels des « démocraties populaires » ne sont pas attachés au stalinisme, en revanche, ils sont attachés à leur Ketman qui n'aurait plus de raison d'être s'ils pouvaient dire ce qu'ils pensent.

ST. GRZYBOWICZ: — LA SIGNIFICATION
DES CHANGEMENTS

SURVENUS DANS LA VIE ECONOMIQUE POLONAISE.

L'auteur adopte le plan suivant pour analyser les transformations qui se sont produites dans la structure économique de la Pologne après la guerre :

1° — Il résume, en premier lieu, les principales modifications de structure qui résultent, dans le domaine économique et social, du déplacement des frontières polonaises à l'est et à l'ouest. Il tient pour assuré que les caractères d'une structure économique et sociale donnée, déterminent l'objet, les limites, et les méthodes de la politique économique.

2° — Il essaye de formuler l'objet et les méthodes de la politique économique qui, en conséquence, eussent dû être poursuivies en Pologne, pour que cette politique fût conforme aux intérêts de la nation polonaise.

3° — Il compare ensuite cette politique à celle qui est effectivement pratiquée en Pologne depuis la guerre.

4° — Il essaye enfin de trouver une explication à cette politique dans les publications communistes, en particulier dans les publications russes consacrées à l'étude des problèmes économiques polonais.

Ad. 1. — L'analyse de la structure économique et sociale de la Pologne d'après guerre amène l'auteur à constater que la relation entre l'importance de la population et l'étendue du territoire d'une part, et les investissements d'autre part, est plus favorable à l'équilibre économique et social du pays qu'avant la guerre. L'excédent de la population rurale, d'après l'auteur, ne dépasse pas 11 à 19 % de l'ensemble de cette population, alors qu'il atteignait 42 % avant la guerre. En même temps, le pays étant plus industrialisé, la capacité d'absorption de la main-d'œuvre sur le marché du travail, en dehors de l'agriculture, est beaucoup plus grande. Il serait possible d'atteindre, en une génération, l'équilibre économique et social parfait qui résulterait d'une répartition idéale de la population agricole. Pour l'auteur, réaliser le peuplement rural idéal, c'est obtenir, pour l'agriculture, les meilleures conditions de développement possibles sur une superficie donnée. Aujourd'hui, l'on pourrait imprimer un essor rapide et continu à l'agriculture, en s'appuyant sur l'exploitation paysanne individuelle, les petites exploitations de moins de 5 hectares étant arrondies jusqu'à ce chiffre. Cette réforme serait parfaitement réalisable, si l'on voulait répartir les terres qui se trouvent aux mains de l'Etat, entre les exploitations de moins de 5 hectares.

Ad. 2. — Etant donné la situation économique et sociale actuelle de la Pologne, l'industrialisation devrait être poursuivie « de manière organique » c'est-à-dire que l'industrie ne devrait pas être artificiellement développée à un rythme forcé, puisque l'industrialisation n'est pas commandée par des problèmes sociaux brûlants, comme par exemple, le ré-emploi obligatoire et rapide d'une grande partie de la population rurale, dans des branches de l'économie autres que l'agriculture, afin de diminuer la pression du surpeuplement agricole sur les possibilités de production. De plus, la société polonaise est suffisamment épuisée par la guerre pour que lui soient épargnés les privations résultant de l'industrialisation à tout prix. Développer l'industrie « de manière organique », c'est encore s'efforcer de réaliser les progrès industriels avec le moins possible de frais sociaux, en utilisant rationnellement tous les moyens susceptibles de favoriser l'industrialisation. Au nombre de ceux-ci, l'auteur mentionne un meilleur équilibre des forces qu'avant la guerre, entre le développement de l'industrie et celui de l'agriculture, qui facilite les échanges intérieurs, la possibilité d'assainir la structure des exploitations paysannes et d'en stimuler le développement, les perspectives d'évolution des « terms of trade » qui sont favorables à la Pologne, le moyen d'obtenir des crédits d'investissements aux Etats-Unis et en Europe occidentale. Pour profiter de ces circonstances, il faut évidemment que la Pologne soit libre de poursuivre sa politique économique en toute indépendance à l'égard de l'U.R.S.S. et de collaborer sans restriction avec le monde entier.

Ad. 3. — La politique économique poursuivie en Pologne depuis la fin de la guerre est l'antithèse de ce programme. On a pratiqué une politique d'industrialisation forcée, non seulement sans tenter d'en diminuer les frais sociaux mais en les augmentant artificiellement, en traitant tous les problèmes économiques et sociaux d'un point de vue purement doctrinaire. L'auteur en cite, pour preuve, les destructions en masse des biens investis, pour entreprendre de nouveaux investissements, la lutte économique engagée entre les exploitations paysannes les plus actives, l'isolement im-

posé à la Pologne en ce qui touche la collaboration avec le monde non-soviétique, la négligence apportée aux investissements agricoles et aux investissements intéressant la production des biens de consommation.

Ad. 4. — Seule la doctrine soviétique est capable d'expliquer les transformations économiques qui ont déjà été opérées en Pologne et qui vont l'être. L'auteur souligne deux mobiles doctrinaux qui ont inspiré la politique économique : la transformation forcée de la société polonaise en une société communiste où l'industrie est appelée à jouer un rôle prédominant et l'obligation, pour la Pologne, de participer activement à la lutte contre le monde capitaliste et au triomphe de la révolution dans d'autres pays plus industrialisés qu'elle. Les méthodes apportées à l'industrialisation rapide à tout prix, s'expliquent facilement, elles aussi, du point de vue doctrinaire. L'auteur cite de nombreux passages de publications communistes russes et polonaises insistant sur l'aspect doctrinal et les perspectives de la politique économique d'après guerre. Ces citations prouvent de toute évidence, qu'il s'agit avant tout, d'assimiler le système économique polonais au système soviétique et que, par exemple, la nationalisation et la collectivisation complètes de l'agriculture ne sont plus qu'une question de temps qui sera réglée dans un proche avenir.

R. PALESTER: — LE CONFLIT DE MARSYAS

Le célèbre compositeur polonais R. Palester, l'auteur de l'essai que nous publions ici, sous le titre « *Le conflit de Marsyas* », consacre des réflexions d'ordre général, au thème familier des rapports de l'artiste avec la société et de la place qui revient à l'art dans la crise morale et sociale que nous traversons. L'antique légende grecque de Marsyas et de sa flûte lui sert d'introduction, Marsyas qui osa défier Apollon et paya de sa vie sa témérité. Toute activité artistique est un « défi à Apollon »; l'histoire nous apprend que les artistes et les poètes qui dans leurs œuvres, ont donné du monde une vision originale et convaincante, l'ont fait au prix de combats et d'efforts des plus ardues. Dans certains cas, ce fut la lutte contre la matière imparfaite, dans d'autres, l'artiste dut se dresser contre la communauté dont il était membre, pour reproduire le vrai visage de son époque.

Il y a un conflit dramatique au sein de toute œuvre d'art, et l'artiste créateur, doit, comme Marsyas, supporter les conséquences auxquelles l'expose la projection de sa vision d'artiste.

Considérer l'art comme l'expression d'un effort créateur individuel, n'empêche pas d'étudier également son rôle du point de vue social. Il ne semble pas que l'histoire nous fournisse des exemples d'œuvres d'art complètement détachées des besoins et des tendances de l'époque qui les ont produits. Bien au contraire, les œuvres vivaces et durables ont toujours reproduit fidèlement en profondeur, les pensées et les sentiments de ceux qui les ont vues naître. Seule l'expression extérieure de l'œuvre d'art dépend du talent créateur de l'artiste. Il est arrivé que certaines grandes œuvres aient été directement inspirées par des événements politiques. Mais, quand, au XIX^e siècle, le côté politique a pris des proportions telles qu'il est devenu l'axe des intérêts humains, quand il s'est avéré impossible, pour tout individu, de se libérer des influences politiques, l'activité artistique en a subi un contre-coup regrettable. De facteur d'ordre instituant une vé-

ritable hiérarchie des valeurs qu'elle était, elle est tombée au rôle de héros annonciateur d'idées politiques plus ou moins factices.

En même temps, l'expansion des théories matérialistes a ébranlé et mis en question les fondements séculaires de la civilisation spirituelle. Si l'on accepte les principes du matérialisme, on rejette, en conséquence, les formes antérieures de l'art, en tant que phénomènes de nature purement spiritualiste. Ainsi l'existence future de l'art devient-elle problématique.

Nous assistons aujourd'hui à une crise profonde provoquée par l'attaque du matérialisme contre les bases mêmes de la culture traditionnelle. Le matérialisme, imposé de force à un grand nombre de nations, veut régner triomphant sur le monde entier, aussi, le partage du monde à l'aide d'un « rideau de fer », ne semble-t-il ni légitime ni équitable. Notre civilisation traverse une crise des deux côtés de ce rideau et la lutte entre les deux systèmes se déroule de part et d'autre de la barricade. Il n'existe pas aujourd'hui, dans le monde, de pays où le matérialisme économique soit déjà totalement vainqueur, comme il n'en existe pas où ne sévisse pas une crise des valeurs civilisatrices jusqu'ici reconnues.

Pour un certain nombre d'individus, la victoire du communisme à l'échelle du monde, paraît être l'unique et le plus simple moyen de sortir d'une situation difficile. Pourtant les pays qui, après la dernière guerre, se sont trouvés dans la sphère d'influence soviétique, sont là pour nous fournir des documents suffisamment abondants et éloquents !

Puisque les réformes économiques des communistes paraissent légitimes et opportunes à beaucoup, il est nécessaire d'insister sur le caractère totalitaire et universel du communisme qui n'est pas seulement un système économique et social, mais bien plutôt une nouvelle philosophie universelle.

La réforme agraire, la répartition équitable des biens et la suppression des classes ne sont qu'un point de départ, mais le sens profond de la « réforme », c'est la destruction totale de la civilisation et de la culture occidentale auxquelles l'on veut artificiellement substituer une civilisation nouvelle poursuivant des fins par excellence totalitaires.

Même situation dans le domaine artistique. Là où le communisme est temporairement victorieux, il commence par détruire tout le patrimoine national mais il ne dépasse pas le stade de la destruction. L'auteur démontre ce mécanisme en décrivant longuement la situation des artistes en Pologne, en particulier celle des musiciens. Depuis que la Pologne a été occupée et que le régime soviétique y a été instauré par la force, jusqu'aujourd'hui, les efforts des autorités et du parti ne tendent, en dépit des multiples déclarations de la propagande, qu'à étouffer la grande flamme créatrice, à abaisser le niveau de l'art, jusqu'à l'extrême et à obliger le public à absorber des « valeurs artistiques » de la pire espèce. On le fait pour fatiguer l'individu et créer un climat de dépression et d'épuisement moral qui permette de mieux dominer et détruire le besoin de liberté qui existe chez tous les hommes.

Malgré le combat que mènent les artistes polonais, comme tous les autres Polonais, pour sauver les restes de leur indépendance intérieure, l'on est bien obligé de constater que devant la monstruosité des méthodes communistes, la résistance de la nation ne peut pas ne pas faiblir. La situation des artistes polonais en Pologne est terrifiante, ils se trouvent dans un état de prostration et de découragement profonds.

Aussi se pose-t-elle souvent cette question : le devoir d'un artiste est-il de rester dans son pays ou de choisir la voie de l'exil qui est souvent semée des plus graves difficultés mais donne au moins à l'artiste le sentiment de l'indépendance intérieure. Les Polonais de Pologne sont plutôt d'avis que les artistes et les poètes doivent rester sur place pour combattre,

par leur action, les influences soviétiques. Mais puisqu'existe une implacable censure et que la doctrine esthétique du « réalisme socialiste » règne en maîtresse dans l'art une rébellion éventuelle des artistes paraît pour le moins illusoire. En restant dans son pays, l'artiste se condamne au silence complet ou bien il doit emboucher la trompette de propagateur de mots d'ordre politique éphémères que refuse la nation de toute sa volonté. Ceci l'expose à un violent conflit avec lui-même et lui enlève cette honnêteté artistique sans laquelle il ne peut naître d'œuvre d'art douée de beauté réelle et de vitalité.

Ce numéro est consacré, en majeure partie, aux pays qui se trouvent derrière le rideau de fer. A côté des articles que nous résumons, il contient une curieuse correspondance de Pologne qui dépeint bien l'atmosphère de terreur qui règne partout et qui traite en particulier de la collectivisation, de l'industrialisation et des territoires occidentaux recouverts.

Madame Milada Souczkova, femme de lettres tchèque bien connue, étudie la littérature tchèque contemporaine qui est peut-être plus soviétisée que n'importe quelle autre littérature des « démocraties populaires ».

Le célèbre poète polonais, Joseph Lobodowski, publie une anthologie de la poésie biélorusse, dans sa propre traduction, en faisant une large place aux jeunes poètes contemporains.

« Le choix de la liberté » de Czeslaw Milosz a provoqué de vives discussions parmi les émigrants, quant à l'attitude à prendre envers les nouveaux venus. Le leader socialiste polonais Zygmunt Zaremba, J. Miroszewski, de Londres, enfin le poète lui-même, prennent part à ce débat.

Dans un article intitulé « Wittgenstein, le génie de la destruction », José Ferrater Mora analyse les idées de ce philosophe qui est peu connu, mais qui a néanmoins exercé une grande influence sur la pensée philosophique contemporaine.

Joseph Wittlin, le fameux auteur du « Sel de la Terre », traduit en treize langues, commente la dernière œuvre du jeune écrivain polonais Gombrowicz, parue dans les numéros précédents de la « Kultura ». Pour lui, c'est un des ouvrages les plus intéressants de la littérature d'après guerre.

Dans la partie politique, Wlodzimierz Baczkowski passe en revue la situation politique du Moyen-Orient.

Les pages consacrées à l'Histoire de la Pologne contemporaine contiennent des souvenirs du dernier président du Conseil polonais d'avant guerre, F. Slawoj Skladkowski, s'étendant aux années pendant lesquelles celui-ci a été en fonction : 1936-39.

On trouvera, dans la chronique culturelle, un compte-rendu de l'exposition des mosaïques de Ravenne et des deux expositions de Corot que l'on peut voir actuellement à Paris.

Enfin, la partie bibliographique contient l'analyse du dernier fascicule des « Botteghe Oscure » et des ouvrages suivants :

Cardinal Tisserant: *L'Eglise militante*; Sever Pop: *La Dialectologie*; L. Laurat: *La linguistique et l'impérialisme russe*; E. Vaillé: *Le cabinet noir*; P. Schmidt: *Sur la scène internationale*; R. Aron: *Le piège où nous place l'histoire*; A. Mandel: *Les temps incertains*; R. Vailland: *Bon pied, bon œil*; D. Lapierre: *Un dollar, les mille kilomètres*.

Le présent numéro porte sur les mois de juillet et d'août. Le numéro suivant paraîtra au début de septembre.

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY
I INSTYTUTU LITERACKIEGO
NA W. BRYTANIĘ JEST

„GRYF” Publications Ltd.

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11

Tel. BAttersea 0879

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą „Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać się do wymienionej firmy

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: M^{me} Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 3^e trimestre 1951

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-rocznia	Rocznia
FRANCJA: Libella, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris IV ^e .	150 fr.	900 fr.	1800 fr.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Jan Grochowski, 81, via della Croce, Roma.	250 lir	1500 lir	2500 lir
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärgsgatan 3/IV, Stockholm	3 kr.	15 kor.	28 kor.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schönau, U.S. Zone	2,50 DM	15 DM	25 DM
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires	6 peso	36 peso	72 peso
KANADA: Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 83, Front St. E., Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, „Gryf Publ.», 808 Wager Str., Utica, N.Y.; L. Dudarew-Osetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Ple-szczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; M. Szyrowski, 200 East 21 st ., New York 10, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BELGIA i KONGO BELG.: Marie Christ. Janta-Półczyńska, 24, Grande Rue au Bois, Bruxelles, 3, Konto Chèque Postal 244 113 — Bruxelles.	30 bfr.	145 bfr.	260 bfr.
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£A 1.7.6.	£A2.12.6.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana	15 cruz	90 cruz	150 cruz
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lausanne, Genève.	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.

Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na portu

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; ½ strony 6.000 fr. fr.

WYDAWNICTWA
INSTYTUTU LITERACKIEGO

- ADAM MICKIEWICZ
KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA
- HENRYK SIENKIEWICZ
LEGIONY
- JÓZEF CZAPSKI
NA NIELUDZKIEJ ZIEMI
- STANISŁAW SZPOTANSKI
PROMETEUSZE
- JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI
MIASTO MOJEJ MATKI
- LEON BLUM
NA MIARĘ CZŁOWIEKA
- JÓZEF CHAŁASIŃSKI i JAN ULATOWSKI
PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ INTELIGENCJI POLSKIEJ
- SERGIUSZ PIASECKI
JABŁUSZKO
NIKT NIE DA NAM ZBAWIENIA
SPOJRZE JA W OKNO...
- TADEUSZ FELSZTYN
ENERGIA ATOMOWA
- WACŁAW SIEROSZEWSKI
BENIOWSKI
- ARTHUR KOESTLER
KRUCJATA BEZ KRZYŻA
- ANTOLOGIA NOWELI WOJENNEJ (1939-45)
W OCZACH PISARZY
- BOLESŁAW MICIŃSKI
PORTRET KANTA I TRZY ESSAYE O WOJNIE
- JAN BIELATOWICZ
BRYGADA KARPACKA
PASSEGGIATA
- STANISŁAW GRYZIEWICZ
SRODKI POLITYKI GOSPODARCZEJ

Bieżący numer «KULTURY» (lipiec-sierpień 1951)
jest — jak co roku — numerem podwójnym.
Następny numer ukaże się w pierwszych dniach
września rb. w normalnej objętości.

Cena 250 frs.